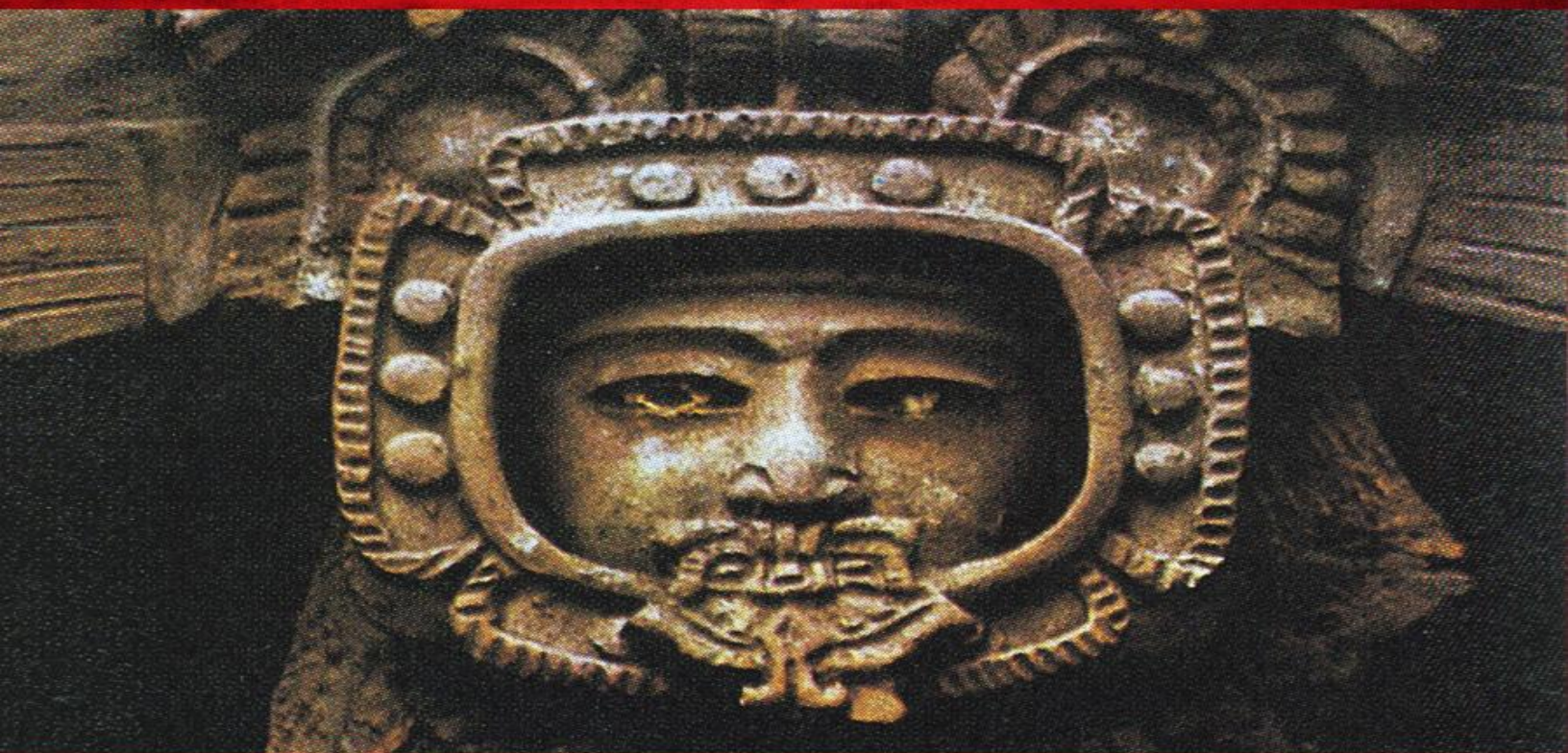


Erich von Däniken
na tropach zakazanej archeologii

POSZUKIWACZE ZAGINIONEJ WIEDZY



ERICH VON DÄNIKEN

wybór i redakcja



POSZUKIWACZE ZAGINIONEJ WIEDZY

ERICH VON DÄNIKEN

wybór i redakcja

Przekład
CEZARY MURAWSKI
RYSZARD TURCZYN



Redaktor serii
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna
Piotr Chojnacki

Korekta
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Erich von Däniken

Tytuł oryginału
Jäger verlorenen Wissens.
Auf den Spuren einer verbotenen Archäologie

Copyright © 2007, 2006, 2004, 2003 by Jochen Kopp Verlag.
Pfeiferstr. 52, D-72108 Rottenburg.

All rights reserved.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6330-4

Warszawa 2017. Wydanie III

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

W żadnym momencie ubiegłego wieku nie mieliśmy większych powodów do optymizmu, jeśli idzie o możliwość odkrycia w przyszłości życia poza Ziemią, a może nawet inteligentnego życia.

profesor Lawrence Krauss, astronom, Case Western Reserve University

Być może najbardziej zaawansowane formy życia we wszechświecie są tak małe, że nie mamy szans na odkrycie ich naszymi przyrządami astronomicznymi. Może są bliżej nas, niż się nam wydaje?

profesor John D. Barrow, astrofizyk, Cambridge

Poszukiwanie pozaziemskich istot rozumnych wkroczyło w całkowicie nową fazę. Nawet Międzynarodowa Unia Astronomiczna uwzględniła tę nową sytuację, inicjując „wielowątkowe drogi” poszukiwań, w których zaakceptowano jako możliwe warianty nawet te założenia myślowe, które wcześniej uznawano za całkowicie nienaukowe, na przykład rzeczywistą obecność pozaziemskich istot rozumnych w naszym Układzie Słonecznym.

profesor James W. Deardorf, fizyk, Corvallis, oraz doktor Johannes Fiebag, geolog, Bad Neustadt

Przedmowa

Powstaje nowa gałąź wiedzy. Jak to? Gdzie? Kiedy? Dlaczego? Wiosną 1968 roku ukazała się moja książka *Wspomnienia z przyszłości*. Przedstawiłem w niej pogląd, że wiele tysięcy lat temu, kiedy nasi praprzodkowie żyli jeszcze w epoce kamienia, naszą starą, dobrą planetę odwiedziły istoty pozaziemskie. Ludzie epoki kamiennej nie pojmowali, co się dzieje, i nabrali błędnego przekonania, że owi przybysze są bogami, chociaż – jak wszyscy wiemy – bogowie nie istnieją. Niemniej informacje o wizytach owych „bogów” odnajdujemy we wszystkich świętych księgach oraz w starożytnych pismach historycznych.

Moje *Wspomnienia z przyszłości* wywołały przeogromny oddźwięk. Podniosła się też fala krytyki. Od maja do późnej jesieni 1968 roku tytuł ten zajmował pierwsze miejsce na wszystkich niemieckich listach bestsellerów. Książkę przełożono na 32 języki i rozpoczęła się ogólnoswiatowa dyskusja.

Do 2003 roku napisałem kolejnych 27 książek, wszystkie na ten sam temat. Zapraszano mnie na wykłady, wygłaszałem je i wygłaszam nadal na niezliczonych wyższych uczelniach, w wyprzedanych do ostatniego miejsca salach oraz najrozmaitszych klubach, takich jak Lions Club, Ambassadors, Kiwanis Club czy Rotary Club, jak też na forach wszelkich możliwych partii politycznych. Moja ogólnoswiatowa działalność nie ustała do dzisiaj.

Ten niezwykle aktualny temat podchwycili inni autorzy, zajmowali się jego szczegółowymi aspektami, próbowali negować, uzupełniać, dostarczali nowych wspierałych argumentów, powstało wiele prac zbiorowych, a eksperci z najróżniejszych dziedzin pisali własne książki poruszające kwestię, czy Ziemię rzeczywiście odwiedziły przed tysiącami lat istoty pozaziemskie. Ktokolwiek zajął się gruntownie tym tematem, dochodził do tego samego wniosku: nie jesteśmy sami we wszechświecie i w zamierzchłej przeszłości istoty pozaziemskie co najmniej raz odwiedziły Ziemię.

Potem, w roku 1971, amerykański prawnik doktor Gene Phillips założył Ancient Astronaut Society, zwaną w skrócie AAS, międzynarodową organizację pożytku publicznego, która w oderwaniu od naukowych dogmatów miała się zajmować palącym pytaniem: Czy mieliśmy gości z kosmosu? Organizowano liczne krajowe i międzynarodowe konferencje i w ciągu zaledwie kilku lat AAS liczyła już 10 000 członków. Pod egidą tej organizacji opublikowano pierwsze tomy antologii *Kosmiczne ślady*. Pierwotna AAS przekształciła się w Towarzystwo Archeologii, Astronautyki i SETI (Archaeology, Astronautics and SETI Research Association), które jest nowym AAS (SETI to skrót od Search for Extraterrestrial Intelligence, czyli Poszukiwanie Pozaziemskich Istot Rozumnych).

W Interlaken w Szwajcarii powstał specjalny park tematyczny poświęcony wyłącznie wielkim zagadkom naszego świata, tzw. Mystery Park. Ten jedyny w swoim rodzaju kompleks uczy odwiedzających, jak się dziwić. Wywołuje się tutaj u ludzi fascynujący dreszcz ciekawości. Obowiązuje pluralizm myśli, każda rozsądna możliwość jest godna rozważenia. Od chwili otwarcia pod koniec maja 2003 roku Mystery Park przyjmuje dziennie tysiące odwiedzających. Ogromny sukces Mystery Park w Interlaken stanowi widomy dowód dla wszystkich sceptyków i wątpiących, że zasygnalizowany w moich *Wspomnieniach z przyszłości* temat nie stracił nic ze swojej atrakcyjności.

Nowe AAS wydaje co dwa miesiące własny magazyn zatytułowany „Legendary Times” (Legendarne czasy). W jego redagowanie zaangażowani są naukowcy i zapaleńcy ze wszystkich grup zawodowych. Prowadzą badania i piszą artykuły, które wszystkie bez wyjątku dotyczą jednego zasadniczego pytania: Co jest nie tak z tą naszą przeszłością?

Ta książka zawiera artykuły pióra autorów skupionych wokół AAS. To antologia, w której znajdziemy gorące tematy do dyskusji, z pewnością bardziej interesujące i inspirujące niż niejeden nudny wieczór spędzony przed telewizorem.

Z serdecznym pozdrowieniem
Erich von Däniken

I. Zagadki Archeologiczne

Wprowadzenie

O znaczeniu badań archeologicznych, astronautycznych i Seti

W całej historii ludzkości – poczynając od australopiteka aż po współczesnego Homo sapiens – ciekawość była siłą napędową naszej walki o wiedzę i zrozumienie otaczającego nas świata oraz źródeł naszego pochodzenia. Od czasów „Lucy”, praprzodka człowieka, chodzącej po Ziemi 3 000 000 lat temu, człowiek wynalazł rozliczne metody i stworzył podstawy pozyskiwania informacji i wiedzy.

Te podstawy porozmieszczyliśmy w osobnych „szufladach”, opatrzonych specjalnymi nazwami, takimi jak „fizyka”, „psychologia”, „edukacja”, „antropologia”, „archeologia”, „grafologia”, „matematyka” itd. Za tym wszystkim jednak stoi jedno i to samo – ciekawość. Człowiek chce wiedzieć i rozumieć. Większość z nas jednak raczej dość selektywnie odnosi się do tego, co chce wiedzieć i rozumieć. Ta skłonność sprawia, że każdy wybiera odmienną drogę poszukiwania wiedzy. Niestety, odmienność naszych zainteresowań zbyt często robi z nas przeciwników. Dlatego idee, które nie pasują do aktualnych wzorców myślowych społeczeństwa, tak często bywają odrzucane; spotkało to np. Einsteina, gdy zaprezentował teorię względności. Nasz system edukacji warunkuje nas do zadowalania się aktualnymi faktami i aktualnym poziomem wiedzy. Jak słusznie zauważył kiedyś Einstein: „Liczba tych, którzy patrzą własnymi oczami i czują własnym sercem, jest niewielka”.

Historia pokazuje, że niezdolność akceptowania nowych idei jest cechą równie wyrazistą, co ciekawość. Tylko wyjątkowy gatunek ludzi uczy się pozostać otwartym na dowody pokazujące, co jest możliwe, a co nie.

Pytanie: „Po co”?

Jedno z bardzo często zadawanych przez sceptyków pytań brzmi: „Po co istoty pozaziemskie miałyby sobie zadawać trud pokonywania miliardów lat świetlnych, żeby dotrzeć do innych planet?” Mogłaby na to paść taka odpowiedź: „A po co ludzie zadają sobie trud zdobycia Mount Everestu?” Po co robić coś, co pozornie nie daje żadnej „praktycznej” korzyści? Odpowiedź oczywiście brzmi: „Po to, żeby zobaczyć, czy potrafimy to zrobić”. Albo: „Po to, żeby zobaczyć, czy trawa po drugiej stronie góry jest bardziej zielona”. Ale odpowiedzią może być też coś innego niż tylko „ciekawość”, np.: „Po to, żeby odświeżyć zasoby”, „Żeby zdobyć nowe informacje”, „Żeby skomunikować się z innymi cywilizacjami”, „Żeby przetrwać jako gatunek”, „Żeby przeżyć przygodę”. Nie trzeba zbyt wielkiej wyobraźni, by znaleźć wiele tego rodzaju powodów uzasadniających chęć zobaczenia, co się znajduje „po drugiej stronie” wszechświata.

Studiując dzieje naszych dążeń do zdobycia wiedzy, stwierdzamy, że większość ludzkich pojęć okazywała się z początku fałszywa i wymagała zmiany albo przynajmniej korekty. A jednak wciąż jest tak, że wielu naukowców nie wykazuje żadnego zainteresowania nader interesującą hipotezą, czy w jakimś momencie dziejów na Ziemi nie złożyły wizyty żywe istoty z kosmosu, które gdzieś na jakiejś odległej planecie stworzyły cywilizację zdolną do podróży międzygwiazdnych. Naukowcy nadal wzdragają się przed uznaniem bodaj ewentualności takiej wizyty. Odrzucają mnóstwo historycznie udokumentowanych przypadków bezpośrednich spotkań ludzi z istotami, których zachowania dokładnie odpowiadają temu, czego spodziewalibyśmy się po przybyszach z innej planety. I nie podejmują też żadnych szczegółowych badań doniesień o takich obserwacjach, poczynionych przez inteligentne i wiarygodne osoby.

Stąd też wielkie uznanie należy się tym badaczom, którzy bardzo serio podeszli do tematu, zorganizowali się w ramach AAS i większą część życia spędzają na studiowaniu i analizowaniu faktów powiązanych z przedstawioną wyżej hipotezą. Publikacje badaczy paleo-SETI, z których najbardziej znany jest Erich von Däniken, zwróciły uwagę świata na to, że najprawdopodobniej

wcale nie jesteśmy sami we wszechświecie. Doszło do tego, że nawet „środowiska naukowe” zaczynają w końcu przyznawać, iż przypuszczalnie istnieją cywilizacje pozaziemskie, z których wiele z pewnością znacznie wyprzedza nas w rozwoju.

Badacze z kręgu paleo-SETI wprowadzili do świadomości ludzi hipotezę o wizycie istot z kosmosu, która dotychczas miała znaczenie wyłącznie marginalne. Stawili opór – i nadal stawiają – wszystkim tym, którzy twierdzili, że wiedzą ze stuprocentową pewnością, iż hipoteza o kontaktach z cywilizacją pozaziemską jest całkowicie nieuzasadniona. Dlatego też jest niesłychanie ważne, aby badacze ci nadal zbierali i przedstawiali fakty, które dowodzą, że pozaziemskie istoty rozumne rzeczywiście istnieją i złożyły nam kiedyś wizytę.

profesor doktor Pasqual Schievella

Hipoteza paleo-Seti: co to takiego?

Przez ostatnie dziesięciolecia badanie pozaziemskich ingerencji w przeszłość ludzkości systematycznie zyskiwało na znaczeniu. Wiązało się to i nadal wiąże z licznymi mocnymi i wciąż uzupełnianymi przesłankami, które w coraz większym stopniu zyskują rangę dowodów. Do grupy tych zdumiewających faktów zaliczają się znaleziska, sugerujące istnienie nanotechnologii w czasach przed epoką kamienia, albo obiekty z prekolumbijskich grobowców wyglądające jak samoloty, których wierne modele okazały się zdolne do lotu, charakteryzując się doskonałym zachowaniem w czasie startu i lądowania oraz zdumiewającą zdolnością do akrobacji powietrznych. Gigantyczne budowle rodzą pytanie o ich konstruktorów oraz o użyte do ich wzniesienia metody. Przekazy różnych religii mówią o boskich istotach z gwiazd, które przybyły na Ziemię, dokonywały manipulacji genetycznych i przekazywały naszym praprzodkom wiedzę wybiegającą daleko w przyszłość.

To zaskakujące, ale im głębiej wnikamy w tę materię, im intensywniej rozpatrujemy naszą dotychczasową wiedzę na ten temat, tym wyraźniej widzimy możliwość takich kontaktów, a mimo to reakcje środowisk naukowych nadal są bardzo powściągliwe. Dlaczego tak się dzieje?

Wydaje mi się, że problem w mniejszym stopniu polega na kwestii dowodów, ponieważ te – jeśli patrzeć na sprawę obiektywnie – od dawna już istnieją. Jest on bardziej kwestią o wiele głębiej sięgającej bariery społecznej, a może nawet psychospołecznej.

Po prostu brak jest gotowości zmierzenia się z czymś nowym, przeskoczenia samego siebie i spojrzenia na świat z zupełnie innej perspektywy. Tego rodzaju postawa nie jest zasadniczo niczym nowym. W dziejach nauki spotykamy ją na każdym kroku, czemu więc dzisiaj miałoby być nagle inaczej? Po prostu wygląda na to, że wiedzy (czy może pozornej wiedzy), jaką już raz z wielkim trudem i pokonując rozliczne przeszkody się zdobyło, broni się jak bezcennego skarbu i próbuje separować od wszelkich nowych zdobyczy. Jest to typowo ludzka cecha mająca korzenie przypuszczalnie jeszcze w okresie, kiedy jako gatunek oddawaliśmy się zbieractwu czy myślistwu.

W dosłownym sensie przełomowa hipoteza o ingerencji istot pozaziemskich potrzebuje widocznie dla siebie właściwej chwili, aby mogła pokonać poprzeczkę ustanowioną przez naukowy establishment dla „inaczej myślących”. Dlatego niezbędne jest bezustanne i uporczywe opowiadanie się za hipotezą paleo-SETI, zakładającą, że setki, tysiące, a może nawet i miliony lat temu Ziemię odwiedziły istoty z innej planety.

SETI oraz paleo-SETI

W zasadzie hipoteza paleo-SETI tkwi już w ludzkich umysłach od niepamiętnych czasów, z tą tylko różnicą, że dawniej uważano, iż te osobliwe istoty, które od czasu do czasu pojawiały się na Ziemi, dokonując swoich niezrozumiałych ingerencji, są bogami, niebiańskimi duchami, aniołami czy nawet demonami. Nie mając innej możliwości, interpretowano takie zjawiska w duchu religijnym.

Tymczasem osiągnęliśmy w toku rozwoju taki poziom technologiczny, który pozwala nam oczyścić tamte zjawiska z wszelkich mitologicznych ozdobników i odsłonić kryjący się pod nimi właściwy szkielet. Ku naszemu zaskoczeniu okazuje się wówczas, że szkielet ten wcale nie jest (jak wciąż twierdzi wielu tradycyjnych, konserwatywnych naukowców) „pustym pojęciem”, tylko składa się z jak najbardziej trwałej, „technicznej” właśnie materii. Innymi słowy: wiele wydarzeń z zamierzchłej przeszłości daje się łatwo i wygodnie wyjaśnić, bez konieczności stawiania dodatkowych hipotez, po przyjęciu prostego założenia, że kiedyś Ziemię odwiedziły istoty rozumne z głębin kosmosu i dostarczyły decydujących impulsów do rozwoju inteligencji człowieka. Całkowicie niezrozumiałe czynności i działania owych traktowanych jak bogowie istot musiały ówczesnym mieszkańcom Ziemi wydawać się magią, toteż nic dziwnego, że doświadczenia ze spotkania z tymi istotami, niekiedy osobiste, przyporządkowano sferze religii.

Mianem SETI określa się dzisiaj poszukiwania we wszechświecie rozumnych form życia z wykorzystaniem radioastronomii, paleo-SETI natomiast to tego samego rodzaju poszukiwania w naszej własnej przeszłości. Ponieważ wygląda na to, że wspomniane istoty rozumne dokonywały nader istotnych ingerencji w proces naszego rozwoju, można przyjąć założenie, iż możliwe jest odnalezienie świadomie bądź nieświadomie pozostawionych

śladów tego rodzaju działań, a w przypadku idealnym wręcz definitywnego dowodu potwierdzającego słusność hipotezy paleo-SETI.

AAS

Odnalezienie takiego właśnie dowodu jest zadaniem, jakie stawia sobie AAS, czyli Towarzystwo Badawcze Archeologii, Astronautyki i SETI. AAS w dzisiejszym kształcie wywodzi się od Ancient Astronaut Society, organizacji założonej w roku 1973 przez amerykańskiego prawnika doktora Gene'a Phillipsa. Zobaczył on kiedyś program telewizyjny poświęcony książce Ericha von Dänikena *Wspomnienia z przyszłości*. Tak później opisał to wydarzenie:

Pomysły, które Erich von Däniken podsuwał nauce, były nader logicznie skonstruowane. Także jego odpowiedzi na odwieczne pytania, takie jak np. powstanie religii czy początki życia, sprawiały wrażenie daleko bardziej rozsądnych niż modele przedstawiane przez niejednego naukowca.

Gene Phillips nawiązał kontakt z Erichem von Dänikem i wspólnie omówili kwestię założenia towarzystwa badawczego. Jego zadaniem miało być udowodnienie postawionych przez Ericha von Dänikena tez, a mianowicie że mieliśmy już kiedyś kontakt z pozaziemskimi istotami rozumnymi oraz że ich wizyty na Ziemi oraz ingerencje w nasz rozwój pozostawiły rozliczne ślady w historii ludzkości.

Formuła tego nowego towarzystwa badawczego miała być otwarta i uniwersalna, niedająca się zdominować jakiegokolwiek obowiązującej doktrynie czy dogmatowi. Zainteresowani sprawą badacze i amatorzy z całego świata mieli dostać możliwość wypowiedzenia się na forum publicznym oraz wymiany poglądów z innymi, którzy myślą podobnie. Towarzystwo zrzeszające ludzi o otwartych umysłach przekształciło się ostatecznie w Towarzystwo Badawcze Archeologii, Astronautyki i SETI. Nazwę tę wybrano dlatego, że członkowie towarzystwa poświęcali się zarówno badaniom archeologicznym, jak i idei badań kosmicznych, a pojęcie SETI łączy ze sobą obydwie te dziedziny wiedzy.

Od roku 1973 AAS zebrała i przedstawiła opinii publicznej mnóstwo materiału dowodowego. W pasjonujących reportażach, przenikliwych analizach, na przykładzie modeli matematycznych i w toku wypraw badawczych do odległych zakątków Ziemi ludzie najróżniejszych zawodów i niemal wszystkich grup wiekowych i narodowości starali się zweryfikować i ostatecznie dowieść słusności swojego przekonania, że mieliśmy kiedyś gości z kosmosu.

Pionierzy wiedzy

Na razie dysponujemy głównie dowodami pośrednimi, które jednak mimo wszystko robią wrażenie, kiedy spojrzeć na nie całościowo. Obecnie więc chodzi o to, by zainteresować tą tematyką jak najwięcej osób, zwracając ich uwagę na fakt, że możliwa była wizyta na naszej planecie istot rozumnych z kosmosu oraz że wiele obiektów i budowli historycznych można powiązać z tym wydarzeniem. Wówczas każdy będzie mógł na swój użytek ocenić, czy nadal zechce widzieć w danym obiekcie „tajemniczy obiekt kultu”, czy też może bardziej sensowna wyda mu się techniczna interpretacja.

Jak wiadomo, kropla drąży skałę, jestem więc przekonany, że zasada ta sprawdzi się również w odniesieniu do tej fascynującej tematyki. Dlatego też nie przestaniemy dzielić się naszymi odkryciami, chociaż wciąż (jeszcze) napotykaemy u niektórych mur niezrozumienia. Tak samo było w przypadku wielu nowatorów w historii nauki, w końcu jednak prawda zawsze zwyciężała.

Osoby, które przynajmniej dopuszczają możliwość istnienia w przeszłości kontaktu z cywilizacjami pozaziemskimi, wyprzedzają – moim zdaniem – o kilka długości wszystkich tych, którzy tego nie akceptują. Oznacza to bowiem, że przełamały już ograniczenia dewocyjnej pseudonauki i – w moim najgłębszym przekonaniu – pewnego dnia będą tymi, którzy zostaną docenieni jako pionierzy nowego spojrzenia na świat. Pionierzy, którzy przetarli drogę do kontaktu z innymi cywilizacjami gwiazdnymi, cywilizacjami, których przedstawiciele odwiedzili już kiedyś naszą Ziemię.

doktor Johannes Fiebag

II. Zagadkowy Egipt

Pobożne życzenia egiptologów

Siedemnastego września 2002 roku nadszedł wreszcie ten dzień. Oto zaserwowano światowej opinii publicznej program na żywo spod piramid. Chodziło o pokazanie trzech zasadniczych kwestii:

1. Marc Lehner, wielce ceniony egiptolog ze Stanów Zjednoczonych, miał zaprezentować swoje znaleziska z otoczenia Wielkiej Piramidy. Wszystkie wykopaliska miały dowodzić (rzekomo) jednego i tego samego: odkryto ślady robotników wznoszących piramidy, ich kuchni, sypialni, brygadzystów i inżynierów.
2. Zahi Hawass z Najwyższej Rady Starożytności w Kairze planował otwarcie zapieczętowanego od (rzekomo) 4500 lat sarkofagu, „najstarszego kamiennego sarkofagu, jaki wciąż jeszcze jest zapieczętowany”. To wszystko na oczach widzów.
3. Tenże Zahi Hawass miał „pokazać po raz pierwszy wnętrze piramidy”, a konkretnie znany od z górą 10 lat „szyb Gantenbrinka”. Tam – jak wmawiano widzom – po raz pierwszy (znowu po raz pierwszy!) zostanie wywiercony otwór w zagadkowych drzwiczkach na końcu szybu i po raz pierwszy (!) zostanie tam umieszczona kamera.

Jednym słowem, szalenie obiecujący program, koniecznie trzeba go było obejrzeć. Tak więc zacząłem oglądać i już wkrótce sam nie wiedziałem, czy mam rwać włosy z głowy, czy też wybuchnąć homeryckim śmiechem.

Na początek pojawiła się zwyczajowa zapowiedź programu wypełniona wywiadami i komentarzami. Dowiedzieliśmy się z nich, że złote mumie pochodzą „ze zdecydowanie wcześniejszego okresu” niż epoka Starego Państwa. Ponieważ Cheops, który (rzekomo) kazał wybudować Wielką Piramidę, żył w okresie Starego Państwa, to jego mumia nie mogła być złota. „Jeśli Arabowie rzeczywiście znaleźli jakąś mumię w sarkofagu Cheopsa, to na

pewno nie była to mumia faraona”. Tyle komentarz. Nie może więc być mowy o tym, że mumia Cheopsa była złota?

Kilka minut później padło zdanie: „Według wierzeń egipskich złoto było czymś więcej niż tylko metalem. Uważano je za ciało bogów. Złoto chroniło nieprzemijalność mumii, było światłem boga słońca Ra, włożonym do grobu”. Więc w końcu jak? Złoto czy bez złota?

Potem dowiedzieliśmy się, że żaden z egipskich grobowców nie został zbudowany w tak przemyślany sposób i z takim nakładem sił i środków jak piramida Cheopsa. „Czy nie należy sądzić, że władca kazał zabezpieczyć dary grobowe w najbardziej przemyślny sposób, jaki zdolny był wykoncypować człowiek?” Sądzić można wszystko. Lecz „najbardziej przemyślny sposób” nie pasuje do poziomu wiedzy tamtych czasów. Ale o tym potem.

Michael Haase, młody, znany mi egiptolog, stwierdził, że „masywne systemy blokujące” wykluczają możliwość, aby za szybem Gantenbrinka znajdowała się komora. „Nie byłoby zresztą nawet jak się do niej dostać”. Haase sugeruje, że wąskie szyby we wnętrzu piramidy pełniły być może „funkcje logistyczne”, a więc ich istnienie wynikało „z potrzeb budowlanych”.

Nieco później pojawia się kolejne stwierdzenie Michaela Haasego, że cała budowla stanowiła „część gigantycznego systemu logistycznego”.

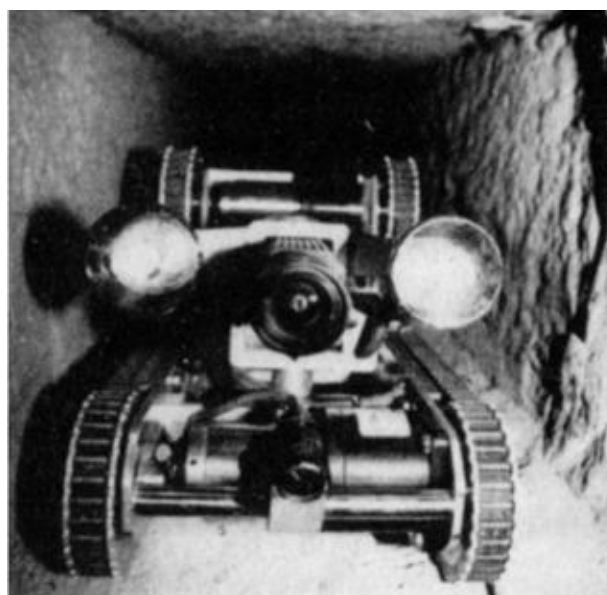
Po tych rozsądnych cytatach chciałoby się odetchnąć z ulgą. Za szybem Gantenbrinka nie może się nic znajdować, ponieważ systemy blokujące uniemożliwiają to, a poza tym sam szyb i tak jest zbyt wąski, a więc „nie można się nim przedostać”. Jednocześnie zaś cała budowla jest elementem gigantycznego systemu logistycznego. Czemu jednak sprytni budowniczcy starożytnego Egiptu mieliby zakładać „systemy blokujące” na drzwiczki, za którymi w ogóle nic się nie znajduje?

Te wielokrotne zapewnienia – nie tylko ze strony Michaela Haasego – że przez wąski szyb nikt nie mógłby się przecisnąć, nie mówiąc już o przetransportowaniu sarkofagu czy skarbu, właśnie dlatego, że „nie można się nim przedostać”, a więc że nic nie może się też za nim znajdować, stanowiły niejako kropkę nad „i” w słowie „idiotyzm”. Załóżmy, że kalif Abdullah Al-Mamun – to ten, który włamał się do piramidy w 827 roku n.e. – wybiłby w piramidzie otwór w innym miejscu, niż to zrobił. Na wysokości 74. warstwy kamiennych bloków odnalazłby wejście i trafiłby na komorę. I oto okazałoby się, że z komory prowadzi w głąb piramidy niewielki, kwadratowy w przekroju otwór o boku 20 centymetrów. Późniejsi egiptolodzy także zauważają ten otwór i nazywają go „otworem dla duszy”, „korytarzem modelowym” czy nawet „szybem wentylacyjnym”. I pewnego pięknego dnia pojawia się Rudolf Gantenbrink i wpuszcza tam swój niewielki pojazd gąsienicowy, który dociera

na 60 metrów w głąb piramidy. Tam zatrzymuje się, ponieważ dalszą drogę zagraża mu kamienny blok. Fachowcy o wąskich horyzontach stwierdzają, że ten nowo odkryty szyb w żaden sposób nie może prowadzić do komory, ponieważ „nie można się nim przedostać”.

Tymczasem jest przecież faktem, że – gdy patrzymy na ten szyb z góry – widzimy, że prowadzi do Komory Królowej. Cóż takiego nielogicznego w założeniu, że po drugiej stronie jest tak samo?

W czasie programu pokazano animację komputerową, by zademonstrować, że zarówno ten szyb, jak i każde pomieszczenie w piramidzie musiały być zaplanowane od samego początku. Fenomenalni architekci w czasach Cheopsa! Geniusze epoki kamienia i miedzi! Tyle że na końcu szybu Gantenbrinka nic nie może się znajdować (szybem „nie można się przedostać”). Zupełnie jakby pomieszczenie na jego końcu nie mogło zostać zaplanowane od początku, tak jak cała reszta budowli – ktokolwiek to zrobił.



Szyb Gantenbrinka. (fot. R. Gantenbrink)

Tak się składa, że istnieje nie tylko szyb Gantenbrinka na południowej ścianie Komory Królowej, lecz także szyb X w ścianie północnej. O tych samych wymiarach. Zdalnie sterowany pojazd wjechał już także do tego szybu i po 64 metrach napotkał taki sam blok zamykający, z takimi samymi miedzianymi okuciami, co w szybie południowym. I co na to poważany egiptolog Zahi Hawass, szef Najwyższej Rady Starożytności? „Wiemy już

teraz, że szyby te zaplanowano później” (cytat za „Die Welt” z 24 września 2002 roku).

Kompletny obłęd! Przez szyby „nie można się przedostać”, ponieważ boki otworu mają tylko 20 centymetrów, za nimi nic się nie znajduje, a teraz w dodatku mają być „zaplanowane później”. Naprawdę super. W dodatku z „systemami blokującymi” dostęp do „niczego”, co jest za szybami. O święty Cheopsie, pomocy! Zahi Hawass, niezmordowanie biegający między Komorą Królowej a liczącym 4500 lat grobowcem, zapewnia publiczność telewizyjną na żywo: „Mamy przed sobą najstarszy zapieczętowany sarkofag, jaki kiedykolwiek znaleziono”. I dalej: „Na ten moment czekałem całe życie”. A to dlaczego? Przecież zapieczętowany sarkofag Sechemhet z Sakkary był chyba starszy? Wchodząc do komory grobowej, Zahi Hawass odcyfrował jeden z glifów, który podobno oznacza „znajomy króla”. W samej komorze grobowej brak jakichkolwiek inskrypcji. Mozolnie otworzono wieko sarkofagu. Nie podjęto żadnych środków ostrożności zabezpieczających przed grzybami i starożytnymi bakteriami. A w sarkofagu szkielet. Bez żadnych przedmiotów ofiarnych. Biedny „znajomy króla”.

Mamy niby przed sobą nie wiadomo jak cenny sarkofag, rzekomo po raz pierwszy otwierany, i to pod okiem kamer, a w środku szkielet. W zapieczętowanych sarkofagach znajdują się zazwyczaj mumie. Szczególnie jeśli miały być w nich pochowane osoby tak bliskie dworu faraona jak w tym przypadku.

Na koniec do szybu Gantenbrinka ma wjechać zdalnie sterowany robot. Czekam na to z niecierpliwością, chociaż dobrze wiem, co nas czeka: kolejne oszustwo. Hawass: „Po raz pierwszy wykorzystujemy w tym celu zaawansowanego technicznie robota”. Nieco później prowadząca pyta: „Czy ktokolwiek wcześniej tam zaglądał?” Zahi Hawass: „Nie”.

Wielkie nieba! Rudolf Gantenbrink wykorzystał w tejże piramidzie zaawansowanego technicznie robota już 10 lat wcześniej, a ta pokazówka też była przygotowywana od miesięcy. Na kilka tygodni przed programem robot „National Geographic” ćwiczył poruszanie się po szybie oraz wywiercił otwór w drzwiczkach na końcu. Przypuszczam, że dawno już wprowadzono tam kamerę i cały zespół łącznie z jego szefem Zahi Hawassem dobrze wiedział, co się za nimi znajduje. Oczywiście doskonale rozumiem, że telewizja chciała różnymi metodami wprowadzić do programu napięcie – ale czy koniecznie należało w tym celu posłużyć się kłamstwem?

Po co zresztą te wszystkie wcześniejsze ćwiczenia? Robot Gantenbrinka już 10 lat wcześniej odkrył niewielki trójkątny ubytek u dołu tajemniczych drzwiczek. Dawno temu można było wsunąć tam endoskop. Lekarze robią coś

takiego każdego dnia. Ale nie – Gantenbrinka trzeba było wyłączyć ze sprawy, nie dowierzano, że dochowa tajemnicy. Niesłusznie zresztą.

Po co zresztą jakaś tajemnica? Zdaniem egiptologów Wielka Piramida nie kryje już przecież żadnych tajemnic! Wszystko podobno ewoluowało w naturalnym trybie, a budowę zlecił Cheops. Po co zatem ta cała tajemniczość? Gdyby Zahi Hawass grał w otwarte karty, całe to przedstawienie nie byłoby do niczego potrzebne. Co tu ukrywać? Już przed wieloma laty słyszałem, że trzeba brać pod uwagę uczucia współczesnych Egipcjan, ponieważ bardzo łatwo urazić ich narodową dumę.

Ale to przecież audycja z super-Egipcjaninem Zahi Hawassem w roli głównej. Wielokrotnie składał on przed kamerą solenne zapewnienia: „Tak więc mogę ogłosić światu, że piramidę wybudowali Egipcjanie”. Po co zatem ta cała tajemniczość?

W egiptologii uznaje się za bezsporny fakt, że budowniczym Wielkiej Piramidy jest Cheops (2551–2528 p.n.e.). Co tak naprawdę przemawia przeciwko Cheopsowi?

Starożytny historyk Herodot (484–425 p.n.e.) pisze, że opowiadano mu, jakoby tę budowlę wzniósł tyran imieniem Chufu (= Cheops). Imię Cheopsa rzeczywiście znajduje się na Liście Królów z Abydos. Poza tym przed 120 laty w najwyższej z komór odciążeniowych (nad Komorą Królowej) odkryto kamienną belkę z narysowanym farbą znakiem oznaczającym imię „Cheops”. Poza tym wokół piramidy Cheopsa roi się od innych grobowców. Wraz z piekarniami, (rzekomymi) sypialniami itd., itd.

Co przemawia przeciwko Cheopsowi?

Wszyscy starożytni historycy (poza Herodotem), którzy odwiedzili Egipt 2000 lat temu i wcześniej, nic nie słyszeli o Cheopsie jako budowniczym Wielkiej Piramidy, a nawet zaprzeczają, że jest jego autorstwa. Pliniusz Starszy (23–79 n.e.) przytacza nazwiska filozofów, którzy już przed nim pisali o Wielkiej Piramidzie, i zauważa sucho: „Żaden z nich jednak nie zna imienia jej prawdziwego budowniczego”.

Także historycy arabscy nie znają żadnego Cheopsa. Al-Makrizi (1364–1442) pisze, że Wielką Piramidę zbudowano jeszcze przed potopem. Budowniczym miał być władca o imieniu „Saurid”, ten sam, którego Hebrajczycy zwali „Henochem”, a Grecy „Hermesem”. Także najznamienitszy historyk arabski Al Massudi (895–956) wymienia Saurida/Henocha jako

budowniczego. Arabski badacz i podróżnik Ibn Battuta (1304–1377) zarzeka się, że Saurid zbudował Wielką Piramidę przed potopem, „aby nie zaginęły nauki i nie przepadły dzieła sztuki”.

Inny arabski historyk Ibn' Abd Al-Hakam (zm. ok. 871 roku) doskonale precyzuje panujące wówczas przekonania: „Piramida mogła być zbudowana tylko przed potopem, ponieważ gdyby została zbudowana później, Arabowie by o tym wiedzieli”. Znakomity argument.

A co z Listą Królów? Nie podaje ona żadnych dat panowania faraonów Starego Państwa. Skąd zatem znamy lata panowania Cheopsa? Dzięki rekonstrukcjom archeologii. Na Liście Królów nie ma ani jednego glifu, który by informował, że Cheops jest budowniczym największej budowli ludzkości. Natomiast przy imionach innych władców znaleźć można wzmianki o ich osiągnięciach.

A inskrypcja wykonana pędzlem w komorze odciążeniowej?

Zahi Hawass pokazał ją światu. Przed kamerą powiedział, że mamy tu do czynienia z graffiti budowniczych piramidy. „O, tutaj jest kartusz z imieniem Cheopsa”. Czyżby? Hawass wskazał czerwoną inskrypcję (wcześniej miała być podobno czarna) i tak ją skomentował: „Łóżysko jako «ch», pisklę jako «u», żmija jako «f» i znowu «u», czyli razem Chufu (Cheops)”. Tyle tylko, że „łożysko” nie jest żadnym łożyskiem, „pisklę” nie jest pisklęciem, a drugie „u” ma z pierwszym tyle wspólnego, co mrówkojad z indyjską świątynią. Poza tym inskrypcja wcale nie kryła się częściowo pod następną kamienną belką, co zawsze przytaczano jako koronny dowód na jej prawdziwość.

A skoro już graffiti budowniczych piramid: dlaczego tylko to jedno?

Tak się składa, że właśnie Zahi Hawass i Marc Lehner nie oszczędzili wysiłku, by wyjaśnić widzom, jak niesłychanie precyzyjnie budownicowie piramid organizowali sobie pracę. Istniały liczne konkurujące ze sobą grupy. Firmy rodzinne i nadzorcy. Ale akurat ten jeden z setek tysięcy pracujących przy budowie pozostawił znaczki zrobione pędzlem w komorze odciążeniowej. Jakie to smutne.

Ale są jeszcze grobowce wokół Wielkiej Piramidy. Piekarnie, sypialnie itd.

Równie dobrze mogłyby dowodzić czegoś przeciwnego, niż usiłują wmówić swoim studentom Zahi Hawass i Marc Lehner. Gdyby Wielka Piramida istniała już przed Cheopsem, to w sposób oczywisty mogłaby stać się miejscem pielgrzymek, podobnie jak Fatima czy Jerozolima. Piekarnie i masarnie,

spichlerze na ziarno i silosy na odpadki nie pochodzą od budowniczych piramid, tylko służyły pielgrzymom. A już te rewelacje o „salach sypialnych” były naprawdę żałosne! Prostokątne wgłębienia w podłożu miały być koniecznie „salami sypialnymi”. Tymczasem one nawet nie miały płaskiego podłoża, a w obrębie ogrodzenia widniały dodatkowe, sztucznie wykonane wzniesienia.

Pobożni Żydzi od niepamiętnych czasów wypatrują Mesjasza. Gdzie to wydarzenie ma mieć miejsce? Przy wschodniej bramie Jerozolimy. Dlatego roi się tam od grobów ze wszystkich epok, każdy bowiem chciał być obecny w tym miejscu w momencie powrotu. Czy z Wielką Piramidą było tak samo?

W dodatku w piramidzie tej brakuje na ścianach i w komorach jakichkolwiek inskrypcji, które wskazywałyby na Cheopsa jako autora tego fenomenalnego osiągnięcia. W tej kwestii panuje kompletna anonimowość. Moim zdaniem są dwa możliwe powody takiego stanu rzeczy. Albo piramida nie jest dziełem Cheopsa albo Cheops kazał usunąć wszelkie inskrypcje. A „budowniczości piramidy” byli jego gorliwymi pomocnikami. „Znajomy króla” – odczytał Zahi Hawass. Tylko znajomy czy pomocnik w oszustwie?

No i na koniec – rzecz najważniejsza – co mam przeciwko Cheopsowi? W zasadzie nic. Mam jednak zastrzeżenia do głupich twierdzeń egiptologów, że w czasach Cheopsa właśnie skończyła się epoka kamienia, bo oto – o cudzie! – natychmiast pojawiają się geniusze organizacji z wyrafinowanymi planami najfenomenalniejszej budowli świata z komorami, szybami, systemami zabezpieczeń i w ciągu 20 lat stawiają Wielką Piramidę. Nie mówiąc już o rozplanowaniu prac, rampach, świątyniach, niemal „6 kilometrów podziemnych korytarzy” (Zahi Hawass) i wszystkich innych dodatkach. Bynajmniej nie umniejszam osiągnięć człowieka, zwłaszcza jeśli idzie o religie (ideologie są tym samym). Każde jednak osiągnięcie budowlane wymagało znakomitego zaplanowania i ogromnego doświadczenia.

Ani jednego, ani drugiego w czasach Cheopsa, którego wmawiają nam egiptolodzy, jeszcze nie było.

A co tak naprawdę znajduje się na końcu szybu? Teraz już mamy do czynienia z dwoma szybami! Moim zdaniem są tam komory, z których przechodzi się do dalszych pomieszczeń. I jeszcze coś: jeśli za kamiennymi blokami przedzielającymi szyby miałyby się odnaleźć rzeczy niemające z Cheopsem nic wspólnego, nigdy w życiu nikt nam ich nie pokaże. Założymy się?

Erich von Däniken

Piramida Cheopsa

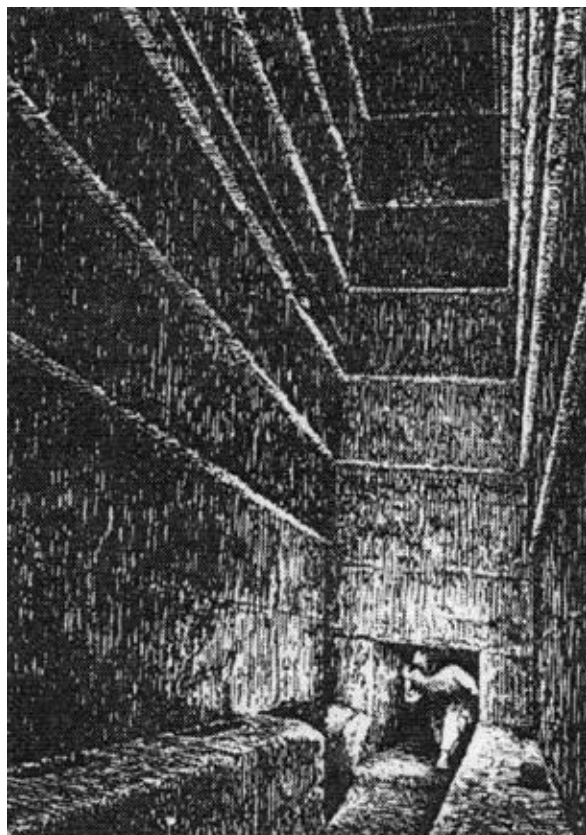
Sekretne komory odkryte już dawno temu?

Od dziesięcioleci naukowcy i badacze amatorzy spierają się w kwestii, czy piramida Cheopsa rzeczywiście jest już całkowicie zbadana, jak podają to najróżniejsze podręczniki. A może monumentalna budowla kryje jeszcze w swoim wnętrzu sekretne, nikomu nieznanne komory? Co znajduje się za tajemniczymi drugimi drzwiczkami południowego szybu odchodzącego z Komory Królowej i odkrytego w 2002 roku? I dlaczego do dziś osoby odpowiedzialne blokują podjęcie stosownych badań?

Nową falę poruszenia wzbudza właśnie w kręgach ekspertów nieoczekiwana wiadomość, że być może ta będąca przedmiotem sporów komora została już odkryta dawno temu. Tak przynajmniej twierdził w połowie XX wieku amerykański archeolog John Ora Kinnaman (1877–1961). W czasie wykładu wygłoszonego w 1955 roku na forum jednego z towarzystw masonskich w Karolinie Północnej wspomniął on mimochodem, że wraz z renomowanym egiptologiem Williamem Flindersem Petriem natrafił na tajne wejście do piramidy Cheopsa.

Według Kinnamana nieznaną dotąd otwór znajduje się w południowej ścianie piramidy. W leżących za nim komorach badacze znaleźli – jak twierdzą – prastare zapiski z Atlantydy. Wynika z nich podobno jednoznacznie, że piramida została wzniesiona ponad 45 000 lat temu. Lecz nie dość na tym: Kinnaman wraz z Petriem mieli też podobno widzieć na własne oczy „aparaturę antygrawitacyjną”.

Na pytanie, dlaczego te sensacyjne odkrycia nie zostały opublikowane, Kinnaman odrzekł, iż razem z Petriem doszli do przekonania, że ludzkość nie dojrzała jeszcze do przyjęcia tego rodzaju informacji. „Obaj złożyliśmy przysięgę, że nie ogłosimy tego za naszego życia”.



Wielka galeria we wnętrzu piramidy Cheopsa. Czy w piramidzie znajduje się jeszcze nieodkryta podziemna komora?

Trzeba przyznać, że cała ta historia brzmi bardziej nawet niż fantastycznie. W jaki sposób np. Flinders Petrie i John Kinnaman mieliby tak szybko odczytać liczące 45 000 lat teksty, które z pewnością nie były pisane pismem egipskim? W jaki sposób dwóch egiptologów byłoby w stanie poznać, że ma do czynienia z „aparaturą antygrawitacyjną”? Czyżby więc tanie science fiction? Można by tak przyjąć, gdyby nie reputacja zawodowa Kinnamana. Bo Amerykanin cieszył się w kręgach fachowców wielką estymą. Jako wiceprezes Society of the Study of the Apocrypha oraz Victoria Institute of Great Britain, redaktor pięciu różnych periodyków fachowych i naczelny redaktor znanego pisma „American Antiquarian” oraz „Oriental Journal” cieszył się nieskazitelną opinią.

Tuż przed śmiercią John Kinnaman powołał do życia nazwaną swoim imieniem organizację. Na czele Kinnaman Foundation for Biblical and Archaeological Research stoi dzisiaj Albert J. McDonald, stanowisko dyrektora do spraw badań piastuje Stephen Mehler. Od 1994 roku Mehler zajmuje się opracowywaniem spuścizny po Kinnamanie. Wśród niezliczonych papierów

znajduje się też taśma z nagraniem wspomnianego na wstępie wykładu. Dla Mehlera była to też dobra okazja, by poprosić żyjących jeszcze naukowców o ich wspomnienia o Kinnamanie, ponieważ, jak stwierdził, „dziwnym trafem w pismach Petriego nie ma ani jednej wzmianki o Kinnamanie. Istnieje natomiast sporo powiązań pośrednich. I tak np. Petrie, podobnie jak Kinnaman, należał do loży masońskiej. Poza tym obaj byli w tym samym czasie członkami tych samych towarzystw naukowych”.

Być może już niedługo dowiemy się, które z twierdzeń Johna Kinnamana da się podtrzymać. W październiku 1997 roku Mehler poinformował bowiem wydawców amerykańskiego magazynu „Atlantis Rising” o znalezieniu w spuściźnie Kinnamana notatki z dokładnym opisem południowego wejścia do Wielkiej Piramidy. Archeolog podobno sporządził ją na pięć miesięcy przed śmiercią. Fundacja Kinnamana zbiera teraz pieniądze, aby na miejscu zweryfikować te dane. Jesteśmy ciekawi wyników.

Luc Bürgin

Herodot, Al-Kaisi i płaskowyż piramid

Mija mniej więcej 2500 lat od czasu, kiedy grecki historyk Herodot złożył wizytę w piramidach w Gizie. Po zebraniu wszystkich wiarygodnych, w jego mniemaniu, informacji na temat „jak” i „dlaczego” tego cudu starożytnego świata, ciekaw wszystkiego uczony podsumował: „Zatem 10 lat wymagała budowa tej drogi i podziemnych komór grobowych na owym wzgórzu, na którym stoją piramidy; te komory kazał sobie wybudować jako grobowce (...). A na budowie samej piramidy upłynął czasokres 20 lat”. Imię budowniczego oraz czas trwania budowy od dawna już zostały zaakceptowane w szerokich kręgach egiptologów i archeologów. Za nie do przyjęcia natomiast uznano informacje o rozległym systemie podziemnych komór w Gizie, zwłaszcza iż Herodot sam przyznawał, że nie widział ich na własne oczy. Jak to się można pomylić...

Drugiego marca 1999 roku 30 000 000 Amerykanów mogło się naocznie przekonać w czasie nadawanego na żywo programu, że pod piaskami pustyni na płaskowyżu w Gizie naprawdę znajduje się system szybów o nieznanym obecnie zasięgu. Od głębokiego na około 7,6 metra wejścia przy rampie prowadzącej do Wielkiej Piramidy krytykowany często doktor Zahi Hawass, odpowiedzialny za kompleks piramid w Gizie, poprowadził ekipę tunelem, który z jednej strony dochodzi aż pod Sfinksa, a z drugiej do piramidy Cheopsa (poziom 1).



Zdjęcie przedstawiające wejście do korytarzy „szybu wodnego” poniżej Wielkiej Piramidy. (fot. Nigel Skinner-Simpson)

„Szyb wodny” zawdzięcza swoją nazwę znajdującej się na głębokości 30 metrów komorze, która przypuszczalnie od zawsze wypełniona była krystalicznie czystą wodą. Do tej najwyraźniej niedokończonej komory (Hawass mówi o niej „jama”) można się przedostać z komory, która leży nad nią (poziom 2), i w której znajdują się liczne nisze z granitowymi sarkofagami. W jednej z pustych nisz natrafiono na kolejny szyb, prowadzący do korytarza. Po wydobyciu gruzu i odpompowaniu wody ekipa odkryła sześć wykutych w skale pomieszczeń, w których oprócz dwóch granitowych sarkofagów znaleziono kości i wyroby gliniane z około 500 roku p.n.e. Ponieważ sam Herodot mówił o niejako równoczesnym powstawaniu podziemnych i nadziemnych budowli w Gizie w czasach Cheopsa, to te szczątki z pewnością musiały się tam znaleźć później.

Komora grobowa Cheopsa?

Na najniższym poziomie (25–30 metrów) w pomieszczeniu o gładkich ścianach znaleziono resztki czterech filarów; pośrodku stał kolejny granitowy sarkofag. W momencie odkrycia jego wieko było już częściowo odsunięte. Zdaniem doktora Hawassa pomieszczenie to jest właśnie opisywaną przez Herodota komorą grobową Cheopsa, Herodot bowiem pisał, że sarkofag władcy otacza woda. Żadnych doczesnych szczątków jednak nie znaleziono. Na dnie sarkofagu zidentyfikowano egipską inskrypcję „pr”, która znaczy mniej więcej tyle, co „dom”. Doktor Hawass łączy ją z tytułem „dom Ozyrysa, władcy świata podziemnego”, jak w starożytności nazywano płaskowyż w Gizie, zwłaszcza że odnaleziono też następną komorę, która zdaniem Hawassa może być symbolicznym grobowcem boga Ozyrysa.

A jeśli jednak „pr” nie odnosi się do „domu Ozyrysa”? W księdze *Chitat*, zbiorze pism arabskiego historiografa Muhammada Al-Makriziego (1364–1442) czytamy, że Wielką Piramidę nazywano Abu Hirmis, „Dom Hermesa”. Także w *Chitat* jest mowa o podziemnych komorach. Żaden uczony jednak nie chce o tym słyszeć. Od lekarza o imieniu Al-Kaisi dowiadujemy się o komorach, w których piętrzą się niezliczone zmumifikowane ciała. Relacjonował on, że okrywające je całuny całkiem szerniały i miejscami wystawały spod nich ciała wyglądające jak wysuszona skóra. Tak opisywał on wygląd mumii: „Ich ciała są podobne do naszych, lecz nie są wysokiego wzrostu”.

Poczekajmy zatem, co jeszcze wyjdzie na jaw, ponieważ w najniższej warstwie odkryto kolejny szyb wiodący w dół. Według dotychczasowych informacji sięga on na głębokość zaledwie 6 metrów i kończy się kolejną komorą grobową. Ponieważ szyb jest bardzo wąski, spuszczone do środka na linie tylko drobnego chłopczyka. Powrócił, przynosząc kilka obiektów, które można datować na co najmniej 1550 rok p.n.e.

Thomas Fuss

Sekretne komory Sfinksa

Czeka nas odkrycie nowych tajemnic płaskowyzu w Gizie

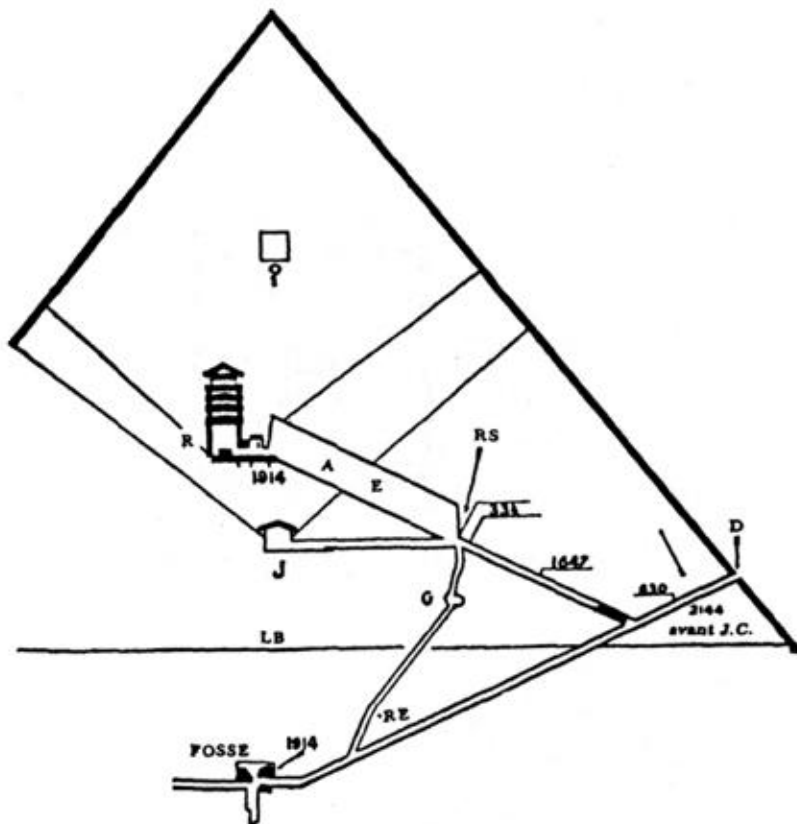
W swojej doskonałej monografii *La prophétie symbolique de la grande pyramide* (Profetyczna symbolika Wielkiej Piramidy) H.S. Lewis już w 1988 roku opublikował plany podziemnego korytarza biegnącego pomiędzy Sfinksem a Wielką Piramidą, chociaż jego istnienie jeszcze w 1992 roku negowała cała oficjalna egiptologia. Tymczasem już w maju 1992 roku w obrębie Sfinksa odsłonięto dwa zamaskowane wejścia¹.

Z pracą Lewisa wiąże się bardzo specyficzna sprawa. Jak wiadomo, przy okazji swoich ekspedycji egipskich (1799–1802) Napoleon realizował nie tylko cele militarne, ale zabrał też ze sobą do Egiptu uczonych z najróżniejszych dziedzin. W głównej mierze temu właśnie pionierskiemu podejściu zawdzięczamy powstanie egiptologii jako oficjalnego działu archeologii. To dzięki temu François Champollion miał okazję odczytać hieroglify, a Auguste Mariette założył wspaniałe Muzeum Narodowe w Kairze, którego był pierwszym dyrektorem. Tak czy inaczej, Napoleon zabrał ze sobą do Francji nie tylko przedmioty, ale także dokumenty pisane. Zaliczały się do nich m.in. opublikowane przez H.S. Lewisa w 1988 roku plany. W ciągu ostatnich 200 lat trafiły one w ręce przedstawicieli masonerii. W tym kontekście nie powinno nikogo zdziwić, że Lewis był też Premier Imperator de l'Ordre de la Rose-Croix.

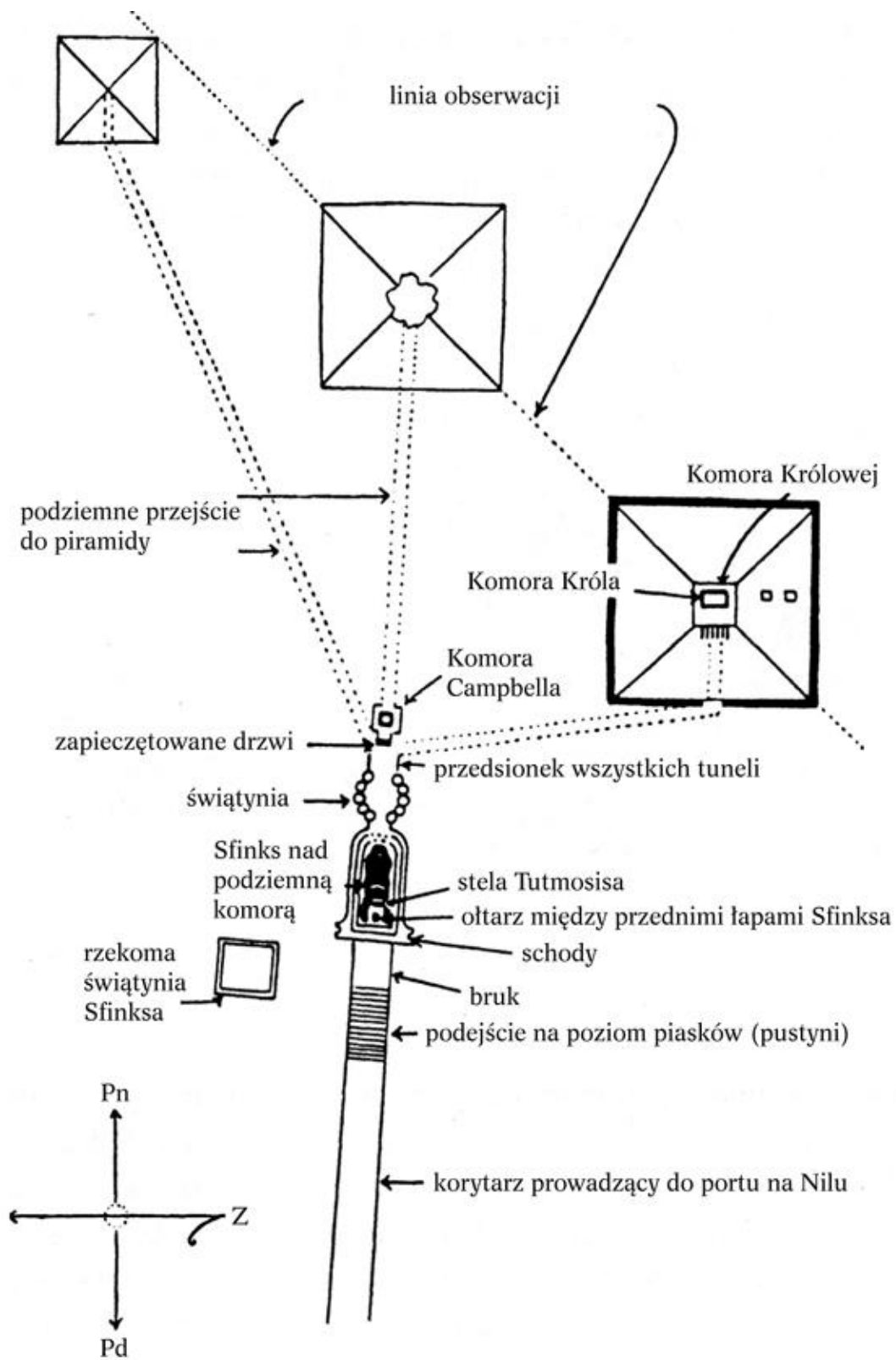
Plany rozmieszczenia nieodkrytych komór i korytarzy

Duża część jego dzieła jest trudna w odbiorze nawet dla osób biegle władających francuskim, ponieważ dotyczy nie tyle zasadniczego tematu, ile kreśli obraz historii i kultury Egiptu, jak też samego kraju i jego mieszkańców. Tym bardziej fascynująca okazuje się jednak zasadnicza część monografii. I tak np. Lewis publikuje trzy szkice z zaznaczonymi na nich szczegółami, których w 1988 roku w ogóle nie miał prawa znać i które tym bardziej nie

mogły być znane w czasach napoleońskich. Ilustracja powyżej przedstawia przekrój Wielkiej Piramidy z powszechnie znanymi elementami, takimi jak Komora Królewska i Komora Królowej, czy też tzw. niedokończona komora grobowa oraz z oznaczoną znakiem zapytania centralnie położoną komorą. Niestety na szkicu nie zaznaczono, gdzie należy szukać wylotu podziemnego korytarza biegnącego od Sfinksa do Wielkiej Piramidy.



Plan rozmieszczenia komór w Wielkiej Piramidzie. W górnej części znajduje się nieodkryta jeszcze pusta przestrzeń.

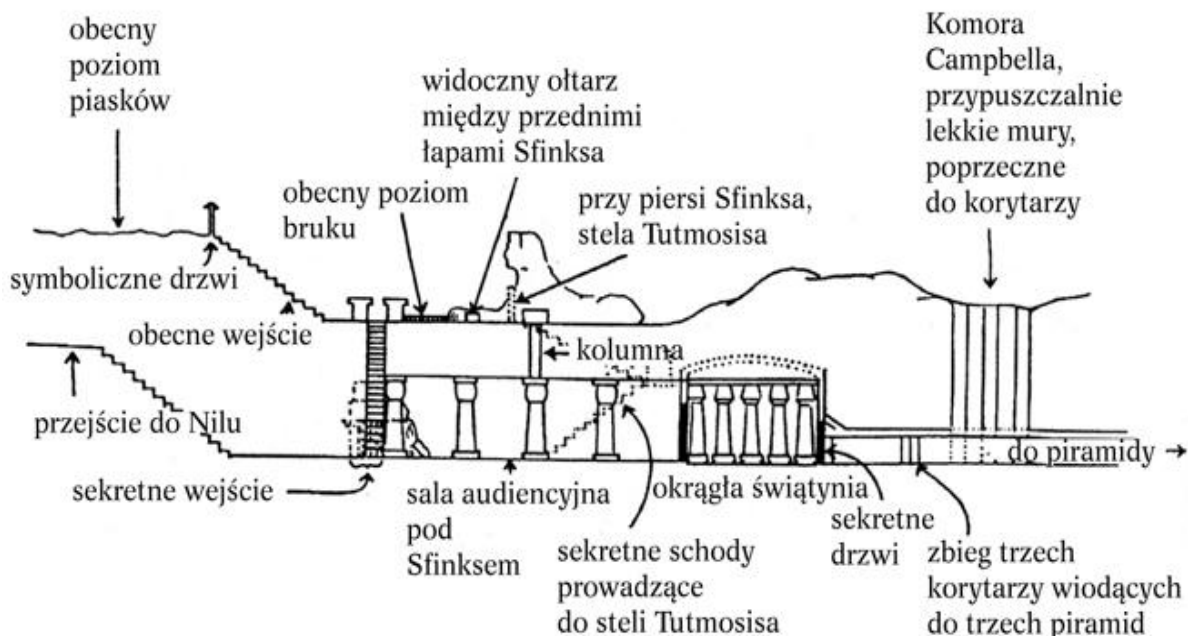


Druga ilustracja zawiera już więcej informacji. Wynika z niej, że istnieje nie tylko korytarz łączący Wielką Piramidę ze Sfinksem, ale też podziemne

łączniki biegnące do piramidy Chefrena i Mykerinosa. (Określeń tych używamy zgodnie z tradycją, jakkolwiek wiele wskazuje na to, że ani faraon Chefren, ani egipski boski władca Cheops nie byli tymi, którzy kazali wznieść te budowle). Ponieważ dzisiaj odkryto już korytarz prowadzący od Sfinksa do Wielkiej Piramidy, szkic okazuje się zgodny z rzeczywistością co najmniej w tym szczególe. Stąd też można przyjąć założenie, że istnieją także dwa dalsze pokazane tam korytarze, wiodące do pozostałych piramid. Ponadto można też przypuszczać, że wszystkie one są doskonale znane pracującym na miejscu egiptologom, ponieważ wszystkie odchodzą od wspólnego „ronda” (Lewis nazywa je *vestibule commun à tous les passages*). Jeśli więc ktoś odnalazł i oczyścił korytarz do Wielkiej Piramidy, z konieczności musiał też trafić na dwa pozostałe korytarze, no chyba że nie chciał ich dostrzec.

Już po opublikowaniu tego planu badania archeologiczne potwierdziły istnienie podziemnego korytarza głównego, który prowadzi do Wielkiej Piramidy. Pozwala to przypuszczać, że istnieją także pozostałe dwa tunele (zaznaczone linią przerywaną).

Jeszcze ciekawiej wyglądają szczegóły na następnej ilustracji. Nadziemne części budowli są przedstawione prawidłowo. Jeśli idzie o konstrukcje podziemne, to pewny jest korytarz prowadzący do Wielkiej Piramidy. Pod Sfinksem jednak, widnieje tu nieco wysunięta przed ten korytarz świątynia, nazywana przez Lewisa *salle de réception sous le sphinx*. Najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z dwiema odrębnymi architektonicznie komorami łącznie o dziewięciu kolumnach podtrzymujących, z sekretnym wejściem daleko przed Sfinksem i sekretną furtą do podziemnych korytarzy łączących. Również i tutaj należy przypuszczać, że egiptolodzy dawno już odkryli te pomieszczenia, ale nie pozwalają, aby na zewnątrz przedostały się jakiegokolwiek informacje o nich. Tuneli w żaden sposób nie można było przeoczyć, ponieważ – jak wspomniano – już w 1992 roku wykopano po lewej i prawej stronie Sfinksa dojścia do podziemnego kompleksu. Jeśli do tego odkryje się podziemny korytarz prowadzący do Wielkiej Piramidy, to z konieczności dotrze też do obydwu położonych wcześniej hal.



Oryginał szkicu liczy 20 lat i pokazuje podziemną halę świątyni pod Sfinksem.

Istnienie takiego podziemnego kompleksu samo w sobie jest już sensacją, zwłaszcza że jeszcze w 1990 każdy roku egiptolog z oburzeniem odrzuciłby sugestię o istnieniu jakichkolwiek podziemnych komór i korytarzy. Z drugiej strony zaś przedstawione przez Lewisa plany są bardzo stare i w dodatku zostały opublikowane jeszcze przed eksperymentem naukowców z tokijskiego uniwersytetu Waseda z 1988 roku². A zresztą i tak sam fakt, że pochodzą z czasów napoleońskich, stawia je poza wszelkim podejrzeniem. W momencie publikacji dzieła Lewisa nie było jeszcze żadnych oficjalnych informacji o jakichkolwiek podziemnych budowlach pod Sfinksem czy w ogóle pod płaskowyżem w Gizie. Tak się składa, że frapująco dokładnych informacji na ten temat udzielił już na początku XX stulecia także amerykański wizjoner Edgar Cayce³. Niezależnie od tego, jaki jest nasz stosunek do zdolności parapsychoicznych, należy jednak stwierdzić, że przepowiednie Cayce'a dotyczące obszaru wokół piramid okazały się potem w dużej mierze trafne.

Pytania do egiptologów

Niespełniona pozostaje wciąż jego przepowiednia odkrycia tzw. sali wiedzy, podziemnego pomieszczenia, w którym miały zostać zebrane dla potomności

skarby literatury oraz kultury materialnej z czasów przed potopem. Czy to możliwe, że te wspomniane również przez arabskiego historyka Al-Makriziego w księdze *Chitat*⁴ zbiory zdeponowane zostały w świątynnych pomieszczeniach pod Sfinksem, a egipska Rada Starożytności, podobnie jak działający na płaskowyżu Niemiecki Instytut Archeologiczny, zataiły te odkrycia? Dlaczego nawet liczącej 30 000 000 widzów widowni telewizyjnej w Stanach Zjednoczonych doktor Hawass pokazał jedynie część podziemnego kompleksu?

Moje przypuszczenia i przepowiednie są następujące: podziemny korytarz łączący Sfinksa z Wielką Piramidą zaczyna się w tzw. niedokończonej komorze albo w Korytarzu Zstępującym. Inna konfiguracja jest w zasadzie trudna do wyobrażenia, zwłaszcza że podziemny tunel i „niedokończona komora” znajdują się mniej więcej na tym samym poziomie. Z tego też powodu, będąc w 1999 roku w Egipcie wraz Erichem von Dänikenem, byłem bardzo zainteresowany uzyskaniem dostępu do „niedokończonej komory” lub przynajmniej Korytarza Zstępującego. Okazało się jednak, że jedynym „klucznikiem” jest doktor Hawass. Nawet jego asystenci nie mieli prawa otworzyć zamykających korytarz drzwi. Dla mnie jest oczywiste, że zamknięcie dostępu do Korytarza Zstępującego i wykutej w skale „niedokończonej komory” ma coś ukryć i moje przypuszczenia o istnieniu tam wejścia do podziemnego korytarza są słuszne.

Moje pytanie do pracujących na miejscu naukowców brzmi: Dlaczego nie poda się oficjalnie, że istnieją systemy korytarzy, których jeszcze nie chce się z tych czy innych względów udostępnić?

Podziemne szyby i komory

Na taki stan rzeczy wskazują także inne informacje o tajnych kompleksach w obrębie piramid. Jak wynika ze wzmianki u Lewisa⁵, już w styczniu 1935 roku ukazało się sprawozdanie ówczesnego guru archeologii, profesora Selima Hassana, opisujące osiągnięcia prowadzonej przez niego ekspedycji. Sprawozdanie to jest tak fascynujące, że postaram się przedstawić tutaj w skrócie cytowane przez Lewisa wywody.

Selim Hassan, który znaczeniem dorównuje Mariette’owi, Champollionowi, Carterowi czy Hawassowi, działał z ramienia Uniwersytetu Kairskiego i tak pisał o tym, co zobaczył:

Odkryliśmy kompleks podziemny wykorzystywany 5000 lat temu przez starożytnych Egipcjan. Rozciąga się on pod drogą [chodzi zapewne o rampę – przyp. aut.] i prowadzi od

drugiej piramidy do Sfinksa. Pozwala na przejście pod drogą z miejsca pogrzebania Cheopsa (...) do miejsca pogrzebania Chefrena. W tym podziemnym kompleksie odkopaliśmy wiele szybów o głębokości nawet ponad 38 metrów oraz przestronne komory i boczne komnaty.

Hassan podaje dalszy opis odsłaniania korytarza między świątynią przy piramidzie Chefrena a świątynią Sfinksa i wspomina mimochodem, że odkryto go już kilka lat wcześniej. A więc musiało to nastąpić mniej więcej w latach 1925–1930. Do odsłonięcia dalszej części kompleksu doszło natomiast zaledwie trzy miesiące przed datą publikacji. W 1909 roku, w tym samym czasie co odkrycie nieznanego dotąd przejścia między świątynią a Sfinksem, znaleziono pierwszą podziemną świątynię w pobliżu piramid. Podczas kierowanych przez Hassana prac wydobyto na światło dzienne podziemne przejście w formie brukowanej drogi o szerokości 22 metrów i długości około 450 metrów, łączącej piramidę Chefrena ze Sfinksem oraz sąsiadującą z nim świątynią. Następnie Hassan cytuje kierownika wykopalisk Mohamouda Darwisha⁶, którego wypowiedź również warta jest przetłumaczenia:

Drogę łączącą piramidę Chefrena ze Sfinksem zbudowano z wielkich kamiennych bloków i składa się ona jakby z trzech niezależnych części. Część środkowa biegnie między dwoma murami z wapienia (...). Na murach opierało się coś w rodzaju dachu z kamienia, którego kawałki odnajdujemy tu i ówdzie na drodze (...). Odkryty niedawno podziemny kompleks wykuto w twardym piaskowcu i ma on wysokość 2,40 metra. Przejściem mogą poruszać się dwie lub trzy osoby idące obok siebie. W centrum podziemnego kompleksu znajduje się wielki kwadratowy szyb o boku 2,40 metra, wykuty w wapieniu i prowadzący pionowo w dół jak szyb kopalni. Kończy się on przestronną komorą, pośrodku której znajduje się kolejny szyb prowadzący z kolei do dużej sali o siedmiu pomieszczeniach bocznych. W niektórych z nich stoją wielkie sarkofagi z bazaltu i granitu. W jednym z tych siedmiu pomieszczeń znajduje się trzeci szyb prowadzący w dół do kolejnego pomieszczenia, które obecnie jest zalane wodą i w którym najprawdopodobniej znajduje się kolejny sarkofag. (...) Łączna głębokość tych szybów wynosi ponad 40 metrów.

Dalszy opis sal i komór, do których prowadzi sekretny podziemny korytarz, zawiera też informację o wykutej w skale kaplicy ofiarnej, pośrodku której stoją trzy tworzące trójkąt kolumny. Kolejne pomieszczenie przypominające komorę grobową odkryto na końcu schodzącego w dół przejścia przy zachodniej stronie kaplicy ofiarnej. Pośrodku tej komory znajdował się sarkofag z białego wapienia i kilka doskonale zachowanych alabastrowych naczyń. Ściany pokrywały wspaniałe malowidła i reliefy ukazujące sceny poświęcenia. Szczególnie ważnym symbolem występującym na tych ściennych malowidłach był kwiat lotosu.

Irytujące jest to, że nie sposób już dziś ustalić pierwotnego źródła tego sprawozdania⁷, toteż podane tutaj informacje mają wartość jedynie względną⁸. Z drugiej jednak strony trudno mieć zastrzeżenia do wiarygodności relacji

Hassana i Darwisha, która w sposób zdumiewający pokrywa się z rzekomo nowymi informacjami podanymi przez Hawassa⁹:

Mającym około 7,60 metra głębokości zejściem przy rampie prowadzącej do piramidy Cheopsa ekipa prowadzona przez Hawassa schodzi do tunelu, którego jeden koniec dochodzi pod Sfinksa, a drugi (...) do piramidy Chefrena. Znajdująca się tam sieć szybów swoją nazwę „szyb wodny” zawdzięcza najniżej położonej komorze, która przypuszczalnie od zawsze wypełniona była krystalicznie czystą wodą i znajduje się na głębokości około 30 metrów. Do tej najwyraźniej niedokończonych komory (...) można się przedostać z komory, która leży nad nią (...), gdzie znajdują się liczne nisze z granitowymi sarkofagami. W jednej z pustych nisz jest kolejny szyb prowadzący do korytarza. Po wydobyciu gruzu i odpompowaniu wody ekipa natrafiła na sześć wykutych w skale pomieszczeń, w których oprócz dwóch granitowych sarkofagów znaleziono też kości i wyroby gliniane z około 500 roku p.n.e. Na najniższym poziomie (25–30 metrów) natrafiono na komorę o gładkich ścianach. Pośrodku znajdują się resztki czterech filarów otaczających kolejny granitowy sarkofag. W momencie odkrycia jego wieko było już częściowo odsunięte. Zdaniem doktora Hawassa komora ta jest najważniejszym odkryciem, ponieważ według niego potwierdza informacje podane przez greckiego historyka Herodota”¹⁰.

Porównanie

Można stwierdzić następujące zgodności:

- system szybów prowadzący przez w sumie trzy poziomy w głąb,
- podziemny korytarz prowadzący od Sfinksa do piramidy Chefrena z wejściem przy rampie wiodącej do Wielkiej Piramidy,
- wypełniona wodą najniżej położona komora,
- głębokość – według Hawassa 30 metrów, według Hassana ponad 40 metrów,
- nisze z sarkofagami,
- kolejna nisza, z której przechodzi się do dalszych wykutych w skale pomieszczeń,
- granitowe sarkofagi w tychże pomieszczeniach,
- najniższa komora o gładkich ścianach z resztkami kolumn pośrodku,
- sarkofag w najniżej położonej komorze.

Mimo niewielkich różnic w liczbie kolumn oraz ocenie łącznej głębokości szybów nie ma wątpliwości, że opis Hassana zawiera dokładnie te same dane, które właśnie ogłosił Hawass. Bez wątplenia zatem Hassan i jego ludzie rzeczywiście już przed rokiem 1935 oglądali podziemny kompleks. Z pewnością więc kompleks ten był od dawna znany egipskiej Radzie Starożytności, toteż negowanie jego istnienia jest jednym z wielu przykładów dezinformacji, rozsiewanej co chwila w trakcie badań płaskowyzu w Gizie, czy

to dla własnej wygody, czy to dla odwrócenia uwagi opinii publicznej, z nie do końca zrozumiałego upodobania do utrzymywania wszystkiego w tajemnicy. Tak czy inaczej, Hawass *expressis verbis* mówi tutaj o „najnowszym odkryciu”¹¹.

Niemniej w żadnym razie nie należy lekceważyć Zahiego Hawassa. Jest on bezsprzecznie jednym z najznamienitszych archeologów, jacy kiedykolwiek prowadzili badania na płaskowyżu w Gizie, i to nie tylko z powodu jego inteligencji i rozległego wykształcenia zdobytego na zagranicznych uczelniach. Wbrew obiegowej opinii, jakoby egiptolodzy, a zwłaszcza Zahi Hawass, byli ograniczeni i z własnej woli nakładali sobie klapki na oczy, jest on zdumiewająco tolerancyjny dla wysuwanych przez outsiderów hipotez, jak choćby tej stawianej przez Schocha i Westa¹² na temat datowania Sfinksa. Co więcej, w udzielanych wywiadach nie stroni od zajmowania stanowiska w kwestii, czy budowle na płaskowyżu w Gizie można uznać za dowód architektonicznych wpływów cywilizacji Atlantydy albo istot pozaziemskich. Jeśli taki człowiek zaprzecza faktom, które – jak wykazano powyżej – musiały być znane od dawna co najmniej w wąskim kręgu egiptologów, to musi być w tym jakaś metoda. Oczywiście zawsze pozostają jeszcze spekulacje na temat motywów, jakie nim kierują¹³.

doktor Klaus-Ulrich Groth

Kult Cheopsa

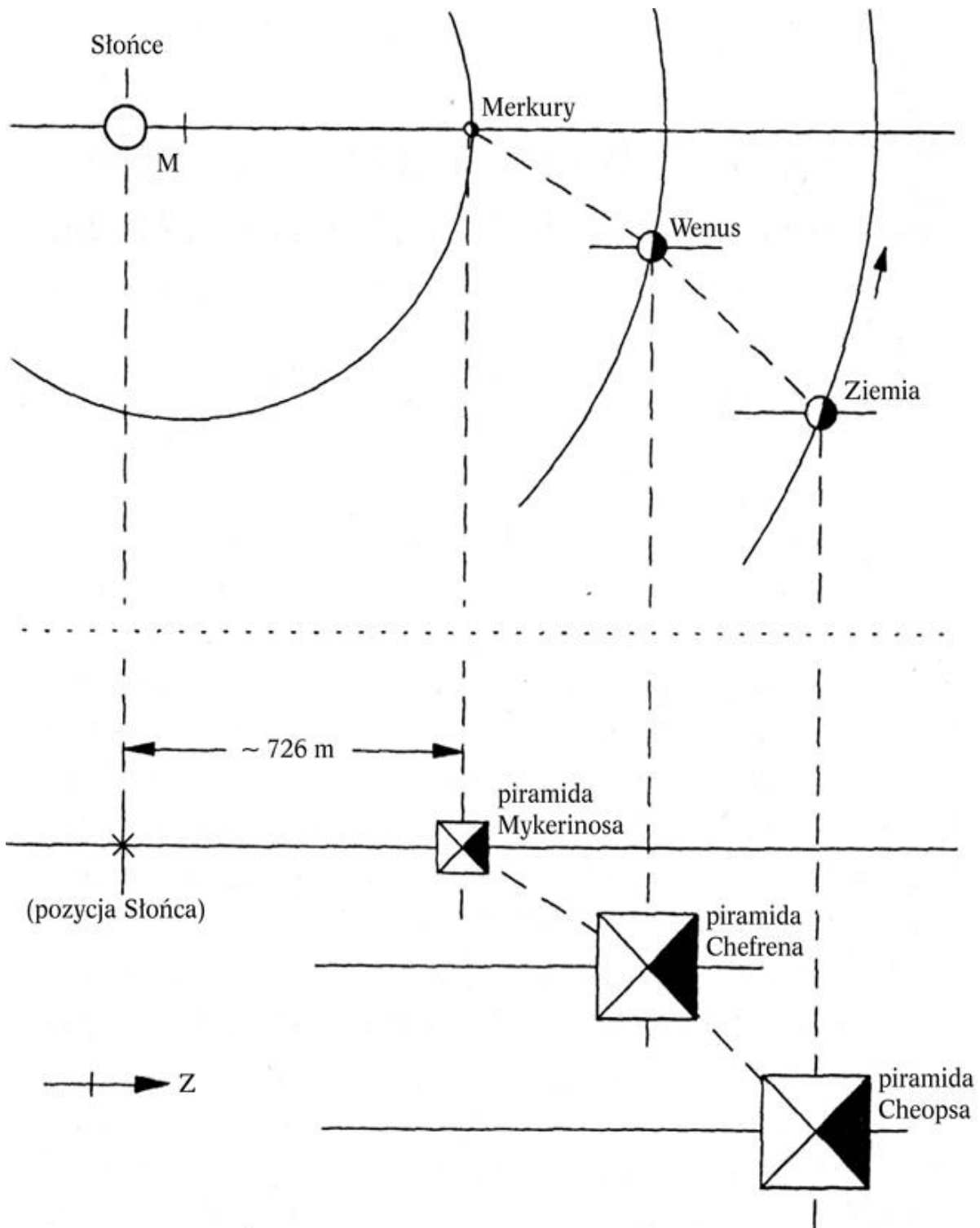
We wrześniu 2001 roku japońscy archeolodzy odkryli w Sakkarze liczący sobie ponad 2500 lat grobowiec (datowany na 664–625 p.n.e.), w którym znajdowały się odłamki co najmniej 15 posągów. Na jednym z nich widnieje imię faraona Cheopsa (2620–2580 p.n.e.), drugiego władcy z IV dynastii, wraz z określeniem go mianem władcy Górnego i Dolnego Egiptu. „Posągi noszące imię Cheopsa są niezwykle rzadkością – skomentował to kierownik wykopalisk doktor Nozonu Kawai. – Dlatego nasze znalezisko stanowi bardzo cenny dowód na to, że w okresie XXVI dynastii Cheopsowi rzeczywiście oddawano boską cześć”. Czy kult Cheopsa rzeczywiście miał charakter boski, jak przypuszcza Kawai, albo czy też czczono tego władcę z innych powodów, nie jest na razie pewne. Faktem jest natomiast, że Cheops był znany mieszkańcom Egiptu jeszcze 1500 lat po swojej śmierci.

Giza i wielkie piramidy

Gigantyczne modele układu Ziemia, Wenus i Merkury

Co się stanie, gdy monumentalnym budowlom z Gizy i ich rzekomo rozwiązanej już tajemnicy przyjrzy się fizyk, posługujący się logiką, pozbawionym uprzedzeń rozumem, wyobraźnią i naukową precyzją? Powstanie wówczas obszerna książka pełna zaskakujących obserwacji. Taką właśnie pracę napisał doktor Hans Jelitto z politechniki w Hamburgu. Z początku wyłącznie z ciekawości, potem coraz bardziej zdumiony i zaskoczony, sprawdzał i analizował coraz dogłębniej zarówno klasyczne objaśnienia egiptologiczne, jak i różne spekulatywne teorie. Obraz, jaki wyłonił się po wieloletnich badaniach, dla niego samego okazał się jeszcze bardziej niezwykły niż wszystkie dotychczasowe modele. Kwintesencja jego badań jest następująca¹:

- Piramida Cheopsa została zbudowana i zaplanowana tak perfekcyjnie, że rzekome niedokładności – jeśli przyjąć, iż powstały umyślnie – okazują się mieć sens. Jeśli zebrać wszelkie właściwości geometryczne i matematyczne budowli (długości, kąty i objętości), jak też jej cechy geodezyjne (pozycja geograficzna, odległość od bieguna północnego itd.), to okazuje się, że piramida Cheopsa symbolizuje naszą planetę, Ziemię.
- Zmierzone z tą samą dokładnością piramidy Chefrena i Mykerinosa wykazują analogie do dwóch innych planet naszego Układu Słonecznego, mianowicie Wenus i Merkurego. Naukowca zdumiały nie tylko absolutnie współczesne, możliwe do uzyskania jedynie dzięki podróżom kosmicznym dane, zaszyfrowane w tych budowlach, lecz także fakt, że w staroegipskich obliczeniach jako miary stosowano zarówno „nowoczesną” sekundę, jak i stałą fizyczną, jaką jest prędkość światła. Czyżby przesłanie do przyszłych epok, kiedy ludzie (znowu) będą potrafili je zrozumieć?
- Wychodząc od tego modelu „wycinkowego układu planetarnego”, można wyznaczyć (hipotetyczną) pozycję Słońca. I rzeczywiście, mieści się ona w granicach obszaru piramid, ponieważ wypada w odległości mniej więcej 726 metrów (+/-15 metrów) na południe od centrum piramidy Mykerinosa. Z zewnątrz nie widać w tym miejscu nic szczególnego, ale czy kiedykolwiek podjęto tam bardziej szczegółowe badania? Czy pewne sprawy mogłyby wyjaśnić dość łatwe do przeprowadzenia badania promieniami gamma? Tego rodzaju pomiary (wykonane przez firmę Rom. Elektronik³) dostarczyły przecież nowych osobliwych wskazówek nawet w niby tak gruntownie przebadanym miejscu jak podnóże piramidy Cheopsa.



Ten szkic ukazuje współzależności pomiędzy usytuowaniem trzech wielkich piramid w Gizie (u dołu) a możliwą konstelacją trzech pierwszych planet Układu Słonecznego. Pomysł skorelowania piramid z konstelacją planetarną po

raz pierwszy sformułowano w 1995 roku w czasopiśmie wydawanym przez Resch Verlag².

– Przypadkowość w zasadzie wykluczona – dowody są potwierdzone przez fizyka matematycznie. Korzystając z astronomicznego programu komputerowego, Hans Jelitto wyznaczył daty, w których wzajemne pozycje układu piramidy/planety były dokładnie takie jak w rzeczywistości. Taki czas przypada co 3800 lat i jeden miesiąc. Może któraś z tak wyznaczonych dat wiąże się z (prawdziwą!) datą powstania kompleksu piramid? Bo przecież pamiętamy chyba, jakie zamieszanie w skostniałej chronologii egiptologicznej wywołało datowanie metodą węgla ¹⁴C, wykonane przez profesora W. Wölfliego⁴ z Federalnej Politechniki w Zurychu? Jak dotąd dowiedziono w ten sposób, że w odniesieniu do co najmniej kilkunastu budowli z okresu Starego Państwa trzeba dokonać korekty czasowej o niemal 400 lat. Ergo: albo okres panowania IV dynastii oraz moment budowy piramidy Cheopsa (datowanej dzisiaj na 2620 rok p.n.e.) trzeba przesunąć wstecz – albo piramidy te wcale nie zostały wybudowane przez przypisywanych im faraonów.

– Hans Jelitto natknął się podczas badań na wiele innych zagadek. Detale architektoniczne, obróbka kamienia i ewentualne konsekwencje transportu takiej masy budulca wprawiły go w zdumienie. Jednym z dowodów, które doprowadziły go do wniosku, że opisywane w podręcznikach archeologicznych metody obróbki kamienia są wyłącznie teorią i w żaden sposób nie mogły odpowiadać rzeczywistości, jest tzw. ciągłość struktur kamienia po obu stronach fugi łączącej, zupełnie jakby kamienne bloki zostały przecięte niejako bezstratnie i nałożone na siebie dokładnie w miejscu przecięcia. Hans Jelitto przeanalizował z dużym wyczuciem szczegółu wszystkie osobliwości konstrukcyjne piramidy Cheopsa, takie jak korytarz wiodący do niedokończonej komory grobowej, użyte do budowy rodzaje kamienia czy też znaczenie tzw. komór odciążających. Jaka jest rola osobliwych kwadratowych otworów w fundamentach w rogach piramidy Cheopsa? Dlaczego piramida Mykerinosa była pierwotnie dokładnie w jednej czwartej pokryta blokami granitu?

Wszystkie te odkrycia i pytania zebrał w obszernym dziele *Pyramiden und Planeten* (Piramidy i planety). W poszukiwaniu odpowiedzi Hans Jelitto konsekwentnie i logicznie podaje po kolei w wątpliwość wszystkie dotychczasowe „rozwiązania”, z których wiele należy do arsenału „nienaruszalnych” dogmatów egiptologii.

Hans Jelitto widzi w Gizie rodzaj majstersztyku o jednoznacznie astronomicznych odniesieniach. Uzasadnia on też swoje zastrzeżenia co do rzekomej konieczności zatrudnienia przy budowie gigantycznej armii 30 000 do 100 000 robotników, którą to liczbę wykoncypowano na podstawie monumentalizmu samej budowli w połączeniu z relatywnie krótkim czasem jej powstania. Około 2 400 000 bloków, niektóre ważące nawet 70 ton, milimetrowa precyzja – i to tylko przy samej piramidzie Cheopsa – a wszystko w ciągu zaledwie 20 lat!

Według mnie metodologia autora i wyniki uzyskane przez niego stanowią kolejny dowód, że zupełnie spokojnie można ryzykować stawianie niewygodnych pytań i nie zadowalać się pierwszą lepszą odpowiedzią, nawet jeśli na pierwszy czy nawet drugi rzut oka wydaje się ona słuszna. Warto wiedzieć, czy poza wydarzeniami przedstawianymi przez egiptologię lub też zamiast nich mogły dziać się rzeczy, które komuś w rodzaju Hansa Jelitto wydać się mogły jakby rodem z powieści science fiction. Dlatego naukowiec ten stopniowo zaczął dochodzić do wniosków, które sprawiły, że zaczął się interesować tematami sygnalizowanymi przez Ericha von Dänikena oraz ewentualnym wpływem istot pozaziemskich⁵.

Ze wszystkich rejonów geograficznych, w których znajdujemy ślady takiej właśnie „fantastycznej przeszłości”, Egipt ma znaczenie zasadnicze. Jakie fascynujące odkrycie będzie następne?

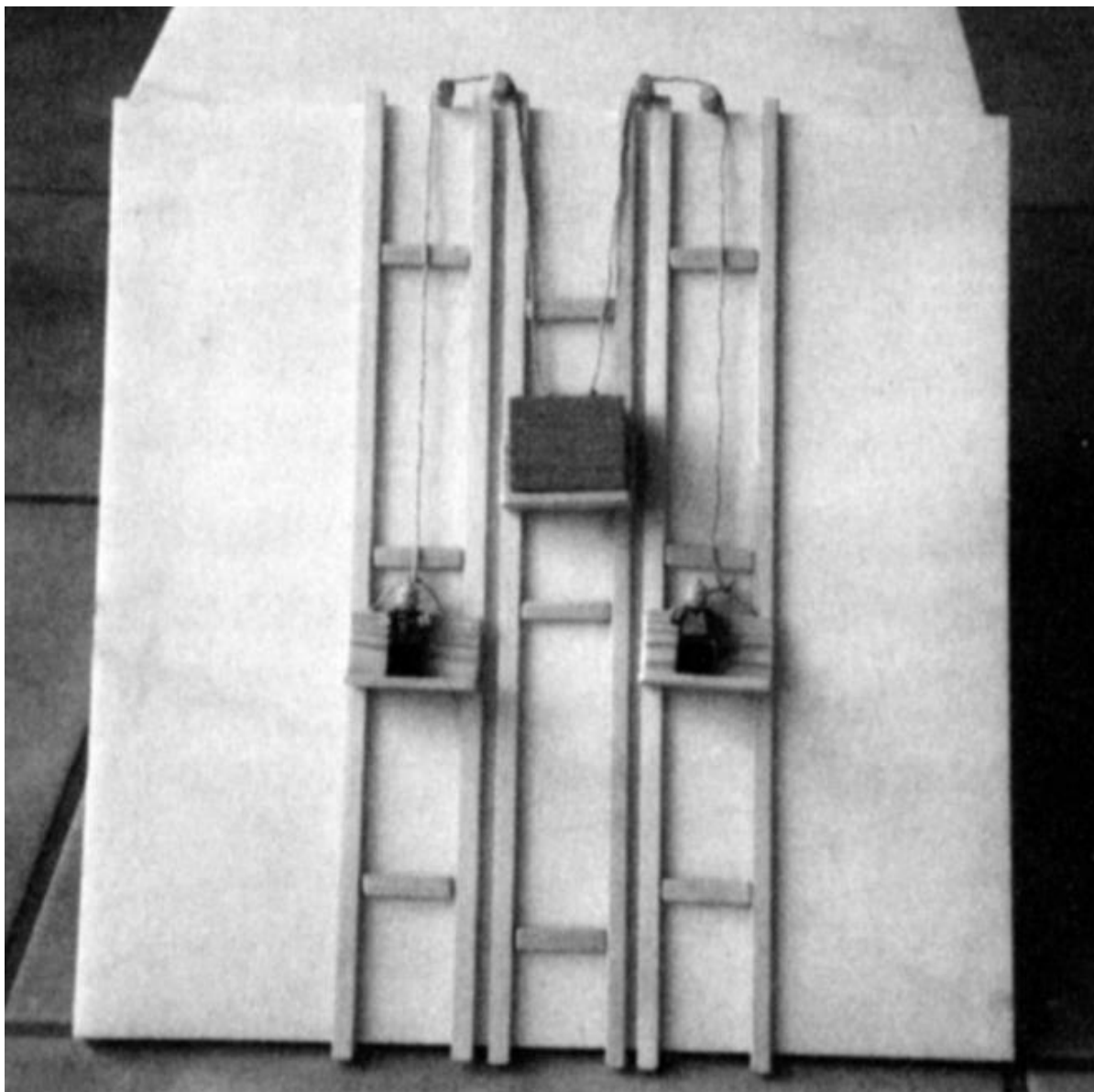
Ulrich Dopatka

Rozwiązanie zagadki budowy piramid

W jaki sposób starożytni Egipcjanie potrafili podnosić w górę ważące 2,5 tony skalne bloki, by wybudować piramidę? Ten problem wciąż nie został jak dotąd przekonująco wyjaśniony. Aby odpowiedzieć na to pytanie, chcemy przedstawić pewne rozwiązanie, które jest tyleż proste, co zarazem genialne, i które jak najbardziej mogło być stosowane przez tak rozwinięty cywilizacyjnie naród jak starożytni Egipcjanie.

Obecny stan dyskusji naukowej jest następujący: egiptolodzy na całym świecie trzymają się wersji o istnieniu systemu gigantycznych ramp, takich jak zygzakowate rampy przy jednym boku piramidy, rampa wewnętrzna, zwykła rampa w typie równi pochyłej, kilka ramp zaczynających się w pobliżu podstawy oraz kombinacje różnych typów ramp. Te koncepcje jednak prowadzą niekiedy do gigantomanii, wielokrotnie przekraczającej samo przedsięwzięcie, jakim jest budowa piramidy. Gdyby miało być tak, jak chcą egiptolodzy, to starożytni budowniczości zasłużyliby sobie raczej na etykietkę „budowniczych ramp” niż „budowniczych piramid”. Naszym zdaniem przedstawiciele paleo-SETI słusznie podchodzili do tych koncepcji krytycznie. Alternatywnie rozważano wnoszenie bloków po prowizorycznych stopniach (Martin Isler). W eksperymencie NOVA doktor Marc Lehner próbował w praktyce sprawdzić tę metodę. W trakcie budowy miniaturowej piramidy na płaskowyżu w Gizie okazało się jednak, że aby można było właściwie użyć drewnianej belki, konieczna byłaby przeciwwaga oraz wykonanie nacięć w podnoszonych blokach, natomiast „drewniane podpory okazały się nieporęczne i trudne w użyciu”.

Większość alternatywnych propozycji pomija fakt, że ludzie żyjący tysiące lat temu potrafili w wysoce efektywny sposób radzić sobie z problemami technicznymi, stosując wielofunkcyjne rozwiązania logistyczne. Nasza koncepcja uwzględnia te aspekty.



Tak transportowano skalne bloki – model rampy. (fot. P. Belting)

Wychodzimy od pomysłu, aby rosnący rdzeń piramidy wykorzystywać jednocześnie jako rampę. Proponowany mechanizm do podnoszenia bloków wyglądałby wówczas następująco: trzy przypominające drabinę konstrukcje drewniane mocuje się równolegle do bocznej ściany rdzenia piramidy. W pionowych belkach robi się wzdłużne wcięcia spełniające rolę szyn. Poprzeczne szczeble utrzymują odstęp między pionowymi belkami odpowiadający rozstawowi płóz sań transportowych znanych na tych terenach już co najmniej od czasów XII dynastii (1991–1785 p.n.e.), o czym świadczy malowidło z grobowca Dzehutihotepa w El-Bersza.

Kamienny blok o wadze około 2,5 tony mocuje się do takich sań u stóp środkowej „drabiny”. Odpowiedniej grubości i długości liny spuszcza się z platformy budowlanej i łączy z lewym i prawym bokiem sań. Następnie przewleka się je przez system okrągłych elementów prowadzących, które – jak dowiedziono – były już znane w czasach, kiedy miały powstać piramidy, i łączy ze znajdującymi się u góry rampy przesuwными podestami, przylegającymi pod kątem prostym do sąsiadujących z saniami „drabin”.

Można uznać za dowiedzione, że dawni konstruktorzy byli w stanie wykorzystać ciężar ludzkiego ciała jako samodzielną siłę napędową. W przeciwnym razie nigdy nie zdołaliby w tak perfekcyjny sposób wykorzystać podstawowych zasad dźwigni oraz elementów prowadzących, służących do przenoszenia siły, jak to musiało mieć miejsce np. przy konstruowaniu zapory z kamiennych bloków oddzielającej Wielką Galerię od Komory Króla.

Aby przesunąć ważący 2,5 tony skalny blok po środkowej „drabinie” w górę aż do platformy budowlanej, wystarczył właśnie ten „system napędu” wykorzystujący ciężar ludzkiego ciała. Jeśli obciążyć lewy i prawy ruchomy podest grupą 25 osób o wadze około 60 kilogramów każda, otrzymujemy siłę 3 ton oddziałującą na 2,5 tony kamiennego bloku. Powoduje to ruch obydwu podestów w dół i uniesienie kamiennego bloku na poziom platformy budowlanej (można sobie wyobrazić, że jest to jakby rodzaj prymitywnej windy).

Kiedy kamienny blok wyładowano z sań, robotnicy z lewego i prawego podestu mogli wspiąć się ponownie na platformę. W tym czasie mniej więcej dwie osoby wchodziły na środkową platformę sań, powodując jej ruch w dół i podciągnięcie obydwu bocznych podestów z powrotem na wysokość platformy budowlanej.

Opór tarcia można było zmniejszyć do minimum, stosując substancje poślizgowe znane już w starożytnym Egipcie, takie jak tłuszcze naturalne czy preparaty woskowe.

Konstrukcja takiego podnośnika umożliwiała – w zależności od potrzeb – łatwe przenoszenie go lub też zmianę wysokości przy minimalnych nakładach czasu i materiałów.

Jednoczesne użycie około 10 takich konstrukcji na każdy bok piramidy pozwoliłoby bez problemu przetransportować średnio 350 boków dziennie. Wraz z coraz większą wysokością budowli zmniejszałaby się liczba podnośników, ponieważ zmniejszałaby się liczba kamiennych bloków do ułożenia na kolejnych platformach budowlanych.

Żadna inna konstrukcja nie zapewnia tak wysokiej wydajności. Tylko w ten sposób uzyskuje się stałą siłę ciągu bez dodatkowego angażowania wysiłku

miężni pracujących ludzi!

Otwarte pozostaje pytanie, w jaki sposób przetransportowano na miejsce ważące 40–50 ton granitowe bloki Komory Króla i Komory Królowej. Przypuszczamy, że te gigantyczne monolity były podnoszone na kolejne warstwy budowlane od samego początku budowy. Zastosowanie dźwigni w celu przenoszenia tych bloków na kolejne poziomy, podwyższone jednorazowo o około metra, wydaje się w ogólnym kontekście logistyki znacznie realniejsze niż jakakolwiek konwencjonalna rampa w postaci równi pochyłej.

Przedstawiliśmy naszą koncepcję do weryfikacji dyplomowanemu inżynierowi budownictwa Ralfowi Papendickowi. Oceniał on, że jego koledzy inżynierowie ze starożytności jak najbardziej mogli się taką konstrukcją posłużyć.

Ewentualnym kontrargumentem, który można by tu wysunąć, opierając się na „przesłankach archeologicznych”, są usypane z ziemi rampy budowlane, jakie Borchardt^[1] odkrył przy piramidzie w Meidum. Znajdują się tam mianowicie pozostałości ukośnej rampy, którą jednak sam Mark Lehner uznał za „niezwykle wąską i zadziwiająco wysoko sięgającą do boku piramidy” konstrukcję. Wbrew pozorom jednak wcale nie musi to być sprzeczne z naszymi teoretycznymi rozważaniami, ponieważ tego rodzaju rampa, jeśliby istniała rzeczywiście, raczej nie nadawałaby się do przesuwania po niej potężnych bloków kamienia, natomiast mogłaby z powodzeniem służyć np. do transportowania lżejszego budulca, narzędzi, zaopatrywania pracujących w wodę, mogły też po niej wchodzić i schodzić wymieniające się kolumny robotników. Taka wąska rampa, podobnie jak miniaturowe rampy przy piramidach schodkowych w południowym Abydos, mogła się jeszcze charakteryzować w miarę rozsądnym stosunkiem nakładów do pożytku, jaki przynosiła.

Nadal jednak otwarte pozostaje pytanie, kim byli prawdziwi konstruktorzy piramid i logistycy lub też kto przekazał ówczesnie żyjącym ludziom odpowiednie wskazówki. Mitologia egipska powołuje się na „nauczycieli”, którzy pochodzili nie z tej Ziemi. Podobnie jak w innych zachowanych przekazach, dzielili się oni z ludźmi wiedzą o metodach technicznych, które nauczani byli w stanie pojąć i własnoręcznie wcielić w życie. Odpowiada to w ogólności zasadom, jakie stosuje się dzisiaj w krajach rozwijających się: nie wprowadza się – jak to przeważnie robiono w latach 60. i 70. ubiegłego wieku – najnowocześniejszych, które już po krótkim czasie wymagały napraw, pochłaniając ogromne nakłady na konserwację i ciągłe kształcenie personelu, tylko stosuje raczej proste i zrozumiałe urządzenia, które można bez trudu

remontować, co zaczęło przynosić lepsze efekty. Kim zatem, zadajemy sobie stale pytanie, byli ci, którzy „pomagali w rozwoju” ludzkości?

Doktor Algund Eenboom, Peter Belting, Peter Fiebag

DC-X i zagadka egipskich obelisków

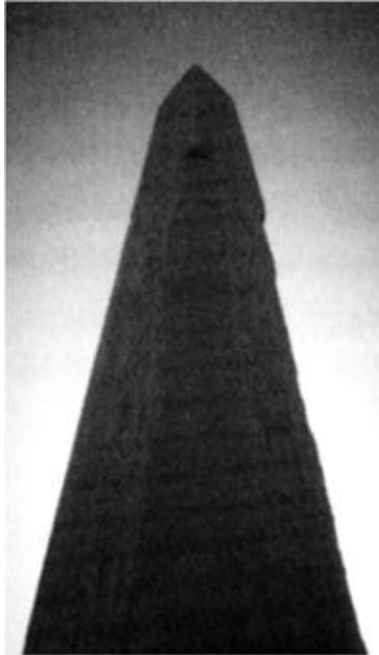
Starożytna technologia lotów kosmicznych

Dwa tysiące lat po narodzinach Chrystusa z ramp startowych wzbijają się w niebo rakiety o wiele mówiących mitologicznych nazwach, takich jak Atlas, Tytan czy Ariane. Trzy tysiące lat przed naszą erą egipski bóg Atum wznosił się ku firmamentowi z „prapagórka” w „mieście słupów”. Tak jak nasze rakiety regularnie startują w bliski Ziemi kosmos, tak Atum był nazywany „panem ponad granicami niebios”. Czy naprawdę mamy tu do czynienia tylko z przypadkowymi zbieżnościami?

Starożytny Egipt, jak żadna inna pradawna cywilizacja, pozostawił potomnym mnóstwo nierozwiązanych zagadek. Niemniej gigantyczne budowle, zagadkowe teksty, jak też osobliwie wyglądające malowidła i posągi kreślą przede wszystkim obraz ludu, który przez długi czas żył nie tylko dla swoich bogów, ale przede wszystkim z nimi.

Bogowie i ich latające aparaty

Adolf Erman i Hermann Ranke w swojej wydanej już w 1923 roku i do dziś niemającej sobie równych pod względem objętości historii Egiptu¹ pisali: „Według wierzeń Egipcjan na początku czasu wielcy bogowie sami władali ich krajem, wydając wiele dynastii, i kiedy chciano o czymś powiedzieć, że jest prastare, powiadano, że istniało już w czasach Re”.



Obelisk Tutmosisa I w Karnaku. Co tak naprawdę symbolizują te „słupy”? (fot. T. Fuss)

I rzeczywiście istniało takie prastare miejsce z czasów boga Re, a więc z czasów, gdy rządili realni bogowie, miejsce, z którego bóg Atum miał się wznieść do nieba. Wydarzyło się to w położonym w pobliżu Kairu Mieście Słońca, czyli Heliopolis – mieście, z którego wywodzą się egipscy faraonowie i kapłani. Zarówno Atum, którego tytuł „władca Heliopolis” wydaje się świadczyć o nim jako o „realnie istniejącym bogu”, jak i inni „bogowie” i „postacie mityczne” mieszkali tu w kompleksie, który był największą budowlą kiedykolwiek wzniesioną w Egipcie.

W kompleksie o powierzchni około 900 tysięcy metrów kwadratowych (!), który mało przypominał świątynię, za to o wiele bardziej coś w rodzaju „fortecy”, otoczonej grubymi na 30 metrów murami (po co?), wszystko kręciło się wokół latania. Znajdowały się tutaj:

1. Budynek Re-Harachte („Re” oznaczało nie tylko rzeczywistą tarczę słoneczną, lecz także „promieniejący w tarczy”, Harachte zaś to „Horus obydwu horyzontów” lub też „unoszący się niby Słońce wysoko na niebie sokół”). O Horusie mówiło się też, że pojawiał się w postaci tarczy słonecznej ze skrzydłami. W tej postaci miał zwyciężyć boga Seta nad miastem Edfu.
2. „Lądowisko” rzekomego ptaka „Benu” (Bnw, „ten, który wznosi się w blasku”) lub też „Feniksa” (po grecku „karmazyn”). W egipskiej *Księdze Jaskiń* tak o nim czytamy: „Feniks, który przechodzi przez bramę krainy Dat”. Mianem „Dat” określano pierwotnie krainę gwiazd na niebie! Niewiarygodne, ale prawdziwe: także biblijny prorok Baruch, po tym, jak „posłaniec Boży” zabrał go do „nieba” [„I zabrał mnie ze sobą i powiódł do miejsca (...),

gdzie przytwierdzone są niebiosa”] widział „ptaka”, o którym „posłaniec Boży” powiedział, że to jest „Feniks”.

Peter Fiebag² jako pierwszy przedstawił obszerną analizę pojęć powiązanych z obeliskiem, piramidionem, Feniksem oraz Miastem Słońca Heliopolis. W swojej książce dochodzi on m.in. do wniosku, że „obelisk [symbolizuje] rakietę, którą kiedyś Atum-Re przybył z nieba na Ziemię, by przyczynić się do powstania wysoko rozwiniętej cywilizacji Egiptu. Metalowy najprawdopodobniej pojazd kosmiczny z powodu odporności i twardości materiału został uznany za «rodzaj twardego kamienia», «który błyszczy» i «wystrzela w niebo»”.

Także piramidion/Benben „ma coś w sobie” w dosłownym znaczeniu tego słowa, ponieważ często przedstawiano go z postacią czy bóstwem umieszczonym na szczycie albo wręcz w nim. Zecharia Sitchin pisze, że według przekazów egipskich Benben był twardym obiektem, który opuścił się na Ziemię z nieba. Była to niebiańska komnata, w której bóg Re wylądował na Ziemi.

W egipskiej *Księdze Jaskiń* znajdziemy ciekawe rzeczy o tzw. bogach świątyni, którzy należeli do Domu Benben: „Znajdują się na zewnątrz Domu Benben. Widzą to, co widzi Re, i mają dostęp do jego tajnego oblicza” (36 godzina, 39 scena). Kilka wersów dalej Re sam mówi do owych bogów świątyni: „To wy jesteście tymi, którzy otaczają me misterium, ja jednak strzegę mego misterium, które jest w Domu Benben” (36 godzina, 39 scena). Aż ciśnie się na usta pytanie: „bogowie świątyni” czy raczej personel naziemny...?

Nawet jeśli większość egiptologów ignoruje te teksty, nie chcąc wyjść poza interpretację kompleksu heliopolitańskiego jako „sanktuarium słońca”, to jednak obelisk, czy inaczej Benben, miał tu swego czasu znaczenie tak wielkie, że pierwotna nazwa miasta nie brzmiała Heliopolis, lecz IWNW, czyli Iunu, co dosłownie oznacza „Miasto Słupów” lub „Miasto Obelisków”.

I znów rzut oka w teraźniejszość: czy to na przylądku Canaveral na Florydzie, w Kourou w Gujanie Francuskiej czy w rosyjskim centrum kosmicznym Bajkonur w Kazachstanie – na każdym z tych kosmodromów stoją dziesiątki wysłużonych rakiet w charakterze „pomników”. Jednym słowem współczesne „Miasta Słupów”, a nie żadne miejsca kultu! Kim i czym byli zatem tak naprawdę „bóg” Atum i jego „słupy” sprzed 5000 lat?

Chociaż obelisk to jeden z najbardziej znanych typów monumentów starożytnego Egiptu, to jednak wciąż nie ma zgody co do tego, co tak

naprawdę według starożytnych Egipcjan miały przedstawiać te mierzące do 32 metrów wysokości (ze starożytnych przekazów wynika, że były i takie mierzące 52,5 metra) i ważące niekiedy ponad 450 ton kamienne twory. „Racjonalne” próby wyjaśnień podawane przez poważnych egiptologów i uczonych oscylowały od promienia słonecznego i symbolu płodności poprzez symboliczne przedstawienie relacji między bogiem a królem aż po fallus i „boskie nasienie”. Największym powodzeniem cieszyła się wersja, że jest to prapagórek. Powaga... i ileż fantazji!

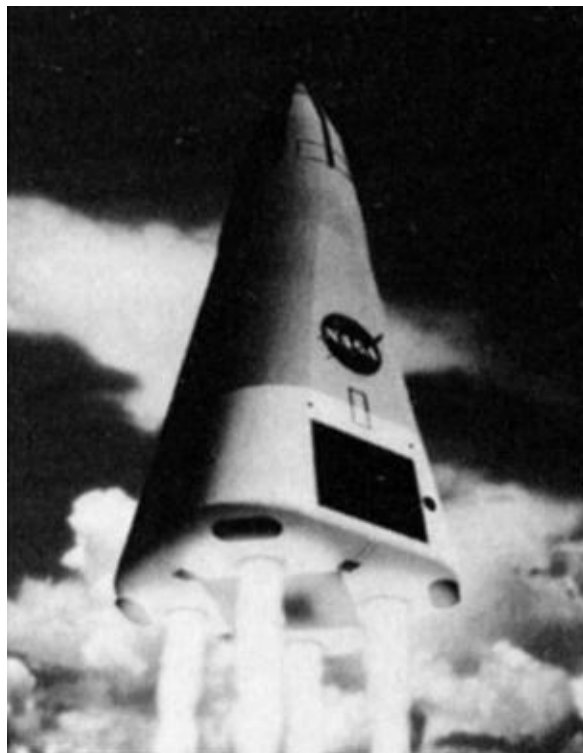
Dotąd egiptolodzy uparcie odrzucali i ignorowali (nadal zresztą z upodobaniem to robią) wspomnianą wcześniej hipotezę paleo-SETI, że obelisk to kamienne wyobrażenie „boskiego” aparatu latającego, które dopiero w późniejszym czasie zaczęło nabierać coraz bardziej kultowego charakteru³. Czy tego rodzaju przypuszczenie naprawdę jest aż tak mylne?

Eksperymentalny statek kosmiczny DC-X

W żadnym razie, albowiem na przekór wszelkim negacjom i rzekomo „racjonalnym” wyjaśnieniom teoria ta zyskała potwierdzenie, kiedy latem 1993 roku po raz pierwszy oderwał się od ziemi na White Sands, poligonie kosmicznym NASA, pojazd DC-X (Delta Clipper Experimental), prototyp jednostopniowej rakiety wyprodukowany przez firmę McDonnald Douglas Aerospace.

Dzięki 58 000 000 dolarów dotacji od BMDO (Ballistic Missile Defense Organisation) następczyni programu Gwiezdných Wojen, inżynierowie z firmy MDD po zaledwie dwuletnich pracach skonstruowali raketę manewrującą wielokrotnego użytku, wykorzystującą cztery silniki raketowe (RL-10 A5, podobne do tych stosowanych w raketach Atlas i Tytan), której nowatorstwo to nie tylko atrybuty techniczne, lecz przede wszystkim nowy kształt. Chociaż wskutek błędu sterowania ostatni lot testowy DC-X skończył się eksplozją, to jednak rakietę ta wcześniej dowiodła swoich zdumiewających zdolności manewrowych. DC-X: pojazd nowy, a przecież znany od tysięcy lat. To nie przypadek, lecz uwarunkowania konstrukcyjne (umiejscowienie zbiorników paliwa oraz silników, jak też względy aerodynamiczne) sprawiły, że konstruując DC-X, stworzono aparat latający, który, jak już kiedyś w latach 60. radziecka rakietę do lotów księżycowych N-1, w zdumiewającym stopniu przypomina staroegipskie obeliski. Zwężający się ku górze słup z wyraźnie oddzielnym zakończeniem w formie piramidy (Benben/piramidion) na

kwadratowej podstawie. Obelisk znaczy zresztą dosłownie „rozeń, słup, spiczasto zakończona kolumna”. Zarówno DC-X, jak i obelisk Atuma jak najbardziej zasługują na taką nazwę.



DC-X, współczesny obelisk, podczas pierwszego lotu testowego. Pojazd wznosi się, wykonuje manewry w powietrzu i ląduje na słupach ognia. (fot. NASA)

Nie ma żadnych wątpliwości, że mieszkańiec Egiptu z II czy III tysiąclecia p.n.e. także naszych dzisiejszych rakiet nie potrafiłby opisać w inny sposób. Dla niego rakiety Atlas, Tytan, Ariane czy właśnie DC-X byłyby właśnie „boskimi pojazdami” lub „pojazdami bogów”, a kosmodromy „boskimi sanktuariami” lub wręcz „miastami słupów”. Lecz czy zjawisko to jest wyłącznie egipską „specjalnością”?

Najwyraźniej nie. Podobne lub uzupełniające przekazy znajdziemy także w ściśle związanym z Egiptem kręgu kulturowym judaizmu. W Starym Testamencie są fragmenty, które w powiązaniu z przytoczonym powyżej znaczeniem pojęcia „słupa” i opisem DC-X zyskują całkiem nowe znaczenie: „A Pan szedł przed nimi podczas dnia jako słup obłoku, by ich prowadzić

drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli iść we dnie i w nocy” (Księga Wyjścia 13, 21).

Ten opis w pełni odpowiada opisowi obiektu latającego w rodzaju DC-X. Kiedy wszystkie cztery silniki są w ruchu, w dzień przypomina to „słup obłoku”, a nocą „słup ognia”. Przede wszystkim jednak pojazd w rodzaju DC-X potrafi poruszać się do przodu, wisząc nisko nad ziemią. Jakkolwiek byśmy się starali, to jednak ani promienie słoneczne, ani wybuch wulkanu, krwawe wschody słońca czy Mojżesz z pochodnią w dłoni nie są dostatecznie dobrymi wyjaśnieniami opisów sprzed tysięcy lat.

To, że bez wątpienia mamy do czynienia z obiektami latającymi, szczególnie wyraźnie uświadamia następujący cytat: „Anioł Boży, który szedł na przodzie wojsk izraelskich, zmienił miejsce i szedł na ich tyłach. Słup obłoku również przeszedł z przodu i zajął ich tyły, stając między wojskiem egipskim a wojskiem izraelskim” (Księga Wyjścia 14, 19–20).

Pod kryptonimem „Flight Series 1” DC-X wykonywał takie właśnie manewry w ramach pierwszej serii testów napędu raketowego: start – pionowe wznoszenie – ruch do przodu w poziomie – pionowe opuszczenie – unoszenie się tuż nad ziemią – lądowanie. Wyobraźmy sobie, jak by to zostało odebrane, gdyby obiekt latający podobny do DC-X niespodziewanie opuścił się na ziemię w pobliżu tłumu ludzi, którzy nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z techniką kosmiczną?

Odpowiedź również znajdziemy w Starym Testamencie: „O świcie spojrział Pan ze słupa ognia i ze słupa obłoku na wojsko egipskie i zmusił je do ucieczki” (Księga Wyjścia 14, 24).

Wygląda na to, że „boskich” obiektów latających niejedną raz użyto w celach bojowych, a bóstwa egipskie i żydowskie – czy to będzie „Feniks”, czy „słup ognia” – posługiwały się tymi samymi środkami. Lecz egipskie Iunu (hebr. On), czyli „Miasto Słupów”, było solą w oku Izraelitów, toteż w Księdze Ezechiela, czytamy: „Podłożę ogień pod Egipt (...). Młodzieńcy z On i Pi-Beset polegą od miecza (...). Wykonam sądy w Egipcie, aby poznali, że Ja jestem Pan”.

Pozostaje otwarte pytanie, kim byli owi młodzieńcy z On? Czyżby przed tysiącami lat istniała walka o wpływy pomiędzy starymi i nowymi bogami albo raczej między technikami a wojskowymi? Także w tej materii można mówić o zdumiewających paralelach między dawnymi a obecnymi czasami.

Thomas Fuss

...A jednak się świeci!

Czy starożytni Egipcjanie znali elektryczność? A może wręcz mieli żarówki? Kiedy Peter Krassa, inżynier elektryk Walter Garn i ja przed 20 laty postanowiliśmy sprawdzić, czy relief znajdujący się na ścianie świątyni egipskiej bogini Hathor może przedstawiać elektryczną lampę, nikt specjalnie nie interesował się osobliwymi płaskorzeźbami z „żarówką”. W tym czasie niewiele było wiadomo o podziemnych komorach świątyni, a w wąskich, trudno dostępnych pomieszczeniach w pobliżu Nilu było ciemno choć oko wykol i oglądało się je w migoczącym blasku świec. Nie było jeszcze wtedy nawet tłumaczeń hieroglifów z tej świątyni. Dzisiaj wiele się już w tym względzie zmieniło¹.

Rzut oka w przeszłość

Naszą uwagę pod koniec lat 70. przykuły głównie dwie książki autorstwa Charlesa Berlitz'a i Tonsa Brunés'a. W obu natknęliśmy się na krótkie odesłania do tekstów oraz ilustracje będące podobno odwzorowaniem oryginalnych reliefów². Wystaraliśmy się o oryginalne zdjęcia wspomnianych fragmentów i odbyliśmy dwie podróże do Egiptu (1979 i 1980). Liczne i bardzo interesujące rozmowy z renomowanymi naukowcami uzmysłowiły nam, że egiptolodzy preferują zupełnie inne „wyjaśnienia” tych przedstawień. Nasz alternatywny pomysł natomiast zawsze odrzucano z oburzeniem. Egiptolodzy obstawali i nadal obstają przy tradycyjnych interpretacjach operujących – z konieczności – kompletnie niezrozumiałymi abstrakcjami, chociaż nie wytrzymują one racjonalnej krytyki: „węzowe kamienie”, których pierwotne znaczenie pozostaje nieznanie, „obiekty kultu”, „fantastyczne twory”, „symbol wieczności”, „strażnicy świątyni”, „barka słoneczna ze zwisającą matą” czy „symbole płodności” to tylko kilka interpretacji, które mają służyć za wyjaśnienia.



Staroegipski relief z Dendery.

Pojawiają się też głosy, że religijne przedstawienia w świątyniach i na ścianach grobowców nie zostały stworzone po to, by informować, lecz po to, aby oddziaływać³. W odniesieniu do pokrytych hieroglifami ścian powyżej i poniżej sanktuarium Hathor tego rodzaju ujęcie wydaje się mało prawdopodobne.

Niektórzy autorzy i badacze, którzy zwrócili uwagę na te reliefy, mówią o „symbolach seksualnych”, „Wężu Kundalini”, „starożytnych świdrach” czy „urządzeniach transportujących”.

Ostatnio egiptologia zaproponowała nowe „rozwiązanie”, według którego przypominające nadmuchany pęcherz twory stanowią „różne wyobrażenia o ruchu Słońca”⁴. Czy dzięki temu wszystko jest już wreszcie jasne jak słońce? Pozytywne w tym wszystkim jest to, że po długiej odysei sprzecznych ze sobą „wyjaśnień” wreszcie pojawiło się takie, które przynajmniej dopuszcza

możliwość, że przedstawienia te muszą mieć coś wspólnego ze światłem („Słońce”). Podobno ilustrują one „określony cykl słoneczny”. Naszym zdaniem na reliefie przedstawiono różne kształty wyładowań elektrycznych, od fazy, gdy żarówka jest wyłączona, aż do pełnej mocy. W tym ujęciu jak najbardziej można zatem mówić o „cyklu świetlnym”, może więc nie jest aż tak źle i tak odmienne pierwotnie interpretacje zaczynają się do siebie zbliżać?

Krytycy

Czy istnieją jakieś logiczne przyczyny, dla których egiptolodzy (choć się mocno spierają) kurczowo trzymają się skostniałych dogmatycznych poglądów? Dlaczego zamyka się oczy na rysunki, przy których należałoby przynajmniej przez chwilę dopuścić do siebie myśl: „Zaraz, zaraz, czy to nie wygląda zupełnie jak...”

Krytycy twierdzą, że taki argument jest niedopuszczalny, bowiem „jeśli przeczyta się hieroglify, znajdujące się na tym samym reliefie, bardzo szybko dochodzi się do przekonania, że mamy tu do czynienia z wykonywaniem czynności kultowych, a nie z elektrycznością”⁵.

Po pierwsze, kiedy w roku 1982 ukazała się nasza książka *Światło faraonów*, nie było jeszcze ani śladu przekładów hieroglifów z Dendery. Jeśli o nas chodzi, to bardzo chętnie już wtedy uwzględnilibyśmy je w naszej pracy.

Po drugie, uaktualnione wydanie naszej książki *Światło faraonów* ukazało się w 1992 roku. Byliśmy pierwszymi autorami, którzy odnieśli się do tekstów z Dendery, ponieważ w czasie prac nad przygotowaniem nowego wydania ukazała się praca doktorska egiptologa doktora Wolfganga Waitkusa na temat tychże inskrypcji. Autor uprzejmie udostępnił nam fragmenty swojej świeżo wydanej rozprawy, jakkolwiek w żadnym razie nie podziela naszych poglądów, toteż byliśmy pierwszymi, którzy mogli ustosunkować się także do treści hieroglifów⁶. Przytoczony więc wyżej zarzut krytyczny jest całkowicie chybiony.

Po trzecie, jest oczywiste, że daremnie szukać w staroegipskich tekstach określeń typu „elektryczność”. Starożytni Egipcjanie z pewnością posługiwali się do jej opisu innymi formami wyrazu, w najlepszym razie są to opisy efektów świetlnych. I z nimi to właśnie mamy do czynienia, kiedy np. czytamy o „błyszczącym wężu, wychodzącym z kwiatu lotosu”.

Po czwarte, „wykonywanie czynności kultowych” nie stoi w moim pojęciu w sprzeczności z hipotezą o elektryczności. O jaki kult chodzi? Skąd się wziął?

Jakie jest rzeczywiste znaczenie przedstawionych na reliefie symboli, praktyk magicznych i czynności rytualnych? Czy równie dobrze nie może być tak, że starożytna wiedza na temat różnych czynności elektrotechnicznych właśnie z dzisiejszego punktu widzenia opisywana jest jako „kultowa”, ponieważ już nie znamy ich pierwotnego znaczenia? Zawsze spotykamy się z tym samym dylematem: Jeśli czegoś nie potrafimy wyjaśnić, bardzo chętnie mówimy, że jest to coś kultowego. Czy naprawdę nie ma naukowych dowodów na coś zupełnie przeciwnego? Tego rodzaju krytyka zawsze grzęźnie we własnej argumentacji, mianowicie w określaniu wszystkiego mianem kultu. Nie próbuje dociec, z czego coś się wywodzi. Nazbyt sprzeczne wydają się tutaj sposoby podejścia do problemu: podczas gdy Däniken, Langbein, Fiebag czy Dopatka w poszukiwaniu pierwotnego znaczenia określonych mitów, baśni i legend starają się oczyścić „jądro” każdego z przekazów z natłoku religijnego balastu, żeby ukazać jego właściwe tło, autorzy tacy jak Pössla wydają się dążyć do tego, by rzeczowe wypowiedzi ponownie ukryć pod religijnymi ozdobnikami, wskazując, jakoby właśnie zawartość symboliczna była tym elementem pierwotnym.

Kiedy w 1869 roku francuski pionier badań w Denderze, Auguste Mariette, opublikował pięciotomowe dzieło ze swoimi zapiskami na temat świątyni Hathor⁷, w żadnym razie oczywiście nie mógł pomyśleć o żarówce, ponieważ została ona wynaleziona przez Edisona w 1871 roku. W świecie Auguste’a Mariette’a światło elektryczne nie odgrywało żadnej roli. „O ile Mariette w tamtych czasach nie miał szans dostrzeżenia w tych rysunkach czegoś sensownego – zauważa trafnie duński autor Brunés – o tyle dziwić musi, że w czasach dzisiejszych nikt nie próbował na nowo zinterpretować tego osobliwego materiału obrazkowego, ponieważ przecież z naszą znajomością elektryczności i towarzyszących jej procesów nie trzeba specjalnie dużej wyobraźni, aby rozpoznać w tych przedstawieniach źródło prądu”⁸.

Przedmiot kultu kontra hipoteza o elektryczności

Wiedeński inżynier elektryk i kierownik projektów międzynarodowego koncernu elektrotechnicznego Elin inżynier Walter Garn przyjrzał się dostępnym materiałom i nie dostrzegł żadnej sprzeczności w założeniu, że możliwa jest elektrotechniczna interpretacja reliefu.

Krytycy argumentują, że po bliższym przyjrzeniu te podobne do dmuchanych pęcherzy twory wcale nie przypominają dzisiejszych żarówek, a

więc nie mogą służyć do oświetlania. Tylko pierwsza część jest w pewnym sensie słuszna, ponieważ zgodnie z naszą hipotezą reliefy nie ukazują „żarówki” jako takiej, ale za to dokładnie ukazują przeskok łuku elektrycznego lub wyładowanie elektryczne w próżni. Dlatego jak najbardziej może tu chodzić o prekursorkę naszych neonówek czy lamp rtęciowych⁹.

Krytycy podnoszą też jako argument brak dowodów. Rzeczywiście, dotąd nie odnaleziono żadnych fragmentów starożytnej lampy. Lecz z drugiej strony: czy kiedykolwiek jej szukano? Czy prowadzono jakiegokolwiek tak ukierunkowane prace wykopaliskowe w okolicach Dendery? Czy rzeczywiście możemy na pewno wykluczyć, że kilka metrów pod pustynią niedaleko sanktuarium Hathor nie leżą szczątki tego rodzaju urządzeń? I czy znowu nie byłoby tak, jak w przypadku elementów urządzenia galwanizacyjnego Partów, że naukowcy jak zwykle skłanialiby się do bezradnych interpretacji w rodzaju „przyrząd do odprawiania czarów” albo „obiekt kultowy”?¹⁰



Model zrekonstruowany przez inżyniera Garna.

Jak łatwo świat oficjalnej nauki pomija lub spycha na margines ślady myśli technicznej starożytności, pokazuje też przykład starożytnego „komputera” z Antikythery. W 1901 roku poławiacze gąbek wyłowili części takiego mechanizmu, które umieszczono w muzeum w Atenach. Leżały tam sobie wiele lat, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Nawet kiedy archeolog Valerios Staios wspomniał, że osobliwe elementy przypominają mu mechanizm jego własnego zegarka, jego koledzy odrzucili jego konstatacje jako „zbyt awanturnicze”. Musiało minąć kolejnych 50 lat, aby znaleziskiem zajęło się American Philosophical Society, rozpoznając mechanizm różnicowy ze skomplikowanymi kombinacjami kół zębatach.

Jest jak najbardziej do pomyślenia, że ewentualne przedmioty z Dendery zostały zrabowane, schowane w bezpiecznym miejscu albo też zniszczone podczas konfliktów zbrojnych. Na przykładzie świątyni File można się przekonać, jak bezwzględnie potraktowali ten ostatni bastion staroegipskiego kapłaństwa sfanatyzowani chrześcijanie, którzy w IV wieku n.e. splądrowali świątynię, zamykając w ten sposób usta ostatnim przedstawicielom warstwy społecznej znającej hieroglificzne pismo obrazkowe.

Tak więc niepodważalnych dowodów na potwierdzenie naszej hipotezy nie ma. Tak samo jednak nie ma ich na potwierdzenie hipotez egiptologicznych. Bo czyż którykolwiek z badaczy starożytności wykopał kiedyś jakiś „węzowy kamień”, który pewna grupa uczonych podaje jako wyjaśnienie? Wydaje mi się, że krytycy mierzą podwójną miarą. Takie twory stały podobno u wejść do wielu świątyni – gdzież więc zniknęły potem te wszystkie „posągi”?¹¹

Podsumujmy zatem: niepodważalnych dowodów brakuje po obydwu stronach. Istnieją jednak przesłanki, a nawet ich cały łańcuch, który pozwala uznać hipotezę o elektryczności za dopuszczalną jako wyjaśnienie funkcji niezwykłych tworów widocznych na reliefach. Nie dość jednak na tym: ponieważ hipoteza o starożytnych „żarówkach” brzmi dość fantastycznie i inżynier Garn sam podchodził do niej początkowo z dużym sceptycyzmem, w końcu zdecydował się skonstruować wierne, działające modele pierwowzorów. Jeden z takich modeli składa się ze szklanej bańki, do której wnętrza wchodzi dwa metalowe elementy. Kiedy stworzymy w bańce próżnię (odpompujemy z niej powietrze) o ciśnieniu mniej więcej 40 torów, np. za pomocą pomp wodnych (widoczne są na rysunkach obok pęcherzowatych tworów), to po przyłożeniu napięcia w bańce zajdzie zjawisko świetlne, widoczne jako „wąż” wijący się od elektrody do elektrody. Wygląda to analogicznie do tego, co widzimy na reliefie ze świątyni Hathor¹².

Drugi, mniej znany model, ilustruje „przeskok ładunku elektrycznego”, co wywołuje bardzo intensywne świecenie, oblewające całą powierzchnię przedmiotów znajdujących się w tle i mające formę owalnej w kształcie poświaty, działającej zupełnie jak żarówka. W tym wypadku nie trzeba nawet dysponować pompą. Obojętne, czy to będzie „iskra elektryczna”, czy „przezroczysty szklany pojemnik”, obydwie zrekonstruowane modele działają i okazują się sensowne. Chociaż uczeni twierdzą, że przedstawienia na płaskorzeźbach są jedynie teoretycznej natury, to przecież ilustrują one coś faktycznego: znajomość zjawisk elektrycznych.

Zaraz, zaraz, powiadają krytycy, w najlepszym razie istnieje tylko jedno przedstawienie urządzenia, w którym mógłby przeskoczyć „ładunek elektryczny”. Mianowicie to, gdzie widać, że „ramiona” tzw. filaru dżed wchodzi do środka „żarówki” i dotykają „węza”. A pozostałe reliefy? Na nich także widać „węza”, ale nie dotyka on filaru dżed, a więc nie może dojść do wywołania postulowanego zjawiska świetlnego. I tu sceptycy bardzo się mylą. Takie zjawiska jak najbardziej mogą wystąpić w tzw. lampach wyładowczych. Przy ekstremalnie niskim ciśnieniu (poniżej 0,5 tora) wyładowanie układa się w przestrzeni w linii prostej od elektrody. Mowa jest wówczas o tzw. poświacie ujemnej. Osobliwy szczegół: „wąż” na pozostałych rysunkach istotnie jest wyraźnie mniej falisty niż na reliefie, który był podstawą przy konstrukcji modelu. Ponieważ obok często przedstawiany jest bóg powietrza Szu, czemu nie zaprzeczają egiptolodzy, można to zinterpretować jako informację o „niskim ciśnieniu” lub „małej sile powietrza”¹³. Nie, nie, to wszystko czysty przypadek, twierdzą krytycy. Niewątpliwie w chwili opublikowania w 1992 roku zaktualizowanego wydania naszej książki taka hipoteza dla wielu czytelników mogła zabrzmieć obrazoburczo. Tymczasem minęło kolejne dziesięciolecie i oczywiście znane są kolejne nowe odkrycia. Przyznaję samokrytycznie, że niektóre szczegóły czy daty, które razem z Peterem Krassą przytaczaliśmy na podstawie ówczesnego stanu wiedzy, z dzisiejszego punktu widzenia trzeba skorygować, np. wiek samej świątyni. Wszystko to jednak w niczym nie zmienia naszej zasadniczej tezy, a mianowicie, że na reliefach wiernie przedstawiono powstawanie „wyładowań elektrycznych”.

Ani Walter Garn, ani Peter Krassa czy ja nie jesteśmy tak zadufani w sobie, by twierdzić, że odkryliśmy „kamień filozoficzny” – wystarczająco dużo jednak świadczy o tym, że mieliśmy rację. Staraliśmy się ułożyć poszlaki w pewien ciąg. Ten ciąg umacnia przedstawioną przez nas hipotezę, że kapłani egipscy znali sposoby wytwarzania i użycia elektryczności¹⁴.

Brak dowodów przeciwnych

Oczywiście nikt nie ma obowiązku podzielać argumentów przytoczonych przez nas na poparcie hipotezy o elektryczności. Niemniej posługiwanie się pogmatwaną symboliką, bez prób zrozumienia prawdziwych źródeł jej powstania i jej wielopoziomowych znaczeń, w żaden sposób nie może stanowić dowodu na nieprawdziwość hipotezy o elektryczności.

Słowa krytyki, jakich przychodzi nam wysłuchiwać, nie brzmią specjalnie pochlebnie: „Niemożliwa do podtrzymania, żalсна teoria o żarówkach przedstawionych rzekomo na reliefach w Denderze, teoria, w której dosłownie nic się nie zgadza”, „Nie ma w tym nic zagadkowego czy czegoś, co nie byłoby wyjaśnione”, hipotetyczne zaś konsekwencje naszej teorii miałyby być podobno takie, że „bóg słońca zjeżdżałby przez niebiosy na kablu do świata podziemnego” a „w ogrodach starożytnych Egipcjan nie hodowano by kwiatów lotosu, tylko oprawki do żarówek”.

W tego typu argumentacji specjalizuje się szczególnie niemiecki archeolog amator Rainer Lorenz, który odgrywa w Internecie rolę samozwańczej wyroczni orzekającej, co jest „dobrą”, a co „złą” książką, kto pisze „prawdę”, a kto same „bzdury”. Jedyne, co daje się tutaj zauważyć, to niekwestionowany przerost poczucia własnej wyższości. Widać wyraźnie, że autor wcale nie zajmował się próbami technicznej interpretacji reliefu z Dendery.

Z drugiej bowiem strony cóż to za przekonujące „rzeczowe kontrargumenty”, kiedy mówi się o „obiektach kultowych”, „symbolach mitycznych i teologicznych”, „kultowym zastosowaniu”, „bogach ukazanych w formach symbolicznych”, „absolutnie typowych przykładach kultury kosmoteicznej i symbolicznej”? Krytycy wskazują, że w tekstach z Dendery nie znaleziono najmniejszej wzmianki o „przedstawieniach żarówek”, a więc, stwierdza się triumfalnie, „nawet ostatni laik powinien umieć pojąć, że podejście typu «wygląda jak coś technicznego» się nie sprawdza. Nie ma najmniejszej bodaj wskazówki, która dałaby się zinterpretować w sposób techniczny – nawet przy użyciu najbardziej ordynarnych metod naginania faktów”¹⁵.

I tu sceptycy są w błędzie. Wystarczy przypomnieć sobie, że w tekście podaje się dokładne wymiary i rodzaje użytych materiałów. Wiele opisów mitologicznych, takich jak „świecący wąż” (określany niekiedy mianem „Harsomtus”), bardzo wyraźnie pokazuje, że w przypadku przypominających żarówki obiektów w żadnym razie nie może chodzić o jakieś „cykle słoneczne”. Przedstawione na płaskorzeźbach przedmioty musiały istnieć naprawdę. I tu zamyka się krąg zbieżności mitologicznych, albowiem istnieją

starożytne przekazy, w których jest mowa o „wiecznie płonących lampach” i „cudownych kagankach”.

Jeszcze jedna rzecz wydaje mi się istotna. Ponieważ doktor Waitkus, tłumacz tekstów z Dendery, z założenia nie przyjmował do wiadomości „interpretacji elektrycznej”, w żaden sposób nie miał szans na stworzenie przekładu, który byłby zrozumiały pod względem technicznym! Twierdzą ponadto, że gdybyśmy przedstawili teksty hieroglificzne niezależnie 10 różnym egiptologom, prosząc o dokonanie przekładu, to w efekcie otrzymaliśmy warianty mówiące oczywiście wyłącznie o „symbolach światła i Słońca”, „kulcie bogów” itd., ale pod względem szczegółu byłoby to 10 kompletnie odmiennych ujęć.

Mój niemiecki kolega Eberhard Schneider podaje następujący przykład. Najpierw cytuje przekład oryginału tekstu znajdującego się na reliefie obok „przypominającego żarówkę obiektu”. Według Waitkusa znaczy on dosłownie: „Słowa mówią o Harsomtusie, wielkim bogu, który przebywa w Denderze, żywy Ba w lotosie dziennej barki”.

Zdaniem Schneidera łatwiejsze do zaakceptowania byłoby bardziej swobodne tłumaczenie, brzmiące mniej więcej tak: „Mowa jest tutaj o stworzeniu światła, wielkiej boskiej mocy, która jest zadomowiona w Denderze; zjawiska żyjącego w przypominającym kielich kwiatu zakończeniu miedzianego sznura”.

Nowoczesny egiptolog, który nie odrzuca z góry „interpretacji elektrotechnicznej”, odważyłby się być może na jeszcze bardziej współczesną wersję: „Przedstawiono tutaj wytwarzanie sztucznego światła, wspaniałego przejawu boskiej mocy, praktykowane w Denderze; chodzi tu o wyglądające jak żywe zjawisko, które pojawia się w czymś przypominającym kielich kwiatu na końcu miedzianego drutu”.

Eberhard Schneider zupełnie przypadkiem był świadkiem pierwszych przymiarek do tłumaczenia, jakie miały miejsce w fazie przygotowań do napisania pracy doktorskiej. Pamięta, że Waitkus przyniósł tłumaczenie, nie do końca będąc przekonany, czy dobrze oddał znaczenie, i w sali Instytutu Egiptologicznego w Hamburgu analizował teksty z Dendery z profesorem Dieterem Kurthem. W tym samym czasie Schneider czytał w pobliżu materiały do własnej pracy. Zaobserwował, jak obaj egiptolodzy naradzają się, czy konkretne miejsca tekstu przetłumaczyć w taki sposób, czy może w inny, i wcale nie sprawiali wrażenia, jakby byli specjalnie pewni swego i wiedzieli w stu procentach, co on znaczy¹⁶.

Autorom takim jak ja zarzuca się, że jakoby „nawołujemy do walki z nauką”. Takie twierdzenie może być podyktowane tylko albo złą wolą, albo jakimś nieporozumieniem, bo przecież jest odwrotnie. Całym sercem jestem za tym, żeby w przypadku reliefu z Dendery zebrać wszelki dostępny materiał, teksty i obrazy i poddać je naukowej analizie uzupełnionej stosownymi pracami wykopaliskowymi. Jestem jednocześnie jak najgłębiej przekonany, że aby dotrzeć do prawdy, analiza ta musiałaby się odbyć nie tylko pod jednostronne dyktando obowiązującej doktryny egiptologicznej, lecz także dopuszczać nowe punkty widzenia, jak choćby sprawdzenie pod kątem ewentualnej technicznej wiedzy naszych przodków.

Poglądy na temat znaczenia przedstawienia z Dendery oraz towarzyszących rysunkom hieroglifów są podzielone. Niemniej powinniśmy dołożyć starań, by przebadać dostępny materiał sumiennie, ale też i w sposób wolny od emocji, wypracowując pewien obiektywny ogólny sąd na temat spójności poszczególnych interpretacji. Należy starannie rozważyć wszelkie za i przeciw. W tym celu jednak wszyscy uczestnicy takich badań musieliby wykazać gotowość współpracy z przedstawicielami innych niż ich własna dziedzin wiedzy, a nie z góry odrzucać „interpretację techniczną” jako „bzdurę” tylko dlatego, że zupełnie nie pasuje ona do obiegowych stereotypów. Czy egiptolodzy podchwycą tę sugestię? Tak bez uprzedzeń? Z naukowej ciekawości? Czy ktoś wreszcie rozjaśni światłem mroki naszej niewiedzy?

Reinhard Habeck

Elektryczność w starożytnym Egipcie?

Rozważania nad możliwością wyjaśnienia technicznego

Czy Egipcjanie w czasach Starego Państwa dysponowali wiedzą pozwalającą na wytwarzanie i stosowanie energii elektrycznej?

W ramach badań paleo-SETI sformułowano w tej kwestii kilka teorii, popierając je pewnymi przykładami. I tak np. doktor Eva Auf¹ przypuszcza, że podwójna korona władców Górnego i Dolnego Egiptu była wyposażona w „baterię-ureusza” do wytwarzania ładunków elektrycznych. Reinhardt Habeck² natomiast i Peter Krassa³ mówią o „żarówce” z Dendery.

Kiedy poddajemy krytycznej analizie teorii, jakoby w Egipcie czasów faraonów znane były sposoby wytwarzania i stosowania energii elektrycznej, rodzi się wiele pytań, na które bardzo trudno odpowiedzieć z dzisiejszego punktu widzenia.

Dwa zasadnicze pytania

1. Czy starożytni Egipcjanie rzeczywiście byli w stanie przekształcać jakieś przejawy energii (np. światło, ciepło, ruch) w energię elektryczną? Jeśli tak, to następne pytanie brzmi, jak to robili?

Próba odpowiedzi:

Generalnie rozróżniamy elektryczność statyczną (magazynowanie ładunków, np. na okładkach kondensatora) i energię elektryczną (ładunki ruchome, np. jako prąd płynący w przewodach).

Do zmagazynowania ładunków potrzebny jest jednorazowy dopływ energii (naładowanie idealnego kondensatora). Źródło elektryczne nie musi być zatem dostępne przez cały czas. Natomiast do uzyskania energii elektrycznej potrzebne jest stałe źródło dostarczające prąd. Wiele przemawia za tym, że w starożytnym Egipcie do uzyskania określonych efektów korzystano raczej (jeśli w ogóle) z elektryczności statycznej (uzyskiwanej przez pocieranie różnych materiałów i następnie magazynowanej).

2. W jakim celu starożytni Egipcjanie stosowali takie techniczne środki pomocnicze? Mogły służyć do celów religijnych lub do demonstrowania potęgi faraona. Także tutaj pojawia się pewne pytanie, mianowicie czy konieczny był do tego stały, czy tylko krótkotrwały dopływ energii.

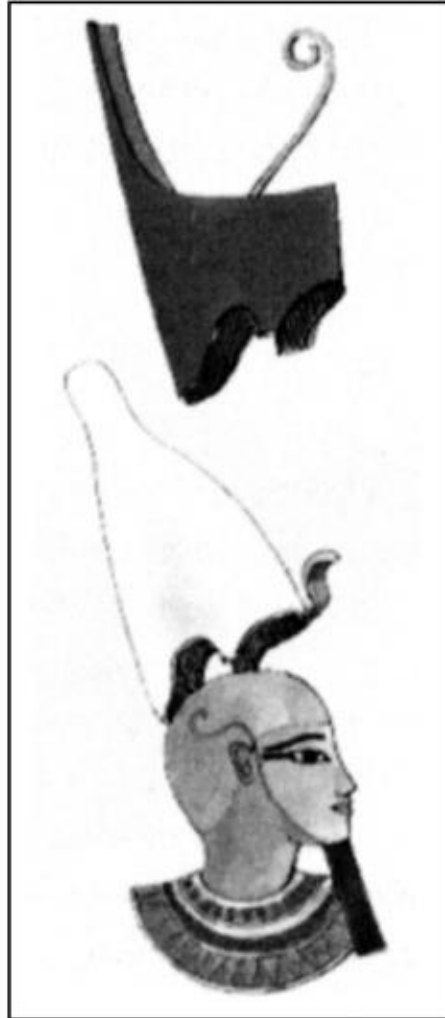
Próba odpowiedzi:

Do zademonstrowania potęgi faraona wystarczył z pewnością jednorazowy pokaz, dający się powtórzyć przy najróżniejszych okazjach. Przemawia to za wykorzystaniem (jeśli w ogóle) elektryczności statycznej. To właśnie rozwiązanie proponują zresztą także Peter Krassa i Reinhardt Habeck.

Korona królewska i „bateria-ureusz”



Il. 1. Podwójna korona Górnego i Dolnego Egiptu.



Il. 2. Biała korona z przymocowanym z przodu węzem-ureuszem i umieszczona na niej czerwona korona z metalową

Podwójna korona władcy Górnego i Dolnego Egiptu (patrz il. 1) była symbolem zjednoczenia kraju i z pewnością noszono ją tylko przy specjalnych okazjach. Poza tym zastrzeżona była dla boga Horusa przedstawianego z głową sokoła, który często występował w takiej podwójnej koronie (il. 3). Składała się ona z białej korony Górnego Egiptu i czerwonej Dolnego Egiptu. Jak widać na ilustracji 2, na głowę nakładano najpierw białą koronę z umieszczonym z przodu węzem-ureuszem, a następnie nasuwano na nią czerwoną koronę z metalową (złotą?) spiralą⁴. Możliwe że wąż-ureusz łączył je ze sobą⁵ spiralą.



Il. 3. Bóg Horus z głową sokoła w podwójnej koronie.

Doktor Eva Auf przypuszcza, że w przypominającą wazon koronę Górnego Egiptu wmontowana była „bateria wysokiego napięcia”. Jak ta bateria miałyby funkcjonować? Przy takiej konfiguracji mogło (jeśli w ogóle) chodzić jedynie o akumulator, który jako źródło napięcia nie byłby zbyt wydajny. W jaki sposób niewielki prąd stały takiego akumulatora („bateria-ureusz”) miałyby być przekształcany w wysokie napięcie? A to przecież jest niezbędne, jeśli korona miałyby wytwarzać „wyładowania elektryczne”. Wymaga to już dość zaawansowanej techniki. Czy starożytni Egipcjanie dysponowali takimi rozwiązaniami technicznymi?

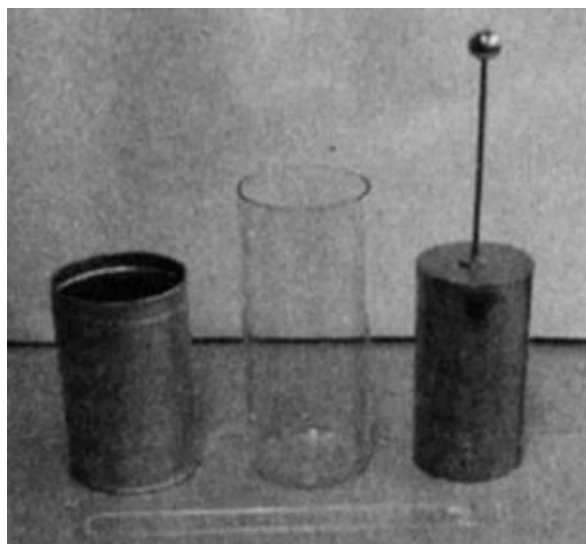
Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że raczej nie.

Przede wszystkim musieliby skonstruować wydajne źródło napięcia, a wytworzenie wysokiego napięcia, np. takiego, jakie daje urządzenie zapłonowe silnika spalinowego, wymagałoby solidnej wiedzy obejmującej prawo indukcji itd. Akumulator musiałby zasilać uzwojenie pierwotne prądem o dość dużym napięciu i dostarczać go przez cały czas, a wtedy poprzez indukcję w uzwojeniu wtórnym wzbudzałoby się wysokie napięcie. Najprawdopodobniej tego Egipcjanie z czasów Starego Państwa jednak nie potrafili.

Jeśli jednak opanowaliby sposoby przekazywania ładunków i magazynowania ich, to taki akumulator w ogóle nie byłby im potrzebny. Aby doprowadzić do wyładowania w suchym powietrzu na odległość około 5 centymetrów (byłaby to już nader efektowna demonstracja potęgi faraona) wystarczy napięcie rzędu 50 000 volt. Zwykły generator Van de Graaffa, stosowany do demonstracji na lekcjach fizyki, bez problemu takie właśnie napięcie wytwarza, przetwarzając energię ruchu (dostarczaną przez kręcenie korbką) w energię elektryczną poprzez tarcie, co prowadzi do powstania nadmiaru ładunku (przekazanie ładunku)⁶. Ładunek taki można zmagazynować w kondensatorze (podwójna korona?). Krótkotrwałe wyładowanie (np. między końcem białej korony a metalową spiralą czerwonej) prowadzi do powstania pożądanego efektu świetlnego w momencie przybliżenia metalowej spirali w stronę czubka białej korony.

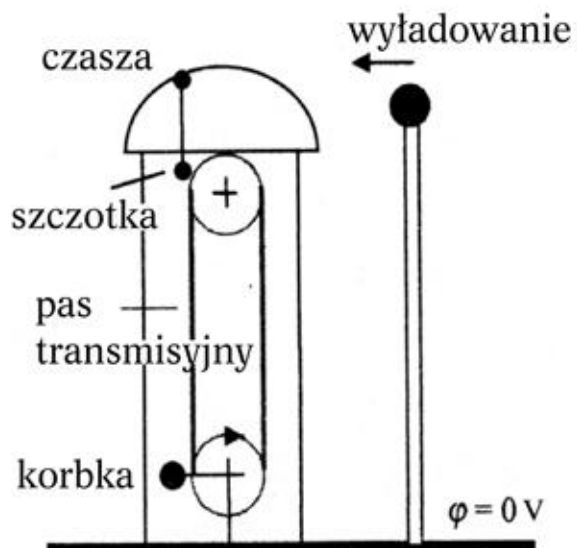
Kolejny plus takiego „rozwiązania technicznego” polega na tym, że faraon nie musiałby nosić na głowie całego akumulatora wypełnionego np. kwasem czy ługiem („bateria-ureusz”). Takie urządzenie byłoby zbyt ciężkie i niebezpieczne. Lepszy byłby zestaw, który wcześniej jednorazowo się ładuje. Jeśli zadbamy, aby nie doszło do przedwczesnego wyrównania potencjałów, można w odpowiednim momencie wywołać zamierzony efekt wyładowania poprzez zmniejszenie odległości między obiema koronami, np. przez zbliżenie metalowej spirali drugiej korony.

Chociaż niezbyt wierzę w podwójną koronę jako urządzenie do wytwarzania wyładowań elektrycznych, chciałbym jednak podać krótki opis wykazujący techniczną realność takiego zastosowania.



Il. 4. Kondensator cylindryczny.

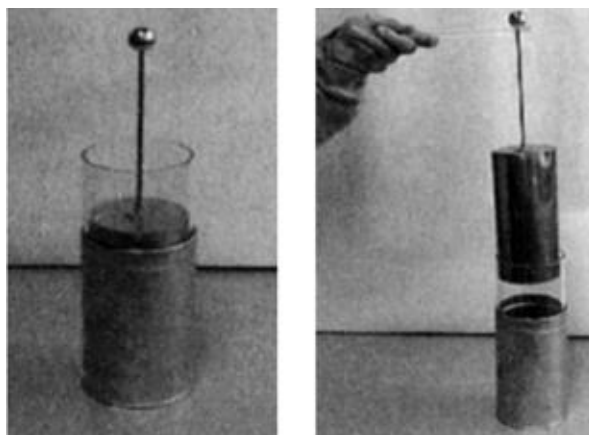
Konstruujemy urządzenie na wzór kondensatora cylindrycznego zgodnie z ilustracją 4. Kondensator taki składa się z dwóch cylindrów o różnych średnicach, które można w siebie wsuwać. Między wewnętrzną ścianką cylindra zewnętrznego a zewnętrzną ścianką cylindra wewnętrznego znajduje się materiał izolacyjny o odpowiednim współczynniku przenikalności ϵ .



Il. 5. Zasada działania generatora Van de Graaffa.

Cylindryczne urządzenie można naładować za pomocą generatora Van de Graaffa (il. 5), przekształcającego energię tarcia w energię elektrostatyczną. Polega to na przesuwaniu umieszczonej na rolkach taśmy za pomocą ruchów korbki, co powoduje, że dotykająca taśmy szczotka przenosi ładunki powstające wskutek tarcia na czaszę, gdzie zostają one zmagazynowane. Przesunięcie ruchomej dźwigni na pozycję potencjału zerowego powoduje rozładowanie urządzenia.

Kondensator cylindryczny ładuje się, dotykając krótko czaszy generatora, przy czym kondensator musi być w stanie złożonym. Ilustracja 6 pokazuje model składający się z dwóch blaszanych puszek i pojemnika ze szkła kwarcowego, który wstawia się do środka większego cylindra, po czym do szklanego pojemnika wstawia się mniejszy cylinder. Ładunki przenoszone są z generatora przez kulkę umieszczoną na pręcie przymocowanym do wewnętrznego cylindra.



Il. 6. Kondensator cylindryczny w działaniu, z lewej: złożony, z prawej: części składowe.

Po naładowaniu można mniejszy cylinder wyjąć, posługując się jakimś narzędziem pokrytym izolacją (zob. il. 6.). Ponowna aktywacja urządzenia następuje w momencie wstawienia mniejszego cylindra do szklanego pojemnika umieszczonego w większym cylindrze.

Użycie generatora taśmowego do ładowania zestawu nie jest absolutnie konieczne. Z pewnością są też inne sposoby przetwarzania energii tarcia w energię elektrostatyczną. Nie ulega wątpliwości, że starożytni Egipcjanie mieli spore doświadczenie z efektami zachodzącymi podczas tarcia (choćby szlifowania granitowych bloków np. podczas budowy piramid). Niemniej

(przynajmniej w moim odczuciu) należy wątpić, by tego rodzaju urządzenie kiedykolwiek przyjęło postać podwójnej korony i aby faraon nosił takie urządzenie na głowie. Z pewnością bowiem miał znacznie lepsze sposoby zademonstrowania swojej boskości.

Relief z Dendery

W czasie mojego pierwszego (i następnych) pobytu w świątyni Hathor w Denderze szczególnie zachwyciły mnie reliefy umieszczone na ścianach krypty. Kolejny odkryłem w jednym z bocznych pomieszczeń parteru świątyni (zob. il. 7). Wszystkie one pokazują przypominający żarówkę przedmiot spoczywający na postumencie (filar dżed) i podtrzymywany za koniec przez kapłana lub faraona. We wnętrzu żarówkopodobnej bańki widać wijące się ciało węża. Po prawej stronie stoi Tot, bóg mądrości i nauk, w postaci pawiana. Po bliższym przyjrzeniu się doszedłem do podobnego wniosku, co R. Habeck: „To przecież wygląda zupełnie jak...”!

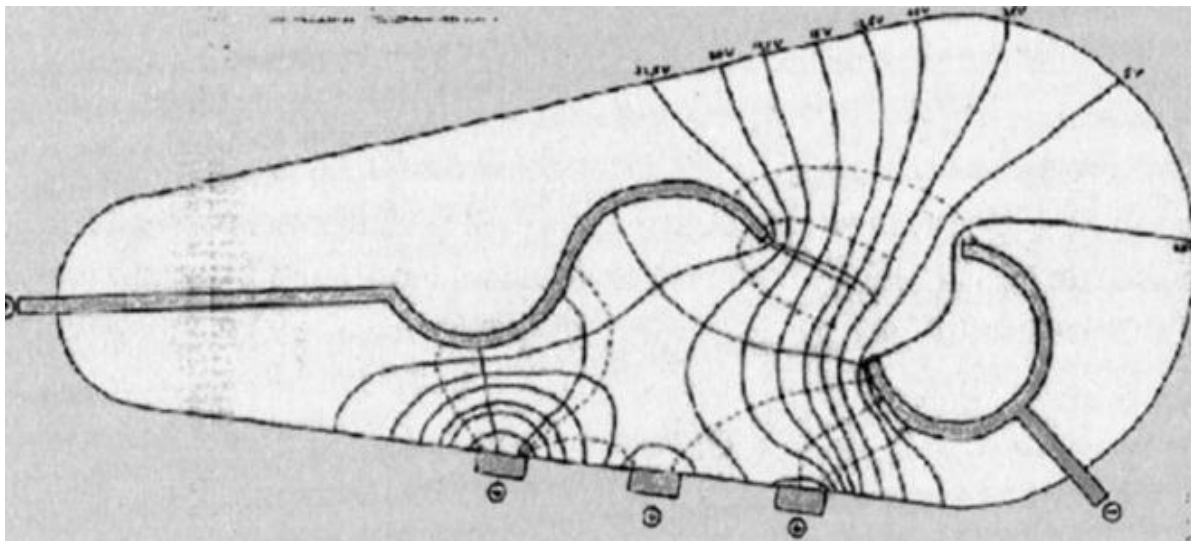


Il. 7. „Żarówka” z Dendery na ścianie jednego z bocznych pomieszczeń parteru świątyni Hathor.

Podobieństwo do współczesnego urządzenia elektrycznego jest rzeczywiście zdumiewające. Filar dzed (symbol ciągłości i stałości) wygląda zupełnie jak izolator, na którym spoczywa ogromna „żarówka”. Do oprawki żarówki (kwiat lotosu) prowadzi coś w rodzaju kabla, a w jej wnętrzu widać węża, przypominającego wyładowanie elektryczne.

Z pewnością na reliefie nie przedstawiono urządzenia oświetleniowego, niemniej jest możliwe, że tego rodzaju węzopodobnych wyładowań używano w czasie ceremonii religijnych. I znów pojawia się przy okazji pytanie o dostępność energii elektrycznej. Gdyby miało to być urządzenie oświetlające, wymagałoby stałego dopływu prądu. Do jednorazowego wyładowania w formie węża natomiast niezbędna jest „jedynie” energia elektrostatyczna, którą można wytworzyć przed ceremonią za pomocą tarcia i zmagazynować w kondensatorze. Czy w Denderze (bo tylko tam widnieją na ścianach takie przedstawienia) potrafiono to robić?

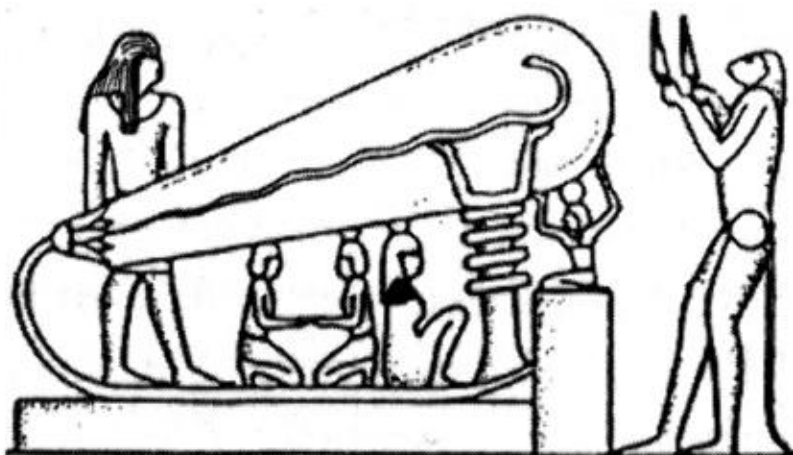
Jeśli takie urządzenie miałyby być używane podczas ceremonii religijnych, to poza przypominającym węża wyładowaniem przydałby się jeszcze „węzowy ruch” (zwłaszcza głowy). Można by to osiągnąć za pomocą elektrod pomocniczych z regulacją potencjału elektrycznego.



Il. 8. Model pól elektrycznych w „żarówce” z Dendery.

Ilustracja 8 przedstawia model pól elektrycznych umożliwiający symulację zmiennego przepływu prądu. W tym celu przenosimy badany układ na przewodzący papier (biała powierzchnia na il. 8). Jasnoszara powierzchnia na zewnątrz „lampy” jest nieprzewodząca. Teraz наносimy elektrody ze srebra

(ciemnoszare). Jeśli teraz przyłożymy napięcie do obydwu elektrod (np. „+” z lewej, do „oprawki” i „-” z prawej, do „widełek”), to na powierzchni przewodzącego papieru wytworzy się pole elektryczne. To pole można zmierzyć za pomocą miernika potencjałów lub natężenia i przedstawić graficznie. Powstają linie o jednakowym potencjale (linie ekwipotencjalne i linie pola). Linie pola mają wektor o kierunku do największego spadku potencjałów i uwidoczniają kierunek przepływu prądu. Jeśli teraz do elektrod pomocniczych (il. 8) przyłożymy napięcie dodatnie lub ujemne, to w zależności od wybranej polaryzacji zmieni się przebieg linii pola. „Wąż” zacznie poruszać „głową”. Będzie też poruszał ciałem, jeśli główna elektroda po lewej stronie (przy „oprawce”) miałaby kształt półkuli.



Il. 9.

Włączając elektrody pomocnicze, można też sprawić, że „wąż” podniesie „głowę” do góry. Ilustracja 9 pokazuje, że Tot trzyma w dłoniach dwa noże, które mogłyby być takimi właśnie elektrodami pomocniczymi. Stoi on na płycie, która musiałaby mieć zerowy potencjał (na il. 8 symbolizowany przez „-”). Tak więc wszystko wygląda co najmniej tak, jakby...

Profesor doktor Rainer Ose

Energia elektryczna

Źródło napięcia ma zdolność przyśpieszania ładunków elektrycznych dzięki wewnętrznym procesom fizycznym. Zasila ono

dołączony do niego odbiornik zarówno napięciem, jak i energią, czyli dostarcza do odbiornika moc.

Źródło energii elektrycznej to element techniczny służący do przekształcania różnych form energii w energię elektryczną. Wskutek oddziaływania np. energii cieplnej, energii światła, energii chemicznej itd. ładunki elektryczne uzyskują energię.

Do podtrzymania dopływu prądu (przenoszenie ładunków w jednostce czasu) źródło musi cały czas dysponować energią elektryczną. Energię tę określa się mianem prądu stałego lub prądu zmiennego.

Do zmagazynowania ładunku elektrycznego „Q” potrzebny jest natomiast tylko jednorazowy dopływ energii. Kondensator o pojemności „C” magazynuje energię elektrostatyczną, kiedy zostanie naładowany ze źródła napięcia albo kiedy na jego obydwu okładkach rozdzieli się ładunki dodatnie i ujemne.

W czasie ładowania ze źródła energii elektrycznej ładunki zostają przeniesione i zmagazynowane odpowiednio do swojego znaku na jednej z dwóch okładek kondensatora. W czasie rozdzielania ładunków wystarczy wykorzystać tylko jeden rodzaj nośnika ładunków (np. wyładowanie, które można zainicjować przez pocieranie) i wprowadzić na okładkę kondensatora. Wskutek zjawiska indukcji na drugiej okładce powstaje wówczas równoważny ładunek o przeciwnym znaku. Kondensator zostaje wówczas naładowany do napięcia $U = Q/C$ i magazynuje energię elektrostatyczną $W_{el} = 0,5 \times C \times U^2$.

Tę zmagazynowaną energię kondensator oddaje w momencie wyładowania, kiedy częściowo lub całkowicie zatrzyma się oddziaływanie (pojmowanego jako wielkość idealna) materiału izolującego od siebie obie okładki kondensatora (tzw. dielektryka). Dlatego też wyładowania elektryczne mogą mieć miejsce także w powietrzu, jeśli obniży się własności izolacyjne powietrza (np. przy zwiększonej wilgotności itd.) albo jeśli kondensator został naładowany stosunkowo wysokim napięciem i odległość między okładkami zostanie zmniejszona (łuk elektryczny). Wiadomo, że przy niewielkiej wilgotności powietrza do uzyskania wyładowania o długości 1 milimetra potrzeba napięcia 1000 wolt.

Medycyna ratunkowa w starożytnym Egipcie

Próby z narzędziem z Papirusu Hunefera na manekinie

Wydaje się, że w czasach faraonów egipscy lekarze dysponowali już zdumiewająco nowoczesną wiedzą medyczną. Do takiego wniosku doszedł w 1995 roku doktor Andreas Ocklitz, kiedy prezentował nową hipotezę dotyczącą interpretacji rytuału tzw. otwarcia ust¹. Stanowił on element ceremonii pogrzebowej. Najbardziej znana ilustracja znajduje się w Papirusie Hunefera (Nowe Państwo, około 1300 p.n.e.)².

Uwagę Ocklitz zwróciło podobieństwo „metalowego narzędzia”, którym kapłani dokonywali „otwarcia ust” mumii, do współczesnego laryngoskopu. Swoim kształtem bowiem ów staroegipski przedmiot do złudzenia przypomina współczesne łyżki laryngoskopowe, jakie w początkach XX wieku opracowali Magill³ i Jackson⁴.

Hipoteza Ocklitz brzmiała, że rytuał „otwarcia ust” odzwierciedla rzeczywiste procedury resuscytacyjne znane w czasach staroegipskich (około 2000 lat przed powstaniem Papirusu Hunefera). Później sztuka resuscytacji miała pójść w zapomnienie, zachowując się jedynie w formie ceremoniału religijnego.

Weryfikacja teoretyczna

Opierając się na zaprezentowanej przez Ocklitz interpretacji rytuału „otwarcia ust” jako reliktu procedur medycyny ratunkowej, usiłowaliśmy odnaleźć dalsze wskazówki na temat zabiegów resuscytacyjnych w starożytnym Egipcie. W tym celu przeszukaliśmy bazę publikacji medycznych „Medline” za lata 1965–1966 pod kątem haseł: „ancient” and „Egypt” oraz „tracheotomy”, „tracheostomy”, „intubation” i „ancient” „history”.

Ponadto przejrzeliśmy książki na temat medycyny w starożytnym Egipcie. Nasza kwerenda jest niekompletna w tym sensie, że nie szukaliśmy w czasopiśmie egiptologicznych.

Dwie tablice z okresu wczesnodynastycznego (władcy Aha i Dzer, około 3000 roku p.n.e.) ukazują siedzącą osobę z ramionami związanymi na plecach, w której pierś lub szyję druga osoba kieruje nóż. Niektórzy autorzy interpretują to jako tracheotomię (nacięcie tchawicy). Po raz pierwszy taką interpretację zaprezentował Vladimir Wikentiev w 1949 roku. Inni autorzy widzą tutaj ofiarę z człowieka lub są niezdecydowani⁵. Na marginesie należy zauważyć, że egipski historyk Maneton (czasy ptolemejskie, około 280 roku p.n.e.) pisał o wspomnianym wcześniej władcy Dzer, jakoby był on lekarzem i autorem ksiąg anatomicznych.

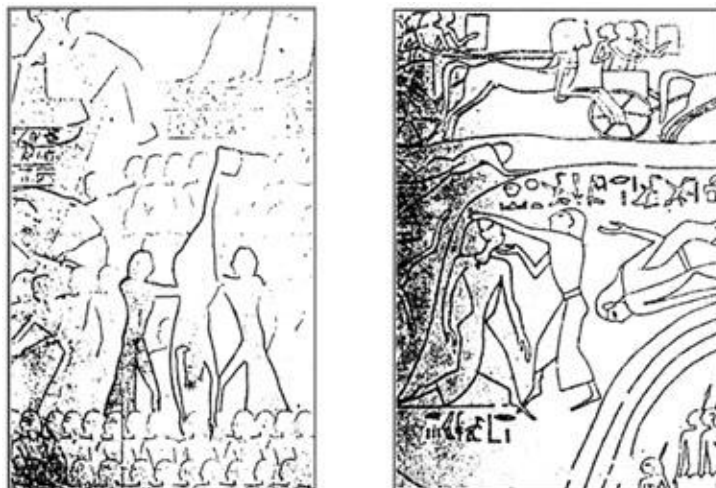
Papirus Smitha znany jest także jako „księga cudów”. Zachowany egzemplarz pochodzi z około 1550 roku p.n.e. i jest najprawdopodobniej kopią znacznie starszego dokumentu, z którego zachowało się 48 opisów leczenia głowy, szyi, rąk i klatki piersiowej. Przypuszczenie o znacznie starszym rodowodzie tego papirusu egiptolodzy wysnuwają z przypisów, w których wyjaśnia się wyrażenia niebędące już w użyciu około 1550 roku p.n.e.⁶. Westendorf pisze, że „analiza językowa wskazuje bez wątplenia jako czas powstania okres Starego Państwa (około 2500 roku p.n.e.)”. Nie wszyscy jednak uczeni podzielają ten pogląd.

W bardzo współczesny sposób w Papirusie Smitha przedstawia się historię choroby i oględziny ciała, a następnie stawia diagnozę (tzn. nazywa się chorobę lub rodzaj urazu) i prognozuje:

- uleczalne („choroba, którą podejmuję się wyleczyć”),
- wątpliwe („choroba, którą spróbuję zwalczyć”),
- nieuleczalne („choroba, której nie można wyleczyć”).

Następnie wybiera się sposób leczenia: opatrunki, szycie lub leki.

Przypadek numer 7 opisuje ranę głowy ze szczękosciskiem jako jej efektem. Aby można było żywić pacjenta, doradza się, „aby zrobiono dłuto, które owinie się materia i użyje przy jego ustach [podobnego dłutopodobnego narzędzia używa się w czasie ceremonii „otwarcia ust” przy mumii lub posągu zmarłego]” (przekład i komentarz Westendorfa).



Il. 1. Zastosowanie metody inwersji w czasach Ramzesa II (z lewej).
 Il. 2 Metoda udrażniania dróg oddechowych w czasach Ramzesa II (z prawej).

Dwie sceny ze świątyni Ramesseum (około 1200 roku p.n.e.) ukazują resuscytację (niedoszłego) topielca (il. 1 i 2). Pierwszy obrazek pokazuje zarzuconą już dzisiaj metodę inwersji: pacjent zostaje uniesiony za nogi do góry, żeby usunąć z ciała wodę. Drugi obrazek pokazuje sposób, którego uczymy się na każdym kursie pierwszej pomocy, a służący udroźnieniu dróg oddechowych: odchylenie głowy pacjenta do tyłu z jednoczesnym uniesieniem podbródka.

Ściśle mówiąc, reliefy przedstawiają Hetytów dokonujących resuscytacji związanego z nimi sojuszem księcia, lecz Hetyci po zawarciu pokoju zwrócili się z prośbą do Ramzesa II o udzielenie porad medycznych. Dlatego można przyjąć, że ich znajomość medycyny nie przewyższała egipskiej i Egipcjanie również znali tę metodę.

Przytoczone dokumenty dowodzą zatem istnienia w Nowym Państwie (1550–1100 p.n.e.) umiejętności sztucznego odżywiania oraz udroźniania górnych dróg oddechowych. Zaawansowane metody resuscytacji widzimy natomiast w spornych wciąż scenach tracheotomii z okresu wczesnodynastycznego (około 3000 roku p.n.e.). Z okresu największego rozkwitu cywilizacji starożytnego Egiptu (okres piramid, około 2500 roku p.n.e.) pochodzą świadectwa potwierdzające istnienie bardzo zróżnicowanej „służby zdrowia” (lekarze specjaliści, stopnie wtajemniczenia), nie zachowały się jednak fachowe traktaty medyczne z tamtych czasów.

Westendorf pisze: „Podobnie jak tyle innych dziedzin kultury egipskiej (pismo, kalendarz, architektura, rzeźba, reliefy i malarstwo, dogmat o boskości

władcy, administracja państwowa), także medycyna jako nauka wychodzi na światło dzienne historii w szczytowym momencie swojego rozwoju”.

Eksperyment

Poprawność założeń teoretycznych najlepiej sprawdzić podczas praktycznego eksperymentu⁷. W 1995 roku firma RFQ-Medizintechnik z Tuttlingen sporządziła na nasze zlecenie pierwszą kopię narzędzia, wykorzystując stal szlachetną o grubości 2 milimetrów. Dla uzyskania rzeczywistej skali wielkości przyjęliśmy, że wzrost kapłana trzymającego instrument wynosi 160 centymetrów⁸. Nie sugerowaliśmy się wyglądem współczesnych narzędzi z chirurgicznego instrumentarium, nie wbudowywaliśmy źródła światła.



Il. 3. Intubacja za pomocą staroegipskiego narzędzia pierwszej pomocy.

Przetestowaliśmy narzędzie początkowo na manekinie Laerdal Airway Management Trainer (il. 3). Jest to specjalny manekin treningowy, przeznaczony dla początkujących, do ćwiczenia metod udroźniania dróg oddechowych, m.in. zakładania rurki intubacyjnej. Ponadto służy on do sprawdzania skuteczności nowych przyrządów lub metod sztucznego oddychania, przed zastosowaniem ich na pacjentach⁹.

W 1996 roku zlecieliśmy firmie Schreinerei Herrmann z Mannheim wykonanie (również z zachowaniem skali) drugiej kopii, z drewnianym uchwytem 2 x 4 centymetry. Podobnie jak w pierwszym modelu, sama „łyżka” była ze stali o grubości 2 milimetrów i miała u podstawy szerokość około 3 centymetrów, a na końcu około 2 centymetrów.

Należy zwrócić uwagę, że znane nam egipskie przedstawienia ukazują „narzędzie” jedynie z boku, tak że szerokość została dobrana uznaniowo. Również w kwestii grubości narzędzia panuje „swoboda artystyczna”, ponieważ:

- interpretacja oparta ściśle na proporcjach rysunków dałaby grubość 2 centymetrów u podstawy i 1 centymetra na końcu. Obecnie takich grubości (nieprofilowanych) nie stosuje się w żadnych tego typu instrumentach;
- rytuał „otwarcia ust” w czasach Hunefera był już czynnością czysto symboliczną, stąd sam instrument stanowił jedynie model pierwowzoru;
- jest możliwe, że cienka w istocie łyżka została pogrubiona przez ilustratora papirusu, aby była wyraźniej widoczna.

Dwudziestego pierwszego września 1996 roku przy użyciu tego modelu przeprowadziliśmy serię testów na wspomnianym już manekinie do nauki intubacji, z tym że na nasze potrzeby użyliśmy manekina z pełnym ciałem, ponieważ wydało nam się to niezbędne do oddania rzeczywistych warunków oświetleniowych. Manekin leżał na podłodze sali ćwiczeń, zwrócony głową do okna. Za źródło światła służyło wyłącznie rozproszone światło dzienne.

Po krótkim instruktażu każda z czterech osób (obydwaj autorzy i dwoje studentów medycyny) trzykrotnie bez niczyjej pomocy zaintubowała manekina kopią staroegipskiego instrumentu. Wypróbowano następujące pozycje: siedząca od strony głowy, okrakiem nad tułowiem manekina, klęcząca obok manekina.

Jakkolwiek oświetlenie było znacznie gorsze niż w przypadku współczesnego laryngoskopu, który ma wbudowaną lampę, dało się rozpoznać zarysy krtani. Intubacja zajmowała średnio 9,5 sekundy. Najdłuższy czas dokonania intubacji to 14,4 sekundy. Wszystkie intubacje zostały przeprowadzone bezbłędnie (prawidłowa pozycja rurki intubacyjnej po wprowadzeniu, żadnych uszkodzeń zębów). Dopuszczalny w przypadku rzeczywistych pacjentów czas dokonania intubacji wynosi 30 sekund, tak więc utrzymanie się w tym limicie przy intubacji za pomocą zrekonstruowanego narzędzia było wykonalne¹⁰.

Doświadczenie to nie może stanowić dowodu na prawdziwość hipotezy Ocklitz, niemniej jednak wydaje nam się istotną informacją, że zaintubowanie

pacjenta przy wykorzystaniu egipskiego narzędzia jest faktycznie wykonalne.

„Jeśli prawdziwa jest teza, że rytuał otwarcia ust to symboliczne użycie rurki intubacyjnej – pisaliśmy w naszej książce w 1977 roku – to stanowi ona przełom w historii medycyny oraz w egiptologii”¹¹. Nasze pogłębione badania sprawiły, że teza ta stała się jeszcze bardziej prawdopodobna^[2].

doktor Wolfgang Maleck i doktor Katharina Kötter

III. Zagadkowy Orient

Sekret Gilgamesza

Pozaziemskie tło sumeryjsko-akadyjskiej poezji epickiej

W *Eposie o Gilgameszu*, mającym źródła sumeryjskie, jest mowa o tzw. istotach DIN.GIR, które dla wygody we wszystkich przekładach nazywane są „bogami”. W toku analizy językowej udowodniłem już w innym miejscu¹, że babilońskie znaki pisma klinowego DIN.GIR dają się wywieść od dwóch sumeryjskich rdzeni: DIN oznacza w formie rzeczownikowej „najwyższy, sędzia, władca, ten, który decyduje”, a GIR „miecz, przecinające ostrze, ciało latające”. DIN.GIR oznaczało zatem „władcy z ciał latających”.

Epos o Gilgameszu, przypuszczalnie najstarszy przykład poezji epickiej, został zrekonstruowany mniej więcej w 90%. Liczne jego fragmenty zachowane na tabliczkach klinowych w językach sumeryjskim, babilońskim, asyryjskim, hetyckim, huryckim czy zachodniosemickim stanowią podstawę do przekładów na języki współczesne. Pojawiają się oczywiście problemy wynikające ze specyficznych właściwości tych starożytnych języków, różnorodne warianty tekstu oraz wciąż istniejące luki. Jeśli jednak ktoś, tak jak większość badaczy, uważa, że mamy tu do czynienia wyłącznie z typową bohaterską sagą, w której chodzi o rzekome poszukiwania „wiecznego życia”, ten myli się ogromnie. Niestety, profesorowie w zdecydowanej większości nie potrafią nic innego, jak wyznawać taki właśnie pogląd. Jak mi wiadomo z długoletnich doświadczeń, są oni skrupowani dogmatami uniwersyteckimi, które z powodów zasadniczych wykluczają dotąd możliwość uznania wpływu istot pozaziemskich na życie na Ziemi.

Władcy z ciał latających

Tymczasem, jeśli ktoś podejdzie do tych tekstów bez oglądania się na własną karierę, przeanalizuje i porówna ze sobą rozbieżne wersje i umieści je w kontekście tego, co wiemy z ponad 100 000 tabliczek zapisanych pismem klinowym, ten dojdzie do zupełnie innego wniosku: wzmianki na temat osób, rzeczy i wydarzeń o pozaziemskim rodowodzie są tak liczne, a przede wszystkim tak wewnętrznie spójne, że co najmniej ich zasadnicze jądro nie może być wytworem fantazji. Teza ta nic nie traci na doniosłości nawet wówczas, gdy całkiem słusznie zwróci się uwagę, że przynajmniej część z tych przekazów może być wymysłem kapłanów służącym ochronie i powiększaniu wpływów i bogactw danej świątyni; nie traci dlatego, że świątynie i kapłani z dorzecza Eufratu i Tygrysu nie wymyślili przecież sami siebie, tak jak nie zostali wymyśleni kapłani i miejsca kultu we wszystkich innych religiach. Argumentując od drugiej strony, religia, a więc więź z czymś „wyższym”, wymaga istnienia jakiejś osoby założyciela albo przynajmniej jakiegoś niepodważalnego wydarzenia inicjującego.

W sumeryjsko-akadyjskim *Eposie o Gilgameszu* prezentuje się nam takich założycieli i to zarówno w zasadniczej opowieści, jak i – jeszcze wyraźniej – w niezliczonych wielopiętrowo ukrytych wątkach. Chodzi właśnie o DIN.GIR, istoty określane przez Sumeryjczyków mianem „władców z ciał latających”.

Według istniejących przekładów tabliczek z pismem klinowym istoty DIN.GIR odbywały „ruch w górę i w dół” między „niebem” a ziemią. Nie wiemy jednak dokładnie, co Sumerowie mieli na myśli, używając określenia „niebo”. Niestety, zapisane pismem klinowym tabliczki z oryginalnym tekstem, które mogłyby posłużyć do dokładnej analizy, są w większości niedostępne. Instytucje akademickie nie publikują także, z sobie tylko wiadomych powodów, transkrypcji w alfabecie łacińskim...

Na podstawie dostępnych dzisiaj materiałów można uznać, że w tekstach oryginalnych na oznaczenie „nieba” używa się najczęściej tego samego znaku, co na słowo AN. Z etymologicznego punktu widzenia odpowiednikiem słowa AN jest nasze określenie „w górze”. Fakt, że odbywa się komunikacja z czymś „w górze”, nie posuwa nas jeszcze specjalnie do przodu. Jest też jednak pewne, że na „w górze” Sumerowie używali też w oryginalnych tekstach słowa E.DIN. Jak wynika z jego budowy, to trzeba je oddać za pomocą wyrażenia „zbudowane w górze” albo „znajdująca się w górze konstrukcja”. Dopuszczalny i nawet lepszy jest jednak przekład „konstrukcja władców”.

Także kolejne wyrażenie, które zazwyczaj oddaje się w tłumaczeniach słowem „niebo”, mianowicie E.BELIM, również należałoby przełożyć po

prostu jako „konstrukcję Pana”. Mamy zatem na razie tyle: „władcy z ciał latających” odbywają ruch „w górę i w dół” do „konstrukcji władców” lub „konstrukcji Pana”, kojarzonej generalnie z czymś „w górze”.

Dokładniejszą wskazówkę co do pochodzenia istot DIN.GIR może stanowić starosumeryjskie imię jednego z męskich przedstawicieli istot DIN.GIR, którego nazywa się MES.LAM.TA.E.A. Oznacza ono bowiem: „Wielki/Wysoki, pochodzący z LAM”.

Jeśli idzie o LAM, to w niektórych tekstach bywa ono opiewane jako „miejsce przepychu”. My przetłumaczyliśmy to jako „promieniejące/błyszczące/świejące”. Ponieważ według wielu źródeł ten i ów DIN.GIR „objawił się” w MUL.APIN, uczeni skłonili się do interpretacji, że LAM należy szukać w okolicach „gwiazdozbioru Pługa”. MUL.APIN to jednak dokładniej rzecz biorąc, „przedzierający się obiekt niebieski”, co może oznaczać zarówno gwiazdę, jak i kometę lub też błyszczący w słońcu statek kosmiczny.

Dlatego moim zdaniem pewne jest, że:

- istoty DIN.GIR przybyły w pobliże Ziemi na obiekcie, który Sumerowie nazwali MUL.APIN („ten, który się przedziera”);
- według wiersza z przechowywanej w Jenie glinianej tabliczki istoty te przybyły „z wiecznego lodu”, co może oznaczać wszechświat z temperaturą bliską zera absolutnego;
- jako miejsce ich pochodzenia wymienia się LAM, które ma być błyszczącym „miejscem przepychu”;
- w pobliżu Ziemi mieli na orbicie co najmniej jeden obiekt, w którym mogli przebywać. Sumerowie określali go mianem E.DIN lub E.LAM lub też po akadyjsku E.BELIM, co oznacza „konstrukcję władców” lub „błyszczącą konstrukcję”.

Jak mówią gliniane tabliczki, pierwsze lądowanie kolonizatorów DIN.GIR miało miejsce w mieście E.RI.DU, co oznacza dosłownie „konstrukcja/budowla przy odległym wyjściu”.

Istoty DIN.GIR

Co mówią teksty o wyglądzie DIN.GIR? Kształtami przypominali Sumerom ludzi, o czym zaświadcza nie tylko niezliczone wizerunki na zabytkach, lecz także wiele tekstów. Jest w nich mowa np. o tym, że mieli głowę, nogi i ręce. Podobnie jak u ludzi były istoty męskie i żeńskie prowadzące całkiem normalne życie seksualne. Różne fragmenty tekstów informują, że DIN.GIR jedli, pili, spali, podróżowali i mieszkali. Po jakimś czasie przebywania na Ziemi wznieśli się znowu „w górę” (jak wiemy AN bywa najczęściej tłumaczone jako „niebo”).

Lecz istoty te posiadały także cechy różniące je od ludzi. Według tekstów z glinianych tabliczek były zdecydowanie wyższe niż Sumerowie. Wydawali się ówczesnym ludziom „idealni”, otoczeni „boskim blaskiem”, wykazywali się wielką mądrością i „odkrywającym spojrzeniem”, którym potrafili przenikać zewnętrzną powierzchnię przedmiotów.

W źródłach opowiadających o herosie Utnapisztim (tożsamy z Noem i Ziusiudrą) wspomina się o specjalnym powietrzu do oddychania, które trzeba było „wytwarzać/wydobywać/produkować” dla form życia podobnych do istot DIN.GIR. Poza ludzkim jedzeniem dysponowały one też „chlebem życia” i „wodą życia”.

Były jednak w tych istotach rzeczy dla ich ludzkich współbraci niepojęte. Teksty na glinianych tabliczkach przypisują im cechy mistyczne: „Nikt nie może się poszczycić, że pojmuję ich rady”, „ich istota jest niepojęta” albo „ich przerażający blask jest nie do zniesienia”. W taki sposób sumeryjscy skrybowie ujmowali swój podziw dla działań i wyglądu zagadkowych obcych istot. Jeśli spróbujemy wejść w sytuację naszych praprzodków, dla których zaawansowana technika musiała być kompletnie niepojęta, wówczas stanie się dla nas jasne ich zadziwienie istotami „z góry”. Jakież musiało ich ogarniać przerażenie, kiedy w środku nocy rozbłyskiwały reflektory albo widzieli działanie palnika czy start statku kosmicznego. Dygocząc ze strachu przed niepojętym, patrzyli na nieprzeniknione dla nich działania „innych”.

Jak ludzie przed tysiącami lat postrzegali istoty DIN.GIR, możemy się przekonać z rekonstrukcji *Hymnu do Enlila*:

– jego „dzikie światło” podnosi się i „świeci w sam środek kraju wroga” – czy mamy tu opis radaru lub potężnego reflektora?;

– obrał sobie za miejsce zamieszkania E.KUR, sztuczną górę w Nippur. Tam był też „najważniejszy nadajnik” i „więź niebo–ziemia”. E.KUR było „pełne wołań szukających drogi”. Porównując ten opis z techniką XX i XXI wieku, możemy przypuszczać, że chodziło tu o coś w rodzaju centrum kontroli lotów czy inną tego rodzaju placówkę;

– „Z zapasów Wielkiego Obiegającego, zapakowanych jak zamrożona woda, kazał przenieść okazałą część jako dary do skarbcza sztucznej góry”.

W tej części hymnu Enlil otrzymuje podziękowanie za swoją działalność. Dla nas głęboko zamrożone produkty żywnościowe nie są już zaskoczeniem, ale ludziom żyjącym w Sumerze przed 5000 lat takie mrożonki musiały się wydawać istnym cudem.

W młodszych historycznie tekstach asyryjskich znajdujemy informację, jak to „bóg” Assur i inne istoty DIN.GIR wielokrotnie wszczynali osobiste wojny, sięgając wówczas po znajomą dla nas broń, od promieni laserowych poczynając, na pociskach rozpryskowych kończąc: król Sanheryb otrzymał od Assura i bogini Isztar „przeraźliwą broń”, aby mógł rozbić wrogów. Assur pali z nieba ogniem swoich wrogów i spuszcza na nich deszcz kamieni *akkullu*.

Także bóg Adad/IM.ISZ.KUR niszczy swoich wrogów za pomocą *a-ban šamé*, czyli „niebiańskich kamieni”.

Żeńska istota DIN.GIR proponuje Gilgameszowi pojazd o bardziej niż interesujących właściwościach. Na jednej z tabliczek asyryjskich zawierającej tekst słynnego eposu o Gilgameszu, nazywanej przez fachowców „tabliczką VI”, czytamy o tym pojeździe, że był to:

*wóz ze złota i lapis-lazuli,
koła jego będą ze złota,
z mieszanego metalu jego skrzydła, które
obracają się napędzane urządzeniami
do czynienia wiatru...*

Jeśli uwzględnimy, że podobne pojazdy latające opisywane były też pojęciem „chwała AN” i mogły startować z ziemi, wzbijając obłok, tylko ktoś porażony absolutną ślepotą mógłby nie zauważyć frapującej zbieżności z pojazdem zrekonstruowanym przez głównego inżyniera NASA Josefa F. Blumricha na podstawie opisu z biblijnej Księgi Ezechiela. Blumrich mianowicie, konstruktor lądownika księżycowego, po dokładnej analizie licznych opisów z Księgi Ezechiela, zaprojektował stożkowaty pojazd o napędzie raketowym na potrzeby lotu w kosmos i helikopterowymi wirnikami służącymi w fazie lądowania. Opisywane przez proroka zjawiska towarzyszące ruchowi tego pojazdu to ogłuszający hałas i wzniesienie tumanów pyłu. Ponadto po wylądowaniu pojazdy mogły poruszać się na kołach. Dokładnie to samo opisuje też przytoczone wyżej źródło asyryjskie.



„Sztuczna góra” Ur. Zikkuraty (świątynie tarasowe), dominujące nad miastami budowlę, uważane były za najwyższe świątynie istot DIN.GIR.

Baza naziemna i stacja nadawcza

Kolejne pytanie brzmi: gdzie znajdowała się ziemska baza istot DIN.GIR? Gdyby udało nam się zlokalizować to miejsce, być może istniałaby szansa odnalezienia tam jakichś technicznych pozostałości lub zapisków, które dowiodłyby ostatecznie prawdziwości hipotezy paleo-SETI. Na podstawie dostępnych źródeł wydaje mi się raczej pewne, że głównej bazy nie znajdziemy w dolinie Eufratu i Tygrysu, czyli mniej więcej na terenach dzisiejszego Iraku. Miejsce, którego szukamy, nazywano KUR.SAG, czyli „główna góra”. Porównując ze sobą gliniane tabliczki z pismem klinowym, Biblię, egipską Księgę Umarłych i Księgę Dwoch Dróg, w których znajdują się opisy takiej kwatery głównej obcych przybyszów, oraz dzisiejsze arabskie nazwy miejscowości, możemy dojść tylko do jednego wniosku: legendarna „kraina żywych” musi się znajdować gdzieś w wyżynnych rejonach Asiru w południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego. Być może któregoś dnia w poszukiwaniach pomogą nam zdjęcia satelitarne tego regionu lub pomiary głębinowe dokonane z orbity przez któryś z amerykańskich wahadłowców.

Ponieważ żaden człowiek nie widział, aby jakaś istota DIN.GIR umarła, Sumerowie nazwali ich miejsce zamieszkania „krajem, gdzie pozostaje się przy

życiu”. Tę krainę nieśmiertelnych określa się w tekstach mianem DIL.MUN – „miejsce przejścia”. Tam właśnie istota DIN.GIR o imieniu UTU, „bóg orłów”, regularnie wznosiła się do „miejsca zgromadzenia”.

I tam też właśnie chce się dostać Gilgamesz w sumeryjskim tekście będącym pierwowzorem słynnego akadyjskiego *Eposu o Gilgameszu*. Heros Gilgamesz chce ująć śmierci, a w tym celu dostać się do owej krainy, aby „ustawić swoje *mu*”. Jak już objaśniałem w jednej z wcześniejszych prac, *mu* oznaczało aparat latający. Spróbujmy spojrzeć w tym kontekście na nazwę DIL.MUN. Dokładny przekład oznacza „wklęsłe miejsce”, a więc obniżony teren, na którym znajdują się ogień/skorpiony/ciała latające.

Według obowiązującej oficjalnej wykładni naukowej dowiadujemy się o tym miejscu, z którego „wznosił się” UTU, że sumeryjski heros wraz z Enkidu „powalili cedry”, niszcząc też rzekomo ich „korzenie”. W ogólnym kontekście eposu tego rodzaju opis wydaje się dziwnie pozbawiony sensu. Jeśli jednak dokładniej przyjrzyć się słowu GISZ.ERIN, które przetłumaczono jako „cedr”, to okazuje się, że ma ono jeszcze inne znaczenie, które można oddać opisowo jako „narzędzie wojowników”. Powiada się o nim, że za jego pomocą z jednej strony można łączyć się z „bogami podziemi”, a z drugiej, że dotyka nieba. Wtedy nagle widzimy przytoczony fragment w zupełnie nowym świetle, ponieważ z opisu wynika raczej, że chodzi o coś w rodzaju masztu radiowego. Wówczas zaczyna się też nagle zgadzać część przekazu mówiąca o „korzeniach”, które miał zniszczyć Enkidu, bo wystarczy, że posłużymy się doskonale tutaj pasującym określeniem „fundament”. Tak więc Gilgamesz i jego przyjaciel ni mniej, ni więcej tylko trwale zniszczyli urządzenia do łączności radiowej niezbyt widać przychylnych „bogów”.

W *Eposie o Gilgameszu* znajdziemy setki wskazówek tego rodzaju zarówno od razu widocznych, jak i ukrytych. Wykładający na uniwersytetach sumerolodzy nie chcą lub nie mogą – ze względu na zawodową solidarność – dostrzec tej wielopoziomowości.

Dlatego np. nie chcą przyznać, jaką nazwę według zapisów na tabliczkach z pismem klinowym miał pierwotnie Sumer. Uniwersyteccy badacze, zakładnicy swojej „urzędniczej wieży z kości słoniowej”, mówią bowiem o związku miast na południu Mezopotamii, zwanym Ligą Kengi. Tak się składa, że co najmniej kilkanaście zabytków piśmiennictwa wymienia nazwę tego obszaru, lecz niemal każda z tych glinianych tabliczek zawiera inną pisownię tej nazwy. Nic zatem dziwnego, że także profesorowie nie mogą się pogodzić, co znaczy to słowo.

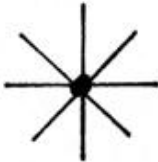




Jeśli jednak chcieliby być szczerzy, to musieliby przyznać, że jedna z pisowni tej nazwy brzmi KI-en-GIR. Składa się ona z dwóch znaków oznaczających sylaby. KI to dosłownie „Ziemia”, „miejsce”, „stały ląd”, „rejon” albo „obszar panowania”. GIR natomiast, jak już widzieliśmy, oznacza m.in. „ciało latające”, „en” zaś to oznaczenie tytułu. Dlatego uprawnione jest następujące tłumaczenie nazwy Kengi, czyli Sumer: „Obszar panowania nad ciałami latającymi”.

Pochodzący z późniejszego okresu komentarz astralno-mitologiczny podaje dodatkową wskazówkę w postaci równania KI-en-GIR = EN.LIL.KI. Wcześniej dowiedzieliśmy się już z prastarego hymnu, że EN.LIL to najprawdopodobniej naczelny dowódca „władców z ciał latających”. Jego imię oznacza ponadto etymologicznie „pan burzy” lub „pan wiatru”. Może też jednak oznaczać także „pana słów”, czyli władcę komunikacji. A wówczas prawdziwy Enlil mógłby być szefem działu łączności... Przydomkiem tego dowódcy było zresztą słowo MU.UL.LIL, a to z kolei znaczy ni mniej, ni więcej, tylko „ten z ciała latającego o nazwie tchnienie wieczności”. Jego „ogniste promienie”, czytamy dalej, „sprawiały, że ryby gotowały się w wodzie”.

Podsumowanie

Podsumowując raz jeszcze naszą analizę, możemy stwierdzić, że Sumer był rejonem podlegającym władcy wywodzącemu się z grupy istot, które przez pierwotnych mieszkańców tych terenów były nazywane „władcami z ciał latających”. Obie istoty wykorzystywały ciała latające, by docierać do „konstrukcji” znajdującej się w pobliżu Ziemi i nazywanej „błyszczącą konstrukcją”. Sumerowie przyglądali się temu wszystkiemu dokładnie i pozostawili potomnym relacje o „przedzierających się obiektach niebieskich”, czyli statkach kosmicznych, błyszczących w słońcu na orbicie. Doskonale wiedzieli, że tam, skąd te obiekty przybywają, panuje wieczne zimno. Wiedzieli ponadto, że obcy kolonizatorzy potrafili dokonywać niezwykłych rzeczy. W ich oczach byli niemalże ideałami, potrafili widzieć rzeczy ukryte, jakby dysponowali aparatami rentgenowskimi, potrafili konserwować żywność przez głębokie zamrażanie i mieli imponujący arsenał niezwykle wyrefinowanych technicznie broni. Zbudowali na Ziemi stacje nadawcze i przekaźnikowe, podobnie jak główną centralę, która mogła się znajdować na Półwyspie Arabskim.

Otwarte pozostaje pytanie, skąd istoty DIN.GIR przybyły na Ziemię. I na to pewnie znajdziemy w Eposie o Gilgameszu dość dokładną odpowiedź. Mógłby to być rejon kosmiczny w rejonie gwiazdozbioru Panny. Sumerowie nazywali ten gwiazdozbiór imieniem bogini ERUA. Wnikliwa analiza odpowiednich znaków pisma klinowego prowadzi nas do niemalże sensacyjnego odkrycia, ponieważ etymologia tego słowa świadczy o tym, że wcale nie było to imię bogini. Pojęcie to w przekładzie oznacza: „Gwiazdozbiór pochodzenia/przybycia nasienia z projektem władców”. Jeśli uwzględnimy dodatkowo jeszcze inną pisownię, może to oznaczać nawet: „Gwiazdozbiór pochodzenia/przybycia statku kosmicznego z nasieniem, który nosi imię «wspaniałość przepychu»”. Alternatywnie mogłoby to prowadzić również do datowania wydarzenia w powiązaniu z przesunięciem równonocy wiosennej (wskutek cyklu precesji Ziemi). Wówczas oznaczałoby to, że Sumerowie chcieli przekazać, iż statek kosmiczny z nasieniem na pokładzie dotarł do nas mniej więcej 15 600–12 600 lat temu.

Sumeryjskie piktogramy, około 3000 roku p.n.e.	Znaczenie w języku starożytnym	Tłumaczenie
	AN	to, co jest w górze firmament/„niebo”, najwyższy
	DIN.GIR	pan/władca z ciał latających – „bóg”
	KUR	góra
	SAG	głowa/ najważniejsze
	KI	miejsce/plac/ obszar/Ziemia
	E	to, co wzniesione/zbudowane dom/konstrukcja/świątynia

Sumer i jego pradawne eposy przez całe tysiąclecia przechowały potężne wskazówki na poparcie hipotezy paleo-SETI. Teraz od nas zależy, aby przywrócić tym informacjom ich pierwotne znaczenie.

doktor Hermann Burgard

Świątynia Ezechiela w Hattusas

Czy biblijny ślad prowadzi do Hatti?

Wydaje się, że od 593 do 572 roku p.n.e. biblijny prorok Ezechiel był naocznym świadkiem licznych lądowań statków kosmicznych istot pozaziemskich. W 1971 roku Josefowi F. Blumrichowi, naczelnemu inżynierowi NASA, udało się na podstawie jego zawartych w Biblii opisów zrekonstruować obiekt latający, który najwyraźniej pomyślany był jako ziemski lądownik. Inżynier Hans-Herbert Beier od 1976 roku zajmował się rekonstrukcją świątyni, której dokładne wymiary podał Ezechiel i do której pozaziemskie istoty rozumne specjalnie go zabrały, żeby mógł sobie te wartości zapamiętać. Od tego czasu badacze paleo-SETI z całego świata szukają tej budowli. Jeden ze śladów prowadzi do królestwa Hetytów.

W królestwie Hetytów

Około 150 kilometrów na wschód od Ankarę leży Boğazkale (dawniej Boğazköy), czyli starożytna Hattusas (Hattusza), niegdyś stolica królestwa Hetytów¹. Cały obszar wykopalisk obejmuje mniej więcej 3,5 km². Po stronie północno-zachodniej znajdują się ruiny świątyni I (Wielka Świątynia) o wymiarach 65 x 42 metry. Budowla ta stanowi zarazem największy kompleks w mieście Hattusas. Wraz z ciągami magazynów, składów i warsztatów oraz podgroziem pokrywa obszar około 1,45 km². Sama świątynia jest prostokątna i stoi na sztucznie usypanej terasie o wysokości 8 metrów. Fundamenty liczyły 1,5 metra i były wykonane z równo ociosanych bloków wapienia. Niektóre mierzą nawet 5 metrów i ważą 20 i więcej ton. Można je zatem określić mianem megalitów.

Ściany głównej świątyni miały solidną konstrukcję ryglową z glinianych cegieł i drewnianych belek, zakotwiczonych w otworach wywierconych w wapieniu. Ponieważ same ściany w czasie, gdy rozpoczęto wykopaliska, już

nie istniały, ale brakowało klatki schodowej, przyjmuje się, że świątynia nie miała kondygnacji, niemniej przewyższała wszystkie okoliczne budowle.

Konstrukcja ryglowa ścian to czysta fantazja archeologów, którzy opierają się w swoich przypuszczeniach na widocznych do dziś wywierconych otworach (zob. il. s. 117). To jednak wcale nie musi zaraz oznaczać, że w rzeczywistości nie było cofniętych nieco kondygnacji, takich jak w dokonanej przez Beiera rekonstrukcji świątyni znanej z relacji Ezechiela. Trzeba wyraźnie podkreślić, że wewnętrzny czworobok nie miał dachu i był brukowany. Obydwie te cechy doskonale by pasowały do rekonstrukcji świątyni z czasów biblijnych.

Tak jak to jest w relacji proroka Ezechiela, przy północno-wschodnim rogu świątyni płynie strumień, Büyükkaya, co oczywiście może być zbiegiem okoliczności, chyba że budowniczy całkiem świadomie chcieli zintegrować ten ciek z budowlą, podobnie jak w Teotihuacán w dalekim Meksyku. Spełnione jest też kolejne kryterium, mianowicie świątynia ma wejście z dwiema stojącymi naprzeciw siebie „strażnicami”. To wejście w rzeczywistej świątyni w Hattusas znajduje się jednak po stronie południowo-zachodniej, a nie – jak u Ezechiela i Beiera – pośrodku wschodniego muru. W północno-wschodnim rogu murów Hattusas także widoczne jest „przejście”, ale na planie nie ma bliższego opisu.

Rzut poziomy świątyni wewnętrznej – „Świętego Świętych” – jest, jak zrekonstruował to H.H. Beier, prostokątem. Grupy budynków wokół rozlokowane są jednak niesymetrycznie. W związku z tym cały kompleks nie zajmuje obszaru 500 x 500 łokci, jak to jest u Ezechiela i w rekonstrukcji Beiera.

Poszukiwania świątyni

Mimo podobieństw jest wysoce nieprawdopodobne, aby świątynia w Hattusas była szukaną przez nas budowlą, do której dowódca statku kosmicznego zabrał proroka Ezechiela². Wydarzenie to miało bowiem miejsce w 573 roku p.n.e. W tym czasie Hattusas już od 600 lat leżała w gruzach, ponieważ około 1200 roku p.n.e. tamtejsi skrybowie, których pokryte pismem klinowym tabliczki informowały o dziejach miasta do tego właśnie roku, zamilkli. Królestwo „Hatti pogrążyło się w apokaliptycznych ciemnościach, z których nigdy już nie miało się wyłonić”³.

Nawet grube miejscami na 8 metrów mury nie zdołały obronić królewskiego miasta przed inwazją tajemniczych Ludów Morza. Za czasów faraona Ramzesa III, około 1180 roku p.n.e., napisano o nich: „Nie masz kraju, poczynając od Hatti, który potrafiłby stawić czoło ich broniom”.

Jak o tym świadczą wszelkie znane nam świadectwa archeologiczne, już w VI wieku p.n.e. potężne niegdyś i wspaniałe świątynie Hattusas w dalekiej Anatolii leżały obrócone w ruinę. Mimo wszystko jednak główna świątynia miasta jest dla nas nadal interesująca, ponieważ pokazuje nam pewne otoczenie architektoniczne, w jakim musimy szukać właściwej „świątyni Ezechiela”.

W trakcie studiowania kompleksu świątynnego zaintrygowały mnie następujące elementy:

1. Świątynia wewnętrzna jest prostokątna, nie ma dachu, a dziedziniec jest brukowany. Byłoby to niezbędne do lądowania napędzanego śmigłami lądownika.
2. Wejścia chronią dwie znajdujące się naprzeciwko siebie wartownie – dokładnie tak, jak opisuje Ezechiel.
3. Świątynie w królestwie Hetytów leżą na wysokości 1200–1300 metrów n.p.m., co mogłoby odpowiadać położeniu świątyni Ezechiela „na pewnej bardzo wysokiej górze”.
4. Liczne magazyny i warsztaty w otoczeniu świątyni. Do dziś jeszcze stoją tam olbrzymie gliniane dzbany, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie znajdowały się, gdy około 1200 roku p.n.e. świątynia została zburzona. Na wpół zagrzebane w ziemi gliniane dzbany mają pojemność nawet do 3000 litrów. Samo narzuca się porównanie z pałacem w Knossos na Krecie, gdzie również znaleziono niezliczone dzbany, rzekomo jako „pojemniki na zapasy oliwy”. Erich von Däniken stwierdza w swojej książce *W imieniu Zeusa*⁴, że te pojemniki musiały służyć raczej do składowania paliwa dla boskich pojazdów latających! Kolejną „stacją naziemną” mogła być Vijayanagara w Indiach oraz – jak przypuszcza Horst Dunkel – także w Laosie⁵. Do dziś archeolodzy nie potrafią udzielić definitywnej odpowiedzi na temat zawartości dzbanów z Hattusas. Przypuszczają, że składowano w nich „roczną daninę kraju dla Boga Pogody i Bogini Słońca”⁶. Budynki znajdujące się w bezpośredniej bliskości głównej świątyni zostały zresztą zbudowane wokół dzbanów. Jest dość logiczne, że również „latający bogowie” Hetytów potrzebowali magazynów paliwa i stacji naziemnych, gdzie mogliby tankować i serwisować swoje pojazdy, podobnie jak to się dzisiaj dzieje na stacjach benzynowych z punktami napraw.
5. Także słowa Ezechiela: „Ujrzałem jakby obce miasto, obce budowle”, doskonale pasowałyby do architektury Hattusas. Babilon, gdzie prorok Ezechiel żył w niewoli, znajdował się nie tylko 800 kilometrów od tego miejsca, lecz także dzieliło go od tej umarłej cywilizacji prawie sześć stuleci.
6. Główna świątynia była poświęcona najwyższym bogom tego kraju – Bogu Pogody i Bogini Słońca. Zwycięscy kapłani osobiście dbali o zaspokojenie „potrzeb bogów” (dzbany na zapasy). Atrybutami tych hetyckich bogów były m.in. skrzydlate tarcze, na których sami wznosili się w niebo. Wiele reliefów i pieczęci cylindrycznych ukazuje nam obiekty przypominające pojazdy latające.

Hetycka świątynia 1 nie może być świątynią Ezechiela, z pewnością można ją jednak uznać za jedną z baz zaopatrzeniowych „latających bogów”. Może nam też posłużyć za wskazówkę, w jakim kontekście kulturowym należy szukać właściwej świątyni Ezechiela.

Robocza teza brzmiałaby zatem następująco: bogowie-astronauci dysponowali w czasach królestwa Hetytów, około 1200 roku p.n.e., siecią baz lotniczych, gdzie mogli tankować i serwisować swoje pojazdy. Miejscowa ludność wierzyła, że ma do czynienia z bogami, i dostarczała wszystko, czego owi „bogowie” zażądali, do bazy, którą traktowała jak świątynię. Wybrana spośród przedstawicieli lokalnych społeczności załoga (kapłani) dbała o odpowiednie składowanie zapasów (np. w gigantycznych dzbanach). Możliwe też, że było to tylko przeradzające się w kult naśladownictwo tego, co udało się podpatrzeć z daleka.

Kiedy królestwo Hetytów upadło, bogowie-astronauci zachowali co najmniej jedną bazę lub też przejęli później jakąś opuszczoną świątynię, która nadawała się do ich celów. Należy przypuszczać, że świątynia ta znajdowała się możliwie daleko od istniejącej wówczas cywilizacji, aby nic nie przeszkadzało w operowaniu z tamtego miejsca. Za takim rozwojem wypadków przemawiałby fakt, że od około 570 roku p.n.e. nie mamy żadnych pisemnych świadectw, które opisywałyby świątynię Ezechiela z perspektywy przedstawicieli miejscowej ludności.

Zagadki megalityczne

Tytułem uzupełnienia przedstawionego powyżej „boskiego scenariusza” jeszcze kilka danych na temat sposobu budowania u Hetytów. Fundamenty „Wielkiej Świątyni” do wysokości 1,50 metra zbudowano z głazów megalitycznych, w dalszej części była już konstrukcja ryglowa. Część megalityczna mocno przypomina budowlę Inków w Peru, które również wznoszono na takich fundamentach. Jak się wydaje, ten sposób budowania może być wskazówką, że pomocą służyli nauczyciele z kosmosu.



Kamień z wywierconymi otworami.

Ściany o konstrukcji ryglowej spajano z fundamentami za pomocą łączy czopowych i tu pojawia się wielki znak zapytania: w jaki sposób Hetyci z XVII wieku p.n.e. potrafili wykonać wiercenia rdzeniowe wielu otworów w skale z taką precyzją, żeby czopy belek dokładnie do nich pasowały? W jaki sposób tak dokładnie obrobili czopy, żeby te się „zassały”? Bo przecież konstrukcja nie mogła się chwiać. Inaczej byle wiatr mógłby narobić sporych szkód. Jürgen Seeher, uczestnik ekspedycji do Boğazkale i autor archeologicznego przewodnika po Hattusas, wydanego przez Niemiecki Instytut Archeologiczny, nie widzi w tym żadnego problemu. W rozdziale zatytułowanym *Zasada działania hetyckich świdrów* pisze:

Najpierw nad miejscem wiercenia ustawiano drewniany stojak służący do równego prowadzenia świdra. W stojak wmontowywano rurę z brązu, opierając ją pionowo w punkcie, gdzie miał powstać otwór. Następnie wprawiano rurę w ruch obrotowy za pomocą nawiniętego na nią sznura – dwóch ludzi ciągnęło sznur w jedną i drugą stronę za dwa końce jak przy piłowaniu. Przy użyciu wody i piasku uzyskiwano w ten sposób dość szybko równe cylindryczne otwory. Eksperyment wykazał, że przy średnicy otworu wynoszącej 3,5 centymetra wydajność wynosi 6–8 centymetrów głębokości na godzinę. Kamienny rdzeń, który pozostawał po takim wierceniu, po prostu odłupywano. W wielu otworach widoczne są na dnie resztki takich rdzeni.

Wyraźnie mowa tutaj o wierceniu rdzeniowym u Hetytów, poczynając od XVII wieku p.n.e. Pozostające w tym procesie rdzenie podobno odłupywano.

Pytam, a czym? Po przeczytaniu tego niebywale naiwnego wyjaśnienia, mam kilka pytań do fachowców:

1. W jaki sposób można było dokładnie ustawić i ustabilizować a) drewniany stojak, b) rurę z brązu jako „świder” tak, żeby przy „ciągnięciu sznura w jedną i drugą stronę” taki zestaw pozostał nieruchomy i nie chwiał się na boki?
2. Rura z brązu miała być stabilna i jednocześnie dać się obracać. W jakim to łożysku rura była umocowana w drewnianym stojaku?
3. W jaki sposób przymocowywano do rury sznur, tak żeby przy pociąganiu rura się obracała, a sznur się nie ślizgał?
4. W jaki sposób od XVII wieku p.n.e. wytwarzano rury z brązu? Z podkreśleniem prawie milimetrowej dokładności i jednolitości średnicy na całej długości i z ewentualną zębatą głowicą. Gdzie są takie znaleziska?
5. Na jak długo taki „świder z brązu” wystarczy przy wierceniu wapienia? Jak powiada przewodnik po Hattusas, w samej świątyni numer 1 znaleziono podobno „kilkaset” otworów wywierconych w skale.
6. „Kilkaset” może oznaczać zarówno 500, jak i prawie 1000. Ile było ich naprawdę? Brakuje dokładnych danych. W każdym razie oznaczałoby to tysiące roboczogodzin na samo wiercenie otworów w świątyni numer 1. Tymczasem w Hattusas są setki budowli, wszystkie zbudowane w ten sam sposób, nie mówiąc już o pozostałych gmachach w całym królestwie hetyckim! Dochodzimy wtedy do jakichś zupełnie abstrakcyjnych liczb, oczywiście zakładając, że wiercenia rzeczywiście miałyby się odbywać w ten sposób.
7. Jakim narzędziem odłupywano pozostały po wierceniu rdzeń równo na tej samej głębokości?

Hetyci dokonywali zatem wierceń rdzeniowych i to całymi setkami, wyłącznie przy użyciu drewnianego stojaka i rur z brązu, wprawianych w ruch przez dwóch ludzi pociągających sznur w jedną i drugą stronę. Według mojej wiedzy technikę dokładnego wiercenia wynaleziono dopiero w XIX wieku. Rozbieżne opinie na temat wierceń rdzeniowych w zabytkach starożytnego Egiptu mówią same za siebie.

Kolejne przesłanki „boskiej pomocy” w królestwie Hetytów to przedstawienia bogów na reliefach. „Boskie wizerunki” bardzo przypominają bogów i faraonów starożytnego Egiptu z ich „koronami” i „węzowymi wyrostkami” na nich. U Hetytów znakiem rozpoznawczym bogów często jest róg. Na reliefach zwraca też uwagę to, że kartusze z imionami danego boga zaczynają się od „skrzydlatej tarczy słonecznej”, przez co są bardzo podobne do egipskich. Jest też Brama Lwów, zupełnie jak w Mykenach, a także Brama Sfinksów wewnątrz kompleksu. Wszystko to wskazuje na bliskie pokrewieństwo z innymi starożytnymi ludami. Dlaczego więc nie miałyby być tutaj „lądowiska” dla latających bogów tak jak w Heliopolis w Egipcie, gdzie „Feniks powstawał z popiołów”?⁷

Wszystko to razem sprawia, że na podstawie moich badań nabrałem pewności, że Hetyci, tak jak wszystkie starożytne ludy na ziemi – i mówią o tym zresztą pozostawione przez te ludy zabytki piśmiennictwa – miały kontakt

z nauczycielami z kosmosu. Wszystkie zawarte w starożytnych tekstach przesłanki skłaniają do takiego właśnie wniosku. Na przekór bojaźliwym profesorom.

Jürgen Huthmann

Hetyci

W II tysiącleciu p.n.e. Hetyci ze wschodniej części Azji Mniejszej stworzyli jedno z najznamienitszych państw tamtych czasów. Jako naród należeli do indoeuropejskiej grupy językowej i stworzyli już pismo. Poczynając od Kapadocji, stopniowo zdobyli panowanie nad lokalnym księstwami w całej Anatolii. W XVIII wieku p.n.e. poświadczona jest wyprawa zdobywcza króla Anitty z Kussary, który zrównał z ziemią istniejące już wtedy miasto Hattusas. Na jego zrębach jeden z następców Anitty, Hattusilis I, kazał około 1500 p.n.e. zbudować nową stolicę swojego imperium (państwo starohetyckie). Wskutek najazdów sięgających do Syrii, hetyckie panowanie objęło obszary aż do granic Egiptu (państwo nowohetyckie, od 1370 roku p.n.e.). Pod koniec XIII wieku p.n.e. dominująca pozycja królestwa Hetytów została zagrożona przez rosnący napór militarny Asyrii na północną Mezopotamię i północną Syrię. W wyniku klęski nieurodzaju i licznych epidemii, które zdziesiątkowały ludność, imperium upadło po śmierci króla Suppiluliumasa (1215–1200 p.n.e.) w bitwie z wojskami Ludów Morza. Jedynie kilka pomniejszych księstewek przetrwało upadek potężnego niegdyś państwa Hetytów.

Król Hetytów był zarazem najwyższym kapłanem bóstwa Słońca, można więc przypuszczać, że główna świątynia stolicy państwa Hattusas była zarazem najważniejszą świątynią w całym kraju, której styl architektoniczny naśladowały inne przybytki kultu.

Słonecznoskrzydły

Opis satelity w *Apokalipsie Barucha*

Wydarzenia, jakie miały miejsce na Bliskim Wschodzie około 597 roku p.n.e. (spory o sukcesję tronu, bunt i wojna z ówczesnym supermocarstwem, Babilonem), zepchnęły lud Izraela w przepaść. Nic więc dziwnego, że w Biblii spotykamy aż czterech proroków, którzy w tym okresie działali w imię swojego boga Jahwe: Jeremiasza w samej Jerozolimie oraz Daniela, Ezechiela i Barucha w Babilonie¹.

Na temat niezwykłych przeżyć Ezechiela napisali obszernie książki zarówno inżynier z NASA Josef F. Blumrich, jak i niemiecki inżynier Hans-Herbert Beier. Obaj doszli do wniosku, że starotestamentowy prorok musiał być naocznym świadkiem lądowania i startu statku kosmicznego, a wydarzenie to utrwalił potem niezwykle szczegółowo dla potomności. Na tyle dokładnie, że 2500 lat później inżynierowi od budowy rakiet udało się zrekonstruować opisany przez niego aparat latający i nawet opatentować niektóre zaczerpnięte stamtąd rozwiązania.

Także w relacji Barucha aż roi się od ukrytych prawd i przesadnych religijnych wizji. Niemniej obaj prorocy, Ezechiel i Baruch, najwyraźniej próbowali opisać spotkanie z wysoko rozwiniętą cywilizacją techniczną: Ezechiel na ziemi, Baruch w kosmosie.

Kim był Baruch? Sam siebie określał mianem sekretarza Jeremiasza. W 597 roku p.n.e. wraz z królem Jojakinem i polityczno-religijną elitą Jerozolimy został deportowany przez króla Nabuchodonozora do Babilonu. W 591 roku p.n.e. „Bóg” ogłosił – podobnie jak w tym samym czasie Ezechielowi – ostateczny upadek Jerozolimy. W Babilonie Baruch sporządził wówczas swoją deuterokanoniczną relację, którą dzisiaj możemy przeczytać w Biblii. Ostatecznie Baruch wraz ze zrabowanymi przez Babilończyków skarbami świątynnymi został przez Nabuchodonozora odesłany z powrotem do Jerozolimy. Tam napisał swoją „apokryficzną apokalipsę”, której nie znajdziemy w Biblii (jest bardzo prawdopodobne, że podobnie jak w przypadku wielu innych tekstów apokryficznych apokalipsa wcale nie jest

dziełem samego Barucha, tylko któregoś z jego uczniów lub w ogóle jakiegoś nieznanego autora – oczywiście nie zmienia to niczego w wymowie i treści tych tekstów). Dzisiaj mamy dwie wersje *Apokalipsy Barucha* – grecką i syryjską².

Na orbicie

We wspomnianych apokalipsach możemy znaleźć wiele interesujących, dających się technicznie zinterpretować fragmentów. I tak np. Barucha odwiedza anioł, którego prorok opisuje słowem „moc”, pisząc następująco:

I wziął mnie ze sobą, i powiódł do miejsca, gdzie przymocowane jest niebo i gdzie był strumień, którego nikt nie może przekroczyć, nawet najodleglejsze tchnienie wszelkiego wiatru stworzonego przez Pana. I wziął mnie ze sobą, i powiódł do pierwszego nieba, i pokazał mi przeogromną bramę. I rzekł: Przejdźmy przez nią.

Baruch opisuje prawdopodobnie swój pobyt na krążącym na orbicie okołoziemskiej statku kosmicznym albo też stacji orbitalnej „przymocowanej” na niebie. Słuszna jest jego obserwacja, że nie dociera tam żadne tchnienie wiatru. Szczególnie zdumiewa jednak następujący fragment tekstu:

I oto leciał z nami na tle słońca ptak, wielki jak dziewięć gór. I rzekłem do anioła: Co to za ptak? A on odrzekł: To jest strażnik ziemskiego kręgu. Ten ptak porusza się razem ze słońcem i kiedy rozpościera skrzydła, chwyta jego promienie, podobne ogniowi. Bo gdyby ich nie chwytał, to nie pozostałby przy życiu ani rodzaj ludzki, ani żadna inna żyjąca istota. I rozpostarł ptak swoje szerokie skrzydła i na prawym skrzydle ujrzalem wielkie litery. I były one ze złota.

Dzisiaj nietrudno zinterpretować, co to mógł być za ptak. Wielkie satelity i stacje orbitalne krążą już wokół Ziemi po orbitach, które zapewniają im stały dopływ energii, mianowicie energii słonecznej. W tym celu wyposaża się je w „słoneczne skrzydła”, czyli rozmieszczone na długich, rozkładanych wysięgnikach kolektory słoneczne. Przechwytyują one światło Słońca i wykorzystują do zaopatrywania satelity w energię.



Rosyjski moduł ISS Zaria widziany z nadlatującego wahadłowca Discovery z widocznym modulem Unity – czy 2500 lat temu Baruch opisał podobny widok? (fot. NASA)

Określenie „strażnik ziemskiego kręgu” natomiast może się odnosić do satelity czy stacji orbitalnej o przeznaczeniu wojskowym, tj. służącej obronie Ziemi. A „wielkie litery”? Opis jest wystarczająco jasny. Także na naszych satelitach i stacjach orbitalnych znajdują się takie litery: NASA, JPL, USA czy USSR albo jeszcze inne.

Widać zatem wyraźnie, że około 590 roku p.n.e. na Bliskim Wschodzie dokonywały się nie tylko gigantyczne przemiany geopolityczne, ale też że w tym samym czasie trwała wzmożona aktywność istot pozaziemskich. Z pewnością warto byłoby w tym właśnie okresie poszukać dalszych dowodów.

Frank Tanner

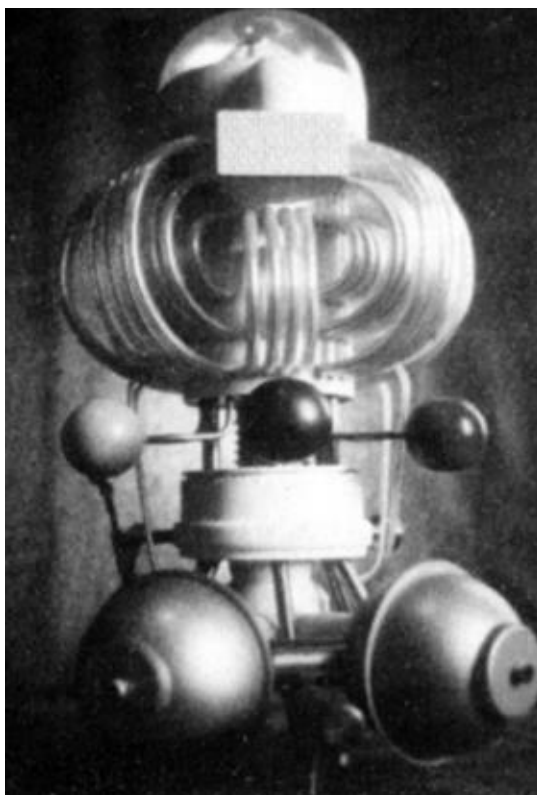
Kryjówka

Templariusze, maszyna do produkcji manny i wzgórze świątynne

W Zoharze, jednej z ksiąg żydowskiej Kabały, dwaj brytyjscy inżynierowie George Sassoon i Rodney Dale odkryli ku swojemu zdumieniu opis wysoce zaawansowanej technicznie maszyny, która produkowała pożywienie, zwane przez biblijne ludy „manną”.

Jak podają źródła biblijne, maszynę przekazano Izraelitom około 1250 roku p.n.e., aby zaopatrywała ich w pożywienie w czasie 40-letniej tułaczki po pustyni.

W Zoharze maszynę nazywano OThIQIVMIN (wymawia się Attik Jomin), co można przełożyć jako „przenoszony ze zbiornikami”. Działała ona na zasadzie rozmnażania alg, do czego potrzebny był dopływ wody pozyskiwanej z powietrza oraz energii czerpanej z minireaktora.



Maszyna do produkcji manny według rekonstrukcji Sassoona i Dale'a. (fot. J. Fiebag)

Uprawiane algi krążyły w systemie rur, w którego centrum znajdowało się silne źródło laserowego światła pobudzające glony do wzrostu. Pozyskany w ten sposób niezwykle pożywny szlam z chlorelli był następnie hydrolizowany w wielostopniowym procesie, wzbogacany o witaminy i mikroelementy i w końcu pobierany z urządzenia w postaci manny. Raz w tygodniu – w szabat – urządzenie było wyłączane, rozbierane, czyszczone i ponownie składane. Po dziś zachowało się wiele rytuałów – zwłaszcza w świecie żydowskim, ale też w chrześcijańskim – związanych z tą maszyną, jej obsługą i działaniem.

Średniowieczne źródła

Poemat niemieckiego poety Wolframa von Eschenbacha (1170–1220) *Parsifal* zawiera mnóstwo zdumiewających szczegółów dotyczących tejże maszyny. Wolfram von Eschenbach, który znał to urządzenie pod nazwą „Graal”, opisuje jego działanie (produkcję pożywienia) oraz jego pochodzenie:

„Przyniosła go [Graala] drużyna, która odleciała z powrotem ku wysokim gwiazdom, albowiem niewinność ciągnęła ich do domu”.

W cytowanym fragmencie bardzo silnie zaakcentowane zostało pochodzenie maszyny z kosmosu. Także biblijne i pozabiblijne przekazy pozwalają uznać, że to pozaziemskie istoty rozumne przyniosły na ziemię maszynę do produkcji mанны (= Graala). Wolfram von Eschenbach opisuje rycerzy Graala, których nazywa „Templeisen” i którzy są wyidealizowanym literackim odpowiednikiem rzeczywiście istniejącego zakonu templariuszy.

Szczegółowy opis dziejów tego urządzenia, które uznajemy za przedmiot pochodzenia pozaziemskiego, opisaliśmy już w czterech książkach. Pytanie, którym chcemy się tutaj zająć, brzmi: W jaki sposób i gdzie średniowieczni templariusze weszli w posiadanie tej zdumiewającej maszyny?

Wydaje się, że pierwsi templariusze odkryli to urządzenie w 1127 roku w Jerozolimie i czcili je później jako „bożka Bafometa”. Jedyny średniowieczny wizerunek Bafometa znajduje się w austriackim zamczysku Lockenhaus. Na tzw. kamieniu symbolicznym w tamtejszym „pomieszczeniu kultowym” templariuszy widnieje zarys maszyny: można rozpoznać górne zawinięte systemy przewodów oraz zbiorniki w dolnej części urządzenia – obydwie elementy we właściwej konfiguracji względem siebie, tak jak zrekonstruowali to Sassoon i Dale na podstawie Zoharu.

Gdzie dokładnie templariusze pod wodzą Hugona de Payensa, jednego z założycieli zakonu znaleźli maszynę do produkcji mанны? Czy było to na górze Nebo na półwyspie Synaj, gdzie być może ukrył ją przed Babilończykami prorok Jeremiasz w VI wieku p.n.e.? A może w twierdzy Heroda, Masadzie, ostatnim punkcie oporu przed potęgą Rzymu, dokąd podobno przeniesiono ją na przełomie tysiącleci? Albo pod ruinami samej Świątyni Jerozolimskiej? Mnożą się wzmianki mówiące o tym, że istnieje pod miejscem jej powstania rozległy labirynt tuneli, który został znaleziony już na początku XX wieku przez ekspedycję Parkera-Juveliusa, a teraz odkryty ponownie przez archeologów izraelskich. Podobno znaleziono nawet tunel eksploracyjny wykuty przez templariuszy około 1127 roku w skale, na której stała świątynia.

Około 587 roku p.n.e. ginie wszelki ślad zarówno po Arce Przymierza, jak i po związanej z nią maszynie do produkcji mанны¹. Jedną z najstarszych wzmianek o sekretnej kryjówce znajduje się w apokryficznej *Apokalipsie Barucha* [6,4–10]. Opisany tam jest najazd Babilończyków na Jerozolimę oraz

utrzymane w mistycznej aurze ukrycie przez anioły głęboko pod ziemią Arki Przymierza i jeszcze innego urządzenia ze świątyni.

Prawie 2000 lat później, tuż po pierwszej krucjacie, niewielka grupka zaprzysiężonych rycerzy i mnichów z Francji udaje się na poszukiwanie maszyny do produkcji mанны. Jednocześnie poszukują też drugiego tajemniczego przedmiotu, Arki Przymierza, zagadkowej skrzyni Izraelitów, w której naszym zdaniem transportowano maszynę do produkcji mанны lub jej części.

Okolo 1119 roku siedmiu ludzi pod wodzą Hugona de Payensa udaje się do Palestyny, później dołącza do nich Hugo de Champagne. Celem tej niewielkiej grupy, która rozbiła obóz na ruinach dawnej Świątyni Salomona, przez co szybko przylgnęła do nich nazwa „templariusze” (świątynnicy), było odnalezienie ukrytego pod mityczną nazwą „święty Graal” Attika Jomina, czyli maszyny do produkcji mанны².

W 1127 roku, jak można wywnioskować z zachowanych przekazów, faktycznie odnaleźli urządzenie i przewieźli do Francji. Dopiero tutaj dokonano oficjalnego założenia zakonu, lecz od razu w preambule do statutu czytamy zdanie: „Z Bożą pomocą (...) dzieło zostało zakończone”. Gdzie więc dokładnie templariusze znaleźli maszynę?

Pewną wskazówkę znajdujemy w *Talmudzie Babilońskim*³, gdzie jest napisane:

Rabbi Nachman ben Izaak rzekł: Nauczają, mędrcy powiadają, że Arka Przymierza przechowywana jest w komnacie stajenki. Rabbi Nachman rzekł: My też dowiedzieliśmy się. Pewnego razu jeden z posługujących tam kapłanów zauważył, że posadzka w tym miejscu wygląda inaczej, i opowiedział o tym drugiemu kapłanowi; zanim zdążył dokończyć opowieści, wyzionął ducha.

„Rzeczy najświętsze”

Być może właśnie tego rodzaju teksty naprowadziły templariuszy na właściwy ślad, teksty, które w tym celu przetłumaczono w Clairvaux przy pomocy żydowskich uczonych ze szkoły rabinicznej w Troyes. Na taki wniosek pozwalają nam informacje o wzmożonych działaniach mnichów i uczonych w piśmie z tamtego czasu.

Lecz już podczas pierwszej wyprawy krzyżowej krążyły pośród uczestników co najmniej plotki na temat ukrycia Arki Przymierza pod świątynią – może to właśnie te domysły zaciekały młodego Hugona de Payensa, kiedy jako 19-latek po raz pierwszy przybył do Ziemi Świętej. Jak wynika z kroniki pierwszej wyprawy krzyżowej pióra Alberta z Akwizgranu, pod Kopułą na

Skale mają się znajdować niewielkie, zawsze zamknięte drzwiczki: „Tam, jak mniemają niektórzy, po dziś dzień przechowywane są niektóre najświętsze przedmioty”⁴.

W rzeczywistości takich żelaznych drzwiczek tam nie ma. Z drugiej jednak strony także inny kronikarz pierwszej krucjaty, Fulko z Chartres, wiedział o jaskiniach i korytarzach w skale pod świątynią⁵ i o tym, że „Arka Przymierza Pańskiego wraz z urną i tablicami Mojżeszowymi jest [w niej] zamknięta i zapieczętowana”. Według tej kroniki rozkaz ukrycia Arki miał wydać król Jozjasz, lecz nieco dalej Fulko powątpiewa w prawdziwość tej wersji i pisze: „To jednak zaprzecza temu, co wiemy z pism Jeremiasza w Drugiej Księdze Machabejskiej, ponieważ to sam Jeremiasz ukrył ją w Arabii”.

Wszystkie te cytaty ilustrują zamieszanie, jakie musiało w owych czasach panować w kwestii miejsca ukrycia skarbów templariuszy. Być może jednak ta właśnie niepewność i zamieszanie wyjaśniają, dlaczego rycerze zgromadzeni wokół Hugona de Payensa potrzebowali łącznie aż dziewięciu lat, by w końcu znaleźć szukany przez siebie przedmiot, świętego Graala, czyli maszynę do produkcji mанны.

Tak czy inaczej, templariusze mogli się przynajmniej domyślać, że naprawdę istnieją jakieś korytarze i komory pod dawną świątynią, ponieważ podobne systemy tuneli spotykało się także w innych częściach Palestyny.

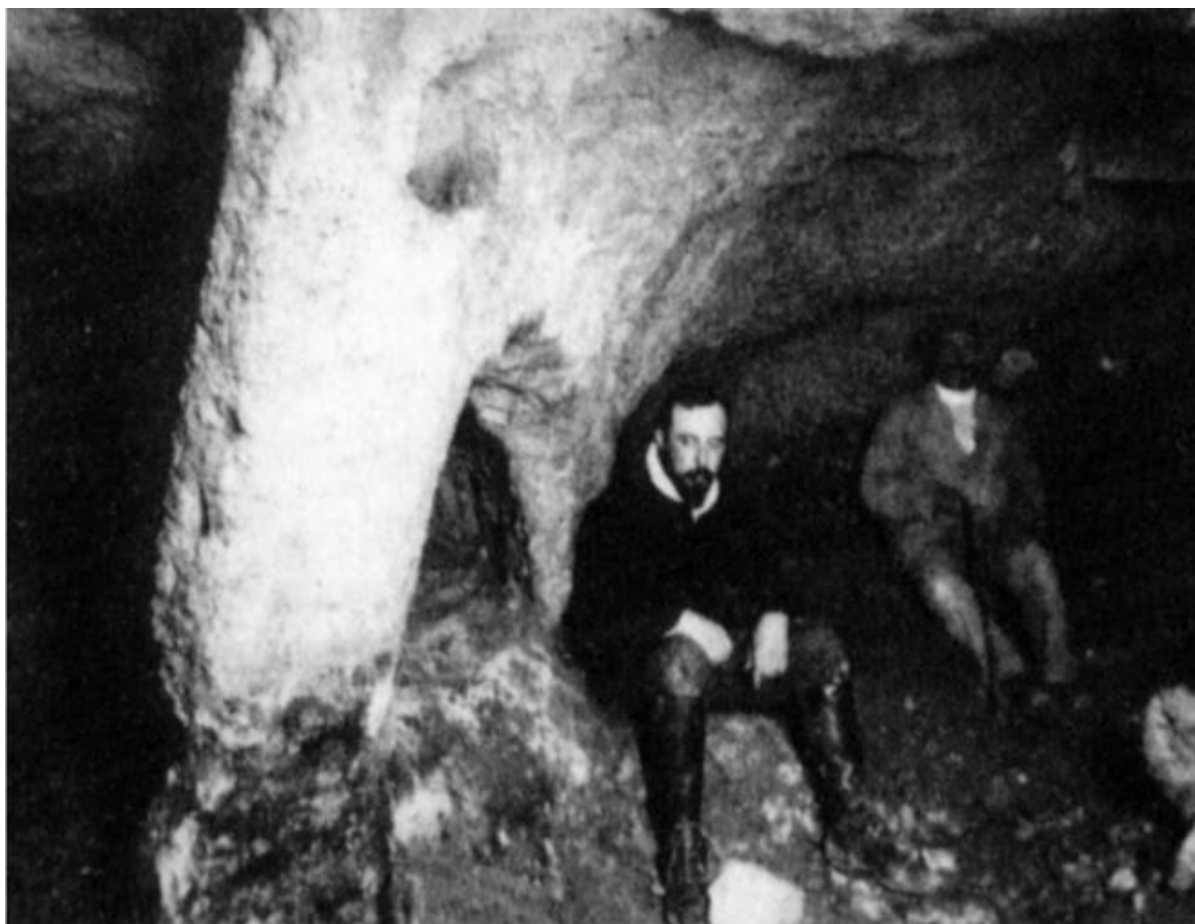
Jak wiemy od niedawna, w Jerozolimie rzeczywiście istnieje mnóstwo takich podziemnych korytarzy. Już ponad 150 lat temu brytyjscy archeolodzy natknęli się na podziemne korytarze i szyby na południe od skały świątynnej, i jeszcze bardziej na południe, pod tzw. Miastem Dawida: Edward Robinson trafił w 1883 roku na tzw. tunel Ezechiasza, żydowskiego króla z VIII wieku p.n.e., a Charles Warren, Charles Wilson i Claude R. Condor w latach 1864–1867 na tzw. szyb Jebuzytów.

Ekspedycja Parkera i Juveliusa

W latach 1909–1911 działała słynna ekspedycja Parkera. Pod wodzą Montague Parkera do Jerozolimy przybyło trzech brytyjskich arystokratów, jeden Szwed oraz jeden Fin. Finem był doktor Valter H. Juvelius, niejako „duchowy ojciec” tej operacji. „Operacja” jest tutaj słowem jak najbardziej na

miejscu, ponieważ ta niewielka grupka faktycznie planowała odnalezienie skarbów templariuszy, a przede wszystkim Arki Przymierza, i wywiezienie ich z kraju.

Przypomnijmy sobie ówczesną sytuację polityczną Jerozolimy: miasto znajdowało się pod tureckim protektoratem, w całości pod władzą muzułmanów, teren świątyni był dla islamu najświętszym miejscem. Jeszcze dzisiaj nadzwyczaj trudno uzyskać zezwolenie na dokonanie tam jakichkolwiek prac wykopaliskowych, nawet miejscowym archeologom. Fundamentalistyczni islamiści z jednej strony, ultraortodoksyjni Żydzi z drugiej utrudniają badania naukowe, posuwając się do groźenia badaczom śmiercią i do rzeczywistych aktów przemocy.



Historyczne zdjęcie członków ekspedycji Parkera i Juveliusa 1909–1911. (fot. école Biblique et Archéologique Française)

Kiedy 26 września 1996 roku premier Benjamin Netanjahu (którego trudno podejrzewać o zbytnią postępowość) ponownie udostępnił do zwiedzania jeden z dawno już znanych tuneli, jeszcze w czasie trwania uroczystości doszło do krwawej łaźni po starciach fanatycznych muzułmanów i Żydów. Zginęło prawie 100 osób, a kilkaset odniosło rany.

W początkach XX stulecia nie było inaczej. Wprawdzie Jerozolima nie miała prawie żydowskich mieszkańców (powroty do nowo założonego państwa Izrael zaczęły się dopiero po II wojnie światowej), ale miejscowi muzułmanie w najmniejszym stopniu nie byli zainteresowani, by „niewierni” Europejczycy szukali „bogactw” w ich świętych miejscach, pod meczetem al-Aksa i pod Kopułą na Skale, tam, gdzie stała kiedyś Świątynia Salomona. Było to dla nich i po dziś dzień jest świętokradztwo, profanacja świętego miejsca. Oczywiście członkowie ekspedycji Parkera i Juveliusa doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Otrzymali wprawdzie zezwolenie na ponowne odsłonięcie tunelu Ezechiasza i szybu Jebuzytów, lecz dostępu do samego wzgórza świątynnego – zgodnie z przypuszczeniem – nie uzyskali. Prowadzili więc wykopaliska poza interesującym ich, a niedostępnym obszarem, wbrew nadziejom jednak nie znaleźli żadnego wejścia.

Cała wyprawa wzięła się z pomysłu Valtera Juveliusa. Wydawało mu się, że odkrył w Księdze Ezechiela tajny kod dotyczący wzgórza świątynnego, który miał go rzekomo doprowadzić wprost do Arki Przymierza. Uważał, że tylko Ezechiel i wysocy rangą kapłani przebywający w niewoli babilońskiej (Ezechiel był jednym z deportowanych przez Nabuchodonozora) mieli dostęp do tego kodu, ale ponieważ nigdy nie wrócili do Jerozolimy, kod został zapomniany. Niezależnie od tego, czy taki kod rzeczywiście istnieje, czy też nie, Juvelius był święcie przekonany, że właśnie teraz, po upływie 2500 lat jemu udało się ten kod „złamać”. Rysował szkice, plany i mapy, a potem pojechał do Jerozolimy.

Cel: Arka Przymierza

Celem jego pobytu było sprawdzenie odszyfrowanych symboli. Prawdopodobnie uznał, że wszystko, co sobie wyliczył, zgadza się co do joty, bo już w następnym roku (1908) założył w Londynie specjalną spółkę (JMPFW Ltd., od pierwszych liter nazwisk udziałowców Juvelius, Millen, Parker, Forth i Waughan), przekazał organizację wyprawy w ręce Montague

Parkera i już w sierpniu 1909 roku pojawił się z nimi w Jerozolimie. Ich tajny cel: odnalezienie Arki Przymierza.

Zaczęli prace wykopaliskowe około 600 metrów na południe od terenu świątynnego, poza murami miasta. Dokładne informacje o postępach prac zawdzięczamy szwedzkiemu inżynierowi Millenowi, który prowadził zapiski i w 1922 roku opublikował je. Niestety, na razie nie ma przekładu na angielski ani na inne języki. Jak jednak twierdzi fiński badacz Kaveli Mikkonen⁶, ich treść jest nader zajmująca.

Millen twierdzi, że przez następne trzy lata posuwali się zgodnie z mapami i opisami sporządzonymi przez Juveliusa na podstawie odszyfrowanych wskazówek i potwierdza, że były one właściwe. Bez nich nie mogliby rozpocząć prac ani ich przeprowadzić i musieliby się narazić na mnóstwo niebezpieczeństw, których dzięki nim udało się uniknąć.

Byli jednak za daleko od świątynnego wzgórza, uciekli się więc do podstępu. Przebrani za Arabów zakradli się nocą na skałę i rozpoczęli wykopaliska w pewnym konkretnym miejscu. Udawało im się to przez mniej więcej tydzień. Potem jednak, w nocy z 18 na 19 kwietnia 1911 roku, kiedy byli tuż przed odsłonięciem zlokalizowanego właśnie wejścia, stało się to, czego od dawna się obawiali: jakiś muzułmanin, który spał w tej okolicy pod gołym niebem, obudził się, słysząc podejrzane odgłosy. Jego oburzone wrzaski obudziły całe miasto. W ciągu kilku minut zaczął się wielki tumult, tak że Parkerowi i jego ludziom dosłownie cudem udało się w ostatnim momencie uciec. Ścigani przez konnych strażników tureckich ledwie dotarli do Jaffy. Tam w najwyższym pośpiechu odcumowali swój jacht i w ten sposób uszli z życiem. Za sobą słyszeli strzały nadjeżdżających Turków. Ani Parker, ani Juvelius czy którykolwiek z pozostałych uczestników tej wyprawy nie powrócili już nigdy do Palestyny.

Co odkryli naprawdę?

Tyle oficjalna wersja przebiegu wyprawy Parkera i Juveliusa. Istnieje też jednak wersja nieoficjalna, którą kreśli w swojej książce Millen. Wynika z niej niezbitie, że Parkerowi i Juveliusowi w rzeczywistości udało się wejść do wnętrza świątynnego wzgórza! Niestety, nie możemy sprawdzić tych twierdzeń, ponieważ nie ma jeszcze tłumaczenia jego książki. Cytujemy zatem raz jeszcze – przy wszystkich zastrzeżeniach – z artykułu Mikkonena:

Millen twierdzi, że wewnątrz świątynnego wzgórza istnieje potrójny system tuneli, labiryntów i kanałów wodnych, z których każdy spełnia inne zadanie. Wloty do tych tuneli są tak starannie ukryte, że bez wskazówek odszyfrowanych przez Juveliusa niemożliwe byłoby ich odnalezienie. Istniało też niebezpieczeństwo, że niezachowanie należytej

ostrożności może doprowadzić do zasypania badaczy. Według Millena kopiący natknęli się w tunelach nawet na trujący gaz, który wywoływał oparzenia i zawroty głowy.

To zdumiewające, ale wygląda na to, że sam Juvelius liczył się z koniecznością ochrony przed promieniowaniem w sąsiedztwie Arki Przymierza. Mikkonen pisze: „Według świadectwa szwedzkiego badacza Henry’ego Kjellsona, który miał wgląd w korespondencję Juveliusa i Millena, w tunelach rzeczywiście natrafiono na podwyższony poziom promieniowania”. Jest to jednak wątpliwe, ponieważ słynny licznik Geigera, którym można by to zmierzyć, został wynaleziony przez niemieckiego fizyka Hansa Geigera dopiero w 1928 roku. Mamy tu więc pewnie do czynienia z nieporozumieniem, ponieważ Kjellson pomylił być może przypuszczenia Juveliusa i Millena z ich (ewentualnymi) odkryciami. Tak czy inaczej, ów rzekomo wysyłający radioaktywne promieniowanie przedmiot miał mieć „kształt klepsydry”. Także Mikkonen uważa, że „prawdopodobnie ani Juvelius, ani Millen nie widzieli tego przedmiotu naprawdę, i należy przyjąć, że o jego istnieniu dowiedzieli się z przekazu zaszyfrowanego w Biblii”.

W każdym razie Henry Kjellson przeprowadził w 1950 roku eksperyment z licznikiem Geigera w miejscach, gdzie, jak przypuszczał, mogło się znajdować wejście, którym ekspedycja Parkera przedostała się do wnętrza wzgórza świątynnego, ale podwyższonego poziomu radioaktywności nie stwierdził.

Sprzeczności

Mapy i szkice sporządzone przez Juveliusa zaginęły gdzieś podczas I wojny światowej. Od 1911 do 1922 roku, czyli roku swojej śmierci, Juvelius raz jeszcze sporządził liczne nowe rysunki i plany, które podobno nadal znajdują się w posiadaniu rodziny. Według informacji fińskiego duchownego Voitta Vira, przyjaciela rodziny, niezwykle trudno zinterpretować te mapy, a najważniejszy obiekt badań Juveliusa, hebrajską Biblię, na podstawie której odkodował wskazówki i wyznaczał współrzędne, na jego wyraźne życzenie spopielono wraz z jego ciałem.

Trzeba przyznać, że cała ta sprawa wygląda mocno podejrzanie. Historycznie poświadczony jest tylko to, że ekspedycja Parkera odkryła wlot tunelu w obrębie świątyni dokładnie w momencie, kiedy ich stamtąd przepłoszono, tak że ledwie uszli z życiem. Twierdzenia o podwyższonej radioaktywności nie znalazły potwierdzenia. Zdumiewa jednak, że Sassoon i Dale przyjęli istnienie minireaktora jako źródła energii maszyny do produkcji

manny, ten zaś wysyła przecież promieniowanie. A odkrycie mającego „kształt klepsydry” urządzenia? W odkodowanych tekstach z Księgi Ezechiela nie ma potwierdzenia istnienia takiego przedmiotu, ale tak się składa, że zrekonstruowana maszyna do produkcji manny ma osłonę z pleksi, która na pierwszy rzut oka mogła sprawiać wrażenie czegoś w rodzaju wielkiej klepsydry. Nie wiemy, co badacze widzieli naprawdę, a co jest częścią legendy, jaka do dzisiaj zdążyła narosnąć wokół ekspedycji Parkera i Juveliusa.

Jednak...

Millen twierdzi w swojej książce, że całe wzgórze świątynne jest poprzecinane potrójnym systemem tuneli i kanałów. Na pierwszy rzut oka wydaje się to czymś absolutnie szalonym, a przynajmniej bezsensownie przesadzonym, wygląda jednak na to, że jest zgodne z prawdą!

Od kilku lat szef izraelskich służb archeologicznych profesor Ronny Reich pracuje po zachodniej stronie murów świątyni. Badacze dotarli już do warstw, w których znajdują się obiekty z czasów Heroda Wielkiego, czyli I wieku p.n.e. Odnaleźli m.in. bloki kamienne pokryte symbolami, które oznaczają „święty” lub „świętość”. Niedługo potem, w odległości kilkuset metrów od tego miejsca, podczas prowadzonych tam z konieczności wykopalisk (w miejscu tym miał powstać nowy dom) natrafili na coś całkowicie niespodziewanego. Ronny Reich⁷ tak o tym pisze: „Zupełnie przypadkowo natrafiliśmy na wskazówki istnienia tajnego szybu, co oczywiście niezwykle rozpałiło naszą ciekawość. Studiowaliśmy plany Brytyjczyków, sporządzone w poprzednim stuleciu. Wszystko zaczynało wskazywać na to, że jesteśmy na gorącym tropie, przystąpiliśmy więc do prac”.

Odkrycie labiryntu

Profesor Reich pracuje razem z historykiem archeologiem podwodnym Richardem Andrewsem z Oksfordu, który zastosował w badaniach najnowocześniejsze technologie: „Prześwietliliśmy wzgórze świątynne termoskanerami i skanerami na podczerwień i dowiedliśmy, że całe wzgórze niby plaster miodu poprzecinane jest siatką tajnych korytarzy, które trzeba przebadać”⁸.

W zasadzie odkryto dokładnie to, co odnalazła na początku XX wieku ekspedycja Parkera i Juveliusa: labirynt korytarzy biegnących przez całe świątynne wzgórze! W całkowitej tajemnicy przed mediami Reich i Andrews

rzeczywiście otworzyli ponownie korytarz, który odnalazła ekspedycja Parkera, i prowadzili w nim badania przez wiele lat. Wszystko wskazuje jednak na to, że to dopiero początek: „Odnajdujemy coraz to nowe wskazówki na temat nowych przejść i ukrytych miejsc, to naprawdę jedna wielka tajemnica. Kiedy się o tym myśli tak po prostu i logicznie, to absolutnie można dojść do wniosku, że Arka Przymierza jest ukryta gdzieś w tej górze. W dodatku niektórzy ludzie są całkowicie o tym przekonani. Jeśli kiedykolwiek ją odnajdziemy, będzie to największe odkrycie wszech czasów!” Wszystko to brzmi niezwykle sensacyjnie i zadajemy sobie pytanie, jak się zakończą poszukiwania. Nie wolno nam jednak zapominać o ograniczeniach, jakie krępują badaczy. Każdy ich ruch jest obserwowany przez ortodoksyjnych Żydów i podejrzliwych muzułmanów, a sam fakt, że wszystkie prace przez cały czas udaje się ukryć przed mediami, jest już sam w sobie wystarczająco zdumiewający.

Oczywiście nadal otwarte pozostaje pytanie, czy kiedykolwiek natrafią w tej płataninie korytarzy, tuneli, jaskiń, sztucznych grot, szybów i kanałów na Arkę Przymierza. Niewykluczone że templariusze wcale jej nie znaleźli, że Arka Przymierza (nie mówimy o maszynie do produkcji manny) wciąż się gdzieś tam znajduje. Na ile jest to jednak prawdopodobne?

Tunel templariuszy

Potwierdzenia, że w średniowieczu rzeczywiście wydrążono tunel w skale świątynnego wzgórza, by przedrzeć się do labiryntu podziemnych korytarzy, dostarczyło już dwa dziesięciolecia temu odkrycie izraelskiego archeologa profesora Meira Ben-Dova. Udało mu się nawet datować czas wykonania tego tunelu: około XII wieku n.e. A więc jedynymi, którzy wchodzi w rachubę jako jego budownicy, rzeczywiście byłiby templariusze – i jest to nawet bardziej niż pewna wskazówka, że istotnie przybyli do Jerozolimy, aby szukać Arki Przymierza i świętego Graala. Ben-Dov tak o tym pisze:

Biegący od południowej ściany tunel prowadził jakieś 30 metrów w głąb wzgórza, do miejsca, gdzie drogę zagrażały kamienie i osuwisko. Wiedzieliśmy, że prowadzi dalej, ale uszanowaliśmy umowę, która stanowi, że nie wolno nam prowadzić wykopalisk w obrębie wzgórza świątynnego bez uzyskania zezwolenia stosownych władz islamskich. W tym wypadku zezwolono nam jedynie na obfotografowanie i obmierzenie odsłoniętej części tunelu. Dalszych wykopalisk prowadzić już tam nie mogliśmy, wobec czego zakończyliśmy prace i zatarasowaliśmy wejście kamieniami⁹.

Sekret tego sztucznego korytarza pierwszych templariuszy dalej więc czeka na odkrycie i będzie tak pewnie aż do dnia, kiedy jakieś bardziej otwarte i tolerancyjne władze wydadzą na to zgodę. Niestety, na razie nie zanoszą się, żeby miało to nastąpić w najbliższej przyszłości, tak więc przyjdzie nam trochę poczekać na wyniki prac Ronny'ego Reicha i Richarda Andrewsa. Lecz niezależnie od tego, na co natrafiają, z pewnością nie tylko poszerzy to nasze zrozumienie wydarzeń, jakie rozegrały się tysiące lat temu w Jerozolimie, ale też całkowicie je zmieni.

doktor Johannes Fiebag i Peter Fiebag

Gdzie się podziła maszyna do produkcji mанны?

Wydaje się, że w 1307 roku templariusze zdołali ukryć na czas najcenniejszą relikwię swojego zakonu przed inkwizycyjnymi zapędami Filipa Pięknego. Ślady prowadzą przez Szkocję aż do Oak Island, małej wyspy u wybrzeży Kanady, na którą nie wolno dzisiaj wychodzić. Przypuszczalnie szkocki książę Henry Sinclair, związany z tradycją templariuszy, przewiózł tam urządzenie w 1398 roku (niecałe 100 lat przed Kolumbem) podczas specjalnej wyprawy i złożył w sztucznie wykopanym podziemnym labiryncie. Labirynt odkrył przypadkiem w 1795 roku młody drwal Daniel McGinnes. Wszelkie próby odnalezienia znajdującego się tam, jak przypuszczają niektórzy, pirackiego skarbu, nie przyniosły dotąd rezultatu. W każdym razie w 1970 roku dziesięciokrotnie opuszczono kamerę do zdjęć podwodnych w otwór wywiercony równolegle do głównego szybu, zwanego „Money Pit”. Kamera zarejestrowała nie skrzynie ze złotem, lecz – jak relacjonuje Gottfried Kirchner z ekipy programu telewizyjnego Terra-X – czarno-białe nagranie pokazało szarawe przedmioty o miękkich, zaokrąglonych konturach leżące na dnie jaskini. Widać było pionowe, przypominające rury kształty i kwadratowe obiekty, które wyglądały jak pokryte miękką, białawą gipsową masą. Ten opis wydaje się dokładnie pasować do maszyny do produkcji mанны, która rozpadła się na kawałki wskutek powtarzających się od 200 lat wierceń i prób eksploracji!

Chronologia

około 1250 roku p.n.e.

Przekazanie maszyny do produkcji mанны semickiemu plemieniu na czas „wędrowki przez pustynię”.

961–926 p.n.e.

Panowanie Salomona. Maszyna do produkcji mанны jest przechowywana w Miejscu Najświętszym świątyni.

587 rok p.n.e.

Zburzenie Jerozolimy przez Babilończyków. Ukrycie maszyny do produkcji mанны w labiryncie tuneli pod świątynią albo na górze Nebo.

1119–1127 n.e.

Pobyt w Jerozolimie pierwszych templariuszy pod wodzą Hugona de Payensa i odnalezienie maszyny do produkcji mанны. Przewiezienie urządzenia do Francji, gdzie zakon ją przechowywał (bożek „Bafomet”).

między 1200 a 1210

Wolfram von Eschenbach opisuje maszynę w swoim poemacie *Parsifal* jako świętego Graala.

około 1290 roku

Rabbi Mojżesz z Leonu spisuje przekazywane dotąd wyłącznie ustnie teksty Kabały. W Księdze Zoharu znajduje się szczegółowy opis maszyny do produkcji mанны, nazywanej OThIQIVMIN.

12–13 października 1307 roku

Rozwiązanie zakonu templariuszy. Maszyna zostaje wywieziona przypuszczalnie do Szkocji.

1398 rok

Ukrycie maszyny na Oak Island (Kanada) przez sir Henry’ego Sinclaira.

Odkrycie Pramatriksa

Wspomnienia z przyszłości stają się prawdą

Pod koniec 1999 roku członkowie AAS Dieter Vogl i Nicolas Benzin spotkali się, aby przygotować książkę pamiątkową z okazji 400. rocznicy śmierci Giordana Bruna. Mieszkający we Włoszech informatyk Dieter Vogl jest specjalistą w dziedzinie kryptografii, a więc techniki szyfrowania. Dzięki temu odkrył w dziełach Giordana Bruna klucz do fenomenalnej wiedzy, która dotąd pozostawała w ukryciu. Opierała się ona na starodawnych tekstach hebrajskich. Dla Nicolasa Benzina był to z kolei impuls do odkrycia w dziełach Bruna aspektów biotechnologicznych dotyczących dzieła stworzenia oraz ludzkich genów. Stało się to podstawą zgłoszenia patentowego, które może mieć ogromne znaczenie dla badań paleo-SETI.

Był rok 1968, kiedy Erich von Däniken opublikował swoją pierwszą książkę *Wspomnienia z przyszłości*, otwierając w ten sposób ogólnoswiatową dyskusję o prehistorycznej wizycie pozaziemskich kosmonautów na Ziemi:

W zamierzchłej przeszłości nasi przodkowie przeżyli odwiedzin z wszechświata! Chociaż jeszcze dotąd nie wiemy, kim były pozaziemskie istoty rozumne i z jakiej odległej gwiazdy przybyły na Ziemię, ja osobiście jestem przekonany, że właśnie ci „obcy” zniszczyli część istniejącej wówczas ludzkości i być może zrodzili pierwszego *Homo sapiens*.

Na zakończenie swojej książki Däniken wypowiedział prorocze słowa: „Oczekuje nas wspaniała przyszłość, która przewyższy naszą bogatą przeszłość. Niezbędne są badania kosmosu i badania przeszłości oraz śmiała realizacja odważnych pomysłów, które wydają się nierealne. Na przykład idea kompleksowych badań nad przeszłością, które mogą nam przynieść bezcenne wspomnienia przyszłości, i nikogo nie trzeba będzie namawiać, by w nie wierzył. Wspomnienia, które wtedy zostaną ujawnione, wyświecą historię ludzkości. Dla dobra przyszłych pokoleń”¹.

Dowód genetyczny

Ponad 30 lat później dysponujemy już setkami dowodów pośrednich dostarczonych przez archeologię, mitologię, religię oraz kulturoznawstwo porównawcze. Wszystkie one potwierdzają zasadniczą tezę Ericha von Dänikena. Jaki jednak dowód przekonałby także najbardziej zatwardziały krytyków? Czy nie powinien gdzieś czekać jakiś niezbity dowód, pozostawiony specjalnie przez któregoś z przybyszów dla przyszłych pokoleń? I gdzie należałoby go szukać? Jeśli byłby ukryty gdzieś na Ziemi, mógłby ulec zniszczeniu w toku wojen lub też niszcycielskiej działalności samej natury. Na orbicie okołoziemskiej również nie da się wykluczyć zniszczenia przez przypadkowe kosmiczne szczątki.

Jeśli człowiek miałby rzeczywiście powstać wskutek sztucznie wywołanej mutacji, to czy nie byłoby najłatwiej, gdyby w trakcie tego procesu wmontowano w DNA człowieka takie właśnie przesłanie? Przesłanie, które każdy człowiek nosiłby w sobie i które dowodziłoby, że „wszyscy jesteśmy dziećmi bogów”? Posiadamy zaledwie 2–3% genów strukturalnych, które odpowiadają za budowę i funkcjonowanie ciała. Funkcja pozostałych 97% nadmiarowych genów jest całkowicie nieznaną. Lecz jak głosi złota zasada biologii, natura nie pozwala sobie na luksusy. Projekt „Human Genom”, czyli właśnie zdekodowanie garnituru genetycznego człowieka, został właśnie zakończony. Teraz czekamy na przesłania i cenne wspomnienia z przyszłości, które może przed nami odsłonić jego analiza.



Asyryjskie hybrydy. Hybrydy – pół ludzie, pół zwierzęta – pojawiają się w wielu mitologiach. Czy ta asyryjska płaskorzeźba ilustruje manipulacje genetyczne? (Paryż, Luwr, fot. J. Fiebag)

Zatrzymajmy się przy biotechnologii. W 1989 roku Erich von Däniken informował w swojej książce *Oczy Sfinksa*² o genetycznych eksperymentach „bogów” i powstających przy tej okazji monstrach. W starożytnym Egipcie istniały podobno „boskie stworzenia” łączące cechy różnych gatunków. Tego rodzaju istoty w żadnym razie nie mogłyby powstać w sposób naturalny. Nie jest to jednak nic wyjątkowego, ponieważ na Krecie żył przecież Minotaur – pół człowiek, pół byk. Kilkanaście lat temu krytycy mogli się zaśmiewać z hipotezy o istnieniu takich „boskich istot”, ale teraz ten śmiech zamarłby im na ustach. Bo przecież przeszłość „bogów” jest naszą przyszłością, jak podkreśla stale Däniken: wspomnienia z przyszłości! To, co kiedyś było możliwe dla stwórców człowieka, stanie się możliwe także dla nas, ludzi, w bliższej lub dalszej przyszłości. Już teraz ta przyszłość bardzo energicznie puka do naszych drzwi.

Szóstego października 2000 roku w internetowym wydaniu gazety „Die Welt” opublikowano artykuł *Baśniowe stworzenia z retorty* autorstwa Kim Brandenburger, z sensacyjnym podtytułem: *Pół świnia, pół człowiek – swoimi eksperymentami genetycy sięgają poza granice stworzenia*. Wiadomo jedynie, że firmy Stem Cell Sciences (Australia) i Biotransplant (Stany Zjednoczone) przez tydzień hodowały w swoich laboratoriach stworzone przez siebie embriony. Hybrydy doprowadzono do stadium 32 komórek. Co by się stało, gdyby pozwolono im rozwinąć się w zdolne do życia istoty? Czy nie mielibyśmy wówczas do czynienia z takimi samymi hybrydami jak te znane ze starożytnych mitologii? Całkiem słusznie Kim Brandenburger przywołuje w swoim artykule znane postaci z mitologii greckiej. Po co jednak to wszystko? Nie chodzi o klonowanie całych istot, tylko o pozyskanie narządów i tkanek do celów medycznych.

Już 15 listopada 1998 roku internetowe wydanie gazety „Berliner Kurier” donosiło:

Rozmnażanie narządów do transplantacji. Naukowcy ze Stanów Zjednoczonych wyhodowali z komórki jajowej krowy i komórek skóry dorosłego człowieka nowe komórki, z których mają powstać narządy do transplantacji. Michael West z zajmującej się biotechnologią firmy Advanced Cell Technology (ACT) w Worcester mówi: „Pierwsze rezultaty osiągnęliśmy najwcześniej za 10 lat”.

Pewnie nie będziemy musieli czekać aż do roku 2008, żeby pojawiły się pierwsze sztucznie hodowane narządy do przeszczepów. Kiedy już widać gołym okiem, że wiedza i nauka „bogów” antycypuje możliwości naszej ziemskiej techniki, najwyższy czas ogłosić powstanie nowej dziedziny nauki, a mianowicie „nauk stosowanych paleo-SETI”.

Odszyfrowanie tajnego kodu

Pierwsze kroki w tym kierunku już poczyniono. Przy bojkocie mediów i lekceważeniu ze strony oficjalnej nauki w ostatnich latach wydarzyło się coś niewyobrażalnego. Pod koniec 1999 roku spotkali się Dieter Vogl³, uznany specjalista w dziedzinie kryptografii, oraz Nicolas Benzin⁴, znawca biografii włoskiego przyrodzawcy Giordana Bruna i po szczegółowych dyskusjach na temat różnych aspektów dzieł tego uczonego 8 kwietnia 2000 roku Dieter Vogl odnalazł klucz do liczącej tysiące lat zakodowanej wiedzy pochodzącej z tradycji hebrajskiej i przekazywanej z pokolenia na pokolenie. W ciągu następnych czterech dni Dieterowi Voglowi udało się dzięki odkrytemu kluczowi zaprezentować procedury mikrobiologiczne służące do rekonstrukcji

genetycznej ludzkich narządów z wykorzystaniem komórek macierzystych i zawartej w nich informacji genetycznej.

Co to oznacza? Z ludzkiego organizmu, dla którego trzeba sklonować dany narząd, pobiera się pojedynczą komórkę. Pobrana komórka zostaje pobudzona do podziału którąś ze znanych i stosowanych dzisiaj metod. Ponieważ w wyniku tego procesu powstałby po prostu cały organizm, a na potrzeby genetycznej rekonstrukcji poszczególnych narządów trzeba temu zapobiec jeszcze w stadium podziału na dwie komórki, dlatego w stadium profazy, kiedy następuje zagęszczenie nitek chromosomowych tak, że stają się one widoczne, pobiera się z komórki tylko te chromosomy, które odpowiadają za powstanie danego narządu. Chromosomy przeznaczone do usunięcia wyznacza się na podstawie określonego standardami międzynarodowymi kariogramu (według ustaleń konwencji z Denver z 1960 roku; 22 pary autosomów, 1 para chromosomów płciowych, podzielone według wielkości na 7 grup).

Wzór matematyczny procedury mikrobiologicznej prowadzącej do rekonstrukcji narządów brzmi $[(3)+1]$. Trzy podstawowe chromosomy to pary autosomów 1 i 13 oraz 21. Z trzema wyjątkami komórki mogą być wyłącznie haploidalne. Dodatkowy chromosom, dobierany w zależności od narządu, jaki mamy sklonować, może być pozostawiony w komórce albo w postaci haploidalnej, albo diploidalnej.

Po tym zabiegu z zakresu biologii molekularnej komórka zostaje umieszczona w pojemniku z obiegiem substancji odżywczych i pobudzona do podziału jedną ze stosowanych dzisiaj metod. W czasie tego procesu, kiedy komórka ma do dyspozycji wyłącznie zredukowany zestaw chromosomów, dochodzi do specyficznego zróżnicowania komórek w kierunku istniejącego materiału dziedzicznego, w wyniku czego zostaje odtworzona na koniec forma i funkcja danego narządu.

Zalety tego procesu widać jak na dłoni. Klonując narządy z wykorzystaniem procedur biologii molekularnej w celu genetycznej rekonstrukcji narządów ludzkich z wykorzystaniem komórek macierzystych, można zagwarantować, że każdy taki narząd będzie idealnie dopasowany do organizmu biorcy. Zasadnicze plusy polegają na tym, że:

- zrekonstruowane w toku selektywnego klonowania i identyczne z wymienianymi narządy są do dyspozycji w stosunkowo krótkim czasie;
- znika dotychczasowa zależność od narządów obcego dawcy możliwie zbliżonego pod względem genetycznym;
- odpada wysokie ryzyko odrzucenia przeszczepionego obcego narządu przez system immunologiczny biorcy, głównie dlatego że każda komórka organizmu jest w stanie rozróżnić komórki własne od obcych;
- biorca nie musi już używać nieobojętnych przy długotrwałym stosowaniu leków immunosupresyjnych, przez co

– całkowicie odpadają szkodliwe dla biorcy uboczne skutki stosowania leków.

Nie chcielibyśmy jednak budzić przedwczesnych nadziei u wszystkich potrzebujących, nie ma bowiem jak dotąd serca, nerki czy wątroby z próbówki. My dostarczyliśmy jedynie wskazówek, jak zaplanować procedury mikrobiologiczne, na tej podstawie dopiero inni badacze czy ośrodki uniwersyteckie muszą opracować szczegóły techniczne zastosowania tych wskazówek w praktyce. Nawet jeśli niektórzy biolodzy są zdania, że nasze pokolenie nie dożyje jeszcze serca z próbówki – zwłaszcza takiego z komórek macierzystych – to jednak my uważamy, że nauce spokojnie wystarczy 10, 20 czy nawet 50 lat, żeby opanować wytwarzanie narządów z komórek własnych pacjenta.

Mimo wszystko przed nami jeszcze długa droga, ponieważ obecnymi metodami inżynierii tkankowej nie wszystko da się zrobić. Ograniczenie polega na tym, że naszymi obecnymi metodami komórki tak naprawdę nie są klonowane, a jedynie rozmnażane. Jest to powód, dla którego na razie nie potrafimy wyhodować narządu o właściwym mu kształcie i spełniającego swoją funkcję. Poza tym przedstawiciele dyscyplin zajmujących się pokonaniem występujących w tej fazie problemów często nie są wystarczająco otwarci, by przyswajać sobie nowe odkrycia lub alternatywne metody działania. Nie są to wcale bezpodstawne obawy. Tak się złożyło, że pewna redaktorka agencji informacyjnej DPA, zresztą biolog z wykształcenia, wprost odmówiła zamieszczenia depeszy informującej o naszym odkryciu, po pierwsze dlatego, że autor jest informatykiem, a po drugie, że nie chcieliśmy się podpierać nazwiskiem żadnego profesora biologii, który sprawdziłby jego teoretyczne podstawy.

Patent rodem z paleo-SETI

Nie trzeba chyba dodawać, że oczywiście poinformowaliśmy wcześniej o wszystkim naukowców pracujących nad genetyczną rekonstrukcją narządów i mieli oni do dyspozycji szczegółowy opis procedur dotyczący każdego narządu na naszej stronie internetowej pod adresem www.ChromoTec.org. Żadnej reakcji. Dopiero kiedy po lecie 2000 roku niemal codziennie zaczęły się pojawiać we wszelkiego rodzaju mediach doniesienia o możliwości genetycznej rekonstrukcji ludzkich narządów, redakcje naukowe dowiedziały się o naszej publikacji z listów i telefonów od czytelników i słuchaczy. Naukowcy muszą teraz jedynie wykryć, które procesy odpowiadają za to, że z

komórek macierzystych powstają określone rodzaje komórek – tak wyglądała treść informacji prasowej. Znow żadnej reakcji.

W tej sytuacji Nicolas Benzin, specjalista prawa administracyjnego, przygotował w maju 2000 roku wraz z Dieterem Voglem wniosek patentowy. Patent został zgłoszony pod ochronę 8 maja 2008 roku przez Jensa Trostnera i Dietera Vogla w Europejskim Urzędzie Patentowym w Monachium pod numerem PCT/EP00/05311. Niedługo potem Europejski Urząd Patentowy potwierdził, że wniosek przeszedł pomyślnie weryfikację merytoryczną.

Członek AAS Jens Trostner założył wówczas firmę ChromoTec GmbH, Stuttgart, pierwszą na świecie spółkę zajmującą się praktycznym wykorzystaniem patentów, które powstały na bazie nauk stosowanych paleo-SETI.

Jeśli rzeczywiście procedury opracowane na podstawie liczących sobie tysiące lat „wskazówek, jak dokonać aktu stworzenia” okażą się możliwe do zastosowania w praktyce, a takie przyjęliśmy założenie, będzie to oznaczało, że ziściły się postulaty Ericha von Dänikena zawarte w jego *Wspomnieniach z przyszłości* i ruch paleo-SETI wreszcie zyska długo wyczekiwany dowód na prawdziwość swoich hipotez.

Nicolas Benzin, Dieter Vogl, Jens Trostner

Tajemniczy hieroglif

Dna i zagadka linii życia

Jakże nadużywane przez media przez ostatnie dwa lata zdanie: „Marzenie o źródle wiecznej młodości jest tak stare jak sama ludzkość” wydaje się nie do obrony, przynajmniej według biblijnej rachuby czasu. Pragnienie „wiecznej młodości” czy też „nadludzko” długiego czasu życia mogło powstać przecież dopiero wówczas, gdy człowiek utracił cechy odziedziczone po stwórcach/bogach.

Wiek biblijny

Jak długo może żyć człowiek według wyobrażeń starotestamentowych, dokumentują głównie księgi biblijne i okołobiblijne, które dodatkowo ilustrują systematyczne skracanie długości ludzkiego życia w ciągu 3500 lat. (Ponieważ cała lista obejmuje 40 osób, dla oszczędności miejsca wymienimy tylko te bardziej znane, nie zmieniając kolejności ich występowania w Biblii).

Adam – 930 lat, Set – 912 lat, Matuzalem – 969 lat, Noe – 950 lat, Sem – 600 lat, Arpachszad – 438 lat, Peleg – 239 lat, Reu – 209 lat, Terach – 205 lat, Abraham – 175 lat, Jakub – 147 lat, Neftali – 132 lata, Dan – 125 lat, Mojżesz – 120 lat, Zabulon – 114 lat, Jozue – 110 lat.

Liczby, które dotrwały do nas z zamierzonych czasów, w żadnym razie nie mają nic wspólnego z pojęciem „religii”. Gdyby bowiem miały, to skrybowie spisujący Stary Testament spokojnie mogliby przypisać jakiejś ważnej teologicznie osobistości 400, 600 czy 900 lat. Zamiast tego ukazują nam nieświadomie utratę czy też zmiany ludzkiego garnituru genetycznego: powolne skracanie się długiego niegdyś wieku osobniczego.

W rzeczywistości starożytne teksty informują także słowami o przewidywanym w przyszłości przyspieszonym procesie starzenia się. I tak np. z odrzuconej przez wszystkie Kościoły (poza koptyjskim) Księgi Jubileuszów dowiadujemy się: „Abraham przeżył trzy jubileusze i cztery tygodnie lat, tj.

175 lat. Zakończył dni swojego życia, będąc starym i nasyconym długością swojego życia. Liczba dni starożytnych wynosiła bowiem dziewiętnaście jubileuszy. Po potopie jednak zaczęła się zmniejszać i zeszła poniżej dziewiętnastu jubileuszy. Ludzie zaczęli starzeć się szybciej i życie ich stawało się krótsze”. [1 jubileusz = 49 lat, 1 tydzień lat = 7 lat – przyp. autora].

W charakterze rzeczowo-beznamiętnej prognozy dowiadujemy się o jednej z najważniejszych przypadłości podeszłego wieku, mianowicie chorobie Alzheimera: „Od tej pory wszystkie pokolenia (...) będą starzeć się szybko, zanim ukończą dwa jubileusze, a wiedza będzie je opuszczać z powodu ich starości. Zostanie im bowiem odebrana wiedza. W owych dniach, jeżeli ktoś przeżyje półtora jubileuszu, będą o nim mówić: «Przedłużył sobie życie, ale większość jego dni to cierpienie»”. Jakże trafne!

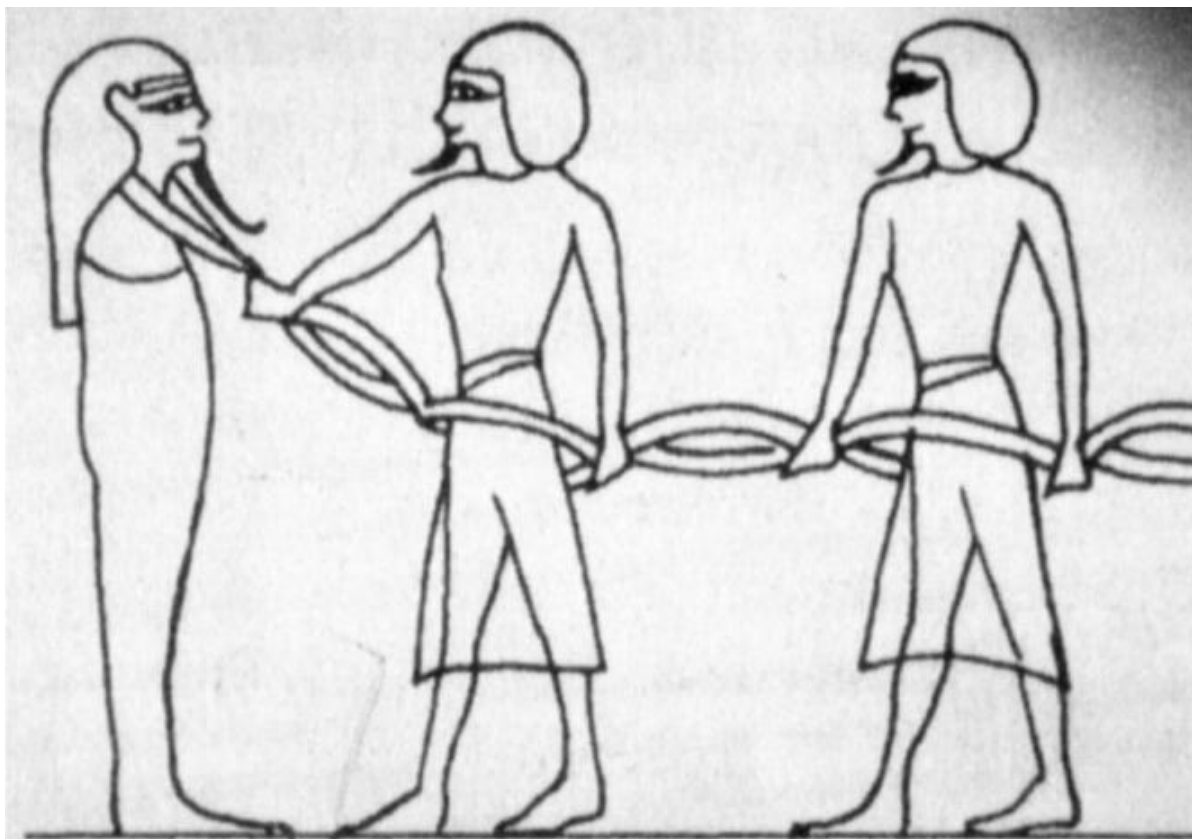
Jakkolwiek naukowcy naszych czasów nie sięgają po takie „biblijne” liczby i teksty jako „podstawę” do swoich rozważań, to jednak pośrednio właśnie oni potwierdzają nam prawdziwość tych pism, udowadniając, że długość życia wcale nie jest wielkością nienaruszalną. To, co panowie uczeni nazywają „naturalną” barierą wiekową, wydaje się raczej wbudowanym przez naszych stwórców „bezpiecznikiem”, technologią zaś, która w niezbyt odległej przyszłości pozwoli nam ten bezpiecznik „wyłączyć”, jest... genetyka stosowana!

Decydującego kroku w tym kierunku dokonano w 1953 roku, kiedy amerykańsko-brytyjski zespół badawczy Francis Cricka i Jamesa Watsona po raz pierwszy zidentyfikował DNA (kwas dezoksyrybonukleinowy) jako nośnik dziedzicznej informacji, stwarzając tym samym podstawy do odcyfrowania ludzkiego kodu genetycznego. Dzisiaj wiemy już, że każdy normalny człowiek ma w jądrze komórki 23 pary chromosomów, będące niejako składnikami całej informacji genetycznej o nim. Wszystko, czym jesteśmy, zawiera się w DNA. DNA z kolei składa się z genów, które najłatwiej wyobrazić sobie jako stronicę książki, z których każda zapisana jest od początku do końca różnymi wariantami zestawu czterech liter A, T, G i C (oznaczających nukleotydy, adeninę, tyminę, guaninę i cytozynę). Wyłania się z tego całkowity plan budowy nie tylko każdego pojedynczego człowieka, ale również zestaw cech właściwych ludzkości jako gatunkowi, włącznie z przewidywaną maksymalną długością życia.

Hieroglif z DNA

DNA występuje, jak wiadomo, w postaci tzw. podwójnej helisy (takiej nazwy Crick i Watson użyli w rozprawie opublikowanej 25 kwietnia 1953 roku w czasopiśmie „Nature”). Ową helisę definiuje się, ogólnie rzecz biorąc, jako „spiralnie skręcone wokół wspólnej osi dwa łańcuchy nukleotydowe”. W tym kontekście, w połączeniu ze wspomnianymi już wcześniej przekazami biblijnymi, zdumiewa pewien staroegipski hieroglif. Pojęcie „czas życia” zostało tam oddane za pomocą sznura (lub węża). Najbardziej jednak zdumiewa fakt, że sznur ten nazywa się *metui*, czyli dosłownie „podwójny sznur”!

Obrazu podwójnego sznura nie używano bynajmniej przy każdej nadarzającej się okazji (np. gdy pokazywano ciągnięcie słonecznej barki itd.). W rzeczywistości można go spotkać tylko w jednym miejscu staroegipskiej *Księgi Bram*, właśnie gdy mowa jest o przewidywanej długości ludzkiego życia, tj. przy tzw. 5 Bramie, noszącej imię „Pani długości życia”. Z 31. sceny 5. godziny dowiadujemy się też o pięciu niemających imion ani atrybutów bóstwach, które niosą ten sznur: „To one ustalają czas życia i decydują o liczbie dni”. Także z przypisu tłumacza wynika, że chodzi tutaj o pewne wyobrażenie konkretnego zapasu długości życia wszystkich istot żywych. Bóstwa czy inżynierowie genetycy?



Rysunek ze staroegipskiej Księgi Bram, scena 36: spleciony podwójnie sznur symbolizujący czas życia.

Naprawdę trudno mówić tu o przypadku, zważywszy podobieństwo tej mierzącej w postaci rozwiniętej około 2 metrów podwójnej helisy ze strukturą DNA, nawet jeśli mamy tutaj do czynienia z przedstawieniem symbolicznym.

Dalej w tekście czytamy: „Re [wzgl. Ra] powiada do nich: O bogowie, którzy stoicie na czele Dat [gwiazdna kraina nieba – przyp. autora] i niesiecie podwójny sznur, aby zmierzyć długość życia. Chwycicie ów podwójny sznur i zmierzcie długość życia, jaka jest na nim”.

Jeszcze wyraźniej widać to w scenie 36. godziny 6. Dwunastu bogów chwyta „splecioną podwójnie linę”, owiniętą wokół szyi mającego kształt mumii boga. Postać ta nazywa się Aqen i towarzyszy jej 12 bogów, „którzy niosą podwójnie spleciony sznur, z którego wychodzą godziny”. Re powiada: „Gdy wychodzi jeden zwój (sznura), powstaje jedna godzina”.

Założenie, że miałyby tutaj chodzić o godziny dnia ze wschodami i zachodami słońca w postaci boga słońca Re, wydaje się nietrafione, ponieważ wyraźnie mowa jest tutaj o długości życia. A ta jest zapisana na „podwójnym

sznurze”. Dzisiaj jest już naukowo dowiedzione, że za proces starzenia się odpowiada głównie nie do końca prawidłowo funkcjonujący podział komórek.

Dwie rzeczy prowadzą do powstania tego obciążonego błędami procesu podziału, coraz silniej „tłumiącego” odnawianie się organizmu:

1. Końcówki chromosomów, czyli sekwencje genów zwane telomerami zgodnie z genetycznym rozkazem, skracają się przy każdym kolejnym podziale komórki. Kiedy ten proces osiągnie pewien konkretny punkt, kończy się podział komórkowy i pojawia się podatność na choroby, a w konsekwencji objawy starzenia się („z każdym zwojem!”).
2. Przy każdym podziale komórki powstają „resztki DNA”, które powielają się przy następnym podziale. Biolodzy z MIT Leonardo Guarente i David Sinclair odkryli na przykładzie komórek drożdży, że podwajaniu podlega nie tylko informacja niezbędna do podtrzymania życia, ale też całość powstającego, bezużytecznego materiału genetycznego (podwójna helisa kopiuje się na zmianę to na jedną, to na drugą stronę łańcucha). Ten „genetyczny śmietnik” zostaje przy następnym podziale nie tylko czterokrotnie powiększony, ale też dodatkowo wzbogacony o kolejne odpryski. Rezultat jest taki, że komórka wskutek wewnętrznego „braku miejsca” nie może się dalej dzielić i rozpoczyna się postęp procesów starzenia się.

W tych warunkach nie dożyjemy więc (jeszcze) wieku Matuzalema. Przeczuwamy jednak, że kiedyś było to możliwe, a teraz w dodatku odkryliśmy, gdzie kryją się możliwe do uniknięcia „błędy w systemie zwanym człowiekiem”. Czyżby więc tylko kwestią czasu było, kiedy na powrót osiągniemy biblijny wiek i staroegipską wiedzę? Wszystko zdaje się na to wskazywać:

1995: Pod kierunkiem biologa molekularnego doktora Gordona Lithgowa naukowcy z uniwersytetu w Kolorado badający dżdżownice odkrywają gen odpowiedzialny za procesy starzenia się. Manipulacja przeprowadzona na genie o nazwie AGE1 pozwoliła znacznie spowolnić starzenie się poddawanych eksperymentowi dżdżownic. Długość życia zwiększyła się o około 65%.

1996: Zajmującemu się biologią komórki doktorowi Mike’owi Westowi i współpracownikom Geron Corporation z San Francisco udaje się zwiększyć długość życia różnych zwierząt laboratoryjnych średnio o 50%.

1997: Amerykańskim naukowcom po raz pierwszy udaje się odbudować w próbówce długość telomerów i w ten sposób „odmłodzić” komórki.

Doktor Ronald Klatz, przewodniczący American Academy of Anti-Aging Medicine, mówi: „Nowe techniki są już znane, trzeba je tylko dopracować. Już teraz możemy zacząć się nastawiać na początek nieznanego starości społeczeństwa. Starzenie się będzie wkrótce chorobą, którą będzie można leczyć”.

Wygląda na to, że jest to fakt, który znajduje potwierdzenie w danych na temat długości życia znajdujących się w Biblii. Jak to rzekł niegdyś niemający

wieku bóg Jahwe do otaczających go elohim: „Oto człowiek stał się taki jak my” (Księga Rodzaju 3,22). „A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić” (Księga Rodzaju 11,6).

Thomas Fuss

IV Zagadkowa Europa

Omfalos – pępek świata

U stóp Parnasu, powyżej Zatoki Korynckiej, stoi na jednym ze zboczy w okolicach Delf malownicza świątynia Apollina. W zamierzchłych czasach było to sanktuarium bogini ziemi Gai i boga morza Posejdona, przejęte następnie przez Apollina, który „w promiennej postaci zstępuje z wyżyn Olimpu, siedziby bogów starożytnej Grecji”¹. Już M. Kappel² wskazał na istotną z punktu widzenia paleo-SETI właściwość tego sanktuarium, a mianowicie na wykonany praktycznie bez spoin z ogromnych ułożonych na sobie bloków mur świątyni, wykazujący wielkie podobieństwo do murów budowli z Ameryki Środkowej.

Równie wielkie znaczenie ma też jednak omfalos, „pępek świata”. Według jednego z mitów Zeus wysłał po jednym orle na wschód i na zachód, obydwa spotkały się potem w Delfach, co dla starożytnych Greków było dowodem, że to tutaj znajduje się pępek, czyli środek świata. Interesujące jest to, że takie spotkanie dwóch orłów jest możliwe jedynie wówczas, gdy będziemy patrzeć na Ziemię jako na kulę, co wcale nie zostało przyjęte przez późniejszą kosmologię.

Jak wyglądał ów „pępek świata”? Omfalos to stożkowaty kamień, który w świątyni Apollina stał w pobliżu miejsca zajmowanego przez Pytię (wieszczkę wyroczni delfickiej) i przypuszczalnie pochodził z czasów prehistorycznych. W czasie wygłaszania prorocत्व Pytia jedną rękę kładła na omfalosie. Dawniej kamień był najprawdopodobniej owinięty tkaninami i przyozdobiony drogimi kamieniami.



Odnaleziony stary omfalos. (fot. K. Streng) (z lewej)
Stela Naramsina. (fot. Grammont)(z prawej)

Ponowne odkrycie

W czasach cesarzy rzymskich wydał się on jednak kapłanom zbyt skromny. Został więc „pogrzebany” i zastąpiony nowym marmurowym omfalosem, który można teraz podziwiać w Muzeum Delfickim jako rzekomo „właściwy” omfalos³. Dopiero ostatnio udało się odkryć „grób” praomfalosa i po wydobyciu ustawić go w samej świątyni w pobliżu skarbców.

Jak widać ze zdjęć, omfalos jest kamieniem w kształcie stożka. Rzymskim kopistom najwyraźniej o wiele ważniejsze od charakterystycznego kształtu wydały się ozdoby, które przenieśli na marmur. Oryginalna forma natomiast przypomina moduł lądujący rosyjskich i dawnych amerykańskich pojazdów kosmicznych albo w ogóle czubek rakiety.

Trudno nie dostrzec podobieństw do indyjskich lingamów czy też do omówionych przez Fiebaga⁴ kamieni *benben* u Egipcjan (zakończenie obelisków), których niestety nie udało się jeszcze odnaleźć archeologom.

Kamień *benben* miał się podobno opuścić z nieba na Ziemię. Znajdował się w nim bóg Re (Ra), podobnie jak Apollo będący bogiem światła i Słońca. Także na steli Naramsina z 2370 roku p.n.e., która znajduje się w Luwrze, widać stożkowaty kamień zwrócony końcem w stronę podwójnego Słońca, adorowany lub pilnowany przez akadyjskiego króla Naramsina (Mezopotamia). Zecharia Sitchin⁵ podaje liczne inne miejsca występowania omfalosów, zwłaszcza w Egipcie.

Występowanie jednakowych, niezwykłych form w różnych starożytnych kulturach z pewnością nie jest przypadkowe i powinno dać asumpt do dalszych badań.

doktor Klaus Strenge

Piramidy w Grecji

Zaczął się od zwykłej karty telefonicznej: w czasie mojego pobytu w Grecji w 1997 roku wuj wcisnął mi ją do ręki, ponieważ niemal w całym kraju nie ma już automatów na monety. Kiedy przy pierwszym użyciu dokładnie przyjrzałem się tej karcie,omal nie wypuściłem słuchawki z ręki: zdjęcie przedstawiało szczątki piramidy, która według podpisu znajdowała się w Argos. Znam przecież Argos. Ono leży w Grecji! Owładnęła mną gorączka odkrywcy. Koniecznie muszę się dostać do Argos! Po odbyciu niezliczonych rozmów telefonicznych dowiedziałem się, że ruiny rzeczywiście znajdują się w pobliżu tego miasta, ale nikt nie wiedział gdzie dokładnie. Wobec tego skompletowaliśmy zaimprovizowany ekwipunek i następnego dnia o godz. 4.00 ruszyliśmy w drogę na los szczęścia. Najpierw opustoszałymi o tej porze ulicami Aten, potem autostradą Ateny–Korynt, z której skręciliśmy w lewo w stronę Tripoli, by po trzech godzinach znaleźć się w Argos.



Piramida z Ellinikónu pod greckim Argos.

Uzbrojeni w kartę telefoniczną zasięgnęliśmy informacji w mieście i już wkrótce mieliśmy dostatecznie dużo wskazówek, by ruszyć dalej: 4 kilometry w stronę Tripoli, przy tablicy „Kefallari 3 kilometry, Ellinikón 6 kilometrów” skręcić w prawo i podążać za malutkimi niebieskimi tabliczkami z żółtym napisem „Ancient Pyramid of Ellinikón”. I nagle po lewej stronie drogi ją ujrzeliśmy: piramidę z Ellinikón.

Rzeczywiście: resztki prawdziwej piramidy w samym środku Grecji! Potężna budowla wciąż wygląda jak piramida, chociaż nie zachowała się w całości. Brakowało górnych dwóch trzecich. Piramida prezentowała się tak, jakby ktoś odpiłował jej czubek. Po kilkakrotnym obejściu ruin, żeby zorientować się w całości, zaczęliśmy pomiary. Podstawa ma około 15 x 14 metrów, a więc nie jest kwadratowa. Żeby wymierzyć wysokość, wspiąłem się na najwyższą ścianę i wyszło mi 4,27 metra. Po wschodniej stronie znajduje się wejście do piramidy. Przeszedłem przez nie i wspiąłem się na murek po prawej. Znalazłem się już wprawdzie we wnętrzu budowli, ale nad głową wciąż miałem niebo. Nigdzie nie było żadnych śladów po kolumnach, które kiedyś mogły podtrzymać strop. Dlatego nasunęło mi się pytanie, czy piramida kiedykolwiek była od góry zamknięta. Nigdzie nie ma też bowiem pozostałości jakiegokolwiek „dachu”.

Najbardziej fascynujący jest sposób zbudowania piramidy: wzniesiono ją zupełnie inaczej niż te, które oglądałem w czasie swoich podróży. Normalnie piramidy budowane są bowiem z kwadratowych kamiennych bloków. Ale nie ta. Piramida z Ellinikónu jest zbudowana w tym samym stylu, w jakim zbudowano cyklopowe mury spotykane w najróżniejszych częściach świata: z grubo ciosanych kawałów skały, doskonale do siebie dopasowanych.

Chciałem dotrzeć do dokładniejszych informacji o piramidzie, razem z wujem poszliśmy więc prosto do burmistrza Ellinikónu. Ucieszył się bardzo, że ktoś interesuje się „jego” piramidą, i opowiedział nam wszystko, co wie na jej temat.

Istnieją dwie hipotezy na temat daty jej powstania:

1. W epoce Aleksandra Wielkiego (356–323 p.n.e.), po tym, jak Grecy zobaczyli piramidy egipskie.
2. W okresie między 3000 a 10 000 p.n.e., a więc 5000 do 12 000 lat temu! Do takiego wniosku przynajmniej doszła Akademia Athinon, czyli grupa badawcza zrzeszająca znakomitych greckich archeologów, którzy badali piramidę we wczesnych latach 60. XX wieku. Jak powiedział burmistrz, naukowcy przerwali wtedy badania po dwóch dniach, kiedy tylko udało im się datować budowlę, i nigdy już nie powrócili.

Pewnie takie wyniki datowania zbiły ich z tropu, ponieważ piramida okazała się o wiele za stara, żeby pasować do utartego archeologicznego schematu. A wtedy archeolodzy powiedzieli sobie „niemożliwe” i już. Pięć tysięcy lat temu nawet starożytni Grecy mieszkali jeszcze w jaskiniach. Nie umiając sobie tego wytłumaczyć, eksperci przestali się na temat piramidy wypowiadać. Jeśli bowiem chcieliby się upierać przy swoich własnych datowaniach, cały gmach interpretacji dziejów Greków i w ogóle całej ludzkości rozpadłby się jak domek z kart.

Wiść dotarła do podróżników i poszukiwaczy przygód, którzy zaczęli tłumnie odwiedzać to miejsce. Ekspertom było to nie w smak i postanowili powstrzymać napływ ciekawskich, likwidując drogowskazy kierujące do piramidy. Oficjalnie budowla przestała istnieć i popadła w zapomnienie. Tylko na krótkiej drodze wiodącej do Ellinikónu pojawił się ponownie drogowskaz kierujący do tajemniczej piramidy – ustawił go sam burmistrz, żeby zwabić bodaj garstkę turystów.

Spytałem go, czy znaleziono w piramidzie jakieś przedmioty, i usłyszałem w odpowiedzi, że owszem, w 1910 roku jakiś amerykański archeolog wykopał najprawdopodobniej wiele przedmiotów, zabrał je jak swoje i przehandlował za ciężkie pieniądze kolekcjonerom. Dziś nie ma po nich ani śladu. Niestety, nie uwieczniono ich też ani na zdjęciach, ani na jakichkolwiek rysunkach.

Wróciłem do Stanów Zjednoczonych. W Ithaca, gdzie mieszkam, spędziłem niekończące się godziny w mrocznych i zakurzonych magazynach biblioteki

Uniwersytetu Cornella, szukając w literaturze więcej informacji na temat piramidy z Ellinikónu, np. tego, kim byli jej budowniczy. Niestety, poszukiwania nie były dość owocne, ponieważ znalazłem niewiele: wprawdzie w amerykańskim piśmie archeologicznym „Hesperia” z 1938 roku ukazał się 57-stronicowy artykuł o piramidzie i miałem nadzieję, że będzie tam odpowiedź na wszystkie moje pytania, lecz, niestety, cały tekst poświęcono wyłącznie dokładnemu opisowi budowli. Na temat ewentualnych budowniczych i techniki budowy nie było ani słowa. Autor artykułu, Louis E. Lord, sam przyznaje na końcu, że „jedyna grecka piramida stanowi pytanie bez odpowiedzi”. I ma rację.

Przypomnijmy sobie, co o jej wieku powiedział burmistrz Ellinikónu: jedni twierdzą, że pochodzi ona z czasów Aleksandra Wielkiego, a więc że zbudowano ją w latach 356–323 p.n.e., inni z kolei, że budowla liczy sobie ponad 5000 lat.

Jak wiadomo, metoda węgla ^{14}C ma swoje słabe punkty. Za jej pomocą można datować jedynie substancje organiczne, takie jak kości, węgiel, szczątki drewniane czy tkaniny. Składniki nieorganiczne, np. kamień, nie dadzą się tą metodą datować. Dlatego w czasie wykopalisk przeszukuje się daną warstwę pod kątem resztek organicznych, które można datować. Jeśli więc archeolodzy znajdą np. szczątki tkaniny z około 50 roku p.n.e., to z reguły przyjmują założenie, że dana budowla powstała w tej właśnie epoce. A co, jeśli budowla stała już w tym miejscu od tysięcy lat, a tylko tkanina pochodzi z „50 roku p.n.e.”, bo akurat wtedy ktoś w niej mieszkał lub obozował? Wtedy metoda węgla ^{14}C sprowadza na fałszywy trop.

I tak właśnie stało się – moim zdaniem – w przypadku piramidy z Ellinikónu. Ostatnio jednak pojawił się promyk nadziei: otóż 29 października 1997 roku przeczytałem w gazecie, że „brytyjsko-grecki zespół badawczy wykonał pomiary termoluminescencyjne we wnętrzu piramidy”. Termoluminescencja to nowa metoda datowania ceramiki, a działa w przybliżeniu tak: „skalanie, kalcyt czy kwarc po podgrzaniu odbijają promienie światła. Termoluminescencja bierze się z elektronów, pobudzonych promieniowaniem radioaktywnym i wychwytywanych przez zanieczyszczenia kryształów. Liczba wychwyconych elektronów wzrasta w miarę upływu czasu”. Im więcej więc elektronów w próbce, tym starszy jest przedmiot.

Piramida z Argos została ponownie datowana. Tym razem okazało się, że zbudowano ją około 2700 roku p.n.e.! To by oznaczało, że obiekt ten jest starszy od piramidy Cheopsa – jeśli ona z kolei została dobrze datowana. Być może pewnego dnia uda się jakimiś nowymi metodami ustalić prawdziwy wiek piramid i innych kamiennych monumentów. A wówczas dowiemy się, ile

tysięcy lat temu ludzie na obszarach dzisiejszej Grecji zaczęli budowę piramid. Niestety, i tak nie odpowie nam to na pytanie, dlaczego to robili.

Giorgios A. Tsoukalos

Tiermes: kamienna zagadka Hiszpanii

Tajemniczy bastion z piaskowca w starożytnej Kastylii

Potężne ruiny Tiahuanáco w południowoamerykańskich Andach, *rata* – wyciosane w skale sakralne budowle w Mahabalipuram na południowym wybrzeżu Indii czy monolityczne budowle z Malty, częstokroć niesłusznie nazywane świątyniami – to od dłuższego czasu kluczowe obiekty w badaniach paleo-SETI. Tego rodzaju zagadkowe kompleksy znajdują się też jednak w Europie, niejako pod naszym nosem, np. w Hiszpanii...

Nieprzyjazna na pierwszy rzut oka kraina z chłodnymi zimami i gorącą, pylistą porą letnią była sceną wielkich wydarzeń dziejowych. Swoje ślady pozostawili tu Celtiberowie, Rzymianie, Wizygoci, a w średniowieczu także rycerze zakonu templariuszy, i ślady te zachowały się w stosunkowo niezafałszowanej postaci, w przeciwieństwie do tych z wysoko uprzemysłowionych obszarów Europy Zachodniej.



Tiernes. Wszędzie widać sztuczne ingerencje i tarasowate wyrobiska w skale.
(fot. T. Ritter)

Celtiberowie, którzy byli najprawdopodobniej twórcami jedyne w swoim rodzaju kompleksu z Tiernes, to pierwotni mieszkańcy ziem nad Rio Duero. Ich znana z przekazów historia sięga ponad 2000 lat wstecz. Archeolodzy hiszpańscy, prowadzący wykopaliska w obrębie wykonanego z piaskowca bastionu z Tiernes, niemal całkowicie ignorują tę prastarą numantyjską epokę. Dla nich historia Hiszpanii zaczyna się od najazdu Rzymian.

Zdumiewające legendy

Lecz przekazy żywe wśród mieszkańców prowincji Soria opowiadają o całkiem innych wydarzeniach. Legendy tego regionu sięgają zamierzchłej prehistorii. Opowiadają o rasie człekopodobnych istot, które po części żyły pod ziemią i dysponowały graniczącą z magią techniką. Te właśnie istoty, wyglądające podobnie do jaszczurek, miały być rzeczywistymi budowniczymi Tiernes.

Inne znów relacje łączą kompleks z Tiernes z kręgiem mitów skupionych wokół znanego także z greckiego panteonu „boskiego posłańca” Hermesa,

którego Egipcjanie czcili pod postacią Tota, boga Księżyca. Przedstawiany najczęściej z głową ptaka Tot uważany był w starożytnym Egipcie za wynalazcę pisma, kalendarza oraz pisarza „bogów”. W swoim lunarnym aspekcie pomagał kierować czasem, a jako czarownik znał tajemnice sztuki leczenia. Treść tych legend, które można odnaleźć w każdym dokładniejszym hiszpańskim opisie Tiermes, stoi w uderzającej sprzeczności z teoriami klasycznej archeologii.

Nie ulega wątpliwości, że kompleks z Tiermes wykorzystywali Celtiberowie, po nich rzymscy koloniści, plemiona Wizygotów, a w średniowieczu templariusze. Niemiecki archeolog Adolf Schulten już na początku XX wieku znalazł w czasie wykopalisk w Tiermes różnego rodzaju przedmioty użytkowe, ozdoby i przedmioty o przeznaczeniu sakralnym, dające się jednoznacznie przyporządkować do kręgu kultury numantyjskiej. Fundamenty zbudowanego przez templariuszy w XII wieku kościoła Nuestra Señora de Tiermes spoczywają na starorzymskim bruku. Pod absydą tej sakralnej budowli archeolodzy natrafili na pochówki Wizygotów.

Wszystkie te znaleziska nie mają jednak nic wspólnego z legendarnymi twórcami Tiermes. Istoty te nie pozostawiły po sobie żadnych przedmiotów codziennego użytku, ozdób czy przedmiotów kultu. Tylko po mistrzowsku wykute w skale obiekty stanowią świadectwo ich wysoko rozwiniętej techniki i rozległej wiedzy. W Tiermes widać wyraźnie, że najstarsze z budowli są w dodatku wykonane z największą precyzją. Monolityczne bloki wycięto z czerwonego piaskowca, który trudno nazwać szczególnie podatnym na obróbkę. W ten sposób wykonano np. wszystkie wjazdy i bramy prowadzące na teren właściwej twierdzy, wycięte niekiedy do 6 metrów w głąb skały i mające szerokość nawet 4 metrów.

Cart ruts w Hiszpanii

Określenie Tiermes mianem twierdzy jest jak najbardziej uzasadnione, ponieważ obronny charakter kompleksu jest aż nadto widoczny i do takich właśnie celów wykorzystywali go potem Celtiberowie, a jeszcze później Rzymianie. Niemniej nawet eksperci mają dzisiaj niejednokrotnie poważne trudności z rozgraniczeniem poszczególnych faz budowy twierdzy w Tiermes. Wykonanie rozlicznych budowli przypisuje się po prostu Rzymianom, ponieważ większość archeologów tylko u tych „krzewicieli kultury” dopatruje się niezbędnego poziomu techniki.



Cart ruts z Tiermes. Czy istnieją jakieś powiązania z „koleinami z Malty”?
(fot. T. Ritter)

Przykładem jest tutaj tzw. ujęcie wodne, którego potężne pozostałości i dziś jeszcze przypominają współczesne rozdzielnie z systemami rur i pomieszczeniami na turbiny. Sposób działania tej starożytnej przepompowni nie został jednak wyjaśniony. Ani archeolodzy, ani włączeni w badania inżynierowie nie potrafili wytłumaczyć, czy ta rozdzielnia pozyskiwała bezcenny płyn z głębin ziemi za pomocą pomp, czy też syfonowego systemu rur.

Właśnie w czasie wykopalisk w pobliżu tej samej w sobie nader tajemniczej budowli archeolodzy natrafili dodatkowo na ślady, które najwyraźniej są dużo starsze niż pozostałości po osiedlach celtyberyjskich i rzymskich. Przez cały płaskowyż Tiermes przebiegają dziesiątki sztucznie wykonanych równoległych rowków, mających najczęściej szerokość około 17 centymetrów. Szerokość tych znanych już wcześniej z wysp Morza Śródziemnego Malty i Gozo *cart ruts* (kolein) waha się od 1,40 do 2 metrów. Zagadkowa sieć tras, którym archeolodzy z Tiermes początkowo w ogóle nie poświęcali uwagi, ma łączną

długość wielu kilometrów i przypomina tory, po których poruszać się mogły prehistoryczne pojazdy o wielkim ciężarze. Czy owe *cart ruts* to pierwsze wskazówki odnoszące się do prawdziwych budowniczych kompleksu? Tego rodzaju wskazówki zagęszczają się, jeśli rozważymy formę całej twierdzy w kontekście lokalnych legend. Nieznani budowniczowie, „stary lud”, mieli podobno zbudować ten kompleks, aby bronić się przed atakami swoich wrogów z powietrza. Jeśli przyjrzeć się dokładniej prehistorycznym budowlom rozmieszczonym na liczącym ponad 150 hektarów terenie twierdzy, to jako całość rzeczywiście przypominają one raczej idealnie wpasowany w skały system schronów niż jakąkolwiek starożytną twierdzę. Od razu budzi to skojarzenia z Göreme, owym osobliwym kompleksem obronnym z Turcji, z jego wielopoziomowym systemem zamykanych tuneli.

Podziemne tajemnice

Mury, wały ziemne i palisady – nie znajdziemy tu żadnego z tych typowych elementów zwykłej prehistorycznej czy starożytnej twierdzy. Reprezentowana przez klasyczną archeologię teza, jakoby budowniczowie twierdzy Tiermes (w domyśle Celtiberowie) wykonali palisady, sięgając po drewno jako budulec, jest nie do utrzymania, ponieważ drewno z dawien dawna było w tych okolicach surowcem niezwykle rzadkim. Poza tym teza ta nie odpowiada na narzucające się pytanie, w jaki sposób idealna obróbka skały na całym terenie miałaby korespondować z użyciem do umocnienia tak wykonanego kompleksu zwykłej drewnianej palisady.

Właściwa tajemnica Tiermes jednak kryje się w niedostępnych dla turystów podziemiach. Liczne, wysokie na człowieka tunele o długości nawet 140 metrów ciągną się przez cały płaskowyż, na którym usytuowana jest twierdza. W nieregularnych odstępach z tuneli tych prowadzą na powierzchnię pionowe, okrągłe w przekroju szyby, zaopatrzone w wykute w skale stopnie. Czyżby rzeczywiście były to „pułapki obronne” czy wręcz „otwory konserwacyjne kanałów”? Tak przynajmniej twierdzi archeologia, która w tym przypadku najwyraźniej całkowicie się pomyliła, albowiem podziemna część twierdzy w zdumiewający sposób przypomina znane z czasów II wojny światowej systemy bunkrów Wału Zachodniego czy Linii Maginota. Tego rodzaju konstrukcje są jednak całkowicie nieprzydatne jako starożytne systemy obronne, ponieważ ukrycie się w podziemnym systemie korytarzy przed przeważającymi siłami najeźdźców łatwo mogło się skończyć dla broniących odcięciem od

możliwości ucieczki i zwykłym wykurzeniem. Obrońcy nie mieliby wówczas żadnej możliwości zaatakowania najeźdźców z wyżej położonego miejsca, tak jak to było przyjęte w sztuce wojennej aż po koniec XVIII wieku. Brakuje niezbędnych do tego celu wież i wysokich murów obronnych. Za to spotykamy tutaj wykute w skale przejścia przypominające rowy strzeleckie o głębokości przeciętnie od 1,60 do 1,70 metra, które częściowo przechodzą w wysokie na 3 metry i szerokie na metr, kryte od góry galerie, ciągnące się wzdłuż ściany skalnego masywu. Trudno sobie wyobrazić, aby z takiej wąskiej galerii można było skutecznie odpierać ataki wroga starożytnym orężem w rodzaju dzid, włóczni, mieczy, proc czy też łuków i strzał.

Jeszcze dziwniejsza jest sprawa tak zwanego przez archeologów bazaru. W głębokich niekiedy na 5 metrów kawernach i monolitycznych „lokalach sklepowych” mieli zdaniem archeologów mieszkać celtiberyjscy kupcy i oferować na sprzedaż swoje sprowadzane notabene nawet z obszaru cywilizacji Indusu towary. Po składowanych tu rzekomo towarach nie zachował się najmniejszy nawet ślad, a w domniemanych „pomieszczeniach mieszkalnych” brakuje jakichkolwiek ozdób. Najwyraźniej mamy tu do czynienia ze zwykłymi pomieszczeniami użytkowymi o murach gigantycznej niekiedy grubości, sięgającej od 1 do 3 metrów, i wpuszczonych nawet na 5 metrów w głąb ziemi.

Kompleks obronny – przed kim?

Równie nieznane i tajemnicze jest przeznaczenie licznych ukośnych ramp występujących na obszarze „bazaru”. Na wszystkich rampach mamy „tory” o szerokości około 1,40 metra. Te ukośne rampy w sposób nieprzewidywalny zwiększyłyby zagrożenie obrońców, gdyby w przypadku Tiermes naprawdę miało chodzić o klasyczne umocnienia.

Jeśli jednak kompleks w Tiermes nie został stworzony z myślą o obronie przed starożytnymi armiami, lecz przed atakiem z powietrza (jak przecież mówią miejscowe przekazy!), to wówczas takie ukośne rampy nabierają zupełnie innego technicznie sensu. Mogłyby one służyć do wciągania broni przeciwko aparatom latającym. Taka broń mogłaby być ładowana pociskami pod osłoną monolitycznych schronów, a następnie wciągana po rampach na płaskowyż w celu prowadzenia ognia.

Przykłady takich systemów obronnych znamy z II wojny światowej z bunkrów Linii Maginota oraz tzw. Wału Zachodniego. Pozostałości takich

urządzeń znajdują się również w Jonastal pod Ohrdruf (Turyngia). Podobno jeszcze w ostatnich dniach II wojny światowej montowano tu broń odwetową składowaną w podziemnych bunkrach. Wspomniane porównania pokazują wyraźnie, że warunkiem uzasadniającym budowę kompleksu obronnego takiego, jaki mamy w Tiermes, jest istnienie dalekosiężnej artylerii lub techniki raketowej.

Tym samym otrzymujemy zupełnie nowy obraz prehistorycznego kompleksu z Tiermes. Nie będą to wówczas „hiszpańskie Pompeje”, jak twierdzi archeolog Blas Taracena, lecz przypuszczalnie wyposażony w najnowocześniejsze wówczas uzbrojenie kompleks schronów, wzniesiony w czasach prehistorycznych przez istoty, o których po dziś dzień w prowincji Soria krążą legendy.

Zgodnie z tymi przekazami „stary lud” była to rasa istot humanoidalnych, żyjąca na naszej planecie przed pojawieniem się dzisiejszego gatunku ludzkiego i uwikłana w wojny z obcymi z kosmosu. Z takich właśnie prehistorycznych czasów ma bowiem pochodzić twierdza w Tiermes. W późniejszych, uchwytnych historycznie epokach te opuszczone budowle zostały zasiedlone i rozbudowane początkowo przez Celtiberów, a następnie przez Rzymian, którzy ich podbili.

Być może już wkrótce przedstawiona tu hipoteza znajdzie dodatkowe uzasadnienie dzięki nowym znaleziskom w Tiermes, ponieważ z liczącej 150 hektarów powierzchni twierdzy przebadano dotychczas archeologicznie zaledwie 3% (!). Możemy się zatem spodziewać nowych odkryć i niejednej niespodzianki w samym sercu Europy.

Thomas Ritter

Mityczna, kamienna Irlandia

Tajemnica pierścieniowych fortów

Od chwili ukazania się książki Ericha von Dänikena *Kosmiczne miasta w epoce kamiennej* Zielona Wyspa Irlandia ze swoimi spektakularnymi monumentami kultury megalitycznej, takimi jak Newgrange, Knowth czy Dowth w dużo większym stopniu zainteresowała badaczy paleo-SETI.

Mniej znane natomiast są pewne inne budowle rozsiane na całej wyspie, mianowicie tzw. forty pierścieniowe, których liczbę szacuje się dzisiaj na ponad 40 000¹. Najstarsze z nich datowane są na wczesną epokę brązu (od 1700 do 800 p.n.e.). Forty pierścieniowe charakteryzują się zbliżoną architekturą, różnią się jednak między sobą złożonością, i to niekiedy znacznie. I tak np. najprostsze struktury – takie jak choćby wspaniale położony klasztor w Glendalough – mają jedynie ziemny wał, podczas gdy niemalże cyklopowe budowle, takie jak te znane z zachodniego wybrzeża Irlandii, mają po kilka okrągłych lub owalnych systemów wałów z widocznymi w ich obrębie strukturami.

Pod względem położenia rozróżnia się zasadniczo wzniesione z kamienia forty na wzgórzach (tzw. Hill Forts) oraz forty na wybrzeżu (tzw. Coastal Promontary and Cliff Forts), jak również wzniesione w formie ziemnych wałów forty zwane *cashel*². Dotąd archeologicznie przebadano zaledwie niewielką część tych budowli, przy czym – co logiczne – zainteresowanie skupiało się na najbardziej spektakularnych kompleksach. Rozpoczęty w 1992 roku przez Royal Irish Academy program badawczy przyniósł już niezwykle ciekawe wyniki, jakkolwiek wciąż nie dał ostatecznych odpowiedzi na istotne pytania o pochodzenie i przeznaczenie tych budowli. Nie ulega wątpliwości, że niewiarygodna wręcz liczba ponad 40 000 fortów nie powstała tylko i wyłącznie w epoce brązu. Wiele z nich pochodzi z wczesnego średniowiecza, a są i takie z XVII wieku n.e. Ponadto najstarsze z nich, pochodzące sprzed ponad 3000 lat, z pewnością nie wyglądały tak jak dzisiaj. W ciągu tysiącleci zasiedlały je najróżniejsze plemiona, każdorazowo dostosowując ich strukturę do swoich potrzeb i dokonując drobnych zmian. Mimo wszystko układ

większości z nich jest zadziwiająco autentyczny. Wiąże się to najpewniej z tym, że irlandzcy chłopci, przywiązani do owych celtyckich korzeni, traktowali forty jako twierdze elfów, czując pewien naturalny respekt, gdy zasiedlali i korzystali z tych budowli.

Forty zachodniego wybrzeża

Moja podróż odbywała się zapierającym dech w piersiach nadbrzeżnym szlakiem, tzw. Ring of Kerry. Nigdzie indziej krajobrazowe kontrasty Irlandii nie są wyraźniej widoczne jak właśnie tutaj. Jałowe wzgórza porośnięte jedynie skąpą warstwą traw przeplatają się z romantycznymi piaszczystymi zatoczkami i palmowymi (!) ogrodami, przypominającymi jako żywo drogę Corniche w Prowansji. Klimat jest nadzwyczaj łagodny wskutek oddziaływania odnogi ciepłego Golfstromu.



Dun Aonghasa. (fot. A. Schrick)

Mniej więcej 6 kilometrów w bok od głównej drogi leży imponujący swoim wyglądem Staigue Fort. Potężny mur zewnętrzny wznosi się na wysokość 5,5 metra i osiąga grubość do 4 metrów! Na przykładzie Staigue Fort widać wyraźnie, że technika budowlana już na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie prymitywnej, ponieważ bloki nie są tak dokładnie obrobione jak w innych

prehistorycznych monumentach (choćby na Malcie). Z drugiej strony można zauważyć, że wszystkie te kamienne bloki zostały niezwykle kunsztownie ułożone warstwami bez użycia zaprawy. Dowodzi to subtelności wycucia statyki, ponieważ w przeciwnym razie poziomy mogłyby stracić stabilność i się zawalić.

Osobliwością, znaną też z wielu innych fortów pierścieniowych, są dwie owalne komory o wysokości 2,1 metra, wbudowane w wały. Są zorientowane w osi północno-zachodniej i południowo-zachodniej. Zarówno wejście do fortu, jak i wejścia do komór mają taką samą konstrukcję, wspartą na prostopadłościennym skalnym bloku. Od góry komory zamykane są hermetycznie i wodoszczelnie przez owalną konstrukcję stropową w kształcie kopuły. Chociaż datowania fortów pierścieniowych i megalitycznych sanktuariów, takich jak Newgrange, wskazują, że dzieli je ponad 2000 lat, widać wyraźne zbieżności w budowie, ponieważ we wszystkich przypadkach świadomie stosowano te same rozwiązania architektoniczne. To fakt zaiste zdumiewający dla społeczności, która – jak wiadomo – nie znała nawet pisma. Hipotezy na temat przeznaczenia „komór” również są całkowicie rozbieżne. Niektórzy eksperci przypuszczają, że służyły one do przechowywania żywności, za czym przemawiałaby wodoszczelna konstrukcja, inni z kolei upatrują w nich więziennych cel, a jeszcze inni wysuwają dość egzotyczne przypuszczenia, że służyły one jako pomieszczenia dla psów strzegących budowli.

Najbardziej imponujące okazy irlandzkich fortów pierścieniowych znajdziemy na wyspach Aran, oddalonych o 20 kilometrów od zachodniego wybrzeża Irlandii. Wysepki Inis Mor, Inis Meain oraz Inis Oirr od milionów lat stanowią geologiczną całość z Burren (czyli płaskowyżem na leżącym naprzeciwko nich stałym lądzie). Przypuszczalnie lodowiec cofnął się z tego obszaru dopiero jakieś 10 000 lat temu³. Okoliczność ta, podobnie jak niesprzyjające warunki geograficzne i atmosferyczne, stworzyły fantastyczny krajobraz krasowy, uniemożliwiający rozprzestrzenianie się bujnej roślinności.

Konstrukcje sprzeczne z wszelką logiką

Na rzadko zaludnionych wyspach stoi siedem kamiennych fortów o ogromnych rozmiarach: Dun Aonghasa, Dun Eoghanachta, Dun Eochla, Dun Ducathair, Dun Chonchuir, Dun Fearbhai oraz Dun Formna oraz liczne mniejsze obiekty. Nawet świat nauki jest zdania, że istnienie siedmiu

gigantycznych fortów na tych wyspach położonych gdzieś „na krańcu świata” rodzi mnóstwo pytań⁴. Nie bez racji guru współczesnej archeologii irlandzkiej George Petrie określił fort Dun Aonghasa mianem „najwspanialszego barbarzyńskiego monumentu w całej Europie”.

Ten zapierający dech w piersiach fort znajduje się na skraju opadającego 100 metrów pionowo do morza klifu na południowo-wschodnim krańcu wyspy i zajmuje powierzchnię kilku boisk piłkarskich. Składa się z czterech linii wałów, z których każda została wybudowana w innej epoce, przy czym między trzecim a czwartym wałem znajduje się tzw. *chevaux de frise*, czyli pole naszpikowane tysiącami ostrych i kanciastych kamiennych bloków o wysokości do 1,75 metra. Maksymalna grubość wału, sięgająca 5 metrów, robi imponujące wrażenie, i łatwo sobie wyliczyć, ile tysięcy ton kamienia zużyto na jego wybudowanie. Wszystkie forty pierścieniowe mają jedną wspólną cechę: nie mają ani wnęk, ani okien czy jakichkolwiek przypominających blanki tworów, które mogłyby dawać osłonę przed atakiem wroga. Kolejna uderzająca cecha to brak źródeł wody.

Datowanie metodą węgla ¹⁴C w przypadku Dun Aonghasa, ale także innych stanowisk archeologicznych, takich jak Ballyhoura Hill, sięga daleko w epokę brązu, ponieważ najstarsze znaleziska pochodzą z lat 1516–1407 p.n.e.⁵ Mowa tu o szczątkach organicznych, czyli najczęściej kościach zwierząt. Jak dotąd w czasie wykopalisk nie odkryto żadnych ludzkich szczątków. Niezwykle interesującym szczegółem, który bardzo chętnie się pomija, jest skład organicznych szczątków wydobytych w Dun Aonghasa. W przeciwieństwie do innych stanowisk archeologicznych Irlandii udział szczątków kości owczych był tutaj nieproporcjonalnie wielki, podczas gdy udział bydła rogatego i świń zdumiewająco mały. Poza tym odpowiednie analizy za pomocą węgla ¹⁴C wykazały, że do żołądków mieszkańców owce musiały trafić w wieku niespełna roku. Najbardziej frapujący dla naukowców był jednak całkowity brak kości psów.

Wszystko to razem wywołuje następujące pytania w odniesieniu do fortów:

1. Jakiemu celowi służyły forty pierścieniowe?
2. W jaki sposób je wybudowano?
3. Jaki był ich przypuszczalny kontekst socjoekonomiczny?
4. Kim byli ich twórcy?

Cel

Do roli kompleksów mieszkalnych forty zupełnie się nie nadają, zresztą w czasie wykopalisk w Dun Aonghasa zarówno w obrębie samego fortu, jak i w jego otoczeniu nie znaleziono żadnych przesłanek pozwalających na wysnucie wniosków o takim przeznaczeniu budowli. Cotter zaznacza, że położenie fortu bezpośrednio na samym skraju klifu jest niekorzystne, gdyż nie zapewnia należytej osłony, toteż stałe jego zamieszkiwanie byłoby pozbawione sensu. Kolejny narzucający się w tej sytuacji, czysto „militarny” cel powstawania fortów pierścieniowych również nie jest tak do końca oczywisty. Forty nie mają żadnego własnego źródła wody, co w przypadku oblężenia miałyby zabójcze skutki. Brak blanków, otworów strzelniczych i podobnych elementów obronnych utrudnia uznanie fortów za budowle o charakterze obronnym.

Czemu w takim razie miały służyć *chevaux de frise*, co znaczy mniej więcej „konie fryzjskie”? Takie pole uniemożliwiłoby wprawdzie każdy frontalny atak na wewnętrzne wały, jednocześnie jednak nie pozwalałoby ewentualnym mieszkańcom na wprowadzanie do wnętrza kompleksu większych transportów. Niemniej te najeżone wapiennymi kolcami pola przypominają coś w rodzaju prastarych zapór przeciwczołgowych. Nakład sił potrzebny do zakotwiczenia ich w skalistym gruncie musiał być gigantyczny. Co ciekawe, tego rodzaju konstrukcje są czymś niezwykłym nawet dla irlandzkich fortów i znajdują się tylko w Dun Aonghasa oraz Dun Ducathair. Zbliżone twory znaleziono jednak podobno w Hiszpanii. Tak czy inaczej, pozostaje pytanie, jaki dowódca konnego rycerstwa, czy też jaka armia mogłaby być zainteresowana atakiem na te jałowe i niemające żadnych bogactw naturalnych wyspy?

Z powodu permanentnego braku odpowiedzi sięgano po wyjaśnienia tak dziwaczne, że nie dorastają im do pięt nawet rozpaczliwie naciągane interpretacje rysunków z płaskowyżu Nazca. Przykłady? Ależ proszę bardzo! Siedziba lokalnej klasy wyższej, gigantyczne silosy na ziarna zbóż, celtycki Circus Maximus ku rozrywce gawiedzi albo po prostu osłonięta zagroda dla bydła. Wszystko to w żaden sposób nie uzasadnia grubych na 5 metrów murów, nie mówiąc już o *chevaux de frise*. Jedyne wyjaśnienie jako tako trzymające się kupy to uznanie tego kompleksu za sanktuarium kultu słońca oraz ośrodka rytuałów religijnych. I rzeczywiście, w niektórych fortach pierścieniowych można znaleźć w obrębie centralnego wału coś w rodzaju „kamienia ceremonialnego”, którego znaczenia ani archeolodzy, ani historycy do dziś w żaden sposób nie potrafią zinterpretować.

Budowa

Budowa fortów pierścieniowych, zwłaszcza w tak ogromnej liczbie, sugeruje istnienie wyrazistej struktury organizacyjnej. Materiału nie trzeba było wprawdzie sprowadzać z daleka, ponieważ jest to ten sam wapień, z którego zbudowane są wyspy, niemniej zwiezenie go na miejsce musiało być okupione gigantycznym wysiłkiem, przy czym brakuje dowodu na potwierdzenie powtarzanej często tezy, jakoby kamienie transportowano i układano, wykorzystując jako rolki pnie drzew i systemy bloków. W czasie wykopalisk nie natrafiono na najmniejsze ślady takich rolek, a poza tym drewno to materiał, którego zarówno na wyspach, jak i na obszarze Burren po dziś dzień po prostu nie ma⁶. Ponadto osadzanie w skalistym gruncie spiczastych odłamków musiało być zadaniem szczególnie trudnym.

Kontekst kulturowy

W przypadku mieszkańców tych terenów mamy najprawdopodobniej do czynienia ze strukturą społeczną, w której po okresie ostatniego zlodowacenia zaczynało dopiero dokonywać się przejście od gospodarki myśliwsko-zbierackiej do gospodarki rolniczej. Zmiana ta w zależności od regionu mogła następować w różnych okresach historycznych, ponieważ na terenach starego kontynentu panowały bardzo zróżnicowane warunki glebowe. Irlandia nigdy w swojej historii nie była spichlerzem Europy, toteż nawet obecnie nie jest specjalnie gęsto zaludniona. Wyspy Aran do dzisiaj nie dysponują jakimiś istotnymi źródłami pożywienia.

Z powodu skąpych zasobów żywności społeczności myśliwskie mogą tworzyć jedynie niewielkie lokalne wspólnoty, które dopiero wskutek sukcesywnych przemian powoli łączą się w większe społeczności o charakterze rolniczym. Nietrudno sobie wyobrazić, jak wyglądała codzienność przy takiej strukturze gospodarki. Walka o przeżycie i wyżywienie plemienia toczyła się każdego dnia. Oczywiście wiadomo, że ludzie tamtej epoki obchodzili jakieś swoje święta i rozwijali kultury religijne. W toku łączenia się większej liczby plemion wytworzyła się z pewnością struktura hierarchiczna, z której wywodzili się kapłani czy wodzowie, odznaczający się ponadprzeciętną wiedzą i doświadczeniem. Pozostaje jednak to samo pytanie, co w przypadku budowli megalitycznych: wspaniałe przedsięwzięcia budowlane podejmowane bez widocznego powodu słabo pasują do tego kontekstu. Poza tym, czy to naprawdę był wystarczający powód, żeby w tym jakże jałowym świecie zmotywować ludzi do wznoszenia takich budowli?

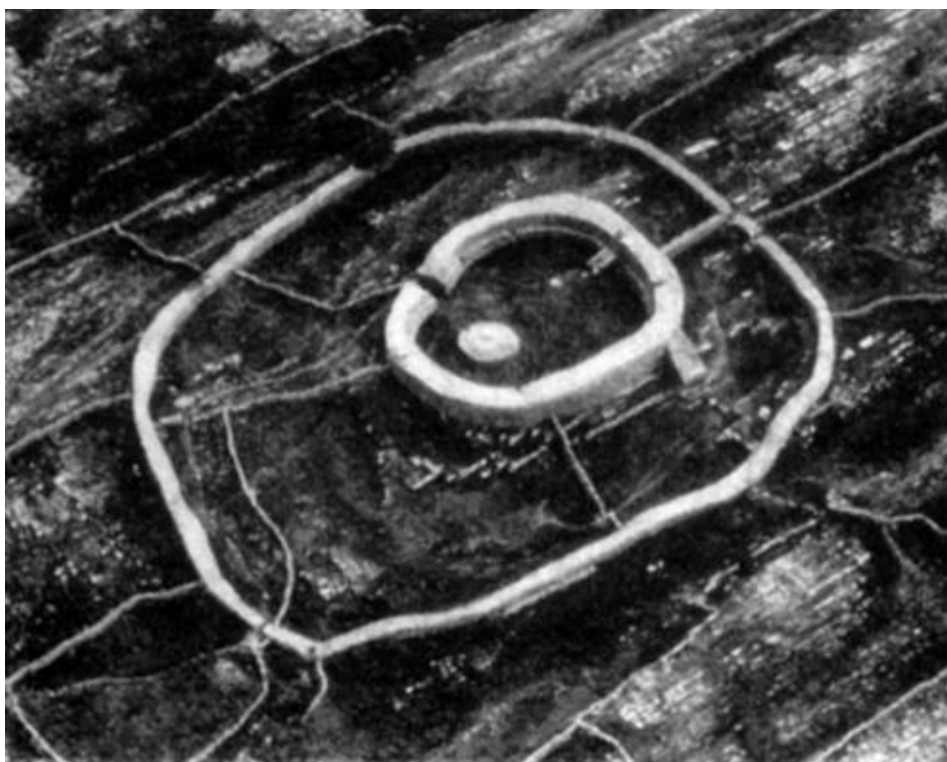
Twórcy

Czy ludzie epoki brązu albo co najwyżej epoki żelaza byli tymi, którzy wzniesli gigantyczne forty pierścieniowe? Czy też może pojawił się jakiś dominujący wpływ z zewnątrz? Wspomniane wcześniej drobne szczegóły wykopalisk archeologicznych zdumiewają. Jak to możliwe, że nie znaleziono szczątków najlepszego przyjaciela człowieka, czyli psa? Wygląda przecież na to, że aż roiło się tam od stad owiec, a do ich pilnowania od najdawniejszych czasów używano psów. W dodatku analizy wykazały, że owce nawet nie zdążyły osiągnąć wieku, w którym mogłyby służyć jako źródło wełny. Każdy, kto choć raz odwiedził te wyspy, zdaje sobie sprawę, że panujące tu warunki klimatyczne wręcz zmuszają do noszenia ciepłej odzieży. Dlaczego ich mieszkańcy z tego zrezygnowali? No i wreszcie: jak to jest z tymi znalezionymi w obrębie fortów ziarnami, których nie udało się dotąd przyporządkować do żadnego ze znanych nam gatunków zbóż?

Paralele z Czarnym Lądem

Jeśli spojrzymy na zdjęcia lotnicze fortów, takich jak Dun Ducathair, Dun Eochla czy Dun Chonchuir na wyspie Inis Meain, uderza duże podobieństwo do ruin Wielkiego Zimbabwe. Także w kwestii tego wyjątkowego na całym Czarnym Lądzie kompleksu nauka błądzi w ciemnościach. Najstarsze ślady datuje się na około 400 rok p.n.e. i przypisuje plemionom Shona. Naukowcy przypuszczają, że kompleks powstał około 1100 roku n.e.⁷ Jak zwykle analizie metodą węgla ¹⁴C można było poddać jedynie szczątki organiczne, stąd też uznawanie tej daty za czas powstania właściwego kompleksu jest tylko dalece niepewnym przypuszczeniem. Brakuje jakichkolwiek przekazów ustnych czy pisemnych. Aż do naszego wieku spekulowano, że być może ten zespół ruin należy utożsamiać ze wspomnianą w Biblii mityczną krainą złota zwaną Ofirem. Wielkie Zimbabwe jest najbardziej spektakularną spośród znanych już dzisiaj co najmniej 150 budowli tego typu w całej południowej Afryce. Zarówno styl architektoniczny, jak i technika budowy Wielkiego Zimbabwe wykazują zdumiewające podobieństwo do tych znanych z fortów pierścieniowych: brakuje źródeł wody, rowów obronnych, otworów strzelniczych, blanków i wszelkich tego typu atrybutów twierdzy, którą ten kompleks podobno ma być. Archeolodzy stwierdzili też, że Wielkie Zimbabwe nigdy nie było zamieszkiwane przez większe grupy ludności, natomiast ludzie zakładali swoje siedziby w jego otoczeniu⁸. Mamy też kolejny sygnał, że do

datowań należy podchodzić z najwyższą ostrożnością. Już w 1979 roku Erich von Däniken⁹ wskazał na interesujące tropy prowadzące do Dogonów w Mali. Kiedy spojrzymy na zdjęcia lotnicze i przeniesiemy kontury kompleksu Wielkiego Zimbabwe na papier, można dostrzec pewną zgodność między ich układem a przedstawieniem systemu gwiazdnego Syriusza. Jeśli spojrzeć z powietrza na forty pierścieniowe, takie jak Dun Eochla, także można wysnuć ciekawe porównania. Czy to możliwe, że także na wyspach Aran z wielkim nakładem sił wzniesiono modele konstelacji astronomicznych? Jeśli tak, kto to zrobił i w jakim celu?



Dun Eochla widziany z powietrza – zbieżności z Wielkim Zimbabwe? (fot. A. Schrick)

Tuatha De Danaan – lud bogów?

Znaczące miejsce w ramach paleo-SETI niewątpliwie słusznie zajmuje równoległe do badań nad obiektami architektonicznymi analizowanie powiązanych z nimi lokalnych mitów i legend. Także w Irlandii istnieje taki zbiór legend, zwany *Lebor Gabala Erenn*, czyli Księga Przechwyceń Irlandii.

Tekst ten w swojej pełnej formie powstał pod koniec XI wieku i jest niezwykle złożoną kompilacją najróżniejszych źródeł, takich jak prastare przekazy ustne, teksty wczesnośredniowieczne i pisma biblijne¹⁰, a to dlatego, że po raz pierwszy tekst ten spisali mnisi, reinterpreterując przekazy galijskie w duchu chrześcijańskim. W ten sposób kolejne warstwy przykryły prawdziwe najpewniej jądro legend. Mnisi, którzy często spisywali dzieje na zlecenie panujących rodów, zręcznie splatali pradawne opowieści z motywami starotestamentowymi, dostarczając tym samym czołowym klanom irlandzkim niezbędnego uzasadnienia ich roszczeń do sprawowania władzy. O swoim pochodzeniu od ludu Goidel zapewniał szczególnie mocno najbardziej znaczący klan Ui Neill z Tary. Dlatego też księga *Lebor Gabala Erenn* traktuje głównie o dziejach ludu Goidel, poczynając od stworzenia świata aż po zajęcie Irlandii.

Księga *Lebor Gabala Erenn* zawiera interesujące fragmenty o innych ludach zamieszkujących Irlandię, które zdobyły Zieloną Wyspę jeszcze przed Goidelami¹¹. Rozdziały te sięgają do właściwych starożytnych legend celtyckich i najwyraźniej w niewielkim tylko stopniu zostały zmodyfikowane. Tutaj też mamy opisy najróżniejszych inwazji, przy czym wygląda na to, że wyspę od zawsze zamieszkiwał pewien prastary lud, Formorianie. Odznaczali się oni osobliwymi cechami anatomicznymi, ponieważ opisuje się ich jako jednorękie, jednonogie i jednookie demony. W pierwszej wspomnianej w księdze bitwie stoczonyj na irlandzkiej ziemi z legendarnym potomkiem Jafeta imieniem Partholon i jego ludem, bitwie trwającej przez cały tydzień, żaden z wojowników obu stron nie zginął, ponieważ w walce używano jedynie magicznej broni. Potem nastąpiły kolejne inwazje, dokonywane przez ludy takie jak Fir Bolg czy Tuatha De Danaan. Zwłaszcza konflikty z tym ostatnim ludem kończyły się w dramatyczny sposób. Tuathowie uważani byli za lud wielkiej bogini Danu. Poszczególne jego bohaterowie – tacy jak Nodens, Ogma, Brigid i Lug – byli potem w czasach celtyckich czczeni jako bogowie¹². Ich umiejętności wydają się przy tym znacznie wykraczać poza te właściwe zwykłym śmiertelnikom, tak że nawet autorzy księgi *Lebor Gabala Erenn* nie do końca potrafią się zdecydować, czy traktować te istoty jako ludzi, czy już jako demony.



Ornament na oprawie modlitewnika ze Stowe z XI wieku pokazuje dziwnie odzianego wojownika. Czy tak wyglądali Tuatha De Danaan? (fot. A. Schrick)

Mieli pochodzić z odległej wyspy na dalekiej Północy, gdzie nauczyli się czarnoksięstwa, albo też widzi się w nich istoty, które przybyły prosto z nieba. Dokonana przez nich inwazja Irlandii przebiegała nader spektakularnie: podróżowali w powietrzu w ciemnych, przypominających chmury obiektach, zaciemniając słońce na całe trzy dni. Ich żądania wobec Formorian i ludu Fir Bolg były dość wyraźne: albo bitwa, albo oddanie królestwa. W dwóch wyniszczających starciach obydwie te ludy zostały rozgromione, przy czym liczba zabitych Fir Bolgów miała wynieść 100 000. Nawet jeśli – jak zwykle w tego typu przekazach – trzeba podchodzić do tych liczb sceptycznie, to jednak nie ulega kwestii, że broń Tuathów musiałaby mieć druzgoczące działanie, które w ten właśnie sposób znalazło swoje odbicie w legendach. Tuathowie przyczynili się też do rozwoju cywilizacyjnego zdobytych terenów i uznaje się ich za twórców królewskiej siedziby w Tarze. W ich posiadaniu znajdowały się cztery legendarne skarby Irlandii, m.in. magiczny kamień z Tary. W czasie wyborów króla krzyczał on głośno, gdy tylko rozpoznał właściwego kandydata¹³. Legendy przypisują też Tuatom budowę niektórych fortów pierścieniowych (m.in. Grianan of Aileach). Łączy się ich również z powstaniem wielkich sanktuariów megalitycznych w Newgrange.

Nowe hipotezy

Czy Tuatha De Danaan można utożsamiać z innymi „boskimi” istotami, których opisy wielokrotnie odnajdują badacze paleo-SETI i które legitymują się niezemskimi czy raczej pozaziemskimi atrybutami? Właściwościami, które dotąd zwykle się przypisywało bóstwom poszczególnych żywiołów?

Wydaje się, że w tym kontekście na forty z wysp Aran należy spojrzeć z zupełnie nowego punktu widzenia. Chciałbym uzupełnić konserwatywne interpretacje historyków o nowe tropy. Dotychczasowe wyjaśnienia w żaden sposób nie potrafiły jednoznacznie określić przeznaczenia tych fortów. Czy np. niektóre z tych kompleksów – jak choćby Dun Eochla – powstały jedynie jako gigantyczne modele układów gwiazdnych, tak jak to było być może w przypadku Wielkiego Zimbabwe? A może inne starożytne budowle Tuathów wcale nie powstały jako konstrukcje obronne przeciwko istotom ludzkim? Wskazują na to zarówno *chevaux de frise* w Dun Aonghasa czy Dun Ducathair, jak też hermetycznie zamykane komory z fortu Staigue czy Newgrange. Zarówno te komory, jak i zapory z ostrych, kanciastych bloków skalnych, swoista „linia demarkacyjna” w formie grubych na 5 metrów murów, brak otworów strzelniczych czy blanków dawałyby lepszą ochronę przed „bronią pancerną” lub atakami z powietrza niż tradycyjne wały obronne. Świadomie pozostawiam przy tym bez odpowiedzi pytanie, kto wybudował te forty: lud Fir Bolgów czy raczej Tuathowie, ponieważ jeśli potraktujemy poważnie opisy przedstawiające Formerian, Tuathowie nie byli najprawdopodobniej jednymi przedstawicielami ras pozaziemskich w ówczesnej Irlandii. Forty zdają się raczej pomyślane jako budowle użytkowe niż zapewniające komfort stałego zamieszkania. Wyglądają na takie, które zbudowano pośpiesznie na niewyrównanym terenie.

Odnalezienie przez archeologów nieznanego rodzaju ziaren zbóż mogłoby być kolejną wskazówką dotyczącą pożywienia, którego wytwarzaniem nie zajmowali się ludzie. Wydaje się, że władcy fortów żywili się później głównie mięsem jagnięcym i że nie byli skazani na wełnę jako surowiec do wytwarzania odzieży. W innym wypadku czemu zarzynałoby owce jeszcze przed osiągnięciem przez nie pierwszego roku życia? Czy dostęp do innego rodzaju materiałów izolujących czynił wełnę zbędną jako surowiec na ciepłą odzież? Psów też najwyraźniej nie znali lub też unikali ich towarzystwa. Może dlatego, że władcy fortów byli wrogami ludzi?

Kto wie, być może starożytne irlandzkie wierzenia w elfy i koboldy mają bardzo realne odniesienia do zagadkowej przeszłości Zielonej Wyspy?

Lebor Gabala Erenn – bajeczne przekazy z dawnych czasów

Według Starego Testamentu Noe miał trzech synów: Sema, Chama i Jafeta. Dzieje potomków Sema opisane są w Biblii aż do pokolenia Abrahama, a irlandzki epos narodowy *Lebor Gabala Erenn* zajmuje się dziejami synów Jafeta. W czasie budowy biblijnej wieży Babel jeden z jego potomków imieniem Goidel miał uratować z babilońskiego pomieszania języków jeden język, z którego rozwinął się potem „goidelicki”, zwany także galeickim. Dalej historia Goidelów toczy się w sposób podobny do dziejów Izraelitów. Także oni znajdują się w niewoli egipskiej, uwalniają się i w czasie trwających setki lat wędrówek przeżywają niezliczone przygody, spotykając na swojej drodze syreny i walcząc z Amazonkami. Bez wątpienia mamy tutaj do czynienia ze zręcznym i świadomym splataniem ze sobą wątków mitologicznych i chrześcijańskich.

Święci i legendy

Opowieści potwierdzające hipotezy paleo-Seti

Czy to przed tysiącami lat, czy dzisiaj, ludzkość wciąż spotyka się ze zjawiskami, które można zinterpretować w duchu paleo-SETI. Jeden z najbardziej fascynujących przekazów tego rodzaju wiąże się z zagadkową dynastią Merowingów, którzy we wczesnym średniowieczu władali ówczesnym państwem Franków. Ich pochodzenie było i nadal pozostaje wielce tajemnicze a wywodzącym się z tego rodu władcom przypisywano m.in. zdolności paranormalne¹.

Najsłynniejszym bodaj władcą tej dynastii był Chlodwig, który żył w latach 466–511 i o którym renomowany leksykon teologii i Kościoła stwierdza lapidarnie, że był boskiego pochodzenia². Legenda mówi, że w jego poczęciu brała udział bestia z morza, cokolwiek przez to wówczas rozumiano.

Osobliwe zjawisko: Chlodwig

Zajmując się dokładniej postacią tego króla, natrafiamy przy okazji opisu bitwy z Alemanami pod Tolbiacum (Zülpich) w Nadrenii na wiele tajemniczych informacji. Chodzi tu o dwie legendy o Chlodwigu, od wieków krążące w tym regionie. Jedna mówi o bitwie z Alemanami, a druga o incydencie w czasie chrztu Chlodwiga.

Zatwardziały barbarzyńca Chlodwig oświadczył, że jest gotów przejść na wiarę katolicką i przyjąć chrzest, jeśli uda mu się pokonać najsilniejszego przeciwnika, czyli Alemanów. W 496 roku Chlodwig rzeczywiście odniósł wspaniałe zwycięstwo nad Alemanami. Podczas tej bitwy, jak twierdzi legenda, zdarzyło się coś dziwnego. Chlodwig prawie całkiem opadł z sił, znalazł się w wielkich tarapatkach i o mały włos zostałby zabity przez jednego z Alemanów. Walczący obok Chlodwiga jego towarzysz Aurelianus uratował mu życie, ale sam zginął przeszyty lancą przeciwnika. W rozpaczy Chlodwig wznosił oczy ku niebu. W tym samym momencie padły na niego promienie

słońca – przynajmniej tak potocznie interpretowano to zjawisko – ale w innym miejscu legenda wspomina, że był to raczej blask jaśniejszy niż blask słońca w południe. Po otrzymaniu tego boskiego znaku król odzyskał siły i odwagę. Nagle ujrzano „orła” szybującego nad jego głową i Chlodwig bez trudu rozbił Alemanów w pył³.

O ile już w tamtych czasach wydarzenie to było co najmniej zagadkowe, o tyle dzisiaj tym bardziej skłania nas do zastanowienia się, w jaki sposób je wyjaśnić. Czy była to ingerencja istot pozaziemskich? Czy pojawiły się one w pojeździe latającym, który dla średniowiecznych wojów był „orłem”? Czy wysłali jaskrawy promień światła, który dla walczących zastępów był „boskim znakiem”?

Podobne opisy znajdujemy zarówno w biblijnych księgach proroków, jak i we współczesnych relacjach osób, które spotkały UFO.

Jeszcze bardziej tajemnicze są wypadki opisywane w drugiej z legend. Zwycięstwo nad Alemanami pod Tolbiacum w 496 roku postanowiono uczcić uroczystą mszą bożonarodzeniową. Przy tej okazji wydarzyć się miało coś niezrozumiałego, ponieważ nabożeństwo o mały włos się nie odbyło z powodu braku hostii. Trudno rozstrzygnąć, kto wysłuchał usilnych próśb, dość że nagle pojawił się biały jeleni, przynosząc na rogach wymodloną hostię⁴.

Także pewna sarna, czy też to co kryło się pod postacią tego zwierzęcia, zdaje się odgrywać w życiu Chlodwiga doniosłą rolę. Świadczy o tym następująca historia.

Król Merownigów planował wyprawę przeciwko Wizygotom i ich królowi Alarykowi II. W 507 władca roku Wizygotów stanął obozem mniej więcej 15 kilometrów od Vouillée (pod Poitiers nad Loarą w zachodniej Francji), żeby zagrozić Chlodwigowi drogę. Jak podaje frankijski historiograf z VI wieku Grzegorz z Tours, kiedy Chlodwig nie bardzo wiedział, co dalej, pojawiła się sarna, która wskazała jemu i jego zastępom bezpieczne przejście na drugi brzeg rzeki. Przy tej okazji Grzegorz z Tours informuje o ognistym blasku i świetle, które pomogły Chlodwigowi w czasie bitwy. Kiedy wskutek sforsowania rzeki przez Chlodwiga Alaryk II stracił przewagę strategiczną, władca Merowingów z łatwością go pokonał⁵.

Legandy o jeleniach

Całość zaiste osobliwa. Pojawia się „sarna”, przy czym istotną rolę zdaje się odgrywać jaskrawe światło, i nagle znikają wszelkie trudności. Czyżby król

Merowingów miał halucynacje? A może historiografowie są niepoważni? Jeśli przeanalizujemy dokładniej to zjawisko, dojdziemy do zupełnie innego wniosku.

Zachowanie wspomnianych w legendach zwierząt wobec konkretnych osób naprawdę mnie zafascynowało. Kiedy zacząłem szukać głębiej, stwierdziłem, że w dawnych legendach aż roi się od dziwnych jeleni i saren.

Jeden z tych mitycznych przekazów opowiada o Eustachiuszu albo Eustachym, dawnym patronie myśliwych. Eustachiusz urodził się w I wieku n.e. i przed nawróceniem miał się nazywać Placidus lub Placidas. Był dowódcą rzymskiego legionu w Azji Mniejszej. Relacje o jego życiu są pełne sprzeczności⁶, niemniej w *Złotej legendzie* (*Legenda aurea*), słynnym zbiorze żywotów świętych spisany w latach 1263–1273 przez Jakuba de Voragine⁷, znajdujemy legendę o świętym Eustachiuszu i jeleniu⁸.



Albrecht Dürer *Święty Eustachy*, miedzioryt.

Według tej opowieści Eustachiusz natknął się w czasie polowania na stado jeleni. Jeden z nich był szczególnie rośli i piękny. Eustachiusz szedł jego

tropem w głąb kniei, nie mógł go jednak ustrzelić, zwłaszcza że jeleni wspiął się na wysoką skałę. Nagle między jego rogami ukazał się krzyż, który zapłonął blaskiem większym od blasku słońca. Jeleń przemówił ludzkim głosem i spytał Eustachiusza, czemu go prześladowuje. W tym momencie rzymski żołnierz stracił przytomność. Kiedy się ocknął, głos poprosił go, aby przyjął chrzest. Eustachiusz, ogromnie poruszony tym wydarzeniem, postąpił za radą głosu, co sprowadziło na niego i jego rodzinę wielkie cierpienia, aż wreszcie w roku 118 zginął śmiercią męczeńską⁹.

Równie piękne jak ta legenda są też jej liczne artystyczne przedstawienia, np. dzieła Antonia Pisanello, Albrechta Dürera czy Johanna Michaela Feichtmayra i Johanna Georga Üblhera, które pokazują nam, jak ogromne wrażenie na ludziach z dawnych wieków wywarło to zdarzenie.

Dniem poświęconym świętemu Eustachemu jest 20 września, w niektórych regionach 3 listopada, czyli ten sam dzień, w którym oddaje się też cześć świętemu Hubertowi, drugiemu patronowi myśliwych. Dzieje się tak dlatego, że od XI wieku Eustachy i Hubert bywają ze sobą myleni.

Również w życiu świętego Huberta miały miejsce wydarzenia, które powinny skłonić do zastanowienia i które także mają związek z jeleniem. Znamy tylko dokładną datę śmierci świętego Huberta: rok 727. Tym więcej legend narosło dzięki temu wokół tego o wiele bardziej dziś znanego patrona myśliwych.

Podobnie jak świętego Eustachego, świętego Huberta uwieczniło wielu malarzy różnych epok.

Święty Hubert urodził się około 655 roku jako syn księcia Bertranda z Akwitanii i mieszkał w Paryżu. Ze względu na szlacheckie pochodzenie zajmował tam wysoki urząd i oddawał się uciechom życia doczesnego. Ponieważ uwielbiał polowania, nawet w Wielki Piątek nie potrafił sobie odmówić przyjemności wyprawy do lasu. Polując w Ardenach, napotkał pięknego jelenia, za którym zapuścił się daleko w głąb leśnych ostępów. Kiedy się tam zbliżył do zwierzęcia, jeleni zatrzymał się pod skalną ścianą, a między jego rogami ukazał się błyszczący krzyż. Rozległ się głos, który spytał świętego Huberta, czemu prześladowuje swojego Zbawiciela. Legenda powiada, że Hubert, późniejszy biskup Tongern i Maastricht oraz apostoł Ardenów, po doświadczeniu tej wizji zaczął prowadzić świątobliwe życie.

Po śmierci jego szczątki złożono w ufundowanym przez niego opactwie świętego Huberta, które przez długi czas było jednym z najsłynniejszych miejsc pielgrzymek chrześcijan. Od czasów rewolucji francuskiej, czy też – jak twierdzą niektórzy – już od czasów reformacji, szczątki świętego zaginęły¹⁰.

Trzeba tu wspomnieć o jeszcze jednym świętym, Meinolfie czy Meinulfie, który czczony jest głównie w rejonie Paderborn, gdzie urodził się około 795 roku. Jako czterolatek wraz ze swoją owdowiałą matką szlachcianką Wichtrudą trafił na dwór Karola Wielkiego¹¹, który został jego ojcem chrzestnym. Meinolfa wychował pierwszy biskup Paderbornu Hathumar. On też natchnął swojego wychowanka, aby poszukał odpowiedniego miejsca pod budowę klasztoru. Przy tej okazji Meinolfowi przydarzyło się coś dziwnego. Otóż pewien pasterz ujrzał w leśnej gęstwinie cudowny blask i doniósł o tym niesamowitym zjawisku Meinolfowi. Późniejszy święty udał się wraz z pasterzem we wspomniane miejsce i pozostał tam przez całą noc. W pewnym momencie ukazał mu się wspaniały jeleni, między którego rogami błyszczał krzyż. W Böddeken, oddalonym mniej więcej o trzy godziny drogi od Paderbornu, gdzie miała się wydarzyć ta historia, postawiono żeński klasztor pod wezwaniem Matki Bożej. Meinolf zmarł w 847 roku¹².

Można by przytoczyć wielu innych świętych, którzy także mieli podobne przeżycia z jeleniami i zjawiskami świetlnymi.

Współczesne zjawiska z jeleniem w roli głównej

Osobliwe jelenie i sarny odgrywały znaczącą rolę nie tylko w dawnych wiekach, lecz także w czasach nam współczesnych. Mój przyjaciel Johannes Fiebag¹³ w swojej słynnej książce *Kontakt*, traktującej o uprowadzeniach przez UFO, także pisze o spotkaniach ludzi z jeleniami:

Mieszkanca Berlina Conny Paraschoudis już jako dziecko miała dziwne sny, w których działy się rzeczy podobne do tych, jakie znamy z legend o Eustachym, Hubercie czy Meinulfie. Jeleni o pięknym porożu patrzył na dziewczynkę i polecił, żeby poszła za nim do lasu. Prowadzi ją do stojącego w lesie obiektu i znika. Pojawiają się dzieci, które zapraszają Conny do wejścia do „obektu”, gdzie jakiś starzec pokazuje jej zdjęcia i każe mówić, co jej się z tymi zdjęciami kojarzy¹⁴. Johannes Fiebag twierdzi, że w przypadku tego incydentu mamy do czynienia z tzw. *screen memories*, czyli wspomnieniami maskującymi. Są to z reguły generowane przez podświadomość sztucznie wytworzone wspomnienia, które blokują traumatyczne przeżycie. Jego zdaniem wspomnienia takie mogą być sztucznie implementowane przez „porywaczy” w czasie uprowadzeń przez UFO¹⁵.

Johannes Fiebag przytoczył w tym kontekście inne, niemal identyczne wydarzenie, wspomniane już przez Budda Hopkinsa w jego książce *Von UFOs*

entführt (Urowadzeni przez UFO)¹⁶.

W 1950 roku siedmioletnia Virginia Horton była z rodzicami na wycieczce w lasach pod Frankfurtem nad Menem. Podczas gdy rodzina zajmowała się przygotowaniem pikniku, dziewczynka oddaliła się i weszła głębiej w las, gdzie zobaczyła nagle „przepięknego jelenia”, który patrzył na nią wielkimi ciemnymi oczami i poprowadził w stronę jaskrawego światła. Kiedy Virginia do niego podeszła, zobaczyła coś, co nazwała „statkiem kosmicznym”¹⁷. Podobnie jak Conny także Virginia usłyszała głos i weszła do wnętrza obiektu, gdzie spotkała niewielkiego wzrostu istoty¹⁸.

Należy dodać, że zarówno Conny, jak i Virginia odniosły przy okazji obrażenia. Conny miała krwawiącą ranę w miejscu, gdzie brakowało jej kawałka tkanki¹⁹, a Virginia mocno krwawiła z nosa wskutek wprowadzenia implantu, który w relacjach „uprowadzonych” jest przypominającym sondę obiektem, wprowadzonym przez nos w miejsce za oczami lub też przez uszy do mózgu²⁰.

Badacze UFO, tacy jak wspomniany wyżej Budd Hopkins czy David Jacobs, wysuwają przypuszczenie, że zjawisko uprowadzeń przez UFO jest stosunkowo nowe, lecz ostatnio pojawia się coraz więcej relacji z przeszłości.

Dowiadujemy się więc np. o pewnym mężczyźnie ze Stanów Zjednoczonych, który opowiada o niezwykłym przeżyciu, jakie w 1896 roku miał jego 16-letni wówczas dziadek. W czasie polowania na kaczki usłyszał dziwne dźwięki. Podkradł się w kierunku, z którego dochodziły odgłosy, i dostrzegł pięć niewielkich istot o dużych głowach, które zbierały rośliny i owady. Szesnastolatek ocenił ich wzrost na 1,20 metra. Jego uwagę zwróciły przede wszystkim wielkie oczy, takie jakie widywał u jeleni. Kiedy jedna z istot wyprostowała się i zauważyła go, chłopiec wyszedł z ukrycia. Po pewnym czasie, kiedy istoty uznały, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, zbliżyły się do chłopca i zaczęły dotykać jego ubrania i twarzy. Niedługo potem zniknęły w gęstwinie. Kiedy chłopiec wrócił do domu, zorientował się, że jest już piąta po południu, chociaż wydawało mu się, że minęło ledwie pół godziny. W rzeczywistości „zgubił” pięć godzin²¹.

We wszystkich opisywanych przypadkach nie kończyło się, tak jak dla Eustachiusza, Huberta czy Meinulfa, „tylko” na spotkaniu ze wspaniałym mówiącym jeleniem, otoczonym jaskrawym światłem, lecz dochodziło także do innych wydarzeń. Nic mi nie wiadomo, aby tak samo było w przypadku wspomnianych świętych. W każdym razie legendy na ten temat milczą. Oczywiście niewykluczone, że wydarzało się coś jeszcze, ponieważ oszołomieni wydarzeniami święci udawali się w odosobnione miejsca²².

Pojawianie się osobliwych jeleni i saren, o których tyle już tu mówiliśmy, wyjaśnia być może hipoteza mimikry sformułowana przez amerykańskiego fizyka Jamesa Deardorffa, brytyjskiego astronoma Martina J. Foggasa oraz niemieckiego geologa Johannes Fiebaga i jego brata Petera Fiebaga.

Hipoteza mimikry twierdzi, że istoty pozaziemskie, dysponujące dostatecznie rozwiniętą techniką, by nas odwiedzać, znajdują się na takim poziomie rozwoju, że potrafią każdorazowo dostosować postać, pod jaką kontaktują się z ludźmi najróżniejszych epok i kultur, do odpowiednich wyobrażeń religijnych czy socjokulturowych i ukazują się w formie odpowiednio dobranych „projekcji”²³.

Jelenie i sarny pojawiają się też w mitach i legendach innych kultur i epok. I tak np. grecka bogini Artemida przemienia myśliwego Akteona w jelenia. Także w japońskich wierzeniach szintoistycznych zwierzę to przyporządkowane jest bogom. Jeleń uznawany jest za wierzchowca, a jego przedstawienia umieszcza się na zwojach w świątyniach²⁴. Doskonale pasuje do tego twierdzenie, jakie znajdujemy w książce *Enträtselte Vorzeit* (Prehistoria odcyfrowana) etnologa Karla F. Kohlenberga, który pisze, że jelenia można uznać za symbol obiektów latających²⁵.

Tezę tę podpira autor węgierskim mitem, o którym pisze też Erich von Däniken w swoich *Erscheinungen* (Objawienia). Mówi on o latającym jeleniu otoczonym promienistym blaskiem. Mit o „cudownym jeleniu” Csodaszarvas pojawiający się w starowęgierskich kronikach opowiada też o węgierskich praprzodkach Hunorze i Magorze, przy czym naukowcy upatrują w imieniu Magor pierwotnego brzmienia nazwy Magyar (Madziar). Obaj książęta polują na jelenia, który w cudowny sposób uchodzi pogoni²⁶.

Csodaszarvas miał być według legendy upierzoną i uskrzydloną świetlistą istotą, mającą na czole słońce, a na ramieniu księżyc i gwiazdy, która to istota przywiodła praprzodków dzisiejszych Węgrów na urodzajne ziemie²⁷.

Tak się zresztą składa, że na Węgrzech Drogę Mleczną nazywa się Drogą Elfów²⁸. Interesujący w tym kontekście okazuje się szczegół, że elfy mogły przemieniać się w zwierzęta, z upodobaniem przybierają postacię jeleni i saren²⁹.

Przypomnijmy tutaj raz jeszcze Eustachiusza, Huberta i Meinulfa. Zarówno w Japonii, jak i w Korei znane są opowieści o mówiącym elfie pod postacią jelenia, na którego polują myśliwi³⁰. W ten sposób krąg się niejako zamyka.

Pozostawiam czytelnikom dalsze spekulacje, czy przytoczone przeze mnie przykłady należy interpretować nie tylko w dotychczasowym mitologicznym sensie, ale także inaczej, np. jako przykłady popierające hipotezę mimikry.

Osobliwe wydają się już choćby liczne niemal identyczne szczegóły: często mowa jest o białych jeleniach lub sarnach, z krzyżem między rogami, które starają się zwrócić na siebie uwagę. Przy okazji spotykający je ludzie mają wizje przyszłych wydarzeń, które wywierają na nich wielki wpływ. Myśliwym ukazuje się jelen, chrześcijanie widzą krzyż, a w innych znów przypadkach, których tu nie przytaczaliśmy, na plan pierwszy wysuwają się anioły albo Matka Boska. Równie doniosłą rolę odgrywają też elfy. W opisywanych przeze mnie przypadkach obserwowano też jaskrawe światło albo silne promienie. Wszystko to znamy także z opowieści ludzi, którzy dzisiaj twierdzą, że widzieli UFO³¹. Wspomniane przeze mnie jelenie czy sarny – lub cokolwiek, co się kryje pod ich postacią – pomagają ludziom odnosić zwycięstwo w beznadziejnych sytuacjach, potrafią mówić, udzielają rad lub czegoś żądają. Ich życzenia wyrażane są tak dobitnie, że potem zostają obrócone w czyn. Jakie siły są w to wszystko zaangażowane?

Przy tej okazji trzeba też wziąć pod uwagę, że w starych legendach, podaniach, relacjach oraz mitach różnych narodów zawsze kryje się ziarno prawdy. Trudno poza tym nie dostrzec zbieżności ze współczesnymi relacjami z uprowadzeń przez UFO. Kiedy uwzględnimy to wszystko, musimy zadać sobie pytanie, czy aby rzeczywiście od tysiącleci nie obserwują nas i nie kierują nami istoty pozaziemskie, zgodnie z hipotezą mimikry pojawiające się pod postacią niewinnych projekcji maskujących, na które nikt nie zwróciłby szczególnej uwagi, gdyby nie osobliwe zjawiska towarzyszące?

Nasz wszechświat jest tak złożony, że nawet nie zaczęliśmy go tak naprawdę rozumieć. Nowe poglądy i hipotezy bez przerwy zmuszają nas do rewidowania i modyfikowania naszego obrazu świata.

Pisarz John L. Randall, podsumowując kwestię ewentualnego istnienia innych światów, zauważył z wielkim wyczuciem: „To, co my uważamy za rzeczywistość, nasz codzienny świat z jego trzema wymiarami przestrzennymi i linearnym biegiem czasu, to nic innego jak część pewnego o wiele bardziej złożonego Universum”³².

Willi Grömling

Lot ku duchowi Księżyca

Inuitów podróże do nieba

Prastare mity, podania z czasów przedchrześcijańskich, starożytne kroniki czy średniowieczne zapiski mówiące o „ognistych talerzach z gwiazd”, „srebrzystych jajach” na firmamencie czy „latających tarczach” opisują w gruncie rzeczy jedno i to samo zjawisko, tyle że obserwowane i interpretowane w ramach wiedzy danego czasu i kultury¹. Dzisiaj tego rodzaju zjawiska określamy mianem UFO. Niemniej jednak są one najwyraźniej znacznie starsze, niż się powszechnie zwykło przyjmować.

Alignak, duch Księżyca

Przesłanki potwierdzające ten wniosek odnajdziemy we wszystkich zakątkach globu – nawet na tak odległych obszarach jak Arktyka. Natkniemy się na nie, poczynając od półwyspu Czukotka w Azji, poprzez Alaskę i wzdłuż kanadyjskiego wybrzeża Oceanu Lodowatego aż po Grenlandię. W pustce tej niezwykle surowej i zimnej krainy odnajdziemy fascynującą skarbnicę mitów po dziś dzień przekazywanych sobie przez Inuitów z pokolenia na pokolenie.

Charakterystyczne dla religijnego myślenia Inuitów (co w ich języku znaczy „człowiek”), którzy niestety nadal jeszcze bywają określani mało chlubnym słowem Eskimosi (czyli „żywiący się surowym mięsem”), jest antropomorficzne widzenie wszechświata. Bóstwa, gwiazdy czy zjawiska naturalne wywodzą się z przygód ludzi, chętnie opowiadanych z najdrobniejszymi szczegółami². Jeden ze znanych wszystkim Inuitom mitów opowiada o duchu Księżyca, który najczęściej nosi imię Alignak. Z punktu widzenia paleo-SETI Alignak wart jest zainteresowania, ponieważ niektóre elementy opowieści związanych z nim w istotnych punktach wiążą się ze zjawiskiem UFO, a zwłaszcza z „bliskimi spotkaniami czwartego stopnia”, czyli uprowadzeniami lub wzięciami.

Zastanawiającą właściwością ducha Księżyca jest to, że potrafi zabierać ludzi do nieba. Samotny wędrowiec, kobieta, która wyszła nocą po wodę, albo myśliwy, który obserwuje tarczę Księżyca – wszyscy oni widzą nagle zbliżającą się do nich „jasną gwiazdę”. Ludzie ci ni stąd, ni zowąd znajdują się w „niebie”, dokąd zawożą ich „sanie boga Księżyca”, czemu towarzyszą „jasne płomienie”. Szczególnie obrazowo opisują to dwie opowieści inuickie.

Był sobie raz człowiek, który rozgniewawszy się na swojego starszego brata za to, że schował mu wiosło, udał się na pustkowie. Tylko tak mógł sobie poradzić z myślą, że nie wypłynie kajakiem. Kiedy tak wędrował samotnie, usłyszał nagle czarodziejskie śpiewy. A kiedy udał się w stronę, skąd dobiegały, poczuł, jak coś unosi go z ziemi, i wyruszył drogą, którą przebywają zmarli. Była ona dość wąska i człowiek zapadł się w ziemię aż po ramiona. Kiedy się jednak wydostał z powrotem, ujrzał straszliwego psa. Natychmiast zaczął uciekać, ale kiedy w czasie ucieczki obejrzał się za siebie, ujrzał goniący go płomień, strzelający na wszystkie strony. Widok ten pozbawił go przytomności i człowiek upadł jak martwy³.

A więc Inuita udaje się na pustkowie, słyszy nagle „czarodziejski śpiew” i czuje, że zostaje uniesiony w powietrze. Czyż współczesne ofiary uprowadzeń nie opisują swoich przeżyć podobnymi słowami? Często wspominają, że w momencie spotkania z przedstawicielami pozaziemskich cywilizacji byli sami na opustoszałej drodze albo w budynku i niezauważenie dla nikogo, wbrew swojej woli, byli uprowadzani przez załogę UFO, podobnie jak Inuita z przytoczonej opowieści⁴.

Ponadto jeszcze jeden szczegół tej opowieści przypomina pewien istotny element uprowadzeń przez UFO. Otóż ufolodzy zgodnie stwierdzają, że wiele osób mających za sobą takie przeżycia opowiada o dziwnych zwierzętach, których w momencie spotkania z UFO w ogóle nie miało prawa być (*screen memories*) i które w procesie regresji hipnotycznej wielokrotnie okazują się wspomnieniami maskującymi, świadomie wprowadzanymi przez obcych, co pozwala im działać niezauważenie wśród ludzi⁵. Peter Fiebag zwracał już uwagę w kontekście paleo-SETI, że tego rodzaju wspomnienia maskujące wydają się istnieć także u Majów z okresu klasycznego i poklasycznego⁶. J. Vallée⁷ wychodzi z generalnego założenia, że w dawnych czasach również pojawiały się takie *screen memories*, korespondujące z danym modelem kulturowym, a W. Grömling w niniejszej publikacji analizuje pod tym kątem legendy europejskie. Czy to przypadek, że opowieść o Inuicie mówi o „straszliwym psie”, który pojawił się przy okazji jego porwania do nieba?

Latające sanie

Również druga z opowieści Inuitów mówi o duchu Księżyca i spotkaniu młodej kobiety z tą tajemniczą postacią, wskutek czego rodzi ona poczęte wówczas dziecko. Tutaj również spotykamy wiele zdumiewających zbieżności ze współczesnymi wprowadzeniami:

Była sobie raz kobieta, która nie mogła mieć dzieci. Była z tego powodu bardzo smutna. Jej mąż natomiast wpadał z tego powodu w gniew i znęcał się nad nią każdego dnia. Biedna kobieta nie miała przez to ani jednej radosnej chwili i zawsze chodziła z podbitym okiem i licznymi siniakami, ponieważ mąż ciągle ją bił. Pewnego razu w zimową noc, kiedy Księżyc w pełni świecił jasnym i czystym blaskiem, kobieta wyszła po wodę. Kiedy chciała napęłnić wiadro, usłyszała, że ktoś podjechał i prosi ją, by zechciała wsiąść do jego sań. Kobieta skorzystała z zaproszenia i siadła w saniach. Ledwie się jednak wygodnie usadowiła, spostrzegła, że sanie uniosły się w powietrze i popędziły przed siebie. Biednej kobiecie zrobiło się całkiem niedobrze i zwymiotowała. (...) Sanie unosiły się coraz wyżej i wyżej, a kiedy kobieta obejrzała się za siebie, zobaczyła, że goni ich płomień. W końcu jednak dotarli do domu. Kiedy kobieta zsiadła z sań, jej towarzysz poprosił, aby położyła się na legowisku. Kobieta, która i tak była bardzo zmęczona szybką powietrzną podróżą, straciła przytomność. Jak długo to wszystko trwało, nie potrafiła potem powiedzieć.

I znów napotykaemy motyw podróży do nieba saniami w otoczeniu płomieni. A może jest to po prostu opis jakiegoś pojazdu, który nosi atrybuty sań, bo były one po prostu najszybszym środkiem lokomocji znanym mieszkańcom tego regionu, a ponadto sunęły po śniegu jakby leciały? Czyż bowiem prawdziwe sanie potrafią unieść się w powietrze i w otoczeniu płomieni pędzić po nieboskłonie?



Licząca sobie około 2000 lat „maska ducha Księżyca” Inuitów. Wyposażenie grobu szamana, Ekven (Uelen), Czukotka. (Muzeum Narodowe w Moskwie)

W opowieści pojawia się ponadto zjawisko „utraconego czasu”. Wiele osób uprowadzonych przez UFO opowiada potem o lukach czasowych, z których nie mają żadnych wspomnień. Kobieta Inuitów nie potrafiła powiedzieć, jak długo leżała bez przytomności. Przypadek? Czy przypadkiem jest także informacja o późniejszej ciąży? Dokładnie to samo relacjonuje wiele uprowadzonych przez UFO kobiet. Czy przypadkiem jest też opis zjawiska, które znamy dopiero z czasów, kiedy sami nauczyliśmy się wznosić w powietrze samolotami, mianowicie choroba lokomocyjna i jej skutki? Inuitka wymiotowała, a więc przydarzyło jej się dokładnie to samo, czego doświadczają dzisiaj ludzie podróżujący samolotami.

Podsumowując, widzimy tutaj następujące zbieżności ze współczesnym zjawiskiem UFO i uprowadzeniami:

- Inuici opisują wrażenia wizualne i akustyczne podróży do nieba przed lub w czasie niej („jasne płomienie” i „czarodziejskie śpiewy”);
- w momencie spotkania są sami na pustkowiu. Nie ma świadków ich zniknięcia;
- tracą przytomność i nie potrafią potem określić czasu trwania podróży;
- postać zwierzęcia jako sygnał o zastosowaniu *screen memories*, wspomnień maskujących;
- ciąża w następstwie spotkania;
- przewiezienie osób do nieba za pomocą szybkich „sań”.

Jak wiele innych ludów pierwotnych, także Inuici przypisują swojej ustnej tradycji znacznie wyższą rangę niż zachodnia „nowoczesna” cywilizacja. Nikt nie wątpi w autentyczność tych opowieści. Podczas jednej ze swoich licznych wypraw arktycznych znany duński polarnik, etnolog, geograf i pisarz Knud Rasmussen usłyszał przed podróżą od jednego z mieszkańców Grenlandii pewne bardzo mądre słowa, które przedstawiciele środowisk naukowych powinni w większym stopniu uwzględniać w swoich (najczęściej negatywnych) ocenach paleo-SETI: „Wszystkie nasze legendy to przeżycia ludzi. Są prawdziwe. To, co przekazali nam nasi mądrzy praojcowie, nie jest lekkomyślnym gadaniem ani kłamstwem”⁸.

Christian Brachthäuser

„Węglowa czaszka” z Fryburga

Dziwaczny falsyfikat czy liczący 15 000 000 lat relikw?

Zagadkowe znaleziska archeologiczne co chwila każą nam powątpiewać w prawdziwość postulowanego przez naukę przebiegu ewolucji człowieka. Zawsze pojawia się przy tej okazji pytanie, czy dane znalezisko jest fałszerstwem, czy może raczej z naszym dzisiejszym obrazem dziejów coś jest nie tak. Niektóre z tych przedmiotów mogłyby być poszlakami albo wręcz dowodami na poparcie teorii paleo-SETI i choćby dlatego powinno się je poddać obiektywnym naukowym badaniom.

Do takich właśnie relikwów, które wciąż pozostają zagadką, należy „węglowa czaszka”, która pojawiła się w początkach XIX wieku, a po raz pierwszy została opisana w 1842 roku i znajduje się w zbiorach Akademii Górniczej we Fryburgu. Nawet jeśli panuje ogólne przekonanie, że mamy tu do czynienia z fałszerstwem, najnowsze badania tomografem komputerowym wykazują, że czaszka ma budowę warstwową – podobną do słoików w pniach drzew – a więc byłby to jakiś zupełnie dotąd nieznan typ fałszerstwa i to w dodatku mało sensowny. O co tak naprawdę chodzi?



Węglowa czaszka z Fryburga. Falsyfikat czy liczący miliony lat oryginał?
(Rudolf – archiwum autora)

W 1842 roku C. Kersten opublikował w „Archiv für Mineralogie, Geognosie und Hüttenkunde” artykuł pt. *O przemienionej w limonit i bitumen czaszce ludzkiej*. Nieco wcześniej miejscowy mierniczy Leschner podarował górniczej organizacji Freiburger Bergmännischer Verein tajemnicze znalezisko ze zbiorów zmarłego fryburskiego aptekarza Löschera. Löscher, uczeń Abrahama Gottloba Wernera^[3], do chwili swojej śmierci w 1813 roku był nie tylko właścicielem najstarszej apteki we Fryburgu, ale też bachmistrem^[4] u hrabiego Thuna von Böhmen. Samo znalezisko wyglądało na przemienioną w węgiel ludzką czaszkę. Niestety, nie było żadnych informacji na temat miejsca i okoliczności jej znalezienia.

Wczesne badania

Bergmännischer Verein zleciło C. Kerstenowi zbadanie znaleziska. Kersten pisze, że „inkryminowana ludzka czaszka [przy] zachowaniu formy (...) całkowicie przemieniła się w jednolitą masę”. Opisuje ją jako brunatną, ziemistą, pozbawioną połysku palną substancję, którą łatwo można rozetrzeć

na ziemisty proszek w kolorze umbry. Twardość jest porównywalna do twardości miękkiego minerału, talku. Waga czaszki określona zostaje jako znaczna („7 funtów”). Badanie za pomocą lupy nie wykazało żadnych śladów substancji kostnej. W czasie suchej destylacji nie uwolnił się amoniak, co wskazuje na brak resztek substancji organicznych. Zamiast tego stwierdzono obecność kwaśnej pary wodnej, palnych gazów oraz smoły. Takie substancje są typowe dla węgla brunatnego.

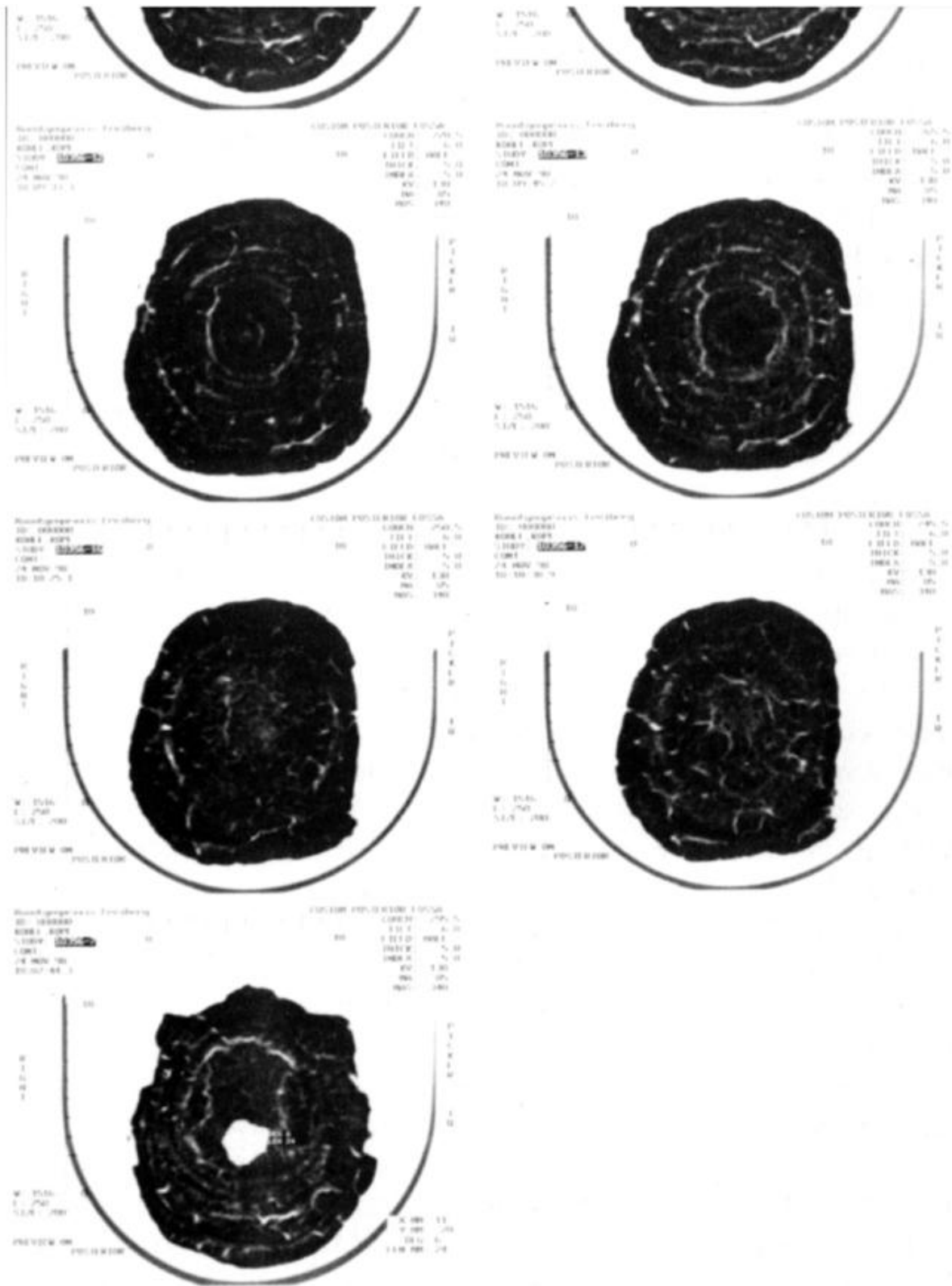
Pozostałości miały postać twardej, tłusto połyskującej czarnobrunatnej masy o niewielkich właściwościach magnetycznych. Dalsze badania przy użyciu wody i alkoholu dały wyniki podobne do badań węgla brunatnego. Analiza ilościowa pokazała, że czaszka składa się mniej więcej w połowie z węgla brunatnego, a w połowie z limonitu i magnetytu.

„Węglowa czaszka” została w 1923 roku wciągnięta do „Katalogu skamieniałości Królewskiej Akademii Górniczej we Fryburgu” pod numerem 1 i jest opisana jako „wypełnienie ludzkiej czaszki masą węglową”.

W publikacji Ottona Stutzera z 1923 roku po raz drugi powołano się na to znalezisko. Wówczas przeprowadzono kolejne badanie, tym razem w dziale etnograficznym dreźnieńskiego Zwinger Museum. Tamtejsi eksperci sformułowali wniosek, że mamy do czynienia z „falsyfikatem, tzn. z czaszką wymodelowaną z węgla brunatnego z domieszką rudy darniowej i magnetytu”. Był to wyrok ostateczny, który zamknął drogę do dalszych badań.

Falsyfikat?

W 1988 roku profesor Gerhard Roselt opublikował raport z kolejnego badania czaszki, w którym opisał wyniki analizy mikropetrograficznej: „Zastanawiające są masa, kształt, barwa oraz zewnętrzny stan węglowej czaszki. Jak na czaszkę ma w stosunku do swojej wielkości dość dużą masę. Obydwa oczodoły oraz niewielkie wały nadoczodołowe, jak też w niewielkim tylko stopniu cofnięte czoło – łącznie z ogólnym kształtem całości – przypominają raczej czaszkę współczesną niż skamielinę. (...) Jej ciemna barwa i popękana struktura nie wskazują na zawartość jakiegokolwiek tkanki kostnej. Jedynie w miejscach, gdzie czaszka jest uszkodzona (...), wygląda tak, jakby masa oddzielała się w obrębie szerokości czaszki”. W czasie badań mikroskopowych Roselt znalazł obok różnego rodzaju złotozółtych drobin także czarne jak smoła listki, resztki źdźbeł oraz jedno ziarno.



Freiberg (Sachsen)

Zdjęcia z prześwietlenia węglowej czaszki tomografem komputerowym. (R. Kaulen/S. Pomplun, „Freie Presse“, Fryburg)

Po przeprowadzeniu analizy odnalezionych szczątków Roselt wysnuł wniosek, że czaszka jest „sztucznym tworem”. W złotożółtych drobinach rozpoznał żywicę, którą po porównaniu z żywicami używanymi dzisiaj w przemyśle farmaceutycznym zidentyfikował jako żywicę copal.

Spokój czaszki zakłócono po raz kolejny w 1998 roku. Reporterowi lokalnej gazety „Freie Presse” udało się namówić dwóch rentgenologów ze szpitala we Fryburgu – doktora Frietjofa Kaulena oraz doktora Siegfrieda Pompluna – do wykonania tomografii komputerowej węglowej czaszki. Zdjęcia wyraźnie pokazały przypominającą słoje drewna strukturę czaszki. Ciekawe jest jednak to, że ta sama struktura widoczna jest też po odwróceniu czaszki o 90⁰.

Co oznaczają te wyniki?

Jak stwierdzono już w XIX wieku, czaszka z Fryburga składa się częściowo z węgla brunatnego. Uwzględniając okoliczność, że Löscher pracował w kopalniach Czech, oraz odnalezione przez Roselta czarne jak smoła listki (duksyt), można zawęzić obszar poszukiwań miejsca znalezienia (lub wyprodukowania) czaszki do terenu Czech.

Wiek pokładów węgla brunatnego w Niece Czeskiej datuje się na górny miocen, czyli około 15 000 000 lat temu. Według dzisiejszego stanu wiedzy przyjmujemy, że w tamtym okresie na Ziemi nie było jeszcze ludzi, a tylko prakonie, prawielbłądy, wielkie dzikie świnie, dziwaczne gatunki jeleni oraz wcześnie krewniacy mastodontów. Czyja to czaszka, oczywiście zakładając, że istota ta rzeczywiście chodziła po Ziemi 15 000 000 lat temu?

Przy rozważaniach ewentualnych okoliczności przemiany biologicznej substancji organicznej w substancje węglowe konieczne trzeba – moim zdaniem – uwzględnić specyfikę tworzenia się węgla brunatnego na tych terenach. Pod koniec trzeciorzędu obszar ten znajdował się pod przemożnym wpływem aktywności wulkanicznej, która swoim ciśnieniem, temperaturą oraz składnikami chemicznymi (gazy, roztwory) oddziaływała na procesy tworzenia się węgla.

W swoich konkluzjach Roselt wychodzi z założenia, że czaszka została wytworzona. Uznaje za dowiedzione, że czaszkę wymodelowano z użyciem

żywic, węgla oraz domieszek mineralnych. Użyta jego zdaniem żywica ma temperaturę topnienia 110–460 stopni Celsjusza.

Jeśli tak, to nasuwa mi się następujące pytanie: Kto miałby – prawie 200 lat temu! – zadawać sobie trud, by nakładać warstwa po warstwie masę o temperaturze 200 stopni? Gdyby chodziło tylko o to, żeby zrobić czaszkę, wymodelowano by ją z jednego kawałka. Byłoby to dla mnie znacznie bardziej wiarygodne. Dowolny rzeźbiarz bez trudu mógłby wymodelować tak czaszkę z bryły gliny (albo mieszaniny węgla brunatnego i żywic), a potem dopracować szczegóły.

Czym zatem tak naprawdę jest węglowa czaszka z Fryburga? Skąd pochodzi? I czy rzeczywiście liczy sobie 15 000 000 lat? Odpowiedź moglibyśmy uzyskać tylko i wyłącznie dzięki odpowiednim procedurom datowania. Ponieważ jednak uznano ją dość powszechnie za falsyfikat, trudno przypuszczać, aby jakikolwiek instytut naukowy w Niemczech zdecydował się na przeprowadzenie tego rodzaju kosztownych badań.

Zasadność tego rodzaju badań wydaje się nie ulegać wątpliwości już choćby w świetle wypowiedzi Arndta Lehmana, kustosa zbiorów geologicznych Akademii Górniczej we Fryburgu: „Tego się nie spodziewałem. Na dwóch przekrojach [tomografii komputerowej] widać wyraźnie, że czaszka ma strukturę koncentryczno-warstwową. Nie potrafię na razie powiedzieć, w jaki sposób mogła powstać tego rodzaju struktura”.

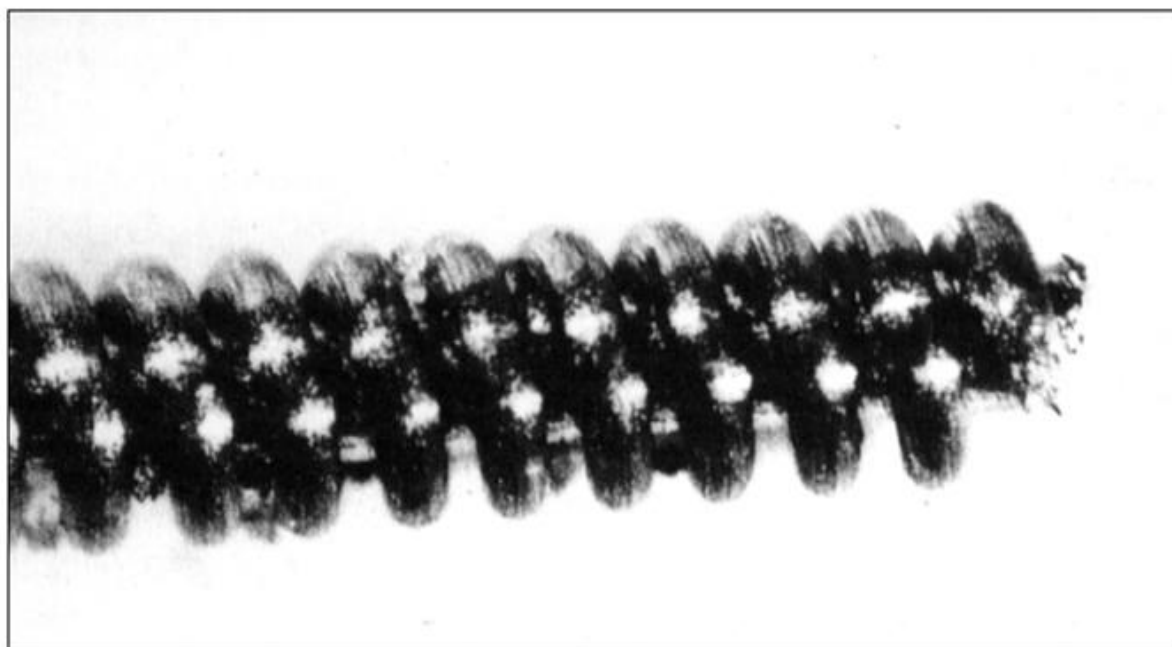
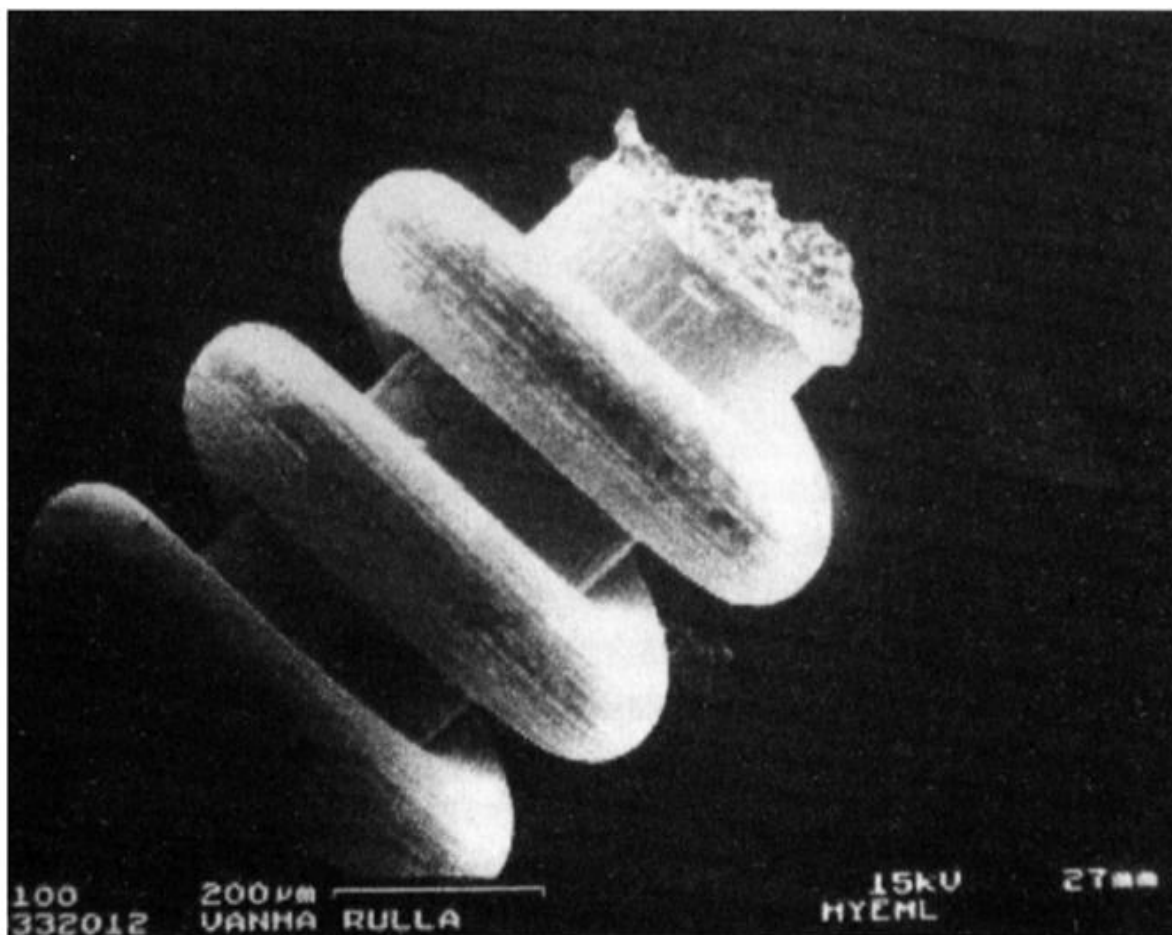
Jeśli ktoś chciałby sobie wyrobić własne zdanie o zagadkowej węglowej czaszce, w każdej chwili może ją obejrzeć w zbiorach Akademii Górniczej we Fryburgu.

Bernd Nozon

Nanotechnologia epoki lodowcowej

Badania laboratoryjne spirali wolframowej z Rosji

W mojej książce *Wenn Götter Gott spielen* (Kiedy bogowie bawią się w Boga)¹, podobnie jak i w artykule w „Ancient Skies”² informowałem o niewiarygodnym znalezisku z Rosji – prastarych, jak się zdaje, metalowych przedmiotach, pozostałych po cywilizacji, która już 100 000 lat temu opanowała tajniki nanotechnologii. Z różnych stron zarzucano mi, że tego rodzaju rzeczy po prostu nie mogą istnieć i że na pewno poniosła mnie wyobraźnia. Tymczasem nowy materiał fotograficzny oraz przetłumaczony przez tłumacza przysięgłego raport z badań laboratoryjnych przeprowadzonych w Moskwie jeszcze mocniej przemawiają za prawdziwością mojej tezy, że przypuszczalnie mamy tutaj do czynienia z obiektami pochodzenia pozaziemskiego.



Przykłady znalezionych na Uralu mikrobiektów.(archiwum H. Hausdorfa)

Od 1991 roku systematycznie znajdowane są na brzegach rzek Narady, Kożym i Bałbanju na wschodnim skraju Uralu w większości spiralne obiekty z wolframu i molibdenu oraz miedzi. Na szczęście znaleziska te odkryto w czasie oficjalnego pobierania próbek. Próbki pobierano do celów geologiczno-mineralogicznych, planując wydobycie w tym regionie metali kolorowych i szlachetnych. Badania prowadził Centralny Instytut Badawczy Geologii i Poszukiwań Metali Kolorowych i Szlachetnych (ZNIGRI), podlegający Komitetowi do spraw Geologii i Eksploatacji Bogactw Naturalnych Federacji Rosyjskiej. Jak poinformował mnie doktor Walerij Ouwarow (Sankt Petersburg), regionalne oddziały Rosyjskiej Akademii Nauk w Sankt Petersburgu i Syktywarze, jak również niezależny fiński instytut badawczy w Helsinkach wykonały dalsze badania tajemniczych „spiralek”.

Dysponuję kopią ekspertyzy numer 18/485 wspomnianego już ZINGRI z 29 listopada 1996 roku³.

Badania naukowe

Pracownik naukowy Wydziału Geologii, Poszukiwań i Ekonomii Okruchowych Złóż Metali Szlachetnych doktor J.W. Matwiejewa najpierw opisuje w ekspertyzie odkrywkę, z której pobrano próbki, oraz procedury pobierania próbek w związku z analizą „nitkowatych spirali wolframowych w złożach aluwialnych rzeki Bałbanju”. Przy tej okazji podaje dokładną lokalizację miejsca odnalezienia badanych przez ZNIGRI obiektów: jest to odkrywka w złożach aluwialnych trzeciej terasy zalewowej na lewym (patrząc w dół rzeki) brzegu rzeki Bałbanju wzdłuż linii wiercenia numer 106. W odkrywce znaleziono luźne sedymenty, które – poczynając od najstarszej warstwy u dołu aż po najmłodszą u góry – przedstawiają się następująco:

1. Ustrukturuwiona skorupa erozyjna (na przemian łupki wapienne i węglowe o szaroniebieskawo-brunatno-zielonkawych paskowaniach; widoczna grubość od 0,5 do 1 metra).
2. Soczewki mułkowate 0,0–0,2 metra ze słabo odsegregowanego piasku, gruzu, gliny i drobnego materiału naniesionego, który można uznać za produkt erozji warstwy ujętej w punkcie 1.
3. Sedymenty z szarych żwirów i materiału naniesionego o różnej wielkości ziarna z dobrze wysortowanymi piaskami oraz o widocznej grubości 1–1,7 metra, które można wskazać jako miejsce próbnego sprawdzenia na zawartość złota.
5. Zawierające okruchy sedymenty piaskowe i gliniaste, szare w barwie, o widocznej grubości 2 metrów. W górnym obszarze widoczne zaburzenia wskutek plantowania.

Jeśli idzie o określenie wieku warstw zawierających przedmioty z wolframu i molibdenu, doktor Matwiejewa stwierdza: „Muł zawierający spiralne obiekty

charakteryzuje się jako sedymenty żwirowe i materiału naniesionego z trzeciego poziomu, które w naszej opinii są efektem erozji wewnątrzsedymenrowej warstw poligenetycznych i akumulatywnych [czyli składających się z materiału różnego pochodzenia]. Takie sedymenty mogą pochodzić orientacyjnie sprzed 100 000 lat i odpowiadają w częściach leżących [czyli w dolnych warstwach] spągowi mikulińskiemu utworów górnego plejstocenu”.

Pojęciem plejstocenu określa się w skali geologicznej część czwartorzędu (najmłodszej epoki geologicznej), która rozpoczęła się około 2 000 000 lat temu i zakończyła się przed około 10 000 lat. Po nim rozpoczął się holocen, czyli epoka, w której właśnie żyjemy.

W dalszej części raportu opisuje się badania wykonane m.in. za pomocą skaningowego mikroskopu elektronowego JSM T-330 japońskiej firmy JEOL. Przedstawiono tu również wyniki uzyskane po wykonaniu licznych analiz spektralnych⁴.

Tak czy inaczej, na uwagę zasługuje chociażby ostateczny wniosek, do jakiego dochodzi moskiewski instytut. Otóż raport numer 18/485 stwierdza, że „wiek sedymentów oraz okoliczności badań powodują, że mało wiarygodne wydaje się uznanie za przyczynę powstania niezwykle, nitkowatych spirali wolframowych bliskości trasy przelotu rakiet kosmicznych startujących z kosmodromu Plisieck nad polarną częścią Uralu”.

Mówiąc wprost: Nie mogą to być metalowe pozostałości powstałe w wyniku prób rakietowych i temu podobnych na kosmodromie w Plisiecku. Końcowe słowa raportu nie pozostawiają wątpliwości: „Uzyskane dane pozwalają na rozważenie pozaziemskiego pochodzenia przedmiotów”.

Wobec tego rodzaju konkluzji trudno będzie teraz krytykom posługiwać się argumentami o rzekomej „pseudodokumentacji” czy „żenująco naciąganych wnioskach”. Co więcej, postaram się dotrzeć do kolejnych raportów z badań, przykładając wielką wagę do tych, które będą pochodziły z niezależnego fińskiego instytutu naukowego.

Co się tyczy mojej hipotezy, że mamy tutaj do czynienia z przykładem tzw. nanotechnologii, to nie utraciła ona swojej wiarygodności. Jak podano całkiem niedawno, naukowcy całego świata pracują nad wyprodukowaniem miniaturowych cylindrów, kółek zębatach i przekładni oraz innych elementów mających zastosowanie przy produkcji nanorobotów. Urządzenia te są w stanie wypełniać zadania, które dotychczas były domeną wyłącznie science fiction.

Tak więc w sprawie sensacyjnych znalezisk na Uralu z pewnością nie powiedziano jeszcze ostatniego słowa!

Hartwig Hausdorf

Pismo z Le Glozel

Wysoko rozwinięta cywilizacja europejska z epoki kamienia we Francji?

W 1924 roku dwaj chłopcy odkryli w jamie na swoim polu w pobliżu Le Glozel (Francja) miejsce pochówku istot ludzkich pochodzących z wczesnej epoki kamienia. Sensacją było znalezienie tam glinianych tabliczek z widocznymi znakami pisma. Archeolodzy natychmiast ogłosili, że mamy do czynienia z fałszerstwem. Do dziś nic się w tej kwestii nie zmieniło. Czy jednak to odkrycie naprawdę jest tylko fałszerstwem dokonany przez dwóch wieśniaków, czy też może w Le Glozel kryje się jedna z największych archeologicznych sensacji Europy?

Okolice wokół niewielkiej osady Le Glozel we francuskim Masywie Centralnym wzbudziła ogólnoswiatową sensację w 1960 roku, ponieważ stamtąd pochodził uran służący do wyprodukowania pierwszej francuskiej bomby atomowej. W latach 1970–1975 w tym samym regionie wielokrotnie widywano UFO. Tym do dziś niewyjaśnionym fenomenem zajmowały się wówczas nawet francuskie instytucje wojskowe.

Natomiast żadne nagłówki nie informowały w 1924 roku o krowie, która pasąc się na łące, zapadła się tak głęboko w ziemię, że trzeba ją było wykopywać łopatami i szpadlami. Przy okazji odkryto szczątki ludzkie oraz najwyraźniej prehistorycznego pochodzenia wyposażenie grobowe. Między innymi była tam też pokryta znakami pisma gliniana tabliczka. Dalsze wykopaliska wydobyły na światło dzienne jeszcze bogatsze znaleziska. Obok wrytych w kościach wizerunków zwierząt, w rodzaju prakoni, renów i innych gatunków, przypominających paleolityczne malowidła znane z francuskich jaskiń, były tam również figurki z kłów mamuta. Wskazywało to na bardzo stary wiek znalezisk. Prehistoryczni artyści wcale nie musieli się bać konfrontacji z artystami naszej epoki. W tych samych miejscach odnaleziono gliniane urny z prochami zmarłych, chociaż zdaniem archeologów wypalanie gliny oficjalnie „dozwolone” jest dopiero od 4500 roku p.n.e. Pradawni mieszkańcy Le Glozel najwyraźniej niezbyt się tym przejmowali.

Skandal naukowy

Historia znalezisk z Le Glozel jest jednocześnie zapisem jednego z największych skandali w historii archeologii. Kiedy wieśniacy Claude i Emile Fradin udali się z pokrytymi znakami pisma glinianymi tabliczkami do profesora Morleta, aby mu je pokazać i uzyskać potwierdzenie autentyczności, usłyszeli tylko zarzut, że to oni sami sfalszowali tabliczki. Dwudziestego piątego lutego 1928 roku jeden z członków Francuskiego Towarzystwa Prehistorycznego wystosował oskarżenie o fałszowanie znalezisk archeologicznych. Emile Fradin został aresztowany, przewieziony do aresztu śledczego i przesłuchany. Policja przeszukała całe gospodarstwo i okoliczne pola w poszukiwaniu pieca do wypalania archeologicznych fałszyfikatów – daremnie. Kiedy Emile Fradin wyszedł wreszcie na wolność, profesor Morlet zakazał dalszych wykopalisk w tej okolicy, najwyraźniej dlatego, by nie być zmuszonym do rewizji własnych poglądów na historię człowieka. Cała oficjalna archeologia skupiła się na tym, aby wykazać, że znaleziska z Le Glozel są fałszyfkami albo przynajmniej należy je uznać za „bardzo podejrzane”. Ludzie wczesnej epoki kamienia mieli pozostać głupi i prymitywni, dowody na coś przeciwnego w postaci glinianych tabliczek pokrytych pismem zaskarżono do sądu.



Gliniana tabliczka z Le Glozel pokryta abstrakcyjnymi znakami pisma.
(archiwum W.K. Rüediego)

Po 60 latach (1983) archeolodzy z Lyonu wreszcie podjęli dalsze wykopaliska, aby datować „podejrzane” znaleziska. Archeolodzy wywieźli wtedy wielką skrzynię z wyposażeniami grobowymi, o których słuch potem zaginął. Kiedy założone tymczasem Towarzystwo Przyjaciół Glozel zwróciło się o ich wydanie, wiele lat później (1995) zwrócono wreszcie karton z potraskanymi i po części nieczytelnymi znaleziskami. Na datowanie przez francuskich archeologów czekamy do dzisiaj, ponieważ nikt jakoś się do tego nie kwapi.

W każdym razie „zagraniczni naukowcy, jak profesor Arne Björ, dyrektor Centrum Badań Muzeum Narodowego w Kopenhadze, i jego kolega profesor Vagn Mesdal za pomocą nowoczesnych metod (datowanie termoluminescencyjne) określili minimalny wiek tych znalezisk na 2700–2900 lat. Znalezione szczątki kostne mają nawet około 7000 lat¹.

Kiedy odwiedziłem Le Glozel, na 7. kilometrze za Cusset pod Vichy moją uwagę zwrócił wierzchołek pagórka w kształcie piramidy. Podobno jednak jest on pochodzenia naturalnego. Emile Fradin powiedział, że na „Polu Śmierci” (*champs des morts*) stał dawniej menhir o „wijącym się spiralnie kształcie”, który gdzieś na przełomie wieków został zniszczony. Starzy mieszkańcy wioski mówili mu podobno, że w okolicy stały też inne tego rodzaju menhiry. Uzasadnione wydaje się więc przypuszczenie, że miejsca pochówków mogą zajmować obszar wielu kilometrów kwadratowych. Czy menhiry służyły do „rozpruwania” nieba na przyjęcie zmarłych, jako punkty orientacyjne dla potomnych?

Zdumieni zadajemy sobie pytanie, ileż w końcu tysięcy lat temu wynaleziono pismo? Dotąd archeologia ukrywa wszelkie datowania dotyczące Le Glozel. Gdzie zniknęła wysoko rozwinięta tamtejsza cywilizacja? Dlaczego żaden językoznawca nie próbuje odcyfrować symbolicznego pisma z glinianych tabliczek? Germanista Peter Fiebag stwierdza: „Odcyfrowanie dawnych systemów pisma jest szczególnie ważne także dla badań paleo-SETI, ponieważ takie teksty pozwalają wejrzeć w duchowy i kulturowy świat wyobrażeń dawnych ludów. Znajomość pisma zastrzeżona była przeważnie jedynie dla wąskiego grona wtajemniczonych, dlatego uzasadnione wydaje się przypuszczenie, że jeśli uda nam się odnaleźć odpowiedni klucz, możemy uzyskać informacje o niezwykłych wydarzeniach oraz elementach kosmologicznej wizji świata”¹.

Jakie jeszcze znaleziska i obiekty zostały przez oficjalną archeologię uznane za podejrzane lub niewiarygodne albo po prostu zatajone przed opinią publiczną? Znaleziska takie jak pismo z Le Glozel mogłyby przewrócić do góry nogami całą wiedzę na temat dziejów ludzkości, uznawaną dzisiaj za

pewną. Nauka, która nie potrafi stanąć oko w oko z faktami, nie zasługuje na miano nauki!

Werner K. Rüedi

Czy odkryto najstarsze pismo?

Archeolodzy z Uniwersytetu Harvarda natrafili najprawdopodobniej na najstarszy jak dotąd ślad istnienia pisma w Harappie (Pakistan). Znaki zostały wyryte na glinianych tabliczkach najprawdopodobniej 5500 lat temu. Byłyby zatem o 200 czy 300 lat starsze od uznawanych dotychczas za najstarsze symboli w grobowcu faraona „Skorpiona” w południowym Egipcie. Co zdumiewające, znaki z Harappy uderzająco przypominają te znane z Le Glouzel. Przypadek czy coś więcej?

V. Zagadkowa Ameryka

Świat zagadek Ameryki Południowej **Odkrycia w Nazca, Ica i Tiahuanaco**

O zachodzie słońca zagadkowe linie z Nazca w Peru wywołują niemal mistyczne odczucia. Jeśli wejdzie się na jedno z niewielkich wzgórz – nieco w bok od Drogi Panamerykańskiej – to da się je wyczuć w miękkim świetle za linią horyzontu: proste linie zbiegające się w jedną, wijące się meandrami krzywe, które przecinają pustynny krajobraz.

Zagadka płaskowyżu Nazca

Przytłaczające wrażenie robi jednak dopiero widok z samolotu. Linie, sięgające długość do 22 kilometrów, biegną prosto jak pod sznurek przez góry i doliny, ogromne figury w formie trapezów, linie proste, które krzyżują się, biegną równoległe do siebie, urywają nagle lub schodzą się gwiazdźście na jednym ze wzgórz, które sterczą na równinie. Sławetne wizerunki zwierząt – kondor, koliber, małpa, ryba – niemal gubią się w mnogości niewyjaśnionych geometrycznych wzorów.

Kiedy przelatujemy na płaskowyżu, zagadka Nazca wciąż pozostaje nierozwiązana, tak jak dawniej. My – czyli Erich von Däniken oraz grupa AAS, jesteśmy podróżnikami i naukowcami szczególnego rodzaju – pragniemy wreszcie zobaczyć wszystko to, o czym do tej pory mogliśmy jedynie czytać w książkach.

W kwestii linii z Nazca wciąż mamy do czynienia z wielkimi znakami zapytania. Jaką pełniły funkcję? Gigantycznego kalendarza? Mimo licznych komputerowych obliczeń nie udało się odnaleźć istotnych korelacji w odniesieniu do jakichkolwiek ciał niebieskich. Szlaków komunikacyjnych w czasach Inków? Mało prawdopodobne, ponieważ linie prowadzą donikąd. Może to dawny „program zatrudnienia”, który miał odciągnąć uwagę Indian od płodzenia dzieci? Ta jedna z ostatnio wysuniętych z pełną powagą hipotez jest równie niedorzeczna, jak pogląd, jakoby Nazca pełniło rolę terenów sportowych, a dawni mieszkańcy ścigali się wzdłuż wyrytych w ziemi linii, rywalizując o jakieś nagrody. Religia geometrii? Punkt startu i lądowania inkaskich balonów? Być może nawet pozostałości pradawnych kontaktów z kosmicznymi podróżnikami, przybyłymi z odległych gwiazd? Któż to wie...

Jednak linie z Nazca stanowią zaledwie część tej zagadki. W górach dalej na południe odkryto niedawno nowe figury – linie, trapezy, przede wszystkim jednak wizerunki ludzkich postaci. Wiatr oraz piasek odkładający się przez setki lat zniszczył je niemal całkowicie; obecnie można je dostrzec wyłącznie przy odpowiednim kącie padania światła. W ich przypadku mamy chyba do czynienia z najstarszymi rysunkami naziemnymi (geoglifami), jakie spotykamy na obszarze płaskowyżu Nazca.

Ludzie, którzy tutaj żyli, zdjęli górną warstwę kwarcowego żwiru pokrytego pustynnym lakierem (powłoka, która powstaje na powierzchni skał w rezultacie działania piasku zawierającego mangan), odsłaniając tym samym położone niżej jaśniejsze pokłady piasku i żwiru. W taki właśnie sposób powstały linie oraz wizerunki w górach.



Postać w wielkich oczyma wyryta na jednym ze wzgórz w Nazca.

Można tu napotkać osobliwe postacie. Kogo przedstawiają: Indian? Plemiennych wodzów? Szamanów? Bogów? Niektóre z nich noszą szaty i nakrycia głowy. Lecz jeden z wizerunków – piloci linii lotniczej Nazca ochrzcili go trafnym mianem „kosmity” – odbiega od jednolitego wzoru. To sylwetka przypominająca karła z dużą głową i wielkimi, okrągłymi oczyma. Otaczają ją jęzory ognia lub płomienne węże, w jej dłoniach znajdują się trudne do zidentyfikowania przedmioty. Budzą się wspomnienia, nasuwają się nieodparte skojarzenia: z „zielonymi istotami” znanymi z relacji o uprowadzeniach przez UFO.

Inna postać, nosząca nazwę „ET”, znana jest od dość dawna. Ją również wyryto na zboczu wzgórza, lecz przylega bezpośrednio do równiny. Ona także ma ponadnaturalnej wielkości oczy.

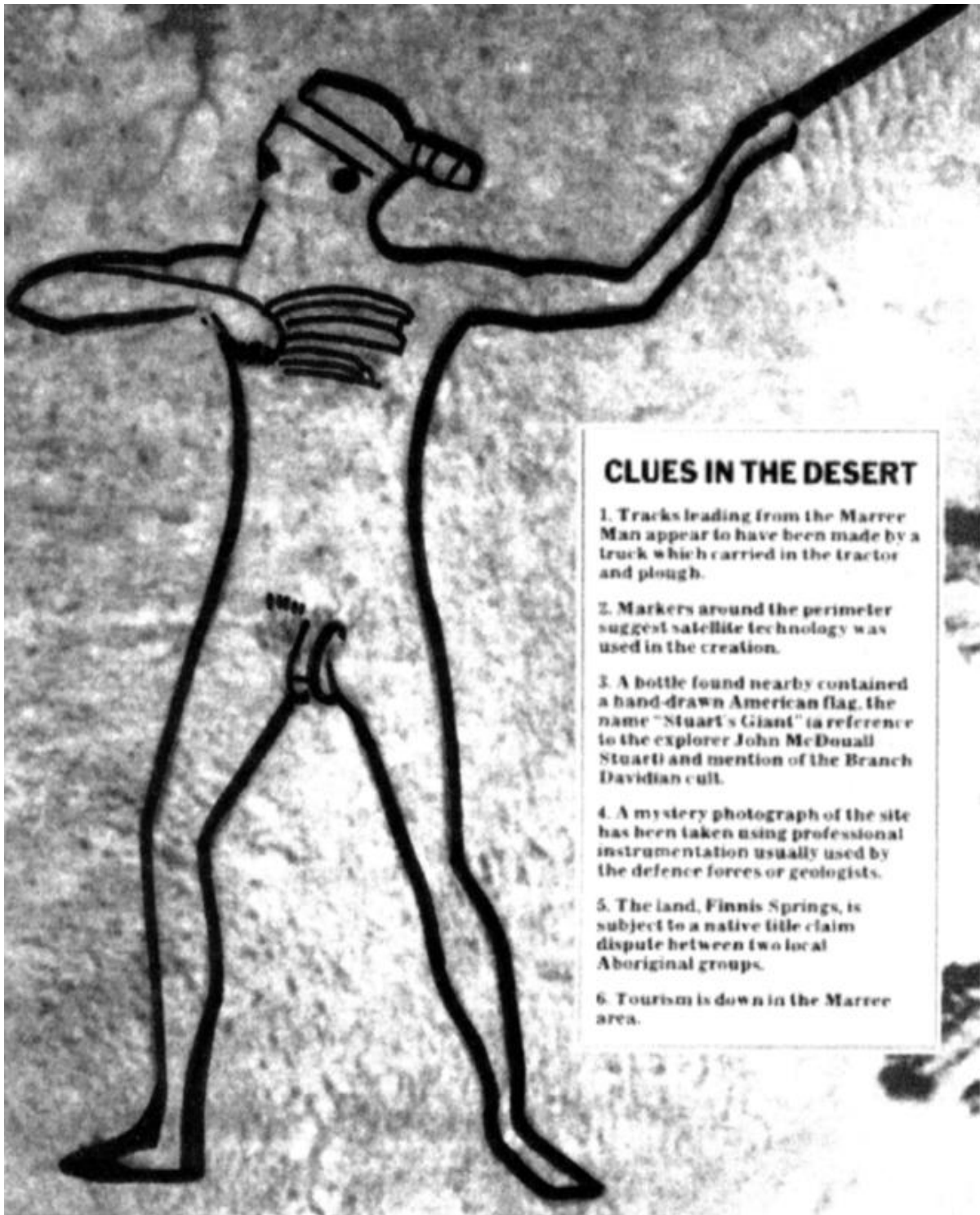
Kogo lub co symbolizują te sylwetki spoglądające ku niebu? Czym generalnie jest płaskowyż Nazca? Wydaje się, że przez całe stulecia zamieszkujący tę pustynię Indianie nie zajmowali się niczym innym oprócz

żłobienia w piasku wizerunków ludzi, zwierząt lub geometrycznych figur. W jakim celu? Jaki jest rzeczywisty powód?

Wizerunki na pustyni, tu i tam

Zagadka jest tym trudniejsza do rozwikłania, że ogromne naziemne rysunki spotykamy nie tylko w Peru. Pradawne pustynne wizerunki istnieją także w północnej Afryce oraz w Rosji.

Oprócz tego jest jeszcze Marree. Chyba prawie nikt nie słyszał jeszcze o Marree. To mała, senna osada na pustyni, licząca zaledwie 60 mieszkańców. Leży na południu Australii, oddalona o jakieś 700 kilometrów na północ od Adelaide. Nie zabłądzi tutaj nikt, kto nie ma naprawdę istotnego powodu.



Człowiek z Marree, Australia.

Mimo to Marree trafiło w 1998 roku na pierwsze strony gazet, odkąd w odległości około 60 kilometrów na pustyni, pośrodku piaszczysto-kamienistego

płaskowyżu, niemal w ciągu jednej nocy pojawił się naziemny rysunek wielkości 4 kilometrów, który przedstawia pierwotnego mieszkańca Australii. Ciekawostka: nikt nie chce przyznać się do autorstwa dzieła. Pewien zamieszkały w Australii „artysta krajobrazu” odżegnuje się od „winy”, poza tym uprawia on całkiem odmienny styl. Komunikaty władz nie posunęły się nawet o krok od chwili, kiedy latem 1998 roku pojawił się ten osobliwy obiekt. W samym Marree ludzie cieszą się z nadzwyczajnej popularności i związanego z tym napływu turystów (przez kilka miesięcy odbywały się regularne loty nad geoglifem), nikt jednak nie ma zielonego pojęcia, kto wyrył w ziemi gigantyczne kontury.

Zanim odkryto figurę, w osadzie nie mieszkali żadni przybysze, których można byłoby podejrzewać o sprawstwo. Na tereny te nie da się w praktyce dostać z innego miejsca niż Marree – chyba że ktoś zorganizowałby wielodniową ekspedycję przez pustynię. W zasadzie, poza gigantycznych rozmiarów naziemnym rysunkiem, nie zachowały się żadne ślady „obozowiska”, żadne ślady jakichkolwiek sprzętów, maszyn, traktorów, buldożerów (struktura ta musiała zostać wyryta w podłożu za pomocą buldożera lub czegoś podobnego), żadnych odpadków – nic. Dziwnym sposobem nigdzie nie zachowały się jakiegokolwiek „wprawki”. Wizerunek ludzkiej postaci jest jedyny w swoim rodzaju i absolutnie perfekcyjny. Mieszkańcy Marree wydają się bezradni – to samo zresztą odnosi się do całej Australii.

Począwszy od 1999 roku sylwetka zaczęła stopniowo się zacierać, co jest spowodowane niezwykle intensywnymi opadami deszczu. Tym samym maleje też szansa na odnalezienie autora, o ile ten któregoś dnia sam się nie „ujawni”.

Pewne jest tylko to, że ów twórca – kimkolwiek był – prawdopodobnie miał cały zespół współpracowników oraz że zespół miał do dyspozycji nowoczesną technikę budowlaną i najnowsze osiągnięcia zaawansowanej technologii. Bez sprzętu do nawigacji satelitarnej, co do tego zgadzają się wszyscy eksperci, nie dałoby się narysować na ziemi precyzyjnie uformowanej sylwetki mierzącej 4 kilometry. To po prostu niemożliwe.

Nie zamierzam w tym miejscu wdawać się w żadne spekulacje, kto mógłby być potencjalnym autorem. Zwróciłem wyłącznie uwagę na fakt, że na innych kontynentach natrafiamy na bardzo podobne wizerunki, liczące zresztą tysiące lat. Na płaskowyżu Nazca spotykamy gigantyczne rysunki i jeszcze większe linie, wyrysowane na pustyni, biegnące prosto jak strzała przez wiele kilometrów gór i dolin. W Marree nie przebiega obok żaden szlak komunikacyjny, nadanie kształtu temu geoglifowi o charakterze dzieła sztuki

nie mogło obejść się bez zastosowania odpowiednio wysoko rozwiniętej technologii.

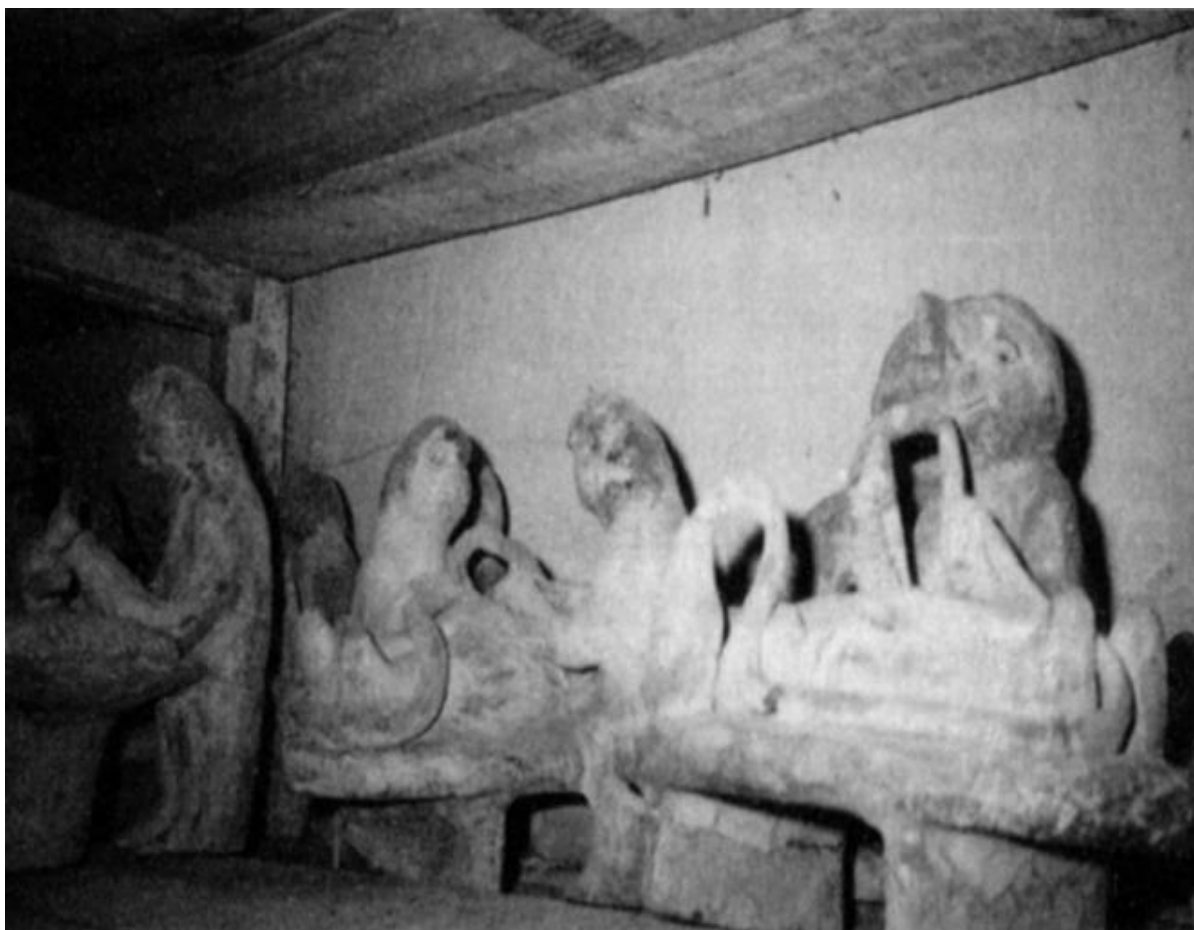
A w Nazca? Tu prymitywni Indianie, wyposażeni jedynie w długie sznurki i paliki, niedysponujący radionamiernikami, teodolitami ani sprzętem do satelitarnej nawigacji, mieli stworzyć jeszcze bardziej monumentalne „dzieła sztuki”, które – dokładnie jak w Marree – dają się w całości zobaczyć jedynie z lotu ptaka. Kto wyrył naziemny rysunek w Australii i czemu miał służyć ten geoglif? Odpowiedzi na te pytania podsuwają nam (mimowolnie) rysunki z Nazca.

Skoro dzisiaj możliwe jest stworzenie czegoś podobnego wyłącznie za pomocą nowoczesnej technologii, wspieranej z kosmosu, jeśli z opinią tą zgadzają się wszyscy, którzy na własne oczy widzieli „człowieka z Marree” – dlaczego, u licha, miałyby być inaczej w przypadku Nazca?...

Zagadka z Ica

W Peru znajdziemy jeszcze inne tajemnice. Od lat 60. znane są kontrowersyjne zbiory doktora Javiera Cabrery z Ica. Cabrera, który zmarł w 2001 roku, był lekarzem, w prostej linii potomkiem sławnego hiszpańskiego konkwistadora i niewątpliwie właścicielem najbardziej osobliwej kolekcji kamieni na świecie. Na setkach okrągławych bazaltowych skał wulkanicznych w rejonie andyjskich wulkanów Indianie wykonywali ryty z wizerunkami, które sztydzą z każdej próby opisanie i historycznego przyporządkowania. Są tu dinozaury obok ludzkich sylwetek, stwory ze świata wyobraźni, sceny z przedstawieniem nowoczesnych operacji chirurgicznych i ginekologicznych, układy astronomiczne.

Pytanie nie dotyczy tego, czy Indianie je stworzyli, ale czasu powstania tych rytów. Doktor Cabrera był zdania, że przed milionami lat, w epoce kredy i jury, kiedy żyły dinozaury. Jest to jednak całkowicie nieprawdopodobne, ponieważ kamienie te odnaleziono rzekomo w korycie pewnej rzeki. W tych okolicznościach wyryte w kamieniu żłobienia uległyby erozji zaledwie w ciągu kilku dziesięcioleci.



W „tajemnej komnacie” doktora Cabrery. Tysiące figurek z gliny, przedstawiających te same motywy, co ryty na kamieniach.

Czy zatem liczą sobie tysiące albo setki lat? Przynajmniej w przypadku niektórych zabytków nie da się tego wykluczyć, podczas wnikliwego badania odkryto bowiem patynę, jaka pokrywała niektóre z rzeźb, a której powstanie wymaga dłuższego czasu. W istocie rzeczy wypadałoby jednak poddać badaniom każdy kamień z osobna, by oddzielić oryginały od falsyfikatów. A z falsyfikatami mamy tu do czynienia na masową skalę: wystarczy tylko potrząść palcem ten czy ów kamień, by natychmiast zrobił się czarny: pasta do butów, przy użyciu której Indianie sztucznie „postarzają” kamienie.

Ekipa telewizji BBC już przed wieloma laty natrafiła na ślad pewnej rodziny fałszerzy w małej wiosce niedaleko Ica. W kamieniach ryto żłobienia, następnie smarowano je pastą do butów i na koniec zapiekano w oślim nawozie. Potem zaś sprzedawano doktorowi Cabrerze za kilka soli.

Tak czy owak, doktor Cabrera nie zrobił żadnego interesu na artystycznie obrobionych kamieniach. Był absolutnie przekonany o autentyczności

kamiennej kolekcji. Słowa te odnoszą się również do owej niewiarygodnej zbieraniny, którą zakupił na trzy lata przed swoim zgonem i pokazał nam jako pierwszej grupie niewtajemniczonych. Natomiast przed wieloma laty do swojej tajemnej komnaty wprowadził Ericha von Dänikena. Staliśmy teraz przed drewnianymi drzwiami z podwójnym zabezpieczeniem, które otwierały się powoli przed nami.

Gabinet osobliwości doktora Cabrery? Tak czy inaczej, nie można było uwolnić się od tego wrażenia. Podłużne pomieszczenie w kształcie korytarza, którego drugi koniec nikał gdzieś w głębi, w ciemnościach. Trzy słabe żarówki podwieszane u sufitu nieco tylko rozpraszały mrok panujący we wnętrzu. Po obu stronach regały przewyższające człowieka. A w nich bez liku... tak, czego? Glinianych figurek. Setki. Tysiące. Dinozaury. Ludzie z dinozaurami. Dziwaczne postacie. Twarze wykrzywione grymasem. Maski. Stwory budzące grozę. Sceny przedstawiające operacje chirurgiczne. To było wręcz niewiarygodne i zapierało dech w piersiach. Upiorne sceny rodem z innego świata.

Autentyczne? Sfałszowane? Przedstawione są te same motywy, co na kamieniach. Postaci ludzi mają takie same rysy twarzy; być może są to istoty z pradawnych czasów, z dawno minionej epoki. Albo istoty z innej planety.

Czy są rzeczywiście stare? Czy też są tylko fałszyfikatami, wykonanymi przez ubogich Indian, którzy otrzymują w zamian kilka marnych groszy? Doktor Cabrera wręcza nam kilka okruchów rozbitej figurki. On przynajmniej nie wątpi w autentyczność, dla niego zgromadzone eksponaty są rzeczywiście „prastare”.

Po powrocie do Niemiec oddaję próbki doktorowi Ernstowi Fryburgowi z Instytutu Mineralogiczno-Geologicznego w Halle. Wynik: figurki wykonano z niewypalanej gliny, z tego względu datowanie będzie bardzo trudne. Ale między drobinami gliny dało się wykryć pozostałości wody błonkowatej. Wskazywałoby to raczej na całkiem niedawne pochodzenie.

Glina zawiera wszakże cząstki organiczne. W tym przypadku trzeba zastosować ^{14}C . Dopiero wtedy będzie można pokusić się o stwierdzenie, jaki jest wiek obiektów: kilka lat zaledwie, kilkadziesiąt czy może kilka tysięcy lat.

Jeśli twierdzenia doktora Cabrery są słuszne, to figurki powstały w tzw. magazynie, w głębokiej jaskini pod ziemią albo w sztucznie wydrążonym tunelu. Mają się tam znajdować jakoby setki tysięcy takich posążków. Prawda to czy wytwór fantazji? Wygląda na to, że doktor Cabrera zabrał ze sobą do

grobu tajemnicę „magazynu”. Ameryka Południowa wciąż skrywa wiele tajemnic.

Zagadkowe miasta w Andach

Surowy, niegościnnie krajobraz; wieje ostry wiatr. Niebo zaciągnęło się chmurami. A mimo to łatwo o poparzenie słoneczne. Znajdujemy się bowiem na wysokości 4100 metrów n.p.m., pośrodku boliwijskiego Altiplano, płaskowyżu w Andach. Przed nami leżą zagadkowe ruiny Tiahuanaco oraz Puma Punku. Zagadkowe, ponieważ niegdyś zamieszkiwali tu bogowie, o czym przekonany jest nie tylko Erich von Däniken.

Gigantyczne skalne bloki, rozrzucone chaotycznie, lecz obrobione z precyzją, jakiej ze świecą szukać. W takim stanie Hiszpanie, po podboju imperium Inków, znaleźli Tiahuanaco i Puma Punku. W ich przekonaniu było to dzieło szatana.

Archeolodzy podjęli w minionych latach próbę zrekonstruowania Tiahuanaco. Z leżących bez ładu i składu skalnych bloków ułożyli mur, o którym sądzi się, że pierwotnie wchodził w skład kompleksu głównej świątyni. Założenie to budzi jednak wątpliwości. W istocie rzeczy przecież nikt nie wie, jak bloki te były ze sobą połączone i w jakim porządku je ułożono. W sąsiadującym Puma Punku nie zdecydowano się na tego typu działania. Skalne bloki leżą tam dzisiaj dokładnie tak samo jak przed tysiącami lat.

Ciężar niektórych z nich sięga 1000 ton. Trudno sobie wyobrazić, jak przetransportowano je z odległego o 83 kilometry kamieniołomu. Czy zastosowano wałki z drewna? Na tej wysokości nie rośnie niemal nic, o drzewach nawet nie wspominając. Indianie musieli pozyskać je najpierw w odległej amazońskiej dżungli w ilościach zaiste niewiarygodnych.

Niewyjaśnione jest również, jakim sposobem ludzie, którzy dysponowali wyłącznie narzędziami z kamienia i miedzi, precyzyjnie obrabiali bloki z granitu, diorytu i andezytu. Zdumiewająca precyzja kamieniarskiej roboty dzisiejszemu obserwatorowi wydaje się pozbawiona sensu: nisze wyżłobione z milimetrową dokładnością, proste jak strzała rowki, otwory wywiercone z jubilerską precyzją.

Odkrywamy takie otwory w jednym z gigantycznych bloków. Jak dotąd jeszcze nieopisane w literaturze przedmiotu, same w sobie dają świadectwo niewiarygodnych możliwości technologicznych budowniczych Puma Punku.

Inne monolity, z osobliwymi niszami, zagłębieniami oraz dokładnie obrobionymi wypukłościami są podobne do siebie jak dwie krople wody. Już przed wieloma laty Erich von Däniken dokonał gruntownych pomiarów i wprowadził otrzymane dane do komputera: „Rezultaty były zdumiewające. Bloki pasowały do siebie jak klocki lego w zestawie do składania i montażu”.

Mogłoby nasunąć się przypuszczenie, że bloki te zostały odlane z form. W rzeczywistości bowiem sposób ich obróbki – jak choćby w przypadku tzw. rynien na wodę – przypomina dzisiejsze bloki z betonu. Jednak przeprowadzone analizy wykazały niezbitcie, że mamy tu do czynienia z absolutnie naturalnymi, choć niewiarygodnie twardymi skałami głębinowymi.

Nie rozjaśnia to jednak tajemnicy. Tego rodzaju efektu – jak choćby precyzyjne rowki i otwory – nie da się uzyskać przy użyciu narzędzi z kamienia i miedzi. Bezspornie. W niektórych otworach o średnicy zaledwie kilku milimetrów dostrzegamy nawet ślady po gwincie świdra! Nie znając pisma, nie dysponując głębszą wiedzą z zakresu geometrii i matematyki, bez uprzedniego planowania nie da się wyobrazić powstania technologii na tak wysokim poziomie. Ludzie z epoki kamienia? Czy rzeczywiście?

Co właściwie przyczyniło się do zburzenia Tiahuanaco i Puma Punku? Trzęsienie ziemi?

Być może. Jeśli tak, to nie da się wyjaśnić, dlaczego niektóre budowle, jak choćby odsłonięta w Puma Punku piramida Księżyca, pozostały nietknięte. Można niemal odnieść wrażenie, że kiedyś, w zamierzonych czasach, ktoś celowo posługiwał się materiałami wybuchowymi i zburzył zbudowane z monolitów segmenty architektonicznego kompleksu.

Jedno nie ulega wątpliwości: kultura Tiahuanaco reprezentuje fazę przełomu. Wcześniej Indianie wierzyli w bóstwa zoomorficzne, oddawali cześć jaguarowi; krótko po narodzinach Chrystusa pojawia się bóg pod postacią człowieka: Wirakocza, „Pan”. Jego głowę otacza promienista aureola, co widać na wizerunku na do dzisiaj nierozszyfrowanym do końca fryzie ze słynnej Bramy Słońca.

Emanujące światłością istoty można zobaczyć jeszcze dziś w Tiahuanaco. Kiedy wiosną 1996 roku wspólnie z autorem wielu książek Hartwigiem Hausdorffem prowadziłem po Boliwii kolejną grupę AAS, opowiedziano nam o osobliwych wydarzeniach. W samym Tiahuanaco, na zamkniętym przez archeologów obszarze, jakieś pół roku wcześniej miał jakoby wylądować statek UFO. Na drodze, która łączy ruiny i niewielką wioskę, widziano też rzekomo dwie promieniste istoty. Nieoczekiwanie, na oczach grupy przerażonych Indian, zanurzyły się one w światłości, jaka opadła z nieba.

„W Tiahuanaco – twierdzi Erich von Däniken – bogowie stworzyli człowieka. Tak przynajmniej głosi legenda. Kto wie, być może niegdyś gościli tu przybysze z kosmosu, wznieśli twierdzę nie do zdobycia i na koniec, kiedy opuszczali Ziemię, wysadzili wszystko w powietrze. Pozostała jedynie bezładna sterta skalnego gruzu – zagadkowa i jednocześnie fantastyczna”.

Czy w zamierzchłych czasach na Ziemi zamieszkiwali „bogowie”, przybysze z bezmiarów wszechświata? Kto choć raz stanął pośród ruin Tiahuanaco i Puma Punku, nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że dokładnie w tym miejscu stare mity zamieniają się w rzeczywistość.

Obecnie pewne jest jedno: pradawne cywilizacje Indian Ameryki Południowej jeszcze długo nie wyjawią nam swoich tajemnic. Kto objeżdża kontynent z szeroko otwartymi oczyma – i dopisze mu odrobina szczęścia – ten wciąż jeszcze może odkryć to, co mistyczne, tajemnicze, a nawet niewiarygodne.

doktor Johannes Fiebag

Tajemnice z Nazca

Zagadki geometryczne i inne

Z reguły z płaskowyżem Nazca wiąże się ogromne naziemne rysunki (geoglify, z wizerunkami zwierząt i ludzi), jak również linie i pasy startowe, które pokrywają równinne obszary peruwiańskiej pustyni. Tym razem jednak miałem odkryć nieprawdopodobne rzeczy na obszarze położonym na południe, w górach Palpa.

Kiedy po raz pierwszy dostrzegłem te kontury, sądziłem, że uległem złudzeniu optycznemu. Poprosiłem Eduarda, mojego pilota, żeby wykonał jeszcze jedno okrążenie, potem kolejne i jeszcze jedno. Kiedy maszyna zesłała na wysokość 800 metrów, zauważyłem drugi fenomen, połączony z pierwszym. Oprócz zdjęć normalnym aparatem zrobiłem też dwa ujęcia polaroidem. Później, kiedy raczyłem się w cieniu schłodzonym drinkiem, wpatrywałem się w fotografię i nawet nie przeczuwałem, że następny dzień lotów przyniesie dwie jeszcze większe niespodzianki.

Najpierw dojrzałem wielki okrąg – na linii obwodu miał ponad 60 punktów. Później dostrzegłem w pierwszym okręgu drugi z niezliczonymi punktami na obwodzie. W środku były też dwa nałożone na siebie czworokąty. Wewnątrz czworokątów skrzyżowane linie, a pośrodku wiązka promieni utworzona z 16 odcinków. Cóż to miało być? Na drugiej fotografii ujęcie obejmowało większy obszar. Cała geometryczna figura była obramowana dwoma gigantycznymi czworokątami, które leżały jeden na drugim wzdłuż jednej z przekątnych.

Moim pierwszym skojarzeniem była mandala. Tybetańczycy oraz Hindusi nazywają tak religijne rysunki przedstawiające kosmos. Coś podobnego znają również Indianie Ameryki Północnej. Nazywają je rysunkami z piasku. Składają się one liczych geometrycznych figur oraz z wielu barw. Jeśli skomplikowany geometryczny wzór, jaki widziałem przed sobą, był tworem podobnym do mandali, musiałyby być fałszerstwem z nowszych czasów.

Albo jakiś nauczyciel wybrał się z uczniami na pielgrzymkę do Nazca i pozwolił sobie na figiel.

Fotografię tę wykonałem w górach Palpa, w odległości około 12 minut lotu z lotniska w Nazca. Góry są tu całkowicie suche, a płaskie tereny to istne piekło. Geometryczny wzór był do tego stopnia zawikły i monumentalny – jego średnica wynosiła około 500 metrów, że grupa fałszerzy musiałaby trudzić się bardzo długo w skwarze i spiekocie. Ponadto musiałyby również pozostać widoczne ślady stóp i kół. Nikt przecież nie wybiera się piechotą w głąb pustyni. Spoglądałem raz za razem na zdjęcie wybałuszonymi oczyma. Widniały na nim także pojedyncze linie, które nie tworzyły geometrycznego wzoru. Dopiero później, kiedy oceniałem przezrocza wykonane innymi aparatami, okazało się, że te słabo widoczne dodatkowe linie stanowią element ogólnego systemu linii z Nazca. Poprosiłem o pomoc Eduarda, a później również i innych pilotów.

– Kto stworzył te całkiem niedawne sfalszowane naziemne rysunki? – chciałem wiedzieć.

– To wcale nie są jakieś niedawne fałszerstwa! Ten obiekt był tu od zawsze!

Dowiedziałem się, po pierwsze, że ten złożony wzór nie leży na płaskowyżu Nazca, lecz już w górach Palpa; po drugie zaś nikt nie był w stanie niczego o nim powiedzieć. Temat otaczało wielkie milczenie.

Geometryczny wzór nie dawał mi spokoju. Następnego dnia znów tam poleciliśmy. Dopiero teraz, z większej wysokości, rozpoznałem, że pierwszy wzór „mandali” powiązany był z drugim, a potem – po wejściu na jeszcze wyższy pułap okazało się, że także z trzecim. To było wręcz niesamowite! O moich wczorajszych podejrzeniach, że to niedawno dokonane fałszerstwo, mogłem spokojnie zapomnieć, uwzględniając skalę całego geometrycznego układu. Wszystkie trzy połączone ze sobą wzory mogły mieć średnicę ponad kilometr. Ponadto, co przydawało całej sprawie tajemniczości, pośrodku układu znajdował się uskok w terenie. Zaczynał się przy krawędzi wewnętrznego czworokąta, potem rozszerzał się, przecinał obydwie okręgi i wychodził poza kontury przez krawędź zewnętrznego czworokąta. Najbardziej zwariowane w tym było to, że wszystkie punkty i linie również biegły przez ten uskok. Zupełnie tak, jakby dla twórców diagramów uskok w terenie nie miał najmniejszego znaczenia.

Przedłużenie podstawy wielkiego kwadratu po lewej stronie dochodziło do środka podwójnego okręgu. Taki sam układ pojawiał się po prawej stronie. Znowu dwa okręgi, położone jeden w drugim. Od środka wybiegały proste linie w cztery strony świata. Z dużej wysokości te trzy diagramy prezentowały się fenomenalnie. Z przodu gigantyczny główny okrąg, wpisany w dwa kwadraty, potem z prawej i z lewej przesunięte nieco w tył dwa towarzyszące okręgi. I wszystko to połączone ze sobą za pomocą linii.



„Nowa galeria obrazów” z Nazca: osobliwe figury i symbole. (fot. E. von Däniken)

Krażyliśmy bardzo długo na różnych wysokościach nad tym gigantycznym, nigdy dotąd nieopisanym wzorem, a ja usiłowałem odpowiedzieć na pytanie, czemu mógł służyć ten niezwykle skomplikowany wzór. Geometryczny układ w kształcie strzały? Czy może należało się doszukiwać czegoś jeszcze bardziej zagadkowego? Eduardo pokręcił przecząco głową. Czasami widywało się tu różne rzeczy, wyjaśnił, które potem zniknęły. To zależy od oświetlenia. Poprosiłem go, żebyśmy polecieeli do najbliższych dolin, a przy okazji nie spuszczałem z oka cienkiej linii, jaka wychodziła z diagramu.

Gigantyczne diagramy

Potem przez jakąś sekundę coś zaślniło na brunatnej plamie pustyni. Co to było? Eduardo wskazał na ogromny okrąg. Z napięciem spoglądałem w dół. Dzięki podniesionym drzwiom miałem lepszy widok niż mój pilot. Po pierwszym kółku nadeszło wielkie rozczarowanie. Niczego nie wypatrzyłem, a przecież nie ulegało wątpliwości, że tam w dole znajduje się coś nadzwyczajnego. Przy trzecim okrążeniu, tym razem na wysokości 500 metrów, zacząłem jodłować.

– Popatrz, Eduardo, popatrz tylko! To niewiarygodne! Tu, bezpośrednio pode mną!

Eduardo zanurkował, kierując nos samolotu w lewo. Po chwili on także to zobaczył. Na szczycie jednej z gór widniała szachownica utworzona z białych punktów i linii. W przedłużeniu znajdowała się następna. Gigantyczna plansza do gry w szachy, która przecinała ponadto niewielki uskoki terenu. Na lewo od niej cztery wąskie „linie Nazca”, ułożone w pary po dwie. Szachownicę tworzyło 36 linii poprzecznych oraz 15 podłużnych, ułożonych jak w alfabecie Morse’a: w postaci kresek i punktów. Cały wzór umieszczony był na nierównym szczycie góry. Dalej na prawo znajdowało się strome zbocze, a na dole w kotlinie wyschnięte koryto rzeki.

Nagle pojąłem, że zarówno szachownica, jak i wielki geometryczny wzór nie mogły być dziełem tych samych Indian, którzy stworzyli figury z Nazca. Chodziło tu o coś całkowicie odmiennego. Nie były to żadne naziemne rysunki, żadne linie z Nazca, żadne postacie zwierząt i ludzi. W przypadku tych geometrycznych diagramów zapewne żaden wędrowny archeologiczny kaznodzieja nie zdołałby wykoncypować, że chodzi o wizerunki bogów gór. Również kultowa pieśń bóstwa wody pobrzmiwałaby z dysonansem w pobliżu tych wizerunków, poza tym żaden sprytny psycholog nie mógłby w odniesieniu do geometrycznych deseni mówić o takich rzeczach jak fatamorgana czy terapia przez pracę.

W tym przypadku – i zapewne każdego to zdziwi – chodzi o geometrię i matematykę. Ale w jakim celu? Jedno pojąłem natychmiast: zarówno szachownica, jak i gigantyczne geometryczne symbole były widoczne wyłącznie dla tych, którzy potrafili unosić się w powietrzu. Kto nie umiał latać, nie miał żadnej szansy zobaczyć obu wzorów. Gdyby nawet ktoś podczas absurdalnej wspinaczki w skwarze na szczyt góry natrafił przypadkowo na diagram, nie mógłby go rozpoznać. Obok nie prowadzi żadna droga, nie byłyby też w stanie dopomóc górskie bóstwa. Diagram i szachownica powstały dla tych, którzy spoglądają z lotu ptaka. A każdy pilot zna podobne obiekty.

Na takie myśli naprowadził mnie w Niemczech Peter Belting z Aurich, oficer radionamiaru w Luftwaffe. Peter Belting wyjaśnił mi, że tego rodzaju układy nazywa się urządzeniami VASIS lub PAPI. VASIS to skrót od Visual Approach Side Indicator System. Wizualny system dolotu, który pokazuje pilotowi, czy znajduje się zbyt wysoko, zbyt nisko lub za bardzo z boku w stosunku do pasa lądowania. Tę samą funkcję pełni system PAPI. Ten skrót pochodzi od Precision Approach Path Indicator, a urządzenie służy do

optycznej kontroli lądowania. Tego rodzaju systemy składają się z wielu lampek i kolorów. Dzięki świetlnemu sektorowi pilot natychmiast rozpoznaje każde odchylenie od idealnego kąta dolotu.

Dzisiaj systemy VASIS i PAPI wykorzystują światło elektryczne, ale można również obejść się bez prądu. Zależnie od wzorca, geometrycznych linii lub barwnej skali pilot może się zorientować, czy podchodzi do lądowania pod właściwym kątem oraz czy musi zmienić swoją pozycję. Te same zasady odnoszą się, rzecz jasna, do pracy automatycznego pilota.

Jakie jednak znaczenie ma prostokątny układ na zboczu góry złożony z punktów i kresek? Ten geometryczny schemat wcale nie musi mieć nic wspólnego z systemami VASIS czy PAPI. Symbol przeznaczony dla bogów? Przekaz zapisany kodem binarnym? Informacja zaszyfrowana w układzie trójwymiarowym? Nie wiem tego i z napięciem oczekuję na odpowiedź.

Jestem też ciekaw, jakie zabawne teorie wysuną nasi często naiwni partnerzy w odniesieniu do tych monumentalnych geometrycznych wzorów. To jest prawdziwie odkrywcze znalezisko w kontekście hipotez paleo-SETI. Krytycy dołożą zapewne starań, by połączyć tę żabę. Potem będą poklepywać się wzajemnie po ramionach, wysuwając własne „rozwiązania” z gatunku religijnych. Ale przecież wśród ślepych jednooki zostaje królem.

Nowy „El Astronauta” odkryty w Peru

Oprócz płaskowyżu Nazca także w innych miejscach kontynentu Ameryki Południowej istnieją gigantyczne, wryte w ziemi wizerunki osobliwych postaci, które symbolizują powiązanie człowieka z kosmosem. Czy tylko dziełem przypadku jest to, że postacie te z wyglądu „przypominają astronautów”?

„El Astronauta” to nazwa postaci mierzącej 29 metrów, która zajmuje całe wzgórze na pustyni Nazca w Peru. Sylwetka ta wskazuje jedną ręką ku niebieskiemu firmamentowi, drugą natomiast w stronę ziemi. Co osobliwe, jest to dokładnie ta sama pozycja, jaką przyjmują tureccy derwisze podczas trwającego całe godziny rytualnego tańca. Przy czym derwisze podkreślają stanowczo, że ich specyficzne ułożenie ciała wytwarza połączenie między niebem a ziemią. Zastanawiające.

Na północy Chile, na wysuszonym górskim zboczu w rejonie pustyni Taracatar, od tysięcy lat widnieje figura długości 121 metrów. Ochrzczono ją mianem „olbrzyma z Cerro Unitas”. Z głowy tej postaci wyrastają z trzech

stron drążki, zupełnie tak jakby ktoś chciał przedstawić anteny. Tułów sylwetki jest prostokątny, a dolny koniec zamyka poprzeczna belka. Ramiona są ugięte pod kątem i kończą się „chwytakami” w kształcie szczypiec.

Ku własnemu zdumieniu odkryłem identyczną figurę na zboczu wzgórza w Nazca. Po prawej stronie obok niej postać, z której głowy wyrastają kwiaty lub stylizowane pióra. Z barków odchodzą macki długości rąk. Obydwie sylwetki mierzą po około 17 metrów. Odległość między „olbrzymem z Cerro Unitas” w Chile a wzgórzem na pustyni Nazca wynosi w linii prostej 1300 kilometrów.

Galeria obrazów w Nazca

Całkiem niedawno za sprawą pilotów udało się odkryć nową galerię obrazów na jednym z górskich wierzchołków bezpośrednio powyżej miasteczka Nazca. Poniżej zaś – jakże mogłoby być inaczej – sylwetki z okrągłymi głowami i antenami. Natomiast w pobliżu Ica, oddalonego w linii prostej o 120 kilometrów od Nazca, odkryto najnowszy wizerunek „El Astronauty”. Postać ma 31 metrów i robi oszałamiające wrażenie. Sztwyne nogi kończą się wielkimi, rozstawionymi na boki butami. Jedna ręka potężnej sylwetki spoczywa na tułowiu. Rozdzielona na wiele części głowa jest zrosnięta z tyłu ze skałami. Piloci, którzy wożą turystów z Ica do Nazca, nazywają te figury „astronautami z Ica”.



„El Astronauta”. (fot. E. von Däniken)

W sumie na całym płaskowyżu Nazca na zboczach gór i wzgórz naliczono 28 sylwetek, z których każda posiada jakieś boskie atrybuty. Indianie z tych okolic zdają się wiedzieć bardzo dobrze, komu należy oddawać cześć. Ja również.

Erich von Däniken

Dowcip o Nazca

Drugi lutego 2001 roku, kiosk dworcowy w Interlaken. Na żółtym plakacie promującym szwajcarski dziennik „Blick” czytam wytłuszczony nagłówek: *Co teraz, panie von Däniken?* Później z lektury gazety o największym w Szwajcarii nakładzie dowiedziałem się, że zagadka Nazca została jakoby rozwiązana, a tym samym również na zagrożonej pozycji znalazła się jedna z głównych atrakcji mojego Parku Tajemnic. Już dzień wcześniej dziennik „Bild” podał wiadomość o rozwikłaniu przez pewnego archeologa tajemnicy, jaka otaczała rysunki z Nazca. Kiedy wczytałem się w oba artykuły, ledwo powstrzymałem się od wybuchnięcia śmiechem. Po prostu miałem wtedy zajady.

Niemiecki archeolog doktor Markus Reindel natrafił na płaskowyżu Nazca na kilka stert kamieni. Tuż przy nich odkrył (cytuje za „Bildem”) „50 małych budowli na planie koła, każda z nich o średnicy od 3 do 5 metrów”. Herr Reindel stwierdza z profesjonalizmem: „To świątynia bóstwa płodności. W pomieszczeniach przeznaczonych na składanie ofiar pełno jest resztek pożywienia, muszelek, kukurydzy, tkanin – wszystkiego, co pominęli rabusie grobów albo myszy”. Potem doktor Reindel znalazł „wizerunki bogów pod postacią latających demonów” i na tej podstawie wysnuł definitywny wniosek, jakoby płaskowyż Nazca służył pradawnym mieszkańcom do odprawiania obrzędów związanych ze zmarłymi. „Bild” dorzucił jeszcze do tego komentarz: „Historia Nazca musi zatem zostać napisana na nowo – nie mamy do czynienia z lądowiskiem UFO, lecz z miastem umarłych”.

Dzień wcześniej zatelefonował do mnie dziennikarz „Blicka” Lukas Rüttimann, aby poznać moje zdanie na temat Nazca. Wytłumaczyłem mu, czym są „kulty cargo”, odesłałem go do mojej książki *Znaki z przeszłości* i dałem jasno do zrozumienia, że płaskowyż Nazca nie był lądowiskiem niezidentyfikowanych obiektów latających. Być może postawiłem poprzeczkę reporterowi zbyt wysoko, ponieważ na szpaltach „Blicka” można było przeczytać coś wręcz przeciwnego. Przecież koniec końców poinformowałem również dziennikarza poczytnego dziennika, że pojedyncze góry w rejonie

Nazca zostały splantowane w sztuczny sposób, co jestem w stanie udowodnić. A co opublikowała gazeta? Powiedziałem jakoby, że płaskowyzu nie splantowano ludzkimi rękoma.

O święta naiwności! Cóż musiałby właściwie uczynić gnębiony Erich von Däniken, żeby chociaż raz prasa zacytowała go dosłownie? W szczególności, gdy chodzi o płaskowyz Nazca napisano brednie, które – na dobrą sprawę – przeczą wszelkiej logice. Nigdy tak naprawdę nie chodziło o rozległą pustynię usytuowaną na płaskowyzu Nazca – lecz o pojedyncze góry – i te rzeczywiście zostały splantowane za sprawą człowieka. Nie na odwrót. Dylemat dotyczący wyłącznie tego jak, przez kogo oraz w jakim celu.

Oczywiście ani dziennik „Bild”, ani też „Blick” nie opublikowały żadnych zdjęć tajemniczych linii z Nazca, lecz jedynie wizerunek tak zwanego kolibra. (Droży dziennikarze, zapytajcie mnie o to następnym razem. Mam kilka tysięcy fotografii Nazca. Można je wydrukować zamiast zdjęcia archeologa doktora Reindla, spoglądającego z marsową miną, jak gdyby był oburzony na kolegę Dänikena i spółkę).

Teorie na temat Nazca

Do dzisiaj znane mi są następujące teorie na temat Nazca: kalendarz – gwiazdna mapa – mapa pogody – książka z obrazkami – zagroda dla świętych zwierząt – parcele uprawnej ziemi – ścieżki o znaczeniu sakralnym – kult bóstw wody, bogów gór i uprawy roli – przesłanie matematyczne – kultury szamanów i duchów – program zatrudnienia – fatamorgana – gigantyczny warsztat tkacki – atlas kulturowy ludzkości – symbole pozostawione przez przybyszy z kosmosu – lądowisko UFO – tereny sportowe z okresu przed cywilizacją Inków – lądowisko inkaskich balonów na gorące powietrze – szlaki ceremonialnych parad – znaki przeznaczone dla bogów. A teraz, zdaniem doktora Reindla, miał to być obszar kultowy, na którym odprawiane są obrzędy związane z umarłymi. Wyśmienicie! Jakiego nonsensu możemy spodziewać się w następnej kolejności? Albo żaden z licznych interpretatorów nie odbył dostatecznej liczby lotów nad pustynnym płaskowyzem, żeby zapoznać się dobrze z sednem tej zagadki, albo też z premedytacją okopują się na pozycjach, jakie nie dadzą się utrzymać. Wszyscy mówią o „kulcie” i wszyscy wyciągają z kapelusza prestidigitatora przeróżne ruiny budowli i/lub wizerunki z Nazca. Nikt jednak nie przedstawia wyjaśnienia kolosalnych, podobnych do pasów startowych linii, żaden z nich nie tłumaczy geometrycznych przekazów, nikt

nie szuka wyjaśnienia dla z całą pewnością sztucznie zniwelowanych gór, nikt nie dokonuje porównań z pokrewnymi miejscami na ziemskim globie i wreszcie nikt nie stwierdza jasno i wyraźnie, że wszystkie wizerunki i linie są widoczne jedynie z lotu ptaka.



Płaskowyż Nazca.

Zdaniem doktora Reindla chodzi tu o „świątynie bóstwa płodności”. Świetnie! Jaki zatem związek mają z tym wąskie linie przecinające bezmiar pustynnego płaskowyżu? Mają to być „linie łączące” ze sobą świątynie bóstwa płodności. Doktor Reindel wydaje się mieć mętne pojęcie o liczbie „linii łączących” – przekracza ona 4000! A „pasy startowe”?

One z kolei są wmiatane pod dywan i nikt nie zabiera głosu. Chwila! A może jednak! Czyż nie są to drogi ceremonialnych parad i pochodów? Zaczynają się wprawdzie i kończą dość raptownie i nie prowadzi do nich żaden szlak, lecz który z archeologów zamieszkujących wieże z kości słoniowej zawracałby sobie głowę tym szczegółem.

Fotografia płaskowyżu Nazca, którą – wraz z wieloma innymi – wykonałem przed kilkoma miesiącami, czyni zbędnymi jakiegokolwiek dalsze komentarze.

Zdjęcie to mówi samo za siebie.

Erich von Däniken

Gwiezdne wrota z Peru

Monumentalna „brama do innych światów” czy „tylko” precyzyjnie obrobiona skała?

Świat (a w szczególności Ameryka Południowa) pełen jest niespodzianek – także i takich, które nawiązują bezpośrednio do kwestii paleo-SETI. Ktoś polecił mi ciekawy cel podróży: ogromną, monolityczną strukturę przypominającą wrota, którą całkiem niedawno odkryto w południowym Peru, w górskim regionie Hayu Marca.

Dysponując tylko tą wskazówką oraz (dość nieostrym) zdjęciem znalezionym w Internecie, w październiku 1989 roku wybrałem się na poszukiwanie tych „gwiezdnych wrót” – jakim to mianem na licznych stronach www ochrzczono ten obiekt. Wraz z przyjacielem Ivanem Bonettim, który był mi ogromną pomocą dzięki doskonałej znajomości hiszpańskiego, podjęliśmy próbę odszukania tego skalnego monumentu, do tamtej pory w dużym stopniu nieznanego – i rzeczywiście go odnaleźliśmy!

Hayu Marca, oddalone o około 35 kilometrów od Puno nad jeziorem Titicaca, tamtejsi Indianie na podstawie pradawnych podań i przekazów nazywają „miastem bogów”. Jednak z powodu górzystego terenu, pełnego szczelin i rozpadlin, miejsca tego nigdy nie przebadano dokładnie. W rejonie tym natrafiliśmy na kilka innych, sztucznie obrobionych skalnych formacji, które również pojawiają się w starych indiańskich legendach. Już wcześniej jednak wiedzieliśmy, co zresztą potwierdziło się w trakcie naszego pobytu w Peru, że wiele z tych mitów nigdy nie zostało przelanych na papier. W każdym razie nie udało nam się niczego znaleźć w bibliotece Uniwersytetu Berneńskiego mimo pomocy tamtejszego bibliotekarza.

U celu podróży ogarnia nas zdumienie! Wielka „brama” (*la puerta del diablo* – brama diabła) została wykonana z wielką precyzją w naturalnej skalnej ścianie wysokości 7 metrów! Lico tej ściany wychodzi na wschód, cała zaś skalna formacja usytuowana jest niedaleko szosy łączącej Copacabanę z La Paz.

Pośrodku skalnego obiektu, u stóp gwiazdnych wrót, natrafiliśmy na drugie, głębsze wcięcie, wysokości niecałych 2 metrów, głębokości około 50 centymetrów i szerokości blisko metra. Znaczenie – nieznane. Cóż mają (mieliby) do powiedzenia na ten temat archeolodzy? Przypuszczalnie jak jeden mąż sklasyfikowaliby ten obiekt jako miejsce kultu i odłożyliby temat do jednej z tych szuflad co zwykle. Według naszej wiedzy jak dotąd nie pojawiła się żadna publikacja archeologiczna czy też z pokrewnej dziedziny nauk poświęcona temu osobliwemu monumentowi.

Klucz do innych światów?

Jose Luis Delgado Mamani, odkrywca obiektu, natknął się na dziwaczną skalną formację ze sztucznie wyciętą niszą podczas jednej z penetracyjnych wędrówek po regionie latem 1998 roku. Mamani pragnął poznać bliżej tę okolicę jako przewodnik oprowadzający turystów uprawiających trekking. Tuż po jego odkryciu region ten stał się miejscem pielgrzymek archeologów oraz historyków zajmujących się dziejami Inków. Przy okazji wyszło na jaw, że miejscowi Indianie znają legendę o „wrotach do krainy bogów”. Mit ten opowiada o wielkich bohaterach, którzy w zamierzchłej przeszłości przechodzili przez te wrota, by złożyć wizytę bogom i zyskać nieśmiertelność.

Z rzadka herosi wracali przez te wrota w towarzystwie bogów, aby dokonać inspekcji „wszystkich ziem królestwa”.

Inna legenda opowiada o czasach, kiedy hiszpańscy konkwistadorzy podbijali Peru, rabowali złoto Indian i burzyli ich świątynie. Pewien inkaski kapłan, Aramu Maru ze „świątyni Siedmiu Promieni”, zdołał uciec krótko przed ich przybyciem. Za pomocą niewielkiej złotej tarczy, jaką miał ze sobą, udało mu się znaleźć bezpieczne schronienie przed zgrają pałającą żądzą mordy i siejącą pożogę. Tarcza ta stała się znana jako „klucz do bogów Siedmiu Promieni”.

Aramu Maru zbiegł w górski region Hayu Marca. Gdy dotarł do „wrót”, pokazał tamtejszym Indianom złotą tarczę i dzięki niej w tajemniczy sposób otworzył magiczny portal. Jak głosi legenda, za bramą ukazał się tunel świecący niebieską poświatą. Inkaski kapłan przekazał zdumionym Indianom tarczę i zniknął. Nigdy potem już go nie widziano. Nie wiadomo też, co się stało z tarczą ze złota.

Na ile zdołaliśmy się dowiedzieć, archeologowie wysuwają przypuszczenia, że wyżłobienie głębokości odpowiadającej rozmiarom talerza, umieszczone po

prawej stronie mniejszych wrót, jest tym miejscem, w które można wsunąć złotą tarczę z pradawnej indiańskiej legendy, by otworzyć „gwiazdne wrota”. Indianie w każdym razie wciąż opowiadają, że brama ta ma być przejściem, przez które pewnego dnia powrócą do nich bogowie.



„Wrota do świata bogów”. Tylko nisza wyłobiona w skale – czy może jednak coś więcej? (fot. V. Nussbaumer)

Znienacka zrobiło nam się dość nieswojo. Bez wątplenia istnieją takie miejsca, w których doszło do bezpośredniego kontaktu bogów i ludzi. Czy zawędrowaliśmy do takiego właśnie miejsca? Czy czegoś nie przeoczyliśmy? Na ziemi, na skałach, w okolicy... Dalszych wskazówek odnośnie do tego, co „niemożliwe”? Bazując na niezwykle interesujących i wiele mówiących mitach oraz na precyzyjnym obrobieniu skał, niewątpliwie warto byłoby pokusić się o pogłębienie wiedzy na temat tych zagadkowych „wrót”.

Valentin Nussbaumer

Ukryte skarby

Czy można wśród nich odkryć obiekty pozaziemskie?

Poszukiwane przez badaczy w ramach programu paleo-SETI dowody, potwierdzające niegdysiejszą bytność na Ziemi przybyszy z kosmosu, nie muszą koniecznie wiązać się z archeologicznym dziedzictwem pradawnych ludów. W ramach interdyscyplinarnych badań nie wolno też zaniedbywać takich dyscyplin, które na pierwszy rzut oka wydają się nie mieć nic wspólnego z hipotezą AAS. Przykładem niech będą poszukiwania skarbów. Modele samolotów, błędnie zinterpretowane przez archeologów (choćby jako owady) z Muzeum Złota w Bogocie sugerują nowe kierunki poszukiwań^{1, 2}.

Cóż się stało, dajmy na to, z „ognistym wężem” Azteków, tajemniczym obiektem, który niegdyś siał śmierć w szeregach wrogów i został po raz ostatni użyty przeciwko hiszpańskim zdobywcom, chociaż bezskutecznie i nadaremnie?³ Interesujące byłoby dowiedzieć się, o co rzeczywiście chodziło w tym przypadku, ponieważ tak czy owak broń ta powinna gdzieś się zachować. Być może w nieodkrytym jeszcze skarbcu?

To właśnie w Ameryce Środkowej i Południowej wciąż jeszcze znajdują się niezliczone skarby, jakie zostały ukryte przez rdzenną ludność przed chciwymi i pałającymi żądzą mordy hiszpańskimi konkwistadorami. Przedmioty „boskiego” pochodzenia, o ile takie istniały, mogły liczyć na szczególną opiekę miejscowych mieszkańców i jako pierwsze umieszczano je w bezpiecznych kryjówkach.

Hiszpański kronikarz Felipe de Pomares pozostawił nam w XVI wieku następującą ciekawą relację:

Solidnie ugrunтовana i powszechnie akceptowana wieść niesie, że w twierdzy Cuzco [Sacsayhuamán, Peru] znajduje się tajemna krypta, w której umieszczono przeogromny skarb w postaci złotych posągów wszystkich inkaskich książąt. Pewna dama, która wciąż jeszcze chadza po ziemskim padole, imieniem i nazwiskiem doña Maria de Esquivel, małżonka ostatniego Inki, odwiedziła tę kryptę i zdała mi relację, jak to się stało, że zwiedziła to miejsce oraz o tym, co tam zobaczyła. Don Carlos [wnuk Inki Paullu, młodszego brata ostatniego prawowitego władcy Inków, Hussara], małżonek owej damy, nie

prowałdził zycia na poziomie odpowiadajcym jego wysokiemu urodzeniu. Doña Maria czynila mu z tego powodu wymowki, wyrzucajac mu, ze skuszona arystokratycznym tytułem poslubila wladce Inkow, ktory okazal sie ubogim Indianinem.

Powtarzala te slowa tak czesto, ze don Carlos pewnego wieczoru wykrzyknal: „Moja pani! Rzeczywiscie pragniesz wiedziec, czy jestem ubogi, czy tez bogaty? Jesli sobie tego zyczysz, bedziesz laskawa mi towarzyszyc i przekonasz sie, ze posiadam wiecej skarbów niz jakikolwiek inny pan lub król tego swiata”.

Zdjeta ciekawoscia doña Maria zgodzila sie, zeby przewiazano jej oczy opaska, aby mogla podazyc za swoim malzonkiem, ktory, po wielu zakretach i obejsciach, zaprowadzil ja za reke do podziemnej krypty, gdzie zdjal jej przepaska z oczu i gdzie zobaczyla tak wiele bogactw. W niszach wyzlobionych w scianach staly posagi Inkow naturalnej wielkoscii, z najczystszej zlota, a takze mnogość naczyń ze srebra i zlota, sztabki z takiego samego metalu oraz w sumie takie bogactwa, ze nabrala przekonania, o czym pozniej mnie powiadomila, iz sa tam zgromadzone najwieksze skarby, jakie znajduja sie na swiecie⁴.

Ekspedycja ku smierci

Tysiacze turystow przemierzaja kazdego dnia ruiny Sacsayhuamán. Byc moze zaledwie pare krokow pod nimi spoczywaja przeogromne skarby Inkow, ktore moglyby opowiedziec nam bardzo wiele o przeszlosci tego ludu oraz o nieznanym budowniczym Sacsayhuamán⁵. System tuneli pod tym miastem nie zostal do dzis przebadany, jesli zaś dac wiarę pogloskom, podziemne korytarze prowadza do miasta Cuzco, gdzie w podziemiach katedry ma znajdowac sie jedno z wejsc do tuneli. Wersji tej odpowiada doniesienie agencji ARD z 6 lipca 1996 roku: „Lima: W poszukiwaniu legendarnego skarbu inkaskiej ksiezniczki Cataliny Huanca badacze natrafili na szeroko rozgalozony system katakumb pod peruwianska stolica. Nie jest jeszcze pewne, dokad prowadza te korytarze, moga wszakze konczyc sie w skarbcu. Jak glasi legenda, ksiezniczka nakazala zakopac w poblizu skarby ze zlota i srebra, pragnac ukryc je przed hiszpańskimi zdobywcami”.

Juz w 1962 roku Anglik Baker-Cresswell poprowadzil ekspedycje we wciaz malo znany obszar *Territorio de Acre*, na polnoc od trojkata, w ktorym zbiegaja sie granice trzech krajow: Peru, Boliwii i Brazylia, aby szukac skarbów. Ostatni prawowity wladca Inkow Huascar kazal je w 1528 roku odebrac zolnierzom swojego brata Atahualpy i umieścic w bezpiecznym miejscu. Informacje o tym pochodza z dokumentu zawierajacego zeznania torturowanego Tupaca Amaru, nastepcy Huascara. Skarb mial byc tak tajny, ze cale plemie Indian zostalo zobowiazane przez Inkow, pod grozba zemsty boga Slonca, do jego ochrony.

Prawowitych spadkobierców skarbu można zidentyfikować jedynie na podstawie hasła przekazywanego z pokolenia na pokolenie.

Bakera-Cresswella i jego towarzysza po raz ostatni widziano w grudniu 1962 roku na rzece Rio Purus. Dwa lata później pewien poszukiwacz diamentów natrafił na szkielet pechowego łowcy skarbów i jego dziennik. W pamiętniku znajdowały się szkice oraz liczne potwierdzenia faktów podanych przez Tupaca Amaru. Ekspedycja dotarła m.in. do mierzącego 50 metrów średnicy krateru, o którym była mowa w zeznaniach i którego unikali rdzenni mieszkańcy, ponieważ według ich wierzeń w miejscu tym ich bóg zstąpił na Ziemię. Zstąpienie to miało miejsce dawno temu, na kanu płującym ogniem:

Tupac Amaru mówił też o boskim, płującym ogniem kanu, które pewnej nocy pojawiło się na Ziemi na obszarze *Territorio de Acre*, jeszcze przed pierwszymi Inkami.

Towarzyszyły temu huki po stokroć głośniejsze od grzmotów, zaś długi ognisty warkocz wypalił cały pas ziemi i niszczył wszystko po drodze⁶.

Choć mógłby być to opis spadającego meteorytu, to w powiązaniu z ukrytym inkaskim skarbem tekst ten może mieć całkowicie odmienne znaczenie.



Twierdza Sacsayhuamán. Pod tym kompleksem, błędnie przypisywanym Inkom, znajduje się wciąż niezbadany system tuneli. (fot. W. Siebenhaar)

Ostatni wpis w dzienniku, z datą 26 grudnia 1962 roku, omawia trzecią poszlakę, która miała prowadzić do skarbu – rysunek kondora ponadnaturalnych rozmiarów: „Po marszu trwającym blisko pół godziny wódz plemienia wskazał w dół. O jakieś 100 metrów poniżej rozciągał się płaskowyż, a pośrodku dojrzeliliśmy ogromny wizerunek świętego kondora, który zajmował niemal cały teren. Podobny do rysunków gigantycznego pająka i kolibra, jakie widziałem na zdjęciach lotniczych w Limie. Dziób kondora wskazuje na zbocze góry położonej naprzeciwko. Tam znajduje się złoto Huáscara! Zgodnie z tym, co przepowiedział Tupac Amaru, w odległości 10 kroków od dzioba kondora w zboczu góry znajduje się wejście do jaskini, zamkniętej cementem Inków, nazywanym *llanki* (...). Potem zawróciliśmy na płaskowyż. Po dotarciu na dół przekonaliśmy się, że nie ma tu nic do zobaczenia. To znaczy wizerunek kondora niknie całkowicie w ogólnym tle pełnej rys i pęknięć skały”.

Nie wiem, co złego stało się pod koniec ekspedycji i co przydarzyło się Bakerowi-Cresswellowi ani też jakie skarby skrywała owa góra. Wydaje się jednak bezsporne, że chodziło tu o coś naprawdę nadzwyczajnego, ponieważ wizerunek kondora jest pierwszym i dotychczas jedynym geoglifem (naziemnym rysunkiem), jaki odkryto po wschodniej stronie Andów, zwróconej ku dorzeczu Amazonki. Sam Baker-Cresswell przyrównuje wizerunek kondora do rysunków z Nazca, których zdjęcia, wykonane z samolotu, widział w Limie. Pozostaje zatem pytanie, jakie postawił Erich von Däniken w swojej książce *Znaki z przeszłości*⁷: Na co właściwie wskazują niektóre linie i figury z Nazca? Na coś podobnego do *Territorio de Acre*? A jeśli tak – to na co?

Wolfgang Siebenhaar

Galeria bogów-astronautów

Mitologia w kamieniu i ceramice: kim były pierwowzory?

W 2000 roku w trakcie przygotowań do wystawy *Unsolved mysteries* (Nierozwikłane tajemnice) trafiłem do archiwów i magazynów licznych muzeów oraz prywatnych kolekcjonerów, gromadzących niezwykle eksponaty, jakie normalną koleją rzeczy nie są udostępniane szerokiej publiczności. Szczególnie interesujące okazały się prywatne zbiory w Kolumbii i Ekwadorze, kolekcja Banco Central del Ecuador, Museo Weilbauer w Quito oraz muzeum katolickiego uniwersytetu Ekwadoru, którego żadną miarą nie można podejrzewać o „wiarę w von Dänikena”. Te właśnie zbiory skrywają mnóstwo ceramicznych figurek i miniaturowych głów, które wykazują cechy obcych istot. Wiele z tych rzeźb, nowych nawet dla znawców preastronautyki, przedstawia istoty odziane w skafandry i zamknięte hełmy.

Jaguar czy astronauta?

Większość przedmiotów o bezspornie prekolumbijskim pochodzeniu odnaleziono w trudno dostępnych jaskiniach Ekwadoru. Archeolodzy stanęli przed zagadką. Przypuszczano, że mogły one służyć pierwotnie „celom kultowym” i wiązać się z mitami rdzennych mieszkańców. Wiadomo, że u niektórych ludów Ameryki Południowej polowanie na głowy postrzegane było jako element działań nadnaturalnych i rytualnych. Szczep Jivaro w Ekwadorze praktykował takie rytuały jeszcze do lat 60. ubiegłego stulecia. Dlatego zdaniem niektórych badaczy wizerunki te są symbolami „łowów na głowy”, inne z kolei wyobrażają „wędrówkę dusz”. Z tego też względu „kostiumy” figurek wywołują zamieszanie. Szczególną uwagę przyciąga pewna gliniana główka, która mierzy niecałe 4 centymetry wysokości.

Miłośnicy science fiction na widok tej małej głowy, ozdobionej zamkniętym hełmem, przywołują w myślach nowoczesny wizerunek Perry’ego Rhodana,

bohatera cyklu powieści. Cóż jednak w ekwadorskiej dżungli robi prekolumbijska figurka o wyglądzie astronauty?

Główkę przypisano kulturze la Tolita, a datuje się ją na okres od 600 p.n.e. do 400 roku n.e. Czy rzeczywiście jest dziełem przypadku, że rzeźba kojarzy się z hełmem kosmonauty lub kaskiem motocyklisty?¹ Czy jest tylko zbiegiem okoliczności, że figurkę tę znaleziono w pobliżu sławetnych miniaturowanych „złotych samolotów” zaginionej kultury, jaka rozwinęła się na tym samym obszarze?

Archeolodzy wychodzą z założenia, że twórcy glinianych figurek pragnęli przedstawić „kult jaguara”, bardzo rozpowszechniony w sferze religijnych wierzeń oraz mitów Ameryki Środkowej i Południowej. Według nich chodzi w tym wypadku o „antropomorficzny wizerunek jaguara, nadnaturalnej chimery, pół człowieka, pół zwierzęcia”. Mistrzowie ceremonii nakładali przez głowę kostium jaguara, dając tym samym wyraz czci oddawanej tym wielkim kotom.

Wizerunki tego rodzaju hołdu oddawanego jaguarom spotykamy w całej Ameryce Środkowej i Południowej. W skład wojskowej elity Azteków (Meksyk) wchodził „wojownicy jaguary”, którzy naśladowali zwierzę stanowiące ich godło, nakładając choćby maskę-hełm, z której paszczy wyłaniał się wojownik. Często też „bóg jaguar” postrzegany był jako pośrednik między sferą nadludzką a sferą zwierzęco-ludzką, lecz zależnie od regionu i ludu przybierał rozmaite formy. Olmekowie w Meksyku bardzo często tworzyli boskie wizerunki ludzi jaguarów, z kolei Majowie (Meksyk–Gwatemala) uwieczniali wielkie drapieżne koty m.in. w postaci nadnaturalnie wielkich sylwetek wykonanych ze stiuku na frontowych ścianach ich piramid. W Ekwadorze piramidy i ziemne wały ozdabiano wizerunkami jaguarów, zaś Cuzco, dawna stolica państwa Inków (Peru), zostało założone na planie, którego kontury odzwierciedlały z grubsza sylwetkę jaguara. Już w macierzystej kulturze Ameryki, zwanej Chavín, oddawano cześć bóstwu jaguara.

Kim wszakże był ten mistyczny „jaguar”? Jak powstała legenda o jego nieziemskiej postaci? Czy chodzi tu wyłącznie o wizerunki przodków, duchów i demonów, jakie powstały w tych czy innych mitach odnoszących się do przyrody? Czy były to metafizyczne zjawy? Szamańskie religijne wyobrażenia? Czy może jednak mamy do czynienia ze zjawiskiem, które można powiązać ze wspomnieniami o przybyszach z kosmosu?²



Przykłady wizerunków bóstw w hełmach na głowach i/lub odzianych w skafandry ze zbiorów: Museo de las Cultura Aborigenes, Ekwador; Museo Weilbauer, Quito, Ekwador. (fot. Bernhrad Moestle/Unsolved Mysteries)

W przypadku całej galerii miniaturowych głów brakuje przekonującego wyjaśnienia. Niektóre portrety prezentują nieznaną ludzki typ. Głowa wielkości 5 centymetrów, z nasuniętym hełmem i azjatyckimi rysami twarzy, pozwala nawet wysuwać przypuszczenia o wpływie jakiejś innej kultury rodem z Dalekiego Wschodu. Archeolodzy przypisali liczne z tych relikwów kulturze Valdiva, której styl wyrobów ceramicznych jest niemal identyczny z wyrobami japońskiej kultury Jōmon. Jej kulturowe korzenie sięgają 3500 lat p.n.e.

Na zachodnim wybrzeżu Kolumbii, w rejonie przy granicy z Ekwadorem, odkryto największą liczbę glinianych główek, które przyporządkowano kulturom la Tolita i Tumaco. Te lokalne kultury powstały przed około 2000 lat i zaowocowały licznymi wariantami stylu, co potwierdzają precyzyjnie obrobione przedmioty. Wiele z nich przedstawia apodyktyczne bóstwa, których twarze obrazują dwie odmienne istoty. Niektóre z tych figurek znów wydają się mieć hełmy na głowach. Usta często wydęte przywodzą na myśl – zwłaszcza kiedy spogląda się z boku – jakiegoś rodzaju „osłonę na usta”. Z kolei zdaniem archeologów artyści zamierzali przedstawić istoty „podobne do małp”³.

Małpa, aura czy bóstwo z gwiazd?

Problematyczna wydaje się również oficjalna naukowa interpretacja tych rzeźb, które są ubrane i wyposażone we współczesne nam akcesoria. Czy chodzi w tym wypadku o błędnie zinterpretowaną technologię, którą przedstawiono w formie modelowanej gliny? Niektóre z figurek mają ozdoby w postaci kwadratowych lub trójkątnych hełmów oraz kryzy i są przedstawione w rytualnych pozach, ponadto trzymają w dłoniach trudne do zidentyfikowania przedmioty. Jedna z rzeźb wydaje się mieć na sobie kombinezon (skafander), a dzięki nasadce na głowę, która biegnie ku plecemu, powstaje wrażenie, że przedstawiona postać zamierza wziąć udział w jakiejś ekspedycji. Badacze starożytności uznali tego rodzaju niezwykle atrybuty za motywy antropomorficzne, przy czym boskie wizerunki przybierają również postać ludzką.

Oczywiste jest, że „głowa małpy” nie wytrzymuje dłużej krytyki. Kogo bowiem zamierzali przedstawić artyści pradawnej Ameryki w takich rytualnych szatach? Astronautów z dalekich gwiazd, którym oddawali boską cześć? Jedna z interpretacji tych „antropomorficznych” rzeźb jest przez niektórych naukowców kojarzona z „religijną formą” szamanizmu, jeszcze dzisiaj szeroko rozpowszechnioną wśród pierwotnych ludów (ale także neoszamanizmu w Europie). Kapłani lub szamani wprawiają się w stan ekstazy i udają się na transcendentną wędrówkę, by nawiązać kontakt z bóstwami. Ten stan transu, pobudzany metodami fizjologicznymi (np. poprzez taniec, śpiew, techniki oddychania), określany jest mianem transformacji. Na pytanie, kim są w rzeczywistości istoty, z którymi nawiązywany jest kontakt, nie zdołali odpowiedzieć bezspornie nawet antropolodzy⁴.

Czy jest możliwe, że tego rodzaju komunikacja metafizyczna, jaką znamy również ze współczesnej literatury na temat UFO, jest w istocie rzeczy inną formą nawiązywania kontaktu z istotami pozaziemskimi?

Nasza wiedza na temat mitologii ludów Ameryki Południowej jest jedynie fragmentaryczna. W przeważającej większości dysponujemy ustnymi przekazami poszczególnych plemion oraz sporą liczbą archeologicznych znalezisk, które wiązane są z wizerunkami boskich istot. Sklepienie niebieskie jest traktowane jako miejsce zamieszkałe przez liczne nieziemskie stwory, które po części mają postać zwierząt albo wyróżniają się takimi atrybutami jak szaty.

Obok licznych wiernych naturze wizerunków znajdujemy wiele dziwnych, które przez większość archeologów uznawane są za fantastyczne „metafizyczne stworzenia zamieszkujące tropikalne lasy deszczowe”. Figurka wysokości 16 centymetrów, o sylwetce przypominającej człowieka, wykonana z czerwono-brunatnej gliny, sprawia szczególnie niepokojące wrażenie ze względu na głowę podobną do jaszczurczej. Lecz prawa ręka jest uniesiona, jakby w geście pozdrowienia. Jeśli przyjrzymy się głowie bliżej, to stwierdzimy, że jest to raczej rodzaj hełmu, z czymś w rodzaju okrągłej membrany na wysokości ust. Nasada hełmu biegnie dookoła szyi w formie szerokiego zapięcia w kształcie kołnierza. W lewej dłoni umieszczony jest okrągły przedmiot, który również wydaje się mieć zapięcie. Etnologom kojarzy się on z mandalą, przyborem niezbędnym szamanom do nawigacji podczas transcendentnych wojaży. W prawej dłoni posażka także tkwi małe, okrągłe naczynie lub pierścień. U dołu pleców widać wyraźny kontur, co pozwala wysnuć przypuszczenie, że figurka pierwotnie przymocowana była do innego przedmiotu. Kim był ten obcy, którego osobliwe atrybuty przedstawiono z taką skrupulatnością? Czy rzeczywiście chodzi o wytwór czyjejś wyobraźni? Co skłoniło artystę z pradawnych czasów do wykonania tak osobliwej figurki?⁵

To samo pytanie nasuwa się w związku z „aureolami”, które towarzyszą licznyemu posążkom jako ozdoba głowy. Spotykamy takie wizerunki w różnych miejscach świata, jak choćby na wspaniałych naskalnych rytach w algierskich górach Tassili czy, przechodząc do regionów nam bliższych, w dolinie Val Camonica w północnych Włoszech. Te pradziejowe są interpretowane jako „istoty pozaziemskie” albo „szamani we własnej otchłani”. W wielu mitach i legendach świata boskimi atrybutami są nieodłącznie „światłość”, „promienie”, a w szczególności „aura”. W religii chrześcijańskiej mamy do czynienia z aureolą, która zawsze widnieje na wizerunkach aniołów i świętych, a ma emanować pozytywną energią.

To samo odnosi się do cywilizacji starożytnych oraz buddyzmu. Każdy człowiek, każde zwierzę ma, o czym wiemy dzięki osiągnięciom współczesnej fotografii, taką niewidzialną aurę. Tylko w nielicznych przypadkach możliwe jest bezpośrednio dostrzeżenie przez człowieka tego rodzaju świetlanej aury innego człowieka. Szamani są w stanie zobaczyć tę poświatę dzięki medytacyjnym ćwiczeniom. Dlaczego jednak mitologiczni bogowie są opisywani jako istoty jasne i emanujące światłością, na które, z uwagi na porażający blask, nie mógł spoglądać żaden człowiek? Mojżesz musiał nawet przesłonić twarz, w przeciwnym razie patrzenie na Boga skończyłoby się utratą wzroku. Niektóre statuetki z Museo Weilbauer przedstawiają taką

charakterystyczną aureolę jako ozdobę głowy. Bez względu na jej konkretne znaczenie świetlany krąg zdaje się podkreślać rangę przedstawianych postaci⁶.

Nurkowie czy istoty z niebios

Niepewność w kwestii jednoznacznego przyporządkowania licznych eksponatów prowadzi niekiedy do nieporadnych prób interpretacji. Nieznana figurka z wizerunkiem boga, pochodząca z Ekwadoru, zostaje całkiem oficjalnie zakwalifikowana jako *curiosidado* (osobliwość). Wyposażona jest w dziwaczne akcesoria, które kierują myśli w stronę współczesnego astronauty. Z tyłu widać, że czaszka figurki wykazuje wyraźną deformację. Dyrekcja muzeum snuje domysły, że statuetka przedstawia być może „starożytnego nurka”. Naukowcy nie wykluczają natomiast, że istniały rzeczywiste pierwowzory postaci przedstawianych przez prekolumbijskich rzeźbiarzy, zaś artyści starożytni widywali takie obce istoty na własne oczy.

Jeśli wzięliśmy już pod rozwagę dziwnego „nurka”, który kiedyś w starożytności udał się na podmorską ekspedycję, to dlaczego nie chcemy uwzględnić także ewentualności pojawienia się przybyszów z kosmosu? Istoty pozaziemskie, które przybywają z niebios na ziejących ogniem pojazdach, skrzydlate węże oraz stwory, będące pół ludźmi i pół zwierzętami, są przecież opisane ze szczegółami w mitologiach niemal wszystkich ludów. O przedhistorycznych „nurkach” według mojej wiedzy nie mówi w zasadzie nikt⁷.

Gdzie leżą źródła tych mitów i legend, które opowiadają o przybyszach z niebios? Poglądy naukowców na ten temat są równie rozbieżne, jak definicje mitu jako relacji o historycznych faktach lub zmyślonej ludowej baśni.

Co jednak należy począć z tymi przekazami, które znajdują potwierdzenie w znaleziskach archeologicznych? Wystarczy powołać się w tym miejscu na starogrecki mit o Troi. Heinrich Schliemann potraktował *Iliadę* i *Odyseję* Homera jako źródła historyczne i pod koniec XIX wieku udowodnił fachowcom, że Troja naprawdę istniała. Dlaczego zatem także inne przekazy, dotąd pomijane przez badaczy starożytności, nie miałyby mieć autentycznych źródeł?

Dla przykładu Indianie Machinguenga z peruwiańskiej dżungli opowiadają o „ludziach z nieba, którzy zeszli na ziemię promienistym szlakiem, wiodącym z niebios”. Czy możliwe jest, że tego rodzaju legendy odwołują się do kontaktów

między ludźmi a „istotami z nieba”, do jakich doszło w zamierzonych czasach? Czy wywołujące osobliwe wrażenie figurki bogów odzianych w skafandry i hełmy, z aureolą, również są wspomnieniem po przybyszach z kosmosu?⁸

Kiedy jakiś czas temu zwiedzałem w towarzystwie Christiane Ladurner, archeolog z Tyrolu Południowego, nowe wykopaliska w dolinie Val Camonica, poszczęściło się nam, gdyż w drodze do archeologicznego stanowiska towarzyszył nam doktor Ausilio Priuli. Włoski badacz i jednocześnie dyrektor muzeum jest jednym z najwybitniejszych w świecie znawców prehistorycznej sztuki naskalnej. Od kilku dziesięcioleci bada i dokumentuje skalne ryty z epoki brązu w dużej liczbie odkryte w pobliżu Brescii. Pragnąłem dowiedzieć się od niego, jak interpretuje sławne naskalne ryty z wizerunkami istot w hełmach, z „aureolami”. Wielu archeologów dopatruje się w tych hełmach „słomianych rytualnych ozdób głowy” albo widzi w nich „myśliwych w kapturach”.

„Czy przedstawione tu postaci – zapytałem doktora Priulego – mogą być przybyszami z kosmosu?”⁹ Ekspert od sztuki naskalnej zaskoczył mnie szczerą odpowiedzią: „Uważam za prawdopodobne, że mamy do czynienia z szamanami albo wizerunkami mitologicznych istot. Na podstawie posiadanej wiedzy nie jestem jednak w stanie wykluczyć, że ryty przedstawiają istoty, które być może przybyły na Ziemię z niezmiernego bezkresu wszechświata. Jedna rzecz nie ulega moim zdaniem wątpliwości. Jeśli w pradziejach mieli rzeczywiście wylądować tu przybysze spoza Ziemi, to możemy wyjść z założenia, że ludzie z czasów prehistorycznych nie postrzegali tych istot jako «pozaziemskie», tak jak my czynimy to dzisiaj. Prehistoryczny człowiek nie robił tego. Oddawał cześć obcym jako „wyższym istotom”¹⁰. Czy Erich von Däniken oraz inni „badacze bogów” kiedykolwiek prezentowali inny pogląd?

Reinhard Habeck

Embriologia w pradziejach

Pradawna wiedza biologiczna

Na wystawie *Unsolved Mysteries*, którą można było oglądać w Wiedniu w 2001 roku, pokazywano nadzwyczaj interesujący eksponat pochodzący z Kolumbii, a wypożyczony z Museum Weilbauer w Bogocie. Przedmiot, o którym mowa, został opisany jako „płytką genetyczną”. Obiekt w kształcie dysku w równym stopniu wprawia w zdumienie laików i ekspertów.

Na bryle lidytu (łupka krzemionkowego) widnieje relief przedstawiający zdumiewającą wiedzę biologiczną, jaką my sami dysponujemy zaledwie od kilkudziesięciu lat.

Studia nad embrionami przed tysiącami lat

Jedyny w swoim rodzaju relikwyt wykonano z czarnego kamienia, ma 22 centymetry średnicy i waży blisko 2 kilogramy. Większość geologów z uniwersytetu w Bogocie opowiada się za tym, że dysk powstał w czasach prehistorycznych.

Na przedniej i tylnej stronie znajdują się wyryte liczne symbole graficzne oraz pojedyncze ornamenty oddzielone od siebie prostymi kreskami. Na krawędzi tarczy widnieje wygrawerowany symbol węża. Pośrodku płytki znajduje się otwór. Być może jest to przesłanka wskazująca na to, że przedmiot ten był niegdyś zamocowany na drążku i mógł się obracać.

Czy znaki przedstawione na zabytku dadzą się dokładniej rozszyfrować? Jakie jest ich znaczenie? Czy rzeczywiście kryją informacje z zakresu genetyki i biologii?

Profesor Jaime Gutierrez Lega (Uniwersytet Jorge Tadea Lozano, Bogota, Kolumbia), w którego zbiorach znajduje się dzisiaj dysk, wiosną 2000 roku w rozmowie z austriackim pisarzem Reinhardem Habeckiem zaprezentował

pogląd, że na kamiennej tarczy przedstawione są fazy ewolucji od płazów do człowieka:

Bez trudu można rozpoznać detale biologiczne, jak męskie plemniki, kobiece komórki jajowe, organy płciowe, zapłodnione jajo, zarodek, rozwijający się embrion. Jeden z motywów przedstawia dwie postacie, zapewne bliźnięta. Na drugiej stronie znajdują się sceny, które dają się zinterpretować jako etapy podziału komórki oraz rozmaite fazy rozwoju żaby¹.

Jako lekarz byłem zdania, że nie mieliśmy tu do czynienia z informacjami genetycznymi, lecz odnoszącymi się do powstania oraz rozwoju człowieka.

Patrząc bowiem z medycznego punktu widzenia embriologii, mimo paru mitologicznych wtrętów, można tu zidentyfikować podstawowe fazy rozwojowe cyklu ludzkiego życia. Na stronie przedniej zewnętrznego pierścienia bez trudu rozpoznajemy ludzki płód we wczesnym stadium embrionalnym z woreczkiem żółtkowym. Jeśli potraktuje się dysk jako cyferblat zegarka i ustawi wskazówkę godzinową na godzinie pierwszej, to znajdziemy w tym miejscu wizerunek neutralnego stadium embrionalnego, jeszcze przed dalszymi fazami rozwojowymi, w których jest już zdeterminowana płeć. Dwa kolejne obrazki (pozycje na godzinach drugiej i trzeciej) przedstawiają odpowiednio atrybuty płciowe, żeńskie oraz męskie.



Płytką genetyczną. (Habeck, Wiedeń/Unsolved Mysteries)

Spojrzenie na pozycje odpowiadające godzinom piątej i siódmej pozwoli dostrzec zaawansowany w rozwoju embrion, odpowiednio płci męskiej lub żeńskiej. We wszystkich rysunkach głowy szczególnie istotne są odsunięte na zewnątrz oczy oraz szeroki nos. Są to charakterystyczne cechy głowy w embrionalnej fazie rozwoju.

Na tylnej stronie tarczy w segmencie odpowiadającym godzinie jedenastej bez trudu dadzą się rozpoznać komórka jajowa przed zapłodnieniem (z wnętrzem pozbawionym struktury), na prawo zaś od niej komórka jajowa po zapłodnieniu, z wyraźną już i pogrubioną błoną komórkową oraz wyraźnie uformowanym jądrem komórkowym. Na godzinie szóstej rzeźbiarz z pradziejów przedstawił plemnik z widocznymi trzema częściami: główką, szyjką oraz wtką.

Pytanie brzmi, jakim sposobem znachorzy z pradziejów zdobyli taką wiedzę. Odpowiednimi mikroskopami, za pomocą których da się obejrzyć i zdefiniować szczegóły zapłodnienia, nie dysponowały przecież przed wieloma setkami lat nawet wysoko rozwinięte cywilizacje Eurazji. O ile zagadkowy obiekt wystawiony w Wiedniu nie jest fałszerstwem, stanowi wspianą przesłankę potwierdzającą hipotezy paleo-SETI.

Fałszerstwo czy starożytny oryginał

Nic jednak nie wskazuje na fałszerstwo. Profesor doktor Rudolf Distelberger, dyrektor wiedeńskiej Schatzkammer (Skarbca), należy do grona najbardziej renomowanych ekspertów na świecie. Poddał on analizie tarczę z lidytu jeszcze przed wystawą *Unsolved Mysteries* i doszedł do następującego wniosku:

Płyta jest obiektem wewnątrznie bardzo skomplikowanym. Pojawia się tu problem, którego nie jesteśmy w stanie wyjaśnić, a który jednocześnie sprawia, że zabytek ten jest odrzucany przez niektórych naukowców i ekspertów muzealników oraz uznawany za falsyfikat. Nie da się go przyporządkować żadnej ze znanych południowoamerykańskich kultur, jakie do tej pory poznaliśmy. Dlaczego jednak fałszerz miał się silić na sfalszowanie czegoś, czego nie da się niczemu przypisać? To nie ma sensu. Przecież falsyfikat chciano by sprzedać. Jeśli np. ktoś zamierza sprzedać naczynie jako inkaskie, ponieważ ma ono dużą wartość na rynku sztuki, to wykonuje przedmiot w kształcie naczynia używanego przez Inków.

Dalsze analizy przeprowadzone w Muzeum Historii Naturalnej w Wiedniu potwierdzają, że przedmiotu nie wykonano ze sztucznego materiału (np. cementu), lecz z naturalnego łupka krzemionkowego, zawierającego węglowe barwniki, nazywanego lidytem. Według ekspertyzy doktor Very M.F. Hammer, eksperta od mineralogii i kamieni szlachetnych, obiekt wykazuje ślady zwiędzenia.

Sam surowiec również nie nadaje się do wykonywania falsyfikatów. Łupek z łatwością się rozszczepia, dzięki czemu można go obrabiać prostymi narzędziami. Trudniej jest natomiast wykonać z tej skały okrągłą płytę o średnicy 22 centymetrów, ponieważ krzemionkowy łupek łatwo pęka i z trudem daje się wyrabiać z niego miniaturowe wizerunki.

Jeśli „płytką embriologiczną” nie jest falsyfikatem, to skąd pochodzi? Dokładne przyporządkowanie historyczno-kulturowe wymaga jeszcze dodatkowych ekspertyz, obecnie jednak wychodzi się z założenia, że zabytek pochodzi z czasów prehistorycznych i jest produktem kręgu kulturowego określonego mianem pre-Musica.

„Czy osobliwe znalezisko może być wytworem jakiejś zaginionej, wysoko rozwiniętej cywilizacji, która osiągnęła poziom porównywalny z naszym? W tym miejscu na myśl przychodzą legendy o zatopionych królestwach. Czy «płytką genetyczną» stanowi pozostałość po takiej epoce?” – stawia pytanie Reinhard Habeck, któremu wspólnie z Klaudem Doną udało się sprowadzić do Europy przedmiot budzący taką sensację. Albo w tym przypadku to „bogowie z gwiazd” we własnej osobie, astronauty z odległych gwiazd przekazali naszym antenatom wiedzę na temat biologii człowieka, pragnąc poszerzyć ich myślowe horyzonty?

doktor Algund Eenboom

K0500 – spotkanie z bogami Majów

Archeolodzy badający gliniane naczynia mają świetne humory. Dopisują one szczególnie badaczom cywilizacji Majów. Rozkoszują się skorupami, rozbitymi naczyniami i dzbanami, jakie odnajdują w dużych ilościach na stanowiskach wykopaliskowych. Lecz jedynie nieliczni z nich zadają sobie więcej trudu, by przeanalizować graficzne wizerunki, jakie pojawiają się na tej ceramice.

Na specjalną uwagę zasługują naczynia często pokrywane polichromią. Ilustracje umieszczane na cylindrycznych dzbanach ukazują bóstwa, sceny dworskie, wyobrażenia demonów rodem nie z tego świata. Podobnymi rysunkami „nadnaturalnego świata” ilustrowano zapewne klasyczne kodeksy, lecz niestety żaden z nich nie zachował się do naszych czasów. Te naczynia natomiast przedstawiają nam także epizody z mitologii Majów, bez względu na to, czy potrafimy je odczytać, czy nie. Niekiedy udaje się odsłonić jakieś interesujące perspektywy, które dotychczas pozostawały ukryte. Jedna z nich otwiera się na osobliwy świat klasycznej ceramiki Majów. To dziewicze pole badań, od dziesięcioleci nietknięte przez ikonografię, pełne nadnaturalnych istot. Badacze cywilizacji Majów nie przypuszczali dotąd, że istoty te zajmowały się czynnościami, jakie przedstawiono na naczyniach ceramicznych. Któż z uczonych odważyłby się do dzisiaj wysunąć przypuszczenie, że wizerunki z ceramicznych naczyń wykazują wyraźnie powiązania z hipotezą archeo-SETI (zwaną inaczej paleo-SETI)?

Polichromowana ceramika ujawniła, że błady, bazujący wyłącznie na analizie kodeksów obraz niezbyt licznie zamieszkanego Panteonu jest błędny. Istnieją bowiem setki bogów czczonych przez Majów, z których większość zamieszkiwała w Xibalba. Nazwa ta znaczy „upiorne miejsce” i jest ono niekiedy przyrównywane do świata podziemi. Jeszcze dziś niektóre ludy wywodzące się od Majów kojarzą „drogę do Xibalba” z Drogą Mleczną, co jest wyobrażeniem, którego korzenie sięgają okresu klasycznego. Przypuszcza się, że starożytni Majowie postrzegali Drogę Mleczną jako wielkie drzewo świata, po którego „pniu” boskie istoty przechodzą z jednego świata do

drugiego. Liter naszego alfabetu nie wystarczy, by oznaczyć wszystkich bogów Majów. Niektórzy, jak bóg D, inaczej Itzamná, bóg L oraz bóg N (Pauhtun), sprawują władzę nad Xibalba, lecz poza tym egzystuje tu bezładna mieszanina zwierząt, potworów oraz ludzi, często także chimer, stworów o mieszanym charakterze. Historycy kultury zdali sobie sprawę, że najliczniejsze i przekazujące najwięcej treści rysunki Majów spotyka się w dwóch miejscach: na szatach szlachetnie urodzonych osób przedstawionych w postaci kamiennych monumentów (w tym przypadku chodzi o niezwykle bogatą sekwencję detali ikonograficznych) oraz na wspomnianych już wyrobach ceramicznych.

Trzech „gwiazdnych wojowników”

Do końca lat 80. ubiegłego wieku za kulisami naukowej sceny dochodziło jednak do gwałtownych starć i kłótni. Przesadzona reakcja na niekontrolowane i w jawny sposób niedające się kontrolować rabunkowe wykopaliska, które wyniosły na światło dnia wszystkie te ceramiczne naczynia, doprowadziła do uformowania się w gronie ekspertów zajmujących się cywilizacją Majów silnej grupy prezentującej pogląd, że obiektów tych nie należy poddawać gruntownej naukowej analizie, gdyż usankcjonowałyby to po czasie wcześniejsze grabieżcze działania. Pewien ortodoksyjny archeolog niejednokrotnie wysuwał postulat, żeby zemleć na proch każdą skorupę ceramiki Majów, której nie wykopał żaden autoryzowany archeolog pracujący w terenie. W gruncie rzeczy są to ludzie, którzy rozbiliby w perzynę słynną płytę nagrobną z Palenque z wizerunkiem władcy Majów Pacala II, gdyby przypadkiem nie odkopał jej pewien meksykański archeolog.



Rysunek zdobiący wazę.

Kolejny pierwiastek niewypowiedzianej hipokryzji i obłudy tkwi z pewnością w katastrofalnym stanie arsenału pojęciowego ikonografów. Problem ten w mniejszym stopniu dotyczy spornej kwestii grabieży na wykopaliskach, lecz ma daleko bardziej zasadniczy charakter. Niektóre z wizerunków przedstawionych na ceramice nie chcą się dopasować do kunsztownie – lub nawet sztucznie – zbudowanego obrazu świata wierzeń cywilizacji Majów. Wizerunki takie, jak przedstawiony tutaj, kryją w sobie ogromny potencjał wybuchowy i niszczycielski – przyprowadzają uznane autorytety o zawroty głowy, chociaż jednocześnie stanowią nieustanne wyzwanie dla nieskrępowanej myśli.

Naczynie, o którym mowa, opatrzone niepozornym symbolem K0500. Rozwinięcie rysunku na płaszczyźnie przedstawia trzy postacie, idące jedna za drugą, odziane w zdumiewające uniformy. Graficzna wymowa jest na tyle jasna i jednoznaczna, że nawet w oficjalnej interpretacji archeologów chodzi tu o „wojowników z gwiazd”.

Brak dalszego wytłumaczenia. Nie ma dalej żadnego rozsądnego słowa. Najwyraźniej przyjęto założenie, że sprawa ta nie jest poważna.

Zatrzymajmy się jednak przy określeniu „wojownicy z gwiazd”. Ponieważ materii na trafną odpowiedź nie dostarcza nam ani archeologia, ani też epigrafika, jesteśmy w tym wypadku skazani na spekulacje. Głowy trzech istot

zakrywają ciasne hełmy z wąskimi szczelinami wizjerami. Widać przez nie jedynie oczy i nos. Hełmy są ozdobione deseniem w plamki, które przypominają futro jaguara.

Sceptycy przypuszczalnie będą teraz triumfować. Nie są to w żadnym razie „hełmy astronautów”, tylko maski jaguarów. Autor jest jednak zdania, że mamy tu do czynienia z kolejnym perfekcyjnym przykładem błędnie zinterpretowanej technologii! Artysta, żyjący w archaicznych czasach, nie był w stanie zrozumieć technicznych sprzętów, narysował więc to, co w jego przekonaniu widziały jego oczy i co podpowiadała mu pamięć o dawnych mitach i podaniach.

Wiedza Lakandonów

Jednym z licznych, wciąż jeszcze pozostających w użyciu języków Majów jest mowa Lakandonów. Dzisiejsi Lakandoni nazywają swoją mowę terminem *hax t'an*, „prawdziwym językiem”. Z całą pewnością posługiwano się nim już w czasach prekolumbijskich, w klasycznej epoce cywilizacji Majów – brak jednak pewności, na jakim obszarze. Zdaniem kilku archeologów Lakandoni wywodzą się z półwyspu Jukatan, a po hiszpańskim podboju schronili się w rejonie Chiapas, pośród nieprzebytych lasów deszczowych południowego Meksyku. Inni są przekonani, że Lakandoni zawsze żyli w kraju „Selva Lacandona” i byli potomkami arystokracji z Palenque. Jakkolwiek by było, dzisiejsza kultura Lakandonów sięga historyczną nicią Ariadny wprost do Palenque oraz do klasycznej epoki w dziejach Majów.

Wiele z tego, co wiemy o kulturach ludów Majów dzięki nielicznym zapiskom i manuskryptom z wczesnych czasów kolonialnych, do dziś jest żywe w przypadku Lakandonów. Co się tyczy przekazów ustnych, znają tylko jedno określenie *tsibal*, „opowiedziane”. W tej kategorii mieszczą się wszystkie podania na temat ich pochodzenia oraz czynów bogów. Oto, co mają do powiedzenia Lakandoni o tzw. wędrownych bogach:

Jak głosi przekaz, wędrowni bogowie, a nawet prawdziwi bogowie przemieniają się w jaguary. Jeśli ich widzisz, nie widzisz człowieka, lecz widzisz jaguara. Mają postać jaguarów.

Ten przekaz w zasadzie jest jednoznaczny. Bogowie przemieniający się w jaguary, którzy wyglądają jak jaguary. Gdyby sami Lakandoni oddawali boską cześć jagurom, porównanie, słówko „jak” byłoby całkowicie zbędne.

...jedynie bardzo rzadko widzujemy w puszczy prawdziwe jaguary. Jeśli go zobaczysz, zabijasz go.

Indiański gawędziarz dokonał też dokładnego rozgraniczenia.

Jeśli zobaczysz wiele jaguarów, wielkich jaguarów, to nie masz przed oczyma prawdziwych jaguarów. Są to wędrowni bogowie, są to władcy tęczy, którzy zstąpili tu do dżungli. Tutaj się włóczą, tutaj wędrują po lasach. Nigdy nie zobaczysz wędrownego boga pod postacią człowieka, zawsze widzisz go jako jaguara. Wyglądają dokładnie tak jak jaguary, lecz nie są jaguarami. Są jak ludzie, lecz nie wyglądają jak ludzie.

Bogowie, którzy są jak ludzie, lecz przybierają postać wielkich jaguarów? Czy przybysze spoza Ziemi budzili taki lęk i wyglądali tak groźnie jak jaguary? Tylko na marginesie wypada zauważyć, że Lakandoni ochrzcili jednego ze swoich bogów imieniem Kassán-holkán, co znaczy „strażnik niebiańskich wrót”. „Motywy nawiązujące do jaguara” na hełmach „wojowników z gwiazd” z naczynia K0500 w żadnym razie nie są sprzeczne z interpretacją w duchu hipotezy archeo-SETI. Pozaziemski kontekst podtrzymują również „kulty cargo”, wyznawane przez pierwotne ludy po kontaktach ze znacznie wyżej rozwiniętymi cywilizacjami – dla przykładu pilotów samolotów postrzegano jako istoty boskie. Ma to również duże znaczenie.

Władcy tęczy

Gdyby „hermetyczne” hełmy stanowiły jedyną przesłankę, nie marnowałbym nawet jednego słowa na naczynie K0500. Ciała namalowanych postaci tkwią w przylegających do skóry „uniformach”, zbliżonych do dzisiejszych skafandrów do nurkowania. Pierwowzorami emblematów w miejscach dłoni mogły być symbole rangi. Jeśli z drugiej strony chodzi tu o przypadkowe wizualne podobieństwo, to co, na wszystkie skarby świata, trzymają w dłoniach „gwiazdni wojownicy”? Czy mamy do czynienia z pochodniami? Nieznanym źródłem światła? Bronią? Jeśli przypatrzeć się dokładnie, to zębate „płonące przybory” nie są trzymane w dłoniach, lecz wychodzą bezpośrednio z przedramion! Pochodnie można wykluczyć z całkowitą pewnością, ponieważ środkowa postać trzyma ten obiekt w wyprostowanej ręce skierowanej do dołu. Przytoczmy tu raz jeszcze, w celu porównania, ustny przekaz Lakandonów:

Podanie głosi, że władcy tęczy [wędrowni bogowie – przyp. aut.] podpalają szlak, kiedy wędrują przez puszcze. (...) To jest ich szlak, który podpalają i który potem płonie. Widzimy potem ich drogę we wszystkich kolorach.

Bogowie podpalają szlak, którym wędrują! Czy to osobliwe sformułowanie ma oznaczać, że bogów otacza jakaś nieznaną (?) poświata, dzięki czemu

powstaje ekscytujący tok myślenia, który zdaje się pasować do rysunku na naczyniu K0500?

Wytwory ludzkiej wyobraźni są zawsze realizowane za pośrednictwem czegoś, co już istnieje albo w odniesieniu do czego istnieją powody, by wierzyć, że to istnieje. Nie przedstawiam żadnej konkretnej propozycji rozwiązania i nie zamierzam nadmiernie nadwerężyć sprawdzonych koncepcji hipotezy archeo-SETI, lecz te motywy z rysunku aż się proszą o wyjaśnienie nawiązujące do błędnie pojętej technologii. Jeśli przyznamy, że dostrzegamy techniczne atrybuty, to z pewnością nie zostały one właściwie zrozumiane przez artystów z dawnych czasów.

Trzymając się ściśle reguły, że nie może istnieć to, czego się nie zna, o naczyniu K0500 – o czym już napomknąłem – nie znajdziemy żadnej wzmianki w wielkich, klasycznych dziełach poświęconych ceramice cywilizacji Majów. Śmiałą hipotezę, podobną do tu przedstawionej, można jednak zmienić lub nawet obalić. Na tym polega jej fascynujący walor.

Rudolf Eckhardt

Tulúm – zagadkowa twierdza Majów

Zstępujący bóg

W odległości paru godzin jazdy samochodem od Cancúnu, turystycznej metropolii na półwyspie Yucatan, położone są ruiny Tulúm. Cudowna plaża, zapraszająca do kąpieli, oraz przybojowa fala, jaka rozbija się o przybrzeżne skały, na których stoją ruiny świątyni, sprawiają, że Tulúm stało się jednym z najbardziej pożądaných fotograficznych motywów w kraju Majów. Lecz także z archeologicznej perspektywy patrząc, Tulúm ma sporo do zaoferowania – a nawet jeszcze coś ponadto.

Tulúm, cel pielgrzymek

Nazwę „Tulúm”, która oznacza „mur”, miasto zyskało od muru, wysokiego na 5 metrów, z dobudowanymi wieżami strażniczymi, który osłaniał przed zagrożeniami z zewnątrz świątynny kompleks długości 380 metrów i szerokości 165 metrów. W czasach antycznych wejście do środka zapewniała wyłącznie wąska szczelina w ścianie z kamienia, przez którą mógł przecisnąć się tylko jeden człowiek. Tulúm, na którego wieżach prawdopodobnie dniem i nocą płonęły sygnalizacyjne ognie, było jedynym miastem usytuowanym nad morzem, wyposażonym w tego rodzaju fortyfikacje. Dawni Majowie swoje miasto określali jednak mianem „Zamá”. Termin ten pochodzi od słowa „zamal”, czyli jutrzienka. Wydaje się prawdopodobne, że miasto to zostało tak nazwane przez jego budowniczych ze względu na położenie nad brzegiem Morza Karaibskiego oraz zorientowania w kierunku wschodnim.

Na pierwszej steli w mieście można znaleźć najwcześniejszą wzmiankę o osadzie z podaniem daty. Wskazuje ona na rok 9.16.10.0 kalendarza Majów, co po przeliczeniu daje 564 rok n.e. Przypuszcza się jednak, że ten kamienny obelisk służący za kalendarz pochodzi z innej miejscowości, prawdopodobnie położonego w pobliżu satelickiego wobec Tulúm miasta Tancah.

Oficjalnie uznaje się, że początki miasta sięgają 1000 roku n.e., a zatem czasów wczesnej epoki postklasycznej (1000–1200 n.e.). Od około 1200 roku Tulúm stało się jednym z najbardziej znaczących centrów religijnych i astronomicznych, z którego przewożono pielgrzymów na wyspę Cozumel. Cozumel, dawna „Ah-cu-zmil”, „kraj jaskółek”, była celem pielgrzymek i miejscem kultu Ix-Chel. Ta bogini płodności była bóstwem chroniącym porody, patronką medycyny oraz tkactwa.

Ciągnącymi się wiele kilometrów brukowanymi traktami pielgrzymowali Majowie z miast Chichén Itzá, Cobá, Yaxuná i Uxmal do Tulúm, by stamtąd udać się drogą morską na Cozumel. Chociaż archeolodzy odmawiają Majom wiedzy o zastosowaniu koła, trakty wybrukowane ciętą na kostkę skałą i dodatkowo pokryte jasną, odporną na pogodę powłoką, zdają się istnymi autostradami. Indiańską metropolię Cobá łączy z miastem Yaxuná jedyny w swoim rodzaju gościniec szerokości 10 metrów¹. Dlaczego te drogi zbudowano wielkim nakładem sił na taką skałę, to tylko jedna z zagadek, które wciąż czekają na rozwiązanie.



Tulúm, miasto „zstępujących bogów”.

W Tulúm zamieszkiwali potomkowie budowniczych na długo przed konkwistą – do 1554 roku. Trzydzieści sześć lat wcześniej, w roku 1518, w Tulúm wylądowała hiszpańska ekspedycja admirała Juana de Grijalvy, która przedtem odkryła również wyspę Cozumel. Po tym, jak zdobywcy ujrzeli białą świątynię i wieże na skałach wybrzeża, nazwali miasto „wielkim Kairem” i przyrównali połyskujący pałac do wspaniałości Sewilli, do tego stopnia poruszeni byli pięknem konturów budowli. Jak wieść niesie, Juan de Grijalva, zdjęty trwogą, nie wkroczył do miasta. Kroniki podają również, że mieszkańcy Tulúm mieli być ludożercami: co wiązało się ze składaniem ofiar z ludzi, które z religijnych pobudek przyprowadzono do bogów; dla Hiszpanów wcale nie było to nazbyt odpychającą myślą. Być może lęk przed kanibalami oraz potężne mury zniechęciły niespecjalnie przecieź wrażliwych konkwistadorów do przypuszczenia szturm na Tulúm. Flota popłynęła dalej. Nie da się również wykluczyć, że prawdopodobnie już w 1511 roku rozbitkowie Geronimo de Aguilar i Gonzalo Guerero widzieli tę osadę, kiedy jako niewolników zawieziono ich na wyspę Cozumel.

Podczas gdy w okresie rozkwitu miasta zwykli mieszkańcy udawali się do pracy poza mury, polityczne i ceremonialne życie grodu rozgrywało się wewnątrz umocnień. Jeszcze dziś w tym ufortyfikowanym ośrodku władzy wielokondygnacyjne budowle świadczą o dawnej świetności panującej kasty: „el Castillo”, „el templo de Dios Descendente” (świątynia Zstępującego Boga), „el templo de los frescos (świątynia fresków), „casa de cenote” (dom ofiarnej studni) czy „el templo de la serie” (świątynia najwcześniejszych lat).

Zstępujący bogowie

W świątyni Zstępującego Boga, wzniesionej na miejscu starszej budowli, znajduje się wykonany ze stiuku wizerunek bóstwa imieniem Itzamná. Bóg ten, spotykany w Tulúm niemal na każdym kroku, ma skrzydła przyczepione do ramion i barków, ma też ptasi ogon: jednoznaczne atrybuty wskazujące na umiejętność latania. Z rozpostartymi ramionami, brzuchem do dołu bóstwo szybuje w kierunku ziemi. Na innych budowlach również można podziwiać wielobarwne wizerunki tego bóstwa opadającego w dół. Niekiedy jego postać otoczona jest tworamami przypominającymi przewody, jakie znamy ze zdjęć współczesnych kosmonautów wychodzących w przestrzeń kosmiczną. We wnętrzu głównej świątyni znajduje się kilka pomieszczeń, których ściany zdobią freski. Malowidło przedstawia, co wydaje się logiczne, niebieski

firmament, przecięty przez orbitę planety Wenus, oświetlonej położonym w oddali Słońcem; między nimi umieszczono podobiznę świętego węża^{2, 3}.

Prób wyjaśnienia, jakie znaczenie niesie ze sobą to bóstwo Majów z półwyspu Jukatan, jest bez liku. Niektóre dostrzegają w nim lecącą w dół pszczołę, inne z kolei uznają to za opadającą gwiazdę wieczorną (Wenus) albo za chylące się ku zachodowi słońce. W miejscu, które wzięło nazwę od zorzy porannej, nie ma to oczywiście większego sensu. W jakim celu najważniejszą świątynię miasta poświęcono by zachodzącemu słońcu? Kim lub czym jest zatem Itzamná?

W języku Majów Itzamná znaczy tyle, co „rosa z nieba” lub „dom rosy”. Według legendy Itzamná osobiście założył miasto Itzamal (miasto na wzgórzu), które usytuowane jest na niezbyt odległym przedłużeniu traktu wiodącego z Tulúm do Chichén Itzá na północy Jukatanu.



„Zstępujący bogowie” z Tulúm.

Peter Fiebag w książce *Götterplan*⁴ (Boski plan) wskazuje na fakt, że Itzamná jest przypisywany najstarszej generacji bogów i prawdopodobnie jest tożsamy z bogiem-stwórcą. Inskrypcje obwieszczają, że Itzamná przybył ze sfery gwiazd, z otchłani wszechświata – ze wschodniej strony nieba. Po

wizycie złożonej na Ziemi ponownie wstąpił do niebios. Zatem hieroglify odnoszące się do boga Itzamny mówią także o zjawiskach astronomicznych oraz o ciałach niebieskich. Po swojej „śmierci” bóg niebios – lub raczej to, co z niego pozostało po „odlocie” – został podzielony na trzy części i pochowany pod wzgórzami otaczającymi Itzamal. Na wzgórzach wzniesiono monumentalne świątynie. Najważniejszą z nich jest Kinich-kakmó – „świątynia ptaka-Słońca z ognistym obliczem”. Wydaje się niezrozumiałe, dlaczego archeolodzy przywiązują tak małą wagę do Itzamal i nie podjęli tam prac wykopaliskowych na większą skalę, chociaż osada ta musiała należeć do najświętszych miast Majów.

Zejście Itzamny na Ziemię, niczego innego bowiem nie może przedstawić stiukowy wizerunek z Tulúm, przypominają jeszcze dziś pokazy akrobatów *volador*⁵. Ci „latający ludzie” z Meksyku także i w Tulúm przyczepiają się linami do wysokich masztów, a następnie kręcą piruety głową w dół, dokładnie tak, jak czynili to ich przodkowie, dla symbolicznego przypomnienia niezwykłego wydarzenia.

W ujęciu mitologii Majów Itzamná był małżonkiem Ix-Chel, tej bogini, której poświęcona była wyspa Cozumel, położona opodal Tulúm. Podobnie jak liczne miejsca kultów starożytnego Egiptu, święte osady Tulúm i Cozumel były miejscami, w których oddawano cześć boskim małżeńskim parom. Czy również tutaj, jak w dalekim kraju piramid, istniały obrzędy, które nakazywały w określonej porze wysłać barkę z wizerunkiem Zstępującego Boga do jego niebiańskiej małżonki?

Jeśli stanie się przed *castillo* oraz obiema świątyniami po jego lewej i prawej stronie, można dostrzec niewielkie szczeliny w tylnej ścianie skierowanej ku morzu. Przeznaczenie dwóch takich niewielkich otworów udało się odgadnąć dopiero niedawno. Jeśli ustawi się światło przed szczelinami w grubych ścianach, pojawią się dwie smugi światła, które krzyżują się na zewnątrz nad morzem. Punkt skrzyżowania świetlnych smug dokładnie wyznacza miejsce, w którym statki mogą ominąć bezpiecznie rafy. Znaczenie innych świetlnych szczelin nie zostało jeszcze odgadnięte. Czy służyły one także – jak te w obserwatorium w Chichén Itzá – do zaznaczania określonych zdarzeń astronomicznych? Do obserwacji chwili rozpoczęcia astronomicznej wiosny lub jesieni albo do śledzenia orbity świętej dla Majów planety Wenus? A jak ma się rzecz z niewielką świątynią oznaczoną numerem 45, w której znajduje się szczelina skierowana ku południowej stronie świata? Po przeciwległej stronie, nad wejściem, widnieje pewien symbol. Czy to jedynie przypadek, czy też powinno się w określonej porze kierować światło gwiazdy na ten symbol? Jakie znaczenie ma gra światła, jakiemu celowi służy? Czy kapłani musieli

koniecznie informować rolników, że nadchodzi pora siewu albo żniw? Rolnicy kierowali się zupełnie innymi przesłankami w pracach polowych niż zrównanie nocy i dnia. Co zatem chcieli osiągnąć budowniczo, świadomie kierując smugi światła? Czy zamierzali przypominać przyszłym pokoleniom, wołając: „Patrzcie, dzisiaj, tego dnia, powstałem, by stać się jednością z kosmosem” lub „Patrzcie, dzisiaj, tego dnia, zstąpiłem z niezmiernych otchłani kosmosu”?

Przejdźmy teraz do ostatniej kwestii związanej z zagadkowymi ruinami Tulúm. Majowie budowali swoje miasta na półwyspie Jukatan zawsze w pobliżu okrągłych otworów z wodą, podobnych do studni, tzw. *cenote*, jakie powstały w rezultacie zawalenia stropów jaskiń⁶. Nie dziwi zatem, że również w Tulúm znajduje się dojście do takiego silnie rozgałęzionego poziomego zbiornika wody: *casa de cenote*, czyli „dom ofiarnej studni”.

Pod koniec 1996 roku ruszyła ekspedycja⁷, która miała spenetrować ten drugi co do wielkości na świecie system podwodnych jaskiń, wchodząc przez studnię w Tulúm. W ciągu wielu tygodni nurkowie przedzierali się przez groty i pieczary, zawsze na skraju wyczerpania, niekiedy na granicy życia i śmierci. Badano nowe gatunki zwierząt oraz ustanowiono nowe rekordy nurkowania w jaskiniach. Potem, pewnego dnia, w pobliżu podziemnej rzeki z ciemności wyłoniły się potężne stalagmity i stalaktyty. Świadczyły o czasach, kiedy było tam sucho, kiedy woda nie zasilala systemu podziemnych cieków. Czy również z tamtego okresu pochodził szkielet, jaki odkryli członkowie ekspedycji i którego wiek oszacowano na blisko 10 000 lat – na okres, kiedy na tych ziemiach mieszkali jeszcze proto-Majowie? Co sprawiło, że człowiek ten szukał tu schronienia? Czy były to te same powody, które zmusiły mieszkańców Derinkuyu w Anatolii do budowy rozległych miast w jaskiniach? Czy może była to jedynie ciekawość i pęd do poznawania otoczenia, być może w trakcie poszukiwania świata podziemi lub zaświatów?

Turyści znają Tulúm bardziej dzięki jego bajecznemu położeniu nad morzem, a w mniejszym stopniu z uwagi na związane z nim archeologiczne zagadki, które być może uda się rozwiązać dopiero wtedy, kiedy skierujemy wzrok ku gwiazdnym konstelacjom.

doktor Karl Grün

Pacal i Czerwona Planeta

Co stało się z Marsem 1 000 000 lat temu?

Król miasta-państwa Majów stanowił ludzkie wcielenie bogów na naszej planecie. Jednym z takich monarchów był Pacal II, wielki władca Palenque w VII wieku n.e. Wyprowadzał swoje pochodzenie bezpośrednio od gwiazdnego bóstwa, które w nauce o Majach oznaczone jest symbolem G III. Jako pośrednik między bogami a ludźmi przypisywał sobie umiejętność nawiązywania kontaktu z nadnaturalnymi siłami wszechświata¹.

Tajemnicza data

Nieznany indiański autor zachodniej tablicy z hieroglifami w „świątyni inskrypcji” w Palenque, pod którą znajduje się krypta grobowa Pacala, przekazuje nam „baśniowe” przeliczenie odległości w czasie, według miary Majów. W języku mezoamerykańskich Indian tego regionu dystans ten wynosił odpowiednio 7 calabtunów, 18 pictunów, 2 baktuny, 9 katunów, 2 tuny oraz dokładnie jeden dzień (kin). Taki właśnie przedział czasu miał oddzielać intronizację pierwotnego boga-stwórcy, którego hieroglif odnoszący się do imienia kojarzony jest z planetą Mars, od wprowadzenia na tenże królewski tron Pacala II 29 lutego 615 roku n.e. Czas dzielący od siebie oba te wydarzenia odpowiadał w przeliczeniu 455 393 761 dniom.

Jak dotąd nie zdołano odkryć racjonalnych przesłanek kryjących się za tą groteskową kalendarzową arytmetyką, jednak uzyskany wynik jest jak najbardziej prawdziwy. By móc to wykazać, musimy najpierw wyjaśnić bardzo skomplikowany system mierzenia upływu czasu, jaki stanowi jedno z najbardziej zdumiewających intelektualnych osiągnięć cywilizacji Majów. Z jednej strony dysponowali kalendarzem, którego roczny cykl obejmował 365 dni, z drugiej zaś posługiwali się innym, opartym na cyklu 260 dni.



Palenque. (fot. J. Fiebag)

Poza tym istniała jeszcze „długa rachuba” (albo lata najwcześniejsze), która rozpoczynała się mniej więcej przed 5000 lat. Nie popadaj, czytelniku, w rozpacz, jeśli przy pierwszym czytaniu nie ogarniesz wszystkich powiązań; matematycy Majów przypuszczalnie nie opanowali swojego kalendarza w ciągu jednego dnia.

Każda data „starej rachuby” obejmuje następujące jednostkowe moduły: *baktun*, który składa się z 40 x 60 dni, *k’atun*, jednostki liczącej 20 x 360 dni, *tun*, modułu złożonego z 360 dni, *uinal*, który obejmuje 30 dni. Do tego dochodzi jeszcze pojedynczy dzień, który nosi nazwę *kin*. Ponieważ takie rachowanie upływu czasu musiało być bardzo skomplikowane dla Majów, odmierzali oni czas do chwili podboju przez Hiszpanów za pomocą tzw. krótkiej rachuby, którą określa się jako obroty kalendarza (odpowiada to z grubsza naszemu wiekowi). Obrót kalendarza składa się z jednego cyklu obejmującego 52 lata².

Wstąpienie na tron Pacała miało miejsce 5 lamat 1 Mol, 29.7.615. Datę tę Majowie zapisali, posługując się cyklem 52-letnim. Jeśli od tej daty odejmiemy 455 393 761 dni, to otrzymamy w rezultacie 1 manik 10 Zec, dokładnie odpowiadający inskrypcji pozostawionej dla bóstwa, a wykorzystującej mieszany kalendarz oparty na roku liczącym 260 dni (*tzolkin*) i 365 dni (*haab*). Przeskakujemy w czasie dystans przekraczający 1 246 826 lat. Słownie: jeden milion dwieście czterdzieści sześć tysięcy osiemset dwadzieścia sześć lat! Być może jednak nie chodzi tu o relacje w czasie, lecz w przestrzeni, oraz o podanie odległości do Marsa.

Z pewnością posunęlibyśmy się zbyt daleko, penetrując wspólnie ze wszystkimi bogami Majów wszelkie zakamarki ich nieba. Dużo bardziej zasadnicze znaczenie miałyby rzucenie odrobiny światła na „poboczne zajęcia” kapłanów: dla przykładu na astronomię, która naturalnie miała ściśle związki z astrologią. Także wówczas przepowiednie wysnuwane na podstawie znaków zodiaku były bez porównania wyżej cenione przez prosty lud niż trzeźwe obliczanie toru planetarnych orbit. Dzisiaj wystarczy otworzyć pierwszą z brzegu bulwarową gazetę, by przekonać się, że człowiek w istocie nie zmienił się, mimo ogromnego postępu technicznego, od czasów, kiedy w kraju Majów w trakcie religijnej ekstazy przez język lub penisa przewlekano paciorki z zagiętym haczykiem.

Bogowie i astronomowie

Astronomowie Majów, którzy podliczali dni istnienia ich świata jak drogocenne diamenty, doskonale znali prawa i reguły mechaniki nieba; byli też rachmistrzami co się zowie! Oto przykład. Dzisiaj przeliczenia z długich liczb dni na obroty kalendarza przeprowadza się z szybkością błyskawicy za pomocą komputerów. Jednak już kieszonkowy kalkulator ma za małą pamięć, by liczyć cykle obejmujące calabtuny, gdyż są to wartości złożone z ośmiu cyfr (1 *calabtun* = 160 000 x 360 dni). Co oczywiste, za pomocą tablic przeliczeniowych problem ten da się również rozwiązać stosunkowo szybko, w ciągu około jednej minuty. Bez sięgnięcia po ten trik, opierając się wyłącznie na wyjściowych wzorach, musiałbym, ogarnięty rozpaczą, zajmować się tym rachunkowym problemem nieskończenie długo, obliczając monstrualne kolumny liczb bazujące na arytmetyce Majów w systemie dwudziestkowym.

(Obliczenia te nie opierają się na jednostce równej 10, lecz na systemie dwudziestkowym)³.

Jak jednak da się konkretnie wytłumaczyć powiązanie Pacała z planetą Mars za pośrednictwem gwiazdnego bóstwa? To, co wydaje się arytmetyczną lub czysto astrologiczną igraszką, musi nakłonić nas do przeanalizowania astronomicznych podstaw wyliczenia daty jego wstąpienia na tron.

Dobry program komputerowy do astronomicznych obliczeń pozwala stwierdzić, że dzień 29 lipca 615 roku n.e. zbiegał się z pierwszym stacjonarnym punktem w liczącym 780 dni synodycznym cyklu Marsa. Obserwować należało rozdzielenie między prostym i wstecznym ruchem planety względem gwiazdnego tła. Za pomocą czasu synodycznego obiegu wyznacza się czas do następnego przyjęcia przez dane ciało niebieskie tej samej pozycji względem Słońca i Ziemi, to znaczy w przypadku planet przedział czasu, jaki upływa między dwiema opozycjami. W przeciwieństwie do tego okres obiegu syderecznego nawiązuje do następujących po sobie takich samych pozycji w odniesieniu do położenia gwiazd stałych na niebieskim firmamencie. Data intronizacji Pacała II – taki wniosek da się sformułować z dużym prawdopodobieństwem – została określona świadomie i celowo na podstawie obserwacji nieba. By uniknąć jakichkolwiek nieporozumień: „pomoc spoza Ziemi” nie była w tym przypadku absolutnie konieczna. O tyle, o ile wydarzenie to dało się przedstawić w liczbowo wyrafinowanej formie, bez odwoływania do niedającej się zweryfikować astrologii.

Czy – ujmując to wprost – gwiazdy przyjęły odpowiednią dla koronacji pozycję, przy której „nie mogło zdarzyć się nic niepożądanego”? Jak już wcześniej wspomniano, w dzisiejszej astrologii ogromne znaczenie mają, jak zresztą i dawniej, tzw. aspekty, którym to terminem określa się układ planet. Aspekty są odpowiedzialne za schodzenie się ze sobą korzystnych i niekorzystnych wpływów na indywidualne losy. Lecz nawet jeśli na to pytanie da się odpowiedzieć definitywnie – niektóre glify zostały odczytane z całkowitą pewnością, inne tylko częściowo – to moim zdaniem wciąż brakuje odpowiedzi na zasadniczą kwestię. Z jakiego powodu wyliczono precyzyjnie 455 393 761 dni? Co oczywiste, Pacał pragnął podeprzeć swoje roszczenia do władzy, wyprowadzając własne pochodzenie od pradawnych bóstw. Co jednak wydarzyło się w naszym układzie planetarnym przed ponad 1 246 826 laty?

Naturalną kolejną rzeczą spekulowanie jest elementem naukowych intryg. Jako sceptyk z naukowym wykształceniem oraz jako umiarkowany przedstawiciel hipotezy archeo-SETI (hipotezy paleo-SETI) powstrzymuję się

świadomie od przesadnie naciąganych domysłów, zaczynam spekulować dopiero wtedy, kiedy niezbite fakty leżą na stole. W tym konkretnym przypadku profesjonalny komputer o dużej mocy obliczeniowej musiałby sprawdzić, czy planeta Mars owego dnia, z taką skrupulatnością zdefiniowanego przez astronomów cywilizacji Majów w bardzo odległej przeszłości, odpowiadała jakiejś specyficznej konstelacji w stosunku do Ziemi. By uprzędzić mylne wyobrażenia: jesteśmy o krok od domysłu o fikcyjnych wyliczeniach Majów. Ale z drugiej strony poprawność innych dat do tego stopnia przemawia sama za siebie i znaczy tak wiele, że obiektywne badanie tego zjawiska wskazuje na prawdziwe granice rzeczywistej wiedzy astronomicznej Majów albo przekazuje informację o dniu, kiedy prawdopodobnie doszło de facto do kontaktu z pozaziemską inteligencją.

Lubującym się w spekulowaniu przedstawicielom teorii o starożytnych astronautach pozostawiam swobodę decyzji, czy wziąć pod rozwagę powyższe przemyślenie.

Tylko nieliczne epokowe odkrycia bazowały na bardziej wątpliwej podstawie. W tym przypadku jednakże mamy do czynienia po raz pierwszy, w kontekście gwiazdnego bóstwa, ze wskazaniem maksymalnie precyzyjnej daty, która obejmuje astronomiczny przedział czasu.

Jakkolwiek by było – już samo istnienie obliczenia różnicy czasowej, jakie jest dziełem Majów, nasuwa pytania. Przedstawmy tu ziemską skalę tego wyliczenia. *Homo erectus* (pitekantrop) dopiero przemierzał rozległe stopy Afryki Wschodniej, kiedy pradawny kosmiczny bóg Majów został wprowadzony na urząd. Co skłoniło Pacala do umieszczenia na frontowej ścianie monumentu do tego stopnia szczegółowych i znaczących napisów odnoszących się do dziejów dynastii? Ten sam bóg pojawia się także w inskrypcjach z Naranjo. Tam z kolei przypisuje mu się rolę nadnaturalnego przodka i funkcję nauczyciela (!). Zatem to nie gorliwość, z jaką królowie Majów pragnęli wzmocnić prawowity charakter swoich roszczeń do władzy, lecz być może również przesłanki z obszaru współczesnej astronomii każą nam myśleć o „posłannictwie bogów”.

Rudolf Eckhardt

Bep-Kororoti – przybysz z gwiazd?

Podania i wyplatane z łyka stroje pierwotnych ludów Brazylii potwierdzają treść mitów Indian Kayapó

W książce *Aussat und Kosmos* (Siew a kosmos), wydanej w 1972, Erich von Däniken przedstawił po raz pierwszy mit o Bepa-Kororoti. W legendzie tej, będącej tworem zamieszkałych w Brazylii Indian z plemienia Kayapó, ważną rolę odgrywają rytualny taniec oraz wyplatany z łyka strój w zdumiewającym stopniu przypominający skafander kosmonauty. Mit opowiedziany przez von Dänikena przedstawia odzianą w ten strój postać imieniem Bep-Kororoti jako „przybysza z niebios”¹.

Krytycy tej interpretacji w duchu hipotezy paleo-SETI wysuwali m.in. zarzuty, jakoby współcześni Indianie Kayapó, wyplatając ten strój z łyka, czerpali inspirację z dzisiejszych kosmicznych skafandrów. Takie stroje członkowie tego brazylijskiego plemienia pierwotnych Indian – którzy już od dziesięcioleci mają luźny kontakt z tak zwaną nowoczesną cywilizacją – mogli zobaczyć w czasopiśmie, gazetach codziennych czy w telewizji. Ten punkt krytyki da się jednak obalić w sposób całkiem oczywisty.



Il. 1. Bep-Kororoti. Indianin z plemienia Kayapó w wyplatany z łyka stroju, bardzo przypominającym skafander kosmonauty. (archiwum E. von Dänikena)

Wyplatane stroje Indian Bakairi

Już w 1884 roku etnolog Karl von den Steinen² w trakcie ekspedycji wiodącej przez środkową Brazylię sfotografował u Indian Bakairi podobny strój, który znajdował się w jednej z chat, chociaż nieco już wystrzępiony i znoszony (patrz il. 2). Nie zdołał jednak uwiecznić na zdjęciu należącego do stroju nakrycia głowy; trzy obiekty po lewej i prawej stronie są elementami innych tanecznych ubiorów. Indianie Bakairi poinformowali Karla von den Steinena, że strój ten jest przez nich nazywany *kualóhe* („dom”), natomiast stosowne nakrycie głowy to „dom głowy”. Opowiedzieli też, że w taki strój „wchodzi się” przez otwór na szyję, którego obwód wynosi 1,5 metra, po czym ubiór dopasowuje się za pomocą specjalnego powrozu owijanego dookoła ciała. Część stanowiącą nakrycie głowy nakłada się osobno, zakrywa ona całą głowę. Do wyplatania tego rodzaju stroju Indianie Bakairi używali wysuszonych liści palm, podobnie jak czynią to członkowie plemienia Kayapó.



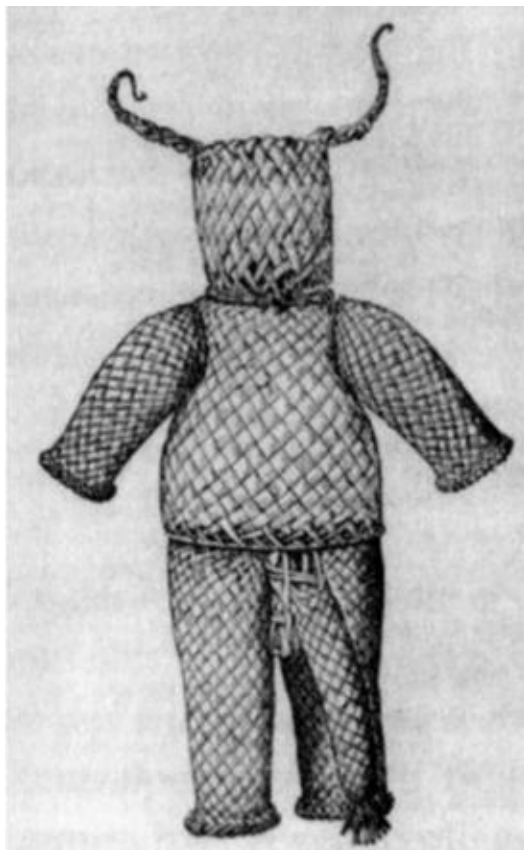
Il. 2. Wyplatany strój Indian Bakairi; zdjęcie wykonane w 1884 roku przez etnologa Karla von Steinena. (archiwum G. Ermel)

Indianie Bakairi wiedzieli, że ten strój został sprowadzony na ziemię przez niebiańskiego krzewiciela kultury i cywilizacji imieniem Keri. Członkowie

tego szczepu sięgali pamięcią do bardzo odległych czasów, kiedy miała jakoby istnieć bliska więź między mieszkańcami niebios a ludem zasiedlającym Ziemię. Pewnego dnia goście z niebios oddalili się ze swoim, najwyraźniej mobilnym, „niebiańskim światem”, wówczas usytuowanym blisko Ziemi, gdzieś daleko w bezmiar wszechświata.

Krzewiciele kultury plemion Kauá i Karajá

Na początku XX wieku etnolog Teodor Koch-Grünberg³ podczas badawczych podróży również natrafił na „spodnium”, jak sam to nazwał, tym razem w górnym biegu brazylijskiej rzeki Rio Negro u Indian Kauá. Zdaniem Kocha-Grünberga był to rytualny strój, który odróżniał się zdecydowanie od wszystkich pozostałych tanecznych ubiorów; „jedyna w swoim rodzaju maska”, która miała przedstawiać krzewiciela kultury. Według opisu etnologa strój wpleciono z łyka, wraz z nogawicami, tak by okrywał całe ciało, wliczając w to dodatkowe nakrycie na głowę, które członkowie plemienia Kauá wyposażyli ponadto w okrągłe, pomalowane na czarno wokół otworów na oczy. Tancerz nakładał sobie na głowę i na szyję to podobne do hełmu nakrycie, przedstawiające kulturowego herosa. W 1909 roku Koch-Grünberg napisał, że „powstanie tego stroju nie było wcale rezultatem wpływów europejskich, ponieważ tego rodzaju ubiory z nogawkami odkryto także wśród innych dziewiczych plemion w rejonie źródeł rzeki Xingu”. Tę ważną wskazówkę Koch-Grünberg odnosi do udokumentowanego w 1884 roku przez Karla von den Steinena wyplatane stroju Indian Bakairi; ponieważ jednak ten pierwszy opisuje plemiona zamieszkałe u źródeł rzeki Xingu w liczbie mnogiej, musiał być mu znany co najmniej jeszcze jeden osiadły tam szczep, który miał podobny rytualny ubiór. Być może byli to Indianie Kayapó – którzy przecież, podobnie jak Bakairi, zamieszkiwali w rejonie źródeł rzeki Xingu. Co więcej, Koch-Grünberg w swoim dziele *Zwei Jahre unter den Indianern* (Dwa lata pośród Indian), wydanym w latach 1909–1910, wskazuje w jednym z przypisów na to, że także etnolog Paul Ehrenreich u plemienia Karajá, „rybackiego ludu” ze środkowej Brazylii, odnalazł wyplatany z łyka strój z nogawicami.



Il. 3. Paul Ehrenreich opublikował rysunek takiego wyplatanego z łyka stroju Indian ze szczepu Karajá. (fot. P. Ehrenreich, archiwum G. Ermel)

Według Indian z terenów nad górnym biegiem Rio Negro pierwsze takie stroje nosili krzewiciele ich kultury, którzy chodzili po ziemi w zamierzchłych czasach i pełnili rolę nauczycieli. Mieszkali wówczas w „kamiennych domach”, jak relacjonują Indianie Kauá, z których wychodzili odziani w takie właśnie ubiory. Podróżowali też po kraju; wszędzie, gdzie dotarli, spotyka się tańce z maskami, które ich właśnie przedstawiają – imitują. Później, według relacji Indian znad Rio Negro zdanej Kochowi-Grünbergowi, owi nauczyciele, którzy nauczyli ludzi m.in. uprawy roli, odlecieli z powrotem ku niebiosom.

W przekonaniu członków szczepu Kauá owi przybysze wciąż jeszcze chadzają po ziemi, odziani w swoje osobliwe ubiory.

Te mity o niejednorodnym pochodzeniu, mówiące o dziwnym stroju są ze sobą nadzwyczaj zgodne w kwestii zasadniczej. Ubiór ten widziano na jednym lub wielu krzewicielach kultury i cywilizacji, którzy – jak wierzono – „zstąpili z niebios”. Owi nauczyciele przekazali Indianom wiedzę, jak choćby o uprawie roli, później zaś powrócili „do nieba”.

Mity Indian Kayapó

O niczym innym nie opowiadają mity Kayapó. Indianie z tego plemienia od 1954 do 1970 roku (z przerwą) zamieszkałemu pośród Kayapó badaczowi kultur i ludów Antonowi Lukeschowi⁴, prowadzącemu tam badania etnologiczne, zdawali relację o tym, że także ich Bep-Kororoti udał się „do nieba”, gdzie, w co wierzą, żyje po dziś dzień. Zamieszkaną sferę w „niebiosach” nie stanowi dla Indian Kayapó w żadnym razie osobliwego wyobrażenia, wiedzą bowiem o tym, że ich przodkowie w dawno minionych czasach zamieszkiwali w niebieskich przestworzach świat podobny do Ziemi. Część z nich przeniosła się potem na naszą planetę, po tym jak odkryto „Ziemie na dole” (naszą planetę właśnie). Ponieważ spodobała się ludziom, postanowiono „zstąpić z niebios”. Nie wszyscy, którzy pragnęli się przenieść, zdołali tego dokonać, opowiadali dalej Lukeschowi członkowie plemienia Kayapó, i musieli pozostać w swojej starej ojczyźnie, ponieważ w trakcie „przeprowadzki” doszło do awarii, która uniemożliwiła dalsze „schodzenie na dół”. Potomkowie tych, którzy pozostali, wciąż mają zamieszkiwać tamten niebiański świat.

Jeszcze większej pikanterii temu ustnemu przekazowi nadaje obecny w nim motyw, według którego Bep-Kororoti dotarł nie tylko do tego niebiańskiego świata, ale także do innego, znanego jako miejsce, gdzie jest obfitość pokarmu, które również usytuowane jest w górze, w niebiańskich przestworzach. Stamtąd właśnie zstąpił Bep-Kororoti, składając drugą wizytę na Ziemi, później natomiast w gościnę do szczepu Kayapó przybyła jego córka. Wyszła za mąż za jednego z członków tego plemienia i powiła mu dzieci. Gdy zdarzyła się klęska głodu, ta niebiańska małżonka uleciała w górę ku niebu, a gdy powróciła, przywiozła ze sobą wiele owoców i roślin, m.in. tak ważne dla Brazylii, stanowiące podstawowy pokarm bulwy manioku. Kayapó wiedzą do dzisiaj, że to córka Bep-Kororoti pokazała im po raz pierwszy, jak się karczuje ogniem ziemię (gospodarka żarowa) oraz nauczyła ich sadzenia i uprawy pierwszych niebiańskich bulw⁵.

Przedstawione tu obszernie brazylijskie mity o krzewicielach kultury i nauczycielach rodem z nieba stanowią jedynie wierzchołek góry lodowej. Książka ta rozrosłaby się nadmiernie, gdybyśmy wspomnieli tu o wszystkich przypadkach potwierdzających omawianą hipotezę. Ten wpleciony z łyka lub suchych liści pełny strój, w tak zdumiewającym stopniu podobny do kosmicznego skafandra – odkryty u licznych indiańskich plemion – świetnie pasuje do obrazu, jaki kreują pradawne podania i przekazy. Przedmiot ten w oczywisty sposób imituje zakrywający całe ciało kombinezon, jaki po raz

pierwszy widziano na jednym lub wielu niebiańskich nauczycielach, którzy później powrócili „do nieba”. W tym kontekście nie ulega wątpliwości, że ten wyplatany strój stanowi niewątpliwie preastronautyczny zabytek.

Członkowie plemion pozostający na pierwotnym, z punktu widzenia technologii, poziomie rozwoju, z ochotą imitują przedmioty – oraz sposoby zachowania – jakie zaobserwowali u przedstawicieli cywilizacji nawiązującej z nimi kontakt – najczęściej znacznie górującej nad nimi technicznie. Mamy z tym do czynienia również i dzisiaj. Etnolog doktor Herbert Baldus⁶, goszczący w 1947 roku wśród Indian zamieszkujących centralne obszary Brazylii, spotkał małą dziewczynkę, na której twarzy, oprócz czarnego wzoru rozpoznawczego jej szczepu, widniał ponadto zupełnie ewidentny element makijażu typowego dla kobiet białej rasy: pomalowane na czerwono usta! Na podobnej zasadzie u Indian Kaingang z południa Brazylii duży słomkowy kapelusz, który dotarł do tego pierwotnego ludu dzięki kontaktom z białym człowiekiem, jest dzisiaj symbolem męskiej płci, noszonym nieustannie od wczesnych lat dzieciństwa aż do śmierci. Tym samym przedmiot ten przejął rolę szpikulca przekłuwającego wargi, który u innych plemion noszony jest jako symbol męskości. Z punktu widzenia badacza paleo-SETI nasuwa się w tym miejscu dalsze pytanie, jaki był powód noszenia szpikulca przechodzącego na wylot przez wargi? Członkowie brazylijskiego szczepu Karajá mieli jakoby zobaczyć coś takiego po raz pierwszy u swojego krzewiciela kultury i cywilizacji, który nauczył ich uprawiać kukurydzę, maniok i ananasy...

Wniosek: występujące na obszarze Brazylii indiańskie mity, maski do tańca, rytualne przedmioty, ceremonialne tańce itd. z całą pewnością zawierają elementy układanki nawiązującej jednoznacznie do sfery preastronautyki. Wyplatany z łyka lub liści strój Indian Kayapó natomiast w żadnej mierze nie został zainspirowany widokiem współczesnych kosmicznych skafandrów, co ewidentnie potwierdzają egzemplarze takiego ubioru odkryte już w XIX wieku (np. w 1884 roku). Jak głoszą przekazy, strój taki nosili przybysze, którzy zeszli „z nieba” i później tam właśnie powrócili. Nasza przeszłość także w Brazylii wydaje się o wiele bardziej fantastyczna, niż starają się przekonać nas o tym podręczniki historii.

Gisela Ermel

VI. Zagadkowa Azja

Tajemniczy system rur – zbudowany przez ET?

Redakcja pisma „Sagenhafte Zeiten” w numerze 4 z 2002 roku opublikowała budzące sensację doniesienie. Jego tytuł brzmiał *Pozaziemska budowla w Chinach*. Obiekt wysokości około 60 metrów miał znajdować się w położonej na zachodzie Państwa Środka prowincji Qinghai i mieścić system pieczar, w których znajdowały się pradawne, pokryte rdzą przedmioty, obrobione kamienie oraz rury. Oprócz tego przekazy z zamierzchłych czasów opowiadają o wieży startowej przybyszów spoza Ziemi, jaka tu właśnie miała się znajdować. Czy w przypadku tej informacji kolejny raz chodzi o jedno z tych doniesień z Chin, których ostatecznie nie da się zweryfikować?

Fakty

Dotychczas znane są następujące fakty. Oficjalna witryna internetowa agencji Sinhua podała 25 czerwca 2002 roku, że w czerwcu 2002 roku do prowincji Qinghai udała się grupa dziewięciu chińskich naukowców z zamiarem dokonania na miejscu dokładnych oględzin znaleziska, jakie mogło być pozostałością po istotach spoza Ziemi. Podkreślono przy tym wyraźnie, iż w tym przypadku naukowcy po raz pierwszy poważnie przestudiują tę teorię, do której nawiązują w szczególności rdzenni mieszkańcy tego regionu (obszary

przygraniczne między Mongolią a Tybetem). Tajemnicza lokalizacja, ochrzczona mianem „reliktu ET”, znajduje się w pobliżu górskiego masywu Baigong, który wychodzi z Kotliny Cajdamskiej w rejonie oddalonego o około 40 kilometrów na południe miasta Delingha.

Po północnej stronie masywu Baigong znajdują się dwa jeziora, nazywane „jeziorami żywych”. Te dwa bliźniacze akwenty mają pewną osobliwą cechę: jedno z nich ma świeżą, słodką wodę, drugie natomiast jest słone. Tak zwana struktura ET znajduje się przy południowym brzegu słonego jeziora. Niczym piramida sterczy tam z ziemi potężny obiekt – przypuszczalnie sztucznego pochodzenia. Na jego froncie znajdują się trzy grotty o trójkątnych wejściach. Największa jest środkowa pieczara; jej posadzka umieszczona jest na wysokości 2 metrów, strop wznosi się na wysokość 8 metrów, natomiast jej średnica wynosi około 6 metrów. We wnętrzu tej pieczary znajduje się rura, przecięta na pół, o średnicy 40 centymetrów, która wychodzi z sufitu i biegnie do wewnętrznego końca grotty. Inna rura wychodzi bezpośrednio z posadzki i jest widoczna tylko częściowo. Powyżej pieczary znajduje się jeszcze z tuzin kolejnych rur o zróżnicowanej średnicy (od 10 do 40 centymetrów), które są wsunięte w masyw piramidalnej budowli. Obiekt ten świadczy o wysokim poziomie techniki montażu. Wszystkie rury mają barwę czerwonawobrunatną podobnie jak otaczająca je skała. Pieczara sprawia wrażenie wyżłobionej przez inteligentne istoty, ponieważ jej posadzka pokryta jest czystym piaskiem.



Jedna z tajemniczych rur w pobliżu bliźniaczych jezior. (z lewej)
Wejście do środkowej pieczary. (z prawej)

Dwie mniejsze jaskinie zawaliły się i dlatego nie da się obecnie do nich wejść. W otoczeniu trzech pieczar, a także na brzegu słonego jeziora znajduje się duża liczba przerdzewiałych elementów, rur o różnej średnicy oraz osobliwie ukształtowanych kamieni. Niektóre z rur biegną precyzyjnie w kierunku wschód–zachód i wchodzą do wody jeziora, odległego o blisko 80

metrów. Część z nich ma przekrój tylko od 2 do 4,5 centymetra i osobliwe kształty. Niektóre rurki są cienkie jak wykałaczki, a mimo to wciąż nie zatkały się mimo upływu tak długiego czasu. Jeszcze bardziej dziwaczne jest to, że widać tu również rurki, które biegną w wodzie jeziora, nieco poniżej powierzchni zwierciadła wody.

Analiza materiałowa

Jak podaje Qin Jianwen, kierownik wydziału kontaktów społecznych samorządu miasta Delingha, przeprowadzono już chemiczne analizy pokrytych rdzą, prastarych materiałów. Wyniki są zdumiewające. Badane obiekty zawierają 30% tlenku żelaza, duże ilości dwutlenku krzemu oraz tlenku potasu. W przypadku 8% próbek składu surowcowego nie dało się zidentyfikować. „Wysoka zawartość dwutlenku krzemu i tlenku potasu może być wyłącznie rezultatem długotrwałego wzajemnego oddziaływania na siebie żelaza i piaskowca”, oświadczył inżynier Liu Shaolin, który uczestniczył w analizach chemicznych. „Takie wyniki przydają całej sprawie tajemniczości”, skomentował Qin Jianwen.

Obszar, na którym znajduje się osobliwe znalezisko, jest niemal bezludny. Nie ma tam wcale obiektów przemysłowych. W tym surowym klimacie na północ od gór, gdzie powietrze jest rozrzedzone i bardzo przejrzyste, żyją wyłącznie nieliczni nomadowie. Według Qin Jianwena wysuwane są przypuszczenia, że istoty pozaziemskie urządziły tu lądowisko, ponieważ okolica nadaje się idealnie do prowadzenia obserwacji astronomicznych.

I rzeczywiście, w odległości 70 kilometrów od tego zagadkowego miejsca znajduje się dziś Górskie Obserwatorium Chińskiej Akademii Nauk. Wydaje się, że zatrudnieni tam astronomowie również zostali poinformowani o pradawnym znalezisku, ponieważ Yang Ji, badacz z tegoż obserwatorium, miał wypowiedzieć się na ten temat następująco: „Hipoteza o pozaziemskich reliktach jest ze wszech miar zrozumiała i warta bliższego rozważenia. Naukowe podejście wymaga bowiem dowodu zarówno na to, co jest prawdą, jak i na to, co jest fałszem”. Teraz zatem należy odczekać i przekonać się, czy i kiedy zostaną opublikowane wyniki prac ekspedycji. Jak dotąd nie ujawniono nawet nazwisk naukowców uczestniczących w tym przedsięwzięciu.

Peter Fiebag

Piramidy w Państwie Środka

Podróż do chińskich zagadek

Pod koniec września 1999 roku nasza mała czteroosobowa grupa podróżników, w której skład wchodziła moja żona, dwaj inżynierowie budowlani, Bierl i Fürnrieder, i ja, wyruszyła do państwa piramid. Lecz naszym celem nie był Egipt, tylko Chiny, w których zbudowano więcej piramid niż w kraju nad Nilem. Blisko setka pokrywa obszar położony między wielkimi miastami Xi'an i Xianyang. Jednak nawet w samej Chińskiej Republice Ludowej o istnieniu tych budowli przez długi czas nie wiedział niemal nikt, ponieważ są one położone na obszarze zamkniętych stref wojskowych albo na terenach usytuowanych z dala od uczęszczanych szlaków komunikacyjnych.



Piramida, grobowiec chińskiego cesarza. (fot. H. Hausdorf)

Piramidy: zjawisko o charakterze globalnym

W październiku dotarliśmy do celu naszej podróży: Qufu. W mieście tym znajdują się liczne turystyczne atrakcje, jak choćby świątynia Konfucjusza oraz miejsce, w którym mieszkał, odkryty w 1970 roku grobowiec cesarza z dynastii Ming czy udostępniona do zwiedzania w 1997 roku, licząca 3000 lat krypta grobowa z czasów dynastii Zhou (XI wiek–256 rok p.n.e.). W nas jednak prawdziwe emocje wzbudził dopiero widok piramidy Shao-Hao, syna legendarnego Żółtego Cesarza Huang Di (2697–2598 p.n.e.)

Już rok wcześniej złożyłem wizytę w rejonie tego stanowiska archeologicznego, lecz zdołałem znaleźć jedynie nieliczne źródła pisane odnoszące się do tej robiącej wrażenie piramidy. Tym razem towarzyszyła nam specjalnie przydzielona przewodniczka, pani Yue, za której pośrednictwem uzyskaliśmy dodatkowe informacje. Wzniesiona z kamienia piramida poświęcona była cesarzowi Shao-Hao (żył na przełomie XXVII i XXVI wieku

p.n.e.). Nieco na północny wschód od piramidy położone jest wzniesienie usypane z ziemi: grobowy kopiec (kurhan) legendarnego władcy Huang Di.

Po dotarciu do strefy wykopalisk zwiedzający musi najpierw przejść przez park ze stawem, na którego brzegach stoją dwa gigantyczne kamienne monumenty. Wzniesione na odrębnych cokółach paradują tu monumentalne żółwie, jakich nie spotka się nigdzie indziej na świecie. Można tu nawet mówić o archetypicznym wzorcu żółwia, który ma cechy smoka. Szacunkowy ciężar jednej takiej rzeźby, wraz z bardzo wysoką stelą pamiątkową, jaką figura dźwiga na grzbiecie, może sięgać prawie 300 ton. Łączna wysokość tego dzieła sztuki, stanowiącego część rezydencji z epoki północnej dynastii Song (X wiek), wynosi 16,9 metra. Dalej podąża się w kierunku piramidy. Zanim dojdzie się do parku, w którym wznosi się piramida, trzeba jednak przejść przez liczne dziedzińce oraz niewielkie sale.

W trakcie trzeciej podróży do Chin postanowiłem zmierzyć rozliczne budowle w formie piramidy. Nasza niewielka ekipa przystąpiła zatem do sporządzania dokumentacji. Całkowita wysokość piramidy wynosi 18 metrów, długość boku po skosie 15,2 metra, kąt wzniesienia 38 stopni, długość podstawy 28 metrów; górna platforma ma wymiary 9,55 na 9,50 metra. Grubość warstwy kamienia wynosi przy cokole 65 centymetrów i zmniejsza się ku górze do 40 centymetrów; szerokość pojedynczych kamiennych bloków wynosi 50 centymetrów.

Na szczycie piramidy zbudowano platformę – co przypomina technikę budowy w Ameryce Środkowej. Świątynia wzniesiona z naturalnego kamienia spoczywa na cokole złożonym z 10 000 kamieni, które sięgają do podstawy piramidy. Podobnie jak w przypadku piramid kultury Teotihuacán, Majów czy Azteków, starożytni chińscy architekci wznosili budowle na takiej właśnie platformie. Czy był to jedynie zbieg okoliczności?

Kamiennej piramidy Shao-Hao nie wzniesiono jednak za życia tego cesarza, lecz dopiero 3500 lat później, przypuszczalnie w 1111 roku n.e., w epoce północnej dynastii Song (960–1127 n.e.).

W jej wnętrzu umieszczono kamienny posąg cesarza Shao-Hao w pozycji siedzącej, odnaleziony w pobliżu piramidy. Figura ta do złudzenia przypomina wyglądem ogromny posąg siedzącego na tronie egipskiego faraona Cheopsa (2545–2520 p.n.e.). Władca ten panował w okresie Starego Państwa, kiedy piramidy wznoszono także w Egipcie. Moim zdaniem jest to bardzo interesujący aspekt, który pobudził mnie do przemyśleń o charakterze zasadniczym. Jakim sposobem na określonym etapie cywilizacyjnego rozwoju człowieka tak zróżnicowane kręgi kulturowe rozwinęły te same idee z obszaru architektury i sztuki? Potencjalnie trafne są dwie odpowiedzi.

Pragnienie wzniesienia budowli w formie piramidy jest poniekąd „przypisane z góry” człowiekowi i przybiera kształt zawsze wtedy, kiedy powstają budowlano-techniczne warunki do wznoszenia takich struktur. Równocześnie z tą ideą musi istnieć koncepcja mitologiczno-religijno-astronomiczna, która zostanie przeniesiona na budowle w formie piramidy i przez jakiś czas pozostanie obowiązująca dla całej kultury. Mimo to zadają sobie pytanie, jaki dający się logicznie uzasadnić mechanizm warunkuje taki sposób postępowania człowieka.

Druga próba wyjaśnienia piramid jako zjawiska o charakterze globalnym odnosi się do transferu idei, jaki miałyby miejsce na wczesnym etapie formowania wysoko rozwiniętych cywilizacji, a którego istnienia nikt do tej pory nawet nie przeczuwał. Co przemawia za takim podejściem? Czy to nie osobliwe, że miasto cesarza Shao-Hao nosi nazwę Qufu? Wymowa tego słowa jest w zasadzie identyczna z wymową imienia egipskiego faraona Chufu (Chufuichnum). Grecka forma tego imienia brzmi Cheops. Temu właśnie władcy egiptologicznej przypisują ufundowanie największej piramidy w Gizie pod Kairem. Jej budowa rzeczywiście trwała niemal w tym samym czasie co wznoszenie piramid w Chinach. Wiemy, że 2500 lat po zbudowaniu piramid istniały kontakty między rzymskim imperium a Chinami dynastii Han. Istniała też, na co są dowody, wymiana towarów oraz idei z wykorzystaniem najsłynniejszego szlaku handlowego w dziejach świata, mierzącego 6500 kilometrów długości Jedwabnego Szlaku. Handlowano złotem, szkłem i jedwabem¹. Jak dotąd nie udało się potwierdzić znacznie wcześniejszych kontaktów i jest to zadanie dla przyszłych pokoleń archeologów.

Czy jednak nie było możliwe, że odpowiedzialni za „projekt piramidy” w Egipcie są tymi samymi, którzy – bez względu na przyczyny – kierowali też podobnym projektem w Chinach? Kiedy około 2600 roku p.n.e. cesarz Shao-Hao, syn Żółtego Cesarza, który władał Państwem Środka, również uważał siebie za syna bogów – dokładnie tak jak jego kolega na tronie państwa nad Nilem.

Warto też przyjrzeć się bliżej postaci Shao-Hao. Na pradziejach Chin przez długie tysiąclecia odciskała piętno stagnacja rozwojowa świata epoki kamiennej. Pierwszymi epokami, jakie zapisały się w zbiorowej pamięci Chińczyków, są legendarna era przeddynastyczna oraz czasy pierwszych królewskich dynastii. Wspomnienia te sięgają po III tysiąclecie p.n.e. Przekazy mówiące o nagłych początkach cywilizacji i państwa – podobnie jak w przypadku licznych innych kultur – są powiązane z pradawnymi herosami oraz protoplastami cesarzy. Według źródeł pisanych pochodzących z późniejszego czasu owi legendarni cesarze mieli żyć w latach 2852–2205 p.n.e.

Pierwszym herosem cywilizacji był Fuxi, który nauczył ludzi polowania, łowienia ryb oraz sztuki udomawiania zwierząt. Sennong (Shen-Nung) był boskim rolnikiem, który sprowadził ze sobą radło i przekazał wiedzę o uprawie prosa. Trzeci w kolejności zjawił się Żółty Cesarz Huang Di (Huang-ti). Wpoił ludziom umiejętność korzystania z kalendarza, lepienia garnków, budowy domów z drewna oraz użycia środków transportu, pokazał im też broń, służącą do obrony^{2, 3}.

W chińskim eposie *Księga gór i morza* znajdziemy bardziej dokładne informacje o Shao-Hao, synu Huang Di i następcach. „Potomkami Shao-Hao byli ludzie z jednym okiem pośrodku czoła. Shao-hao narodził się na wielkiej gwiazdzie pod postacią tęczy, jaka wzniosła się nad jego matką. Ponadto Shao-Hao jest tym, któremu przypisuje się wynalezienie łuku i strzał”.

Następcą Shao-Hao był cesarz Zhuan Xu. To on oddzielił ludzi od bogów oraz Niebo od Ziemi. Na tych opowieściach opiera się też teza, że w przypadku wszystkich 30 władców dynastii Shang (za wyjątkiem pierwszego) drugi znak ich imienia reprezentował jeden z 10 niebiańskich rodów (*tian-zau*), od których mieli się jakoby wywodzić (w co sami wierzyli). Ten „boski mandat” (*tianming*) przypisywali również wszyscy następcy dynastii Zhou (od XI stulecia n.e.) i przybierali imię *tianzi*, czyli Syn Niebios⁴.

Przez długi czas historycy traktowali tego rodzaju przekazy jako mity w czystej postaci. Lecz w ostatnim właśnie czasie okazało się, że relacje opisujące „złoty wiek” dają się po części potwierdzić dzięki znaleziskom archeologicznym. Dynastia Xia (XXI–XVI wiek p.n.e.), uznawana do tej pory za legendarną i znana wyłącznie ze znacznie młodszych źródeł pisanych, okazała się tożsama z kulturą Erlitou. Przekazy ustne opisują bardzo trafnie np. wynalezienie brązu w tej właśnie epoce⁵. Nie da się zatem wykluczyć, że także ustna tradycja o charakterze „bosko-niebiańskim” zostanie potwierdzona niezbitymi faktami historycznymi.

Moim zdaniem możemy tu natrafić na kolejny okruczek mozaiki przedstawiającej obraz ludzkości na wczesnym etapie rozwoju, który w pełni pokrywa się z założeniami badań paleo-SETI. Poza tym chińskim władcom tamtej epoki przypisywano bardzo długi żywot. Ojciec i syn, Huang Di i Shao-Hao mieli żyć i panować po blisko 100 lat. Jeszcze dzisiaj miejsce urodzin ojca, oddalone zaledwie o 50 metrów od piramidy Shao-Hao, mające postać ziemnego kopca, jest nazywane „pagórkem długowieczności”.

Wiedza chińskich budowniczych piramid była niemal identyczna ze sztuką architektów działających w Egipcie; na fakt ten zwrócili już uwagę Peter Krassa i Hartwig Hausdorf^{6,7}. W rozmowie z profesorem Wangiem

Shipingiem, którą obaj autorzy przeprowadzili w mieście Xi'an w 1994 roku w Chinach, chiński uczoney ujawnił fakt, że na zamkniętym obszarze odległym o 30 kilometrów od Xi'anu również odkryto piramidy. Boki jednej z nich są zwrócone dokładnie w cztery strony świata, co wymagało gruntownej wiedzy o kulistym kształcie Ziemi oraz rozłożeniu na niej lądowych masywów. Do identycznej konkluzji doszli badacze zajmujący się piramidą Cheopsa. Chiński archeolog o uznanym autorytecie przedstawia ponadto podgląd, że piramidy zostały zorientowane ku określonym gwiazdom, przy czym wykorzystano reguły pradawnej nauki feng shui. Bazuje ona na świętych zasadach geometrii. Te same zasady zastosowano także przy wznoszeniu piramid w Egipcie, chociaż wymaga to jeszcze potwierdzenia dalszymi obliczeniami. Podobnie jak piramidę Cheopsa także mauzoleum Shao-Hao zbudowano zgodnie z regułą „złotego podziału”.

Być może istniały nie tylko kontakty transkontynentalne między kulturami chińską i egipską, ale również transoceaniczne z ludami Ameryki Środkowej? Podczas pierwszej podróży do Chin, którą odbyłem w 1994 roku wspólnie z pisarzem Hartwigiem Hausdorfem, nasz oficjalny chiński towarzysz, Xiong Wei, z wykształcenia archeolog, wskazywał, niejako „z urzędu”, na powiązania między grobowcami cesarzy a piramidami w Meksyku. Ponieważ początkowo paralele te wydawały się niewiarygodne nawet przedstawicielom prasy zagranicznej w Chinach, zatrudnionym w redakcji wydawnictwa China Today, po opublikowaniu mojej relacji w 1996 roku reporterzy ci skontaktowali się ponownie z Xiong Weiem, który jednoznacznie potwierdził tę wersję⁸.

Co budzi zdumienie, istnieją nie tylko silne wizualne podobieństwa między piramidami. W dziele *Shan Hai Jin* (Góry i jeziora), powstałym za panowania dynastii Shang (XVII–XI wiek p.n.e.), opisana jest historia rodu Shang. Kronikarze wzmiankują też w nim, że przodkowie królewskiego rodu, z którego wywodził się cesarz Shao-Hao (urodzony około 2600 roku p.n.e.), zamieszkiwali w odległości ponad 10 000 li (1 li = 500 metrów) na wschód od prowincji Shandong. W tym miejscu na mapie znajdziemy Meksyk. Osobliwe wydaje się również, że znaki rodowe dynastii Shang są niezwykle podobne do symboli starożytnego Meksyku. Chodzi o słońce i różne gatunki ptaków. Wprawdzie przy porównaniu tych kulturowych monumentów pojawia się luka w czasie rządu 1000 lat, lecz najwcześniejsze z dotychczas odkrytych mezoamerykańskich piramid, będących schedą po Olmekach, są datowane bezspornie na około 1500 lat p.n.e. W końcu jednak zagadki istnieją po to, żeby je rozwiązywać.

Budowle dynastii Han

Trasa naszej podróży poprowadziła nas dalej do piramid w rejonie miast Xi'an i Xianyang. Oprócz dwóch piramid z epoki dynastii Zhou, która zasiadała na tronie przed 3000 lat, w pozostałych 12, wzniesionych z cegieł z gliny, pochowano cesarzy zachodniej dynastii Han. Działo się to od 206 roku p.n.e. do mniej więcej początku naszej ery. Obie piramidy z czasów dynastii Zhou mierzą blisko 15 metrów wysokości. W jednej z nich pochowano doczesne szczątki słynnego do dziś cesarza Wuwanga. Jego przodkiem, a zarazem protoplastą całej dynastii Zhou miał być jakoby Huang Di, Żółty Cesarz. Co oczywiste, jego następcy nie tylko przejęli od niego i jego syna monarszą godność i tytuł *huangdi* (boski władca), ale także ideę budowania piramid.

Młodsze piramidy z epoki Han są usytuowane na północ oraz południe południowy zachód od miast Xi'an i Xianyang, rozdzielone Rzeką Białą, bocznym dopływem Rzeki Żółtej. Pierwszą piramidą, na jaką natrafiliśmy, był grobowiec cesarza Huan Di (74–49 p.n.e.). Jest położona na południe od Xi'anu i mierzy 25 metrów wysokości. Ponieważ pochodzi z późnego okresu zachodniej dynastii Han, wciąż zachowała cudownie zarysowaną formę piramidy. Jak wszystkie inne mauzolea, które odwiedzamy, ta również nie ma wierzchołka, lecz małą platformę na szczycie.

Kto zatrzyma się w rejonie Xi'anu i Xianjangu, musi rzecz jasna zobaczyć także interesujące świątynie buddyjskie i taoistyczne. Rozciąga się stamtąd, jak choćby ze świątyni Caotang si, cudowny widok na dolinę Rzeki Białej. Potem jednak znów pociągnęło nas ku piramidom. Maoling to kolejna imponująca piramida grobowiec z czasów dynastii Han, którą wzniesiono dla cesarza Wudi (141–87 p.n.e.). Wysokość budowli z glinianych cegieł określiliśmy dokładnie na 46,5 metra. Platforma u góry na rozmiary 39,5 na 35,5 metra, sumaryczna długość kwadratowej podstawy wynosi 240 metrów.

Następnego dnia zbadaliśmy i zmierzaliśmy dalsze piramidy dynastii Han. Ich boczne kąty wynoszą od 25 do 35 stopni, co odpowiada w przybliżeniu nachyleniu ścian bocznych w proporcji $n = 1:2$ do $1:1,5$.

Oprócz 12 piramid cesarzy dynastii Han istnieje kolejny tuzin budowli o formie piramidy, które zbudowano dla uczczenia ich żon oraz dzieci. Piramidy cesarzowych mają wysokość od 15 do 20 metrów. W pobliżu jednego tylko grobowca cesarza Anlinga naliczyłem aż dziewięć małych i średniej wielkości mauzoleów piramid.

Naszą ostatnią piramidą była Yangling. W tym sztucznym wzgórzu pochowano w 141 roku p.n.e. cesarza Jing Di. Podczas robót ziemnych

związanych z budową trasy szybkiego ruchu archeolodzy zyskali sposobność przeprowadzenia prac wykopaliskowych. W 90 rowach, jakie wykopano w rejonie piramid, znaleźli cenne dary grobowe. Do dziś udało się wykopać ponad 700 figurek z gliny krytych barwną polichromią (czerwień, błękit i brąz). Wszystkie odsłonięte posążki mają indywidualne rysy twarzy i przedstawiają wojowników, jeźdźców, szlachciców oraz służących, którzy mieli pozostawać do dyspozycji władcy także na tamtym świecie. Figurki wielkości około 50 centymetrów były częściowo owinięte w jedwab, jednak niemal wszystkie nie mają rąk. Poza tym odkryto figurki zwierząt. Poszczególne grupy posążków leżały ułożone warstwami w dotychczas otwartych 10 grobach, usytuowanych bezpośrednio po bokach grobowca cesarza Yangling. Od dwóch lat te oraz inne skarby (monety, groty strzał, naczynia stołowe z brązu) można oglądać niedaleko piramidy w nowo otwartym muzeum.

Tajemnica wielkiej piramidy

„Groby Słońca” w rejonie Xi’anu i Xianyangu są często ulokowane w grupach po cztery lub pięć i są dzisiaj powoli udostępniane rosnącej liczbie chętnych do ich zwiedzenia. Mnóstwo stoi jednak wciąż prawie niezauważonych w odludnych zakątkach kraju. Ponieważ w przypadku wielu z nich nie przeprowadzono jeszcze żadnych prac wykopaliskowych, można jedynie przypuszczać, że także w ich wnętrzu znajdują się mniejsze lub większe komory. Tu i tam wskazują na to zawalone tarasy. Można się jedynie domyślać, ile archeologicznych skarbów wciąż jest niedostępnych na obszarze licznych i rozległych zamkniętych stref w Państwie Środka.

Ponowne odkrycie kilku ważnych pomników kultury wciąż jest przed nami, podobnie jak otwarcie wielu mauzoleów w kształcie piramid. W tej sytuacji Chiny wciąż pozostają tajemniczym krajem, pełnym zagadek, do którego wyprawa zawsze warta jest zachodu.

Dietmar Schrader

Kopiec grobowy (kurhan) kultury Xi Xia

W 1038 roku n.e. w zachodnich Chinach Li Yuan Hao położył podwaliny pod nową dynastię, która przeszła do historii pod nazwą Xi Xia. Lud Tangutów, złożony z różnych grup etnicznych

wywodzących się z prowincji Qinghai oraz płaskowyżu tybetańskiego, zdobył dominującą pozycję. Przybysze przejmowali stopniowo kulturę i buddyjską naukę Chińczyków Han i ukształtowali nową kulturę, która bujnie rozkwitła.

Ich groby są dzisiaj określane mianem „piramid wschodu”⁹. Te majestatyczne budowle ciągną się na obszarze o powierzchni 50 kilometrów kwadratowych wzdłuż południowych obrzeży górskiego pasma Helan Shan. Do tej pory odkryto dziewięć cesarskich grobowców oraz blisko 270 piramid grobowych wysokich dygnitarzy dworskich. Mają czerwone ściany i pokrywają je zielone dachówki. Zastosowano bramy o wielkich łukach.

Dokładnie w tym regionie, wzdłuż dawnego srebrnego szlaku, który prowadził do Ningxia, jeszcze dziś znajduje się ponad 20 000 ściennych malowideł, dzieł poprzedników państwa Xi Xia. Można dostrzec na nich osobliwe stwory oraz dziwaczne przedmioty, częstym motywem są wizerunki gwiazd. Szczególnie interesująca jest głowa z dużymi okrągłymi oczami i aureolą. „Jednym z najbardziej zdumiewających rysunków jest postać, która wygląda jak przybysz spoza Ziemi: ludzka głowa z wystającymi antenami. Wizerunek ten przedstawia, jak się uważa, boga Słońca nomadów z tego regionu”.

Dorje – broń bogów?

Głównym bóstwem wczesnego hinduizmu był bóg Słońca, rzadziej bóg Księżyca. Związana z nimi mitologia w żadnej mierze nie zawiera wątków fatalistycznych. Obiecuje ludziom wolność oraz zwycięstwo. Nic zatem dziwnego, że w przypadku tych bóstw mamy najczęściej do czynienia z bogami wojny, których podobizny przedstawiane są z atrybutami w postaci odpowiedniego oręża. Jedną z najpotężniejszych rodzajów broni jest *dorje*, którą da się porównać z „gromem”, jakim władał grecki bóg Zeus¹. W przypadku tego przedmiotu nasuwa się przypuszczenie, że powstałe wokół niego ceremonialne obrzędy nie są niczym innym jak przejawem kultów cargo².

Kultami cargo nazywamy zachowania ludzi, w których posiadanie trafiają nieoczekiwane przedmioty wytworzone przez cywilizacje bardziej zaawansowane technicznie i których „towary” (angielskie *cargo*) stają się przedmiotem religijnej czci. Ludzie (pierwotni) dochodzą do przekonania, iż przedmioty te są „boskiego” pochodzenia.

Siła dorje

Do dziś zachowało się plastyczne przedstawienie *dorje* w postaci odlewu z brązu. Głównym elementem *dorje* jest trzon w kształcie cylindra lub graniastosłupa, który w środkowej części ma uchwyt w formie walca. Po obu końcach trzonu znajdują się twory, które w dużym stopniu przypominają stylizowane korony. Korony te wykonane są z metalu, któremu nadano kształt symbolicznych płomieni. Ma to być wskazanie na potężną energię emitowaną przez oręż o nazwie *dorje*.

Dzisiaj moc *dorje* odnosi się przede wszystkim do sfery oddziaływania duchowego. Z tego też powodu jest o niezbędnym przedmiotem w licznych rytuałach. Dlatego odnajdujemy *dorje* nie tylko w hinduizmie, ale też w tybetańskim buddyzmie. Tam nie obejdują się bez niego liczne religijne obrzędy

oraz medytacje. Zawsze jednak w kontekście rytuału *dorje* (*varja*) oznacza (duchową) „siłę, moc i rozmnożenie siły po czterokroć”.

Jednocześnie hinduscy kapłani z drawidyjskich świątyń na południu Indii i buddyjscy mnisi z klasztorów w Tybecie i Ladakh zgadzają się co do tego, że niegdysiejszy pierwowzór ich rytualnego przyboru niekoniecznie emanował wyłącznie duchową energią, lecz był w stanie wytworzyć dające się zmierzyć strumienie fizycznej energii – porównywalne do plazmy we wnętrzu akceleratora cząstek elementarnych.

We wczesnej fazie hinduizmu, w okresie inwazji aryjskich plemion przybywających z Azji Wewnętrznej na obszary dzisiejszego Pakistanu oraz Indii, *dorje* uchodziło za oręż boga Indry, króla bogów wedyjskich. Indra był w dużo większym stopniu bohaterem niż władcą. W oczach wyznawców jest spolegliwy i mocarny. Według wedyjskiej mitologii największym wyczynem było zwycięstwo nad Wrytrą, symbolem chaosu, niewiedzy oraz ciemności. Znaczącą rolę w triumfie Indry odegrała *dorje*, niszczycielska broń boga. To zostało zapisane w *Rygwedzie*, najstarszym wedyjskim eposie, powstałym około 1200 roku p.n.e. W eposie tym Wrytrę przedstawiono jako „ogromnego demona”, jako istotę z innego świata, który jest wrogiem wszystkiego, co ziemskie.

Niektóre z komentarzy *Rygwedy* przedstawiają Wrytrę również jako symbol starszego kosmicznego porządku, który został zburzony przez Indrę. W walce przeciwko Wrytrze Indra posługiwał się *dorje*, który to oręż miotał we Wrytrę niszczycielskie pioruny z towarzyszącymi im ogłuszającymi grzmotami i w końcu doprowadził do unicestwienia przeciwnika.



Statua największego istniejącego dorje, z przodu dary wotywnie. (fot. T. Ritter)

Destrukcyjne działanie *dorje* Indry da się porównać z opisanymi w *Mahabharacie*, najstarszym hinduskim eposie, „strzałami niebios”, będącymi w dyspozycji bogów i bohaterów, które zostają wykorzystane w morderczej „bitwie dziesięciorga królów”. *Mahabharata* składa się ze 108 000 dwuwierszy – tym samym jest najdłuższym wierszowanym utworem, jaki powstał w dziejach. Jej najstarsze części pochodzą z IV stulecia p.n.e. Jednak źródła eposu są daleko starsze – niektóre z opowieści znano już około 1000 roku p.n.e. We wczesnych tekstach *Mahabharaty* wielokrotnie pojawia się także Indra, wedyjski bóg Słońce, który w IV wieku p.n.e. nie był już tylko postacią z ludowych podań. W księdze 8 *Mahabharaty* spotykamy następującą relację o użyciu niebiańskich strzał:

Gurkha wystrzelił z pokładu swojej *vimany* niebiańską strzałę na Parhaspur, potrójne miasto. Rozzorzony do białości obłok, po tysiącokroć jaśniejszy niż słońce – unióś się nad równiną i uczynił z miasta zgliszcza i popiół³.

Najnowocześniejsza technika zbrojeniowa

Skutki tych przypominających rakiety salw opisanych jako „strzały niebios” są pod wieloma względami podobne do efektów użycia dzisiejszej broni masowego rażenia. Lecz równie niszczycielskie były opisane w *Rygwedzie* gromy miotane przez *dorje*, jakimi Indra raził Wrytrę. Także i w tym przypadku pojawiają się paralele ze współczesną bronią, jak choćby promieniami cząstek elementarnych czy działami laserowymi, jakie testowano w latach 80. i 90. XX stulecia w ramach programu Gwiezdných Wojen (Star Wars).

Potężna broń „boga” Indry została w jakimś punkcie przeszłości przed tysiącami lat skopiowana przez ludzi, którzy znali niszczycielski potencjał tego oręża, lecz w ewidentny sposób nie rozumieli mechanizmu jego działania. W rezultacie dawna broń stała się elementem religijnych rytuałów hinduizmu, w których decydujące znaczenie przypisywało się ofierze. W późniejszych stuleciach religia buddyjska, z natury raczej miłująca pokój, zaadaptowała atrybut niszczycielskiej mocy Indry i przemieniła w symbol siły i potęgi dający ochronę przed wyższymi mocami. Jako przedmiot rytualny, obdarzany religijną czcią zarówno w hinduizmie, jak i tybetańskim buddyzmie, *dorje* zdobyło i wciąż jeszcze zdobywa Azję. Z urzędzenia, które pierwotnie miało niszczycielski (broń) charakter, stało się religijnym symbolem.

Zauważają to szczególnie goście świątyni Swayumbonadh w dzisiejszym Nepalu. Plan architektoniczny tej świątyni jest na swój sposób jedyny i niepowtarzalny. Na wzgórzu górującym nad współczesnym Katmandu wznoszą się tuż obok siebie buddyjskie stupy i hinduistyczne świątynie. Zbudowano je na tym samym terenie. W ciszy i skupieniu modlą się tu obok siebie buddyjscy mnisi oraz Hindusi – ci pierwsi do twórcy swojej religii, ci drudzy natomiast do licznej rzeszy własnych bogów.

Podczas jednej z moich podróży natrafiłem między licznymi stupami na ogromną rzeźbę przedstawiającą *dorje*. Jest to chyba największa statua, jaka istnieje w całej Azji. Ten posąg *dorje* (*vajra*) jest święty dla wyznawców obu religii. Wizerunek broni wedyjskiego boga Indry jest obdarzany czcią po dzień także przez miłujących pokój buddystów jako symbol mocy i ochrony.

Precyzyjnego sposobu działania *dorje* dzisiaj nikt już nie jest w stanie zrekonstruować – nawet gdyby potrafił czytać ze zrozumieniem wedyjskie manuskrypty spisane na prastarych palmowych liściach. Przekazana opowieść wskazuje jednak, że ten oręż pewnej istoty, postrzeganej jako „bóg”, przed wieloma stuleciami stał się ważnym obiektem religijnego kultu, a na sam koniec stałym elementem rytuałów i obrzędów drugiej co do wielkości religii świata.

Czy istnieje dowód?

Andrew Tomas i Peter Fiebag doszli do wniosku, że wciąż jeszcze może istnieć oryginalne dorje z epoki bogów-astronautów. Tomas⁴ opisuje, jak w trakcie jednej ze swoich podróży po Tybecie i Indiach w latach 40. i 50. XX wieku wielokrotnie słyszał relacje o „powtarzalnym ładowaniu dorje”. Broń ta wytwarzała „jaskrawy blask”, „jarzyła się”, generowała „buczący odgłos” i wytwarzała w otoczeniu „wypełnioną światłością mgłę”. Na początku lat 60. ubiegłego stulecia dwóch radzieckich uczonych miało jakoby zobaczyć na własne oczy oryginalne dorje, a właściwości tego obiektu miały wprowadzić ich w kompletne zdumienie. Peter Fiebag⁵ wysnuwa domysły, że jeden ze świętych przedmiotów jest przechowywany w klasztorze Galdan w pobliżu stolicy Tybetu, Lhasy. Zatem tam właśnie może znajdować się dowód potwierdzający słuszność hipotezy paleo-SETI.

Świątynie i boskie pojazdy w Indiach

Świątynne wieże, kamienne reliefy oraz zagadkowa architektura

Dawna cywilizacja Indii, ustne przekazy z tego obszaru, mitologia – wszystko to od chwili ukazania się pierwszych książek Ericha von Dänikena stanowi ważne elementy hipotezy paleo-SETI. Wyprawa do Indii opłaci się również z całkiem innego powodu – tamtejszych świątyń.

Zachowane do dziś świątynie są bez wątpienia kopiami z kopii na podstawie kopii. Konstrukcja nielicznych z nich sięga wprawdzie okresu między 200 a 500 rokiem p.n.e., lecz wiele z nich wzniesiono dopiero w XVII wieku, całkiem liczne zaś powstały nawet w XVIII i XIX stuleciu. Ma się rozumieć, że również budowanych w czasach nowożytnych hinduskich świątyń dotyczy następująca reguła: zbudowano je według zasad stosowanych od tysięcy lat. W przypadku hinduskich *sthapati* zarówno kapłanom, jak i architektom nie chodziło wyłącznie o zbudowanie „domu”, w którym dałoby się odprawiać religijne nabożeństwa. Świątynie były i są „plastycznym, materialnym wymiarem boga”¹. Co możemy rozumieć pod tymi słowami?

Świątynia Słońca w Konarak

Jak podają indyjskie przekazy, bóg Słońca miał niegdyś zstąpić na Ziemię w latającym rydwanie. To „mitologiczne zdarzenie” zostało uwiecznione w kamieniu w imponującej świątyni w Konarak. W przewodniku turystycznym wydawnictwa Marco Polo znajdziemy krótki i treściwy wpis: „Pośrodku niczego można go dostrzec, mistyczny rydwan boga Słońca, Surji, zaprzężony w siódmkę koni, mknący na 12 kołach”².

Świątynię zbudowano około 1250 roku n.e.; jest to monumentalna budowla (same kamienne koła mają średnicę 3 metrów każde). Lecz monument wcale nie powstał z niczego. Naśladując sakralne reguły sztuki architektonicznej, gmach jest zapewne kopią starszej świątyni, która z kolei stanowiła powielenie jeszcze wcześniejszej budowli.

Niezliczone kamienne płaskorzeźby z niezwykle plastyczną wyrazistością przedstawiają niezmiernie bogactwo seksualnych pozycji. Ale odnajdziemy tu również wizerunki osobliwych chimer, hybrydowych stworów, jakie nie są rezultatem naturalnego procesu ewolucji na niebieskiej planecie.

Jednak czy te kamienie nie pasują do siebie – w wielkim mozaikowym obrazie, złożonym z poszlak i przesłanek? Istnieje święty przekaz w ustnej tradycji, według którego bóg zstąpił z niebios w niebiańskim rydwanie. Ten pojazd z nieba rodem został uwieczniony w kamieniu, stał się świątynią, miejscem, w którym gromadzą się wierni, by podziękować bogu z niebieskich wysokości. Stwory, jakie możemy spotkać również w wizerunkach stworzonych przez Babilończyków i jakie istniały także w starożytnym Egipcie – są „wytworami” bogów, co m.in. stwierdza historyk Euzebiusz z Cezarei.

Cud z Mahabalipuram

Mahabalipuram, położone bezpośrednio nad morzem, było przez długi czas sielankową rybacką osadą i w gruncie rzeczy pozostaje nią do dziś. A mimo to kryje niewiarygodne zagadki, gdyż znajdują się tam świątynne budowle całkowicie zapomniane przez długie stulecia. Są to arcydzieła sztuki architektonicznej, niektóre wykute wprost w skałach, jakie się tu wznoszą. Można tu podziwiać największą płaskorzeźbę na świecie wykutą w stromej skale. Co przedstawia? W tej kwestii naukowcy nie mają wspólnego zdania: „Zejście Gangesu na ziemię”, twierdzą jedni. Inni z kolei sugerują, że to Arjuna, bohater z *Mahabharaty*, odprawia nałożoną na siebie pokutę, dzięki której przekonał bogów, by dali mu do dyspozycji niebiańską broń. Sposób jej działania, jeśli wierzyć *Mahabharacie*, da się porównać z bombami jądrowymi i promieniami laserowymi, a zawarty w dziele opis tego oręża przywodzi skojarzenia z nowoczesną aparaturą zbudowaną przy zastosowaniu wysoko rozwiniętej technologii³.



Ludzie, bogowie, osobliwe mieszańce, jakich nie spotyka się w naturze. (fot. W.-J. Langbein)

Na reliefie tym znajdziemy także wizerunki „bogów” i „baśniowych istot”, w których nietrudno rozpoznać chimery i międzygatunkowe hybrydy. Erich von Däniken jako pierwszy poddał pod dyskusję kwestię historycznego pochodzenia tych antycznych stworów. Dylemat jest zresztą uzasadniony: Czy wizerunki chimery powstały w rezultacie warsztatowych niedociągnięć artystów kamieniarzy? W żadnym razie! Ponieważ obok tych postaci w tym samym kamieniu wykuto choćby sylwetki słoni z takim realizmem, iż można odnieść wrażenie, że te olbrzymie zwierzęta lada chwila wyskoczą ze skały i odejdą w siną dal.

Rzeka, która schodzi z nieba, unoszące się w powietrzu niebiańskie istoty, Arjuna, który prosi bogów o budzącą przerażenie i grozę broń, hybrydy i chimery, które mogły narodzić się jedynie w genetycznych laboratoriach przybyszów z kosmosu, którzy odwiedzili Ziemię w zamierzonych

pradziejach. I raz za razem świątynie: sprowadzony na Ziemię boski latający rydwan, jaki pojawia się w niezliczonych pradawnych świętych księgach Hindusów, opisany z tak niezwykłą precyzją i dokładnością, że w tym przypadku chodzić może wyłącznie o statki kosmiczne, za których pomocą przed tysiącami lat przedstawiciele obcych inteligencji przybyli ze wszechświata na niebieską planetę! Ich latające maszyny znajdujemy w setkach świątyń, wykute w kamieniu; opisane jako statki kosmiczne w eposach, które pierwotną postać przybrały całe tysiąclecia przed rozpoczęciem chrześcijańskiej ery nowożytnej!

Prehistoryczne latające maszyny bogów przybyłych z kosmosu noszą w staroindyjskim przekazie nazwę *vimana*. Jeszcze dziś słowo *vimana* oznacza wieżę, jaka dominuje nad wieloma świątyniami. „Na południu sama wieża jest określana nazwą *vimana*, natomiast zaokrąglony u góry, wieńczący ją kamień to *sikhara* lub *stūpika*, co odpowiada określeniu całej wieży w stylu *nagara*”⁴. Tego rodzaju świątynnych wież widywałem całe setki podczas moich podróży po Indiach, choćby w Bhubaneśwarze. Nad wzniesioną około 750 roku n.e. „małą” świątynią bóstwa Parasurameśwary góruje taka właśnie wieża. Podobnie ma się rzecz w przypadku młodszej o 250 lat świątyni Rajarani w tym samym mieście. Jaki zapis znajdujemy jednak w starożytnym, świętym tekście indyjskim *Natyasastra* z Bharaty? „Świątynie zostały zaprojektowane na wzór niebiańskich pojazdów”.



Wieżę świątynną potężnej sakralnej budowli poświęconej Bryhadiśwarze zwieńcza vimana, wykuty w skale boski pojazd. (fot. W.-J. Langbein)

Jedną z najbardziej imponujących budowli sakralnych, jakie dane mi było zobaczyć na subkontynencie indyjskim, została poświęcona bogu Śiwie, który przed wieloma tysiącami lat przemierzał w latającym aparacie bezkresy nieba nad Indiami. Moim zdaniem chodzi tu o szczególnie piękny przykład uwiecznionego w świętym kamieniu statku kosmicznego: świątynię Bryhadiśwary w zachodniej części miasta Tańdżawur⁵. Potężna budowla jest zorientowana wzdłuż osi południowy wschód–północny wschód. Jeśli wejdzie się do świątyni od południowego wschodu, to najpierw wkracza się do kolumnowego przedsionka wielkiej sali zgromadzeń, potem mija się dziedziniec i w końcu dociera do świątyni. Nad całym sanktuarium góruje wieża o wysokości 74 metrów, nazywana również świątynną piramidą. Na jej szczycie widnieje boski pojazd.

Po siedmiu latach budowy sanktuarium miało zostać ukończone w 1003 roku n.e. – imponujące osiągnięcie. Niemal na cud zakrawa jednak następujący fakt: na wysokości 70 (!) metrów konstrukcję zwieńcza sam boski pojazd. Wykuto go z pojedynczego bloku granitu, jego ciężar wynosi niewiarygodnych

80 ton! Nikt nie jest w stanie logicznie i z sensem wytłumaczyć, w jaki sposób oraz za pomocą jakich środków technicznych umieszczono wtedy niewiarygodnie wielkiego kamiennego kolosa na wysokości, która budzi zawroty głowy...

Walter-Jörg Langbein

Vimany – świątynna zagadka

Vimana, stupa, ratha... Potrafią fascynować nieustannie od nowa. W Indiach istnieją ich niezliczone odmiany i warianty. Świątynie w formie wieży przedstawiają *ratha*. W przekładzie wyraz *ratha* znaczy „niebiańskie miasto”, „dom boga” lub nawet „niebiański statek”¹. Na wierzchołku każdej wieży świątyni typu *ratha* umieszczona jest *vimana*. Słowo to można przełożyć jako „boski pojazd”². Jeszcze dzisiaj w Indiach *viman* oznacza po prostu „samolot”. W przypadku użycia tego słowa chodzi również o specyficzne latające aparaty, za pomocą których bogowie Hindusów przemierzali nieboskłon. W starohinduskim eposie *Mahabharata* możemy przeczytać relacje z dawno minionych czasów, a w wielu miejscach dowiadujemy się o bogach, którzy unosili się w przestworzach w dumnych niebiańskich statkach ze złota, w nich też uczestniczyli w legendarnych bitwach:

Niebiańskie kwiecie, schodziły miękko z aromatem, jaki wypełnił powietrze.
Po bezchmurnym niebie żeglowały w równym szyku jasne niebiańskie rydwany.
(Księga I, rozdział 4)³

Fraza „niebiańskie kwiecie” z pewnością nie odnosi się do naręcza kwiatów. Starożytni Hindusi wiedzieli dokładnie, że to, co widzieli na niebie, nie miało nic wspólnego z naręczami kwiatów. Ale wiedzieli również, że te latające obiekty dadzą się doskonale porównać z opadającym kwieciami i za jego pomocą opisać! Potwierdza to druga zacytowana linijka, w której mowa jest dosłownie o „jasnych niebiańskich rydwanach”, które w równym szyku żeglowały po bezchmurnym niebie.



Wieże znajdują się w licznych sakralnych budowlach Indii. Czy ich forma wywodzi się od latających pojazdów jak DC-X? (fot. K. Kannikeswaram)

Na miedzianej płycie w świątyni Kalaisanathy w Ellura (zachodnie Indie) możemy również przeczytać o *vimanach*, latających rydwanach bogów⁴. W starożytnym tekście, jaki odnaleziono w XII wieku i skopiowano, zatytułowanym *Budhavamin brihat katha shlokasamgraha*, przetłumaczonym w 1908 roku przez Francuza Feliksa Lecote'a czytamy relację:

Rankiem pod bezchmurnym niebem dosłyszeli Askezi dudnienie, które wypełniło powietrze. „Co to było?”, zapytali latającą istotę. „To odgłos bębnów unoszącego się w przestworzach podróżnego, które to bębny znajdują się we wnętrzościach jego wehikułu [bądź też są dołączone do brzucha jego pojazdu], odgłos ten przypomina huk grzmotu. (...) niczym uderzenia bębnów wzdłuż ścieżki na niebie (...)”.

Czy są to po prostu baśniowe czcze wytwory fantazji – pojazdy, które mogą mknąć w przestworzach, wydając przy tym odgłosy niczym gromy; w nich zaś „zamknięci” są podróżni (lub trafniej: pasażerowie)? Ale dalej robi się jeszcze ciekawiej:

(...) otoczone złotym blaskiem wypełniły [pojazdy] dal całego firmamentu, grupa wehikułów, mieniająca się niezwykłym blaskiem różnorodnych klejnotów; potem z bezmiaru niebios pojawili się Askezi. Pojazdy zniżyły lot, Shakravatan trzymał się drzwi swojej pustelni, inni schronili się w rozpadlinach i w górach. Wehikuł najwyższego króla

Vidyaharasów miał postać kwiatu lotosu ozdobionego 26 płatkami, które wykonano z rubinów.

Według indyjskich eposów bogowie mieli rezydować w wielkich miastach na niebieskim firmamencie. Maruna, strażnik kosmicznego ładu, miał zamieszkiwać „w niebie, w złotym pałacu z tysiącem drzwi, otoczonym tysiącem kolumn”. W *Drona Parva* zapisano:

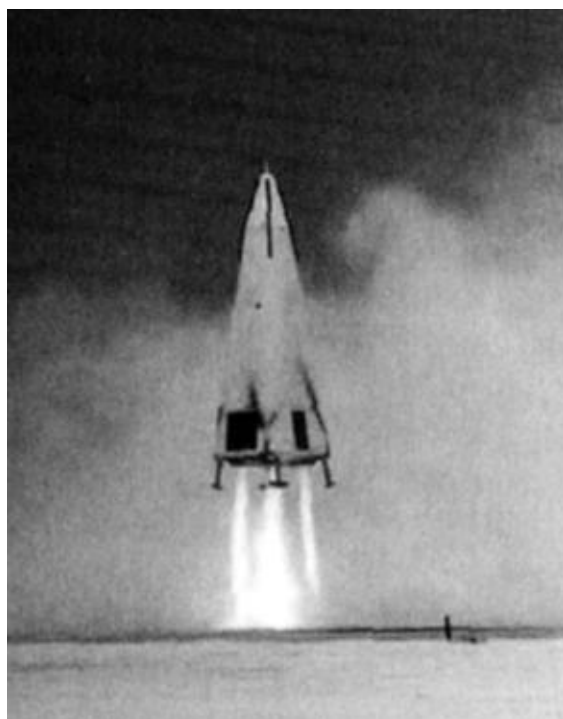
Dawniej Asurowie mieli trzy miasta w niebie. Każde z tych miast było wspaniałe i wielkie. Jedno powstało z żelaza, drugie ze srebra, a trzecie ze złota. Złote miasto należało do Kamalokszy, srebrne do Tarakakshy, a w trzecim, tym z żelaza, władcą był Vidyunmalin. (...) Kiedy jednak trzy miasta zeszyły się na firmamencie (!)...

Autor mówi tu całkiem świadomie o niebieskim firmamencie, nie o niebie, co zresztą daje do zrozumienia Erich von Däniken w swojej książce *Szok po przybyciu bogów*. Dzięki temu znacznie bardziej wiarygodna staje się ewentualność, iż te „latające miasta” mogły istnieć w rzeczywistości. Gdyby była mowa o „niebie”, opis ten można by włożyć między bajki. Tutaj jednak mamy jednoznacznie do czynienia z pojęciem „firmament” – i jest to niezwykle ważka różnica.

Jakim jednakże sposobem dostawali się bogowie z Ziemi do swoich miast (czy, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, kosmicznych habitatów) usytuowanych na ziemskiej orbicie? Z tekstu wynika, że w tym celu posługiwali się *vimanami*. A *rathy*? Czy może były to rampy startowe dla *viman*? Nie sądzę. Albowiem „syn Priyavraty, wielkoduszny król Sakadvipa, pozwolił mi wtedy wznieść w moim kraju dom boga, podobny do boskiego pojazdu”. Można z tego wyciągnąć wniosek, że budowla jako całość przedstawiała boski pojazd, że pałace z wieżami stanowiły odbicie tych latających maszyn. Michael Edwardes w swojej książce *Indian Temples and Palaces* (Indyjskie świątynie i pałace) pisze nawet, że „świątynie stawały się maszynami, które wytwarzały magiczną moc”.

Jaką „magiczną moc”? Być może „moc” unoszenia się w przestworzach? Edwardes pisze dalej: „Koncepcja hinduskich świątyń jako architektonicznych rekonstrukcji miejsca zamieszkania bogów rozwijała się nieustannie (...), wciąż rosnąc ku niebu”. Postulowałbym więc w tym miejscu, żeby pojęcia *ratha* i *vimana* traktować jako konceptualną jedność.

Gdy spojrzeć na zdjęcia planowanych następców kosmicznych promów, pojazdy Delta-Clipper DC-X, na pierwszy rzut oka można uwierzyć, że ma się przed sobą wizerunek *rathy/vimany* otoczonej kłębamii ognia i dymu. W tygodniku „Spiegel”, numer 18 z 1995 roku, możemy m.in. przeczytać: „McDonnell Douglas zмага się z budową rakiety o wyglądzie głowy cukru, która mogłaby lądować ponownie na własnym ogonie – tak samo jak wystartowała. Prototyp, Delta Clipper Experimental, (...) ma już za sobą pierwsze próby na pustyni w stanie Nowy Meksyk”⁵.



Rakieta DC-X podczas startu. (fot. NASA)

Ten Delta Clipper, co wydaje się fascynujące, wyglądem zewnętrznym niemal do złudzenia przypomina starohinduskie świątynie, jak choćby świątynię Udayesvara. Czy to możliwe, że bogowie Indii już przed tysiącami lat posługiwali się „latającymi głowami cukru”? Przemawiają za tym dzieła literackie Indii, przecież *ratha/vimana* zawsze była powiązana z dymem, ogniem, grzmotami i trzęsieniem ziemi – nie inaczej mają się sprawy przy starcie, podczas lotu oraz przy lądowaniu DC-X. Inna obserwacja może podeprzeć tę hipotezę. Śiwa, bóg zniszczenia, jest często przedstawiany w formie lingi, fallusa. Szczerze mówiąc miewam trudności z rozpoznaniem w tych obiektach „fallusa”, jak sugeruje to oficjalna archeologia. Jestem bardziej

skłonny przyjąć, że to również po prostu latająca maszyna, do której nasz nowoczesny DC-X jest bardzo podobny.

Wiele dawnych indyjskich świątyń, które przedstawiają wizerunki *rathy/vimany*, jest ozdobiona jedynie z zewnątrz, zaś w ich wnętrzu w ogóle nie ma dekoracji. Dlaczego? Można niemal odnieść wrażenie, że budowniczy nie mieli zbyt wielu okazji, by zajrzeć do wnętrza domniemanych stalowych pierwowzorów, albo też wiedzieli, że tam – poza kabiną dowodzenia – niewiele było do ozdabiania.

Czy może tak być, że dzisiaj za pomocą rakiet Delta Clipper ponownie ożywiamy dawno zapomnianą technologię i odkrywamy ją na nowo? Z punktu widzenia tej najnowszej techniki lotniczej zbieżności z *rathą/vimaną* można dostrzec nie tylko w sferze literacko-opisowej (*ratha/vimana* również generowała ogłuszający huk oraz pozostawiała za sobą ognistą smugę, mknąc przez przestworza), lecz również jako istniejący realnie w naszych czasach obiekt latający.

Wydaje się, że historia zatoczyła krąg. Kamienne *rathy/vimany* w Indii budowano jako wyraz hołdu i czci oddawanej bogom. Usiłowano przy tym skopiować boskie pojazdy, jakie bez cienia wątpliwości widziano na własne oczy, co potwierdzają relacje naocznych świadków w pradawnych przekazach. Jeśli *rathy/vimany* rzeczywiście wyglądały tak, jak usiłują to przedstawić świątynne budowle z późniejszych epok, to Delta Clipper nie był z całą pewnością pierwszą „latającą głową cukru” na tej planecie.

DC-X wykazuje analogie nie tylko do świątynnych wież dawnych Indii, lecz również w zdumiewający sposób pasuje do wizerunków na obeliskach starożytnego Egiptu, co w tej książce wykazują Peter Fiebag⁶ i Thomas Fuss.

Kto wie – być może kiedyś na bardzo odległej planecie będziemy posługiwać się takimi lub podobnymi pojazdami, za pomocą których odbywać się będzie lądowanie ze statku macierzystego na jej powierzchni i start na orbitę. Nie ma powodów, dla których coś podobnego nie miało wydarzyć się już w zamierzonych czasach na naszej planecie.

Giorgios A. Tsoukalos

Wyspa kamiennych potworów

Kultura megalityczna Polinezji: niezrozumiała zagadka

Świat wysp Pacyfiku – wbrew obiegowym opiniom – kryje mnóstwo archeologicznych skarbów. Na samych tylko Markizach, grupie wysp na północnym obszarze licznych archipelagów mórz południowych, można znaleźć mnóstwo w dużym stopniu niepojętych figur, świątynnych platform czy nawet kamiennych przykładów dawnego pisma. Kim jednak byli ludzie tak często przedstawiani w rzeźbach *tiki* – i jak doszło do niebudzących żadnych wątpliwości powiązań z Ameryką Południową?

Polinezja, wschodnia część Oceanii, ma kształt ogromnego trójkąta: na północy Hawaje, na zachodzie Nowa Zelandia oraz na wschodzie Rapa Nui, Wyspa Wielkanocna. Na tak nieskończenie wielkie odległości oddalili się Polinezyjczycy od swojej praojczyzny w czasie trwających ponad 3000 lat wędrówek. Jeśli opierać się na ich wspomnieniach, kraina ta leżała na dalekim zachodzie.

Ważną stacją pośrednią w odbywanych łodziami wyprawach w kierunku północnym były Markizy, które, całkowicie odizolowane, leżą dzisiaj na północnym wschodzie zamorskich terytoriów Francji. Pierwszym Europejczykiem, który w 1595 roku ujrzał Markizy, był Alvaro Mendaña de Neyra. Wcześniej na Wyspach Salomona nadaremnie poszukiwał legendarnej złotej krainy biblijnego króla.

Lądujemy na Nuku Hiva, największej z wysp archipelagu rozrzuconego na powierzchni ponad 1000 kilometrów kwadratowych. Z Taiohae, głównej miejscowości, kręta górską drogą prowadzi w kierunku północno-wschodnim do Taipivai. W towarzystwie mężczyzny z wioski posuwamy się ścieżką przez bezludny, pagórkowaty teren. Dobrą godzinę maszerujemy w gęsto zarośniętej dżungli, kiedy nagle u stóp góry rozciąga się przed nami niezwykle równa powierzchnia. Stoimy na *tohua*, placu cmentarnym i miejscu zgromadzeń pierwotnych mieszkańców Markizów. Drewniane palisady, które otaczały kiedyś otaczały to święte miejsce, rozsypały się dawno temu, lecz *paepae*, kamienna platforma, na której urządzono grobowiec dla zmarłych wodzów,

zdołała przetrwać upływ czasu. W pobliżu narożnika muru otaczającego to miejsce przykucnęły *tiki*, kamienne monstra w antropomorficznym kształcie. Ci milczący strażnicy strzegą spokoju świętego skrawka ziemi. Od jak dawna?

Kto postawił tu te kolosalne posągi? Miały tu już jakoby stać, kiedy pierwsi Polinezyjczycy, przodkowie dzisiejszych mieszkańców wysp, zasiedlili Markizy około 300 roku n.e. Wynikałoby z tego, że twórcą *tiki* był jakiś inny i obcy lud. Czyje zatem wizerunki przedstawiają „giganci” z Markizów? Rzeźby te wciąż stanowią stały element religijnych wyobrażeń rdzennych mieszkańców; są to podobizny dawnych bogów albo zmarłych wodzów, kapłanów bądź wojowników, którym udało się, dzięki nadzwyczajnym czynom, uzyskać dostęp do strefy „niebiańskiej”. Posągom przysługuje wielki respekt i szacunek, budzą też lęk przed rzuceniem czarów i uroków. Ich magiczna siła błogosławi tych, których rąk są dziełem, natomiast wiedzie ku zgubie i zatraceniu tych, którzy odmawiają składania im ofiar lub bezczeszczą posągi, dotykając ich.

Potężne platformy

Markizy są jedynym w swoim rodzaju archeologicznym rogiem obfitości. Skały porośnięte mchem pokrywają ryty z czasów przedhistorycznych, ludzkie sylwetki oraz zagadkowe symbole, których znaczenia nie znamy. Odlecieliśmy na Hiva Oa, drugą co do wielkości wyspę archipelagu. W nieprzebytej dżungli co jakiś czas natrafiamy na potężne skalne schodkowe tarasy, które pną się ku szczytom wzgórz. Teren musiał być tu splantowany, należało dostarczyć ważące tony kamienie, z których postawiono mury oraz wały. By wznieść te monumentalne obiekty, przemieszczono tu wiele tysięcy metrów sześciennych ziemi i kamieni. Kim byli ci genialni architekci i inżynierowie? Jaka wiara zmotywowała ich do podjęcia tak niesłychanego wysiłku? Na pytanie o pochodzenie ich przodków miejscowi opowiadają nam, że przybyli z kraju wschodzącego słońca, z *Fiti Nui*, „wielkiego wschodu”. Stoi to w całkowitej sprzeczności z relacjami wszystkich innych Polinezyjczyków, których utracona ojczyzna, *Hawaiki*, położona jest na dalekim zachodzie. Czy mieszkańcy Markizów przywędrowali z innej strony świata? Czy, jak przypuszczał Thor Heyerdahl, przybyli tu z Ameryki Południowej, oddalonej o prawie 8000 kilometrów oddzielonej wielkim oceanem, na długo, zanim na wyspę dotarli Polinezyjczycy?



Paepae, kamienna platforma służąca za nagrobek plemiennych wodzów, wyspa Nuku Hiva. (fot. Dunkel)

Według mitów mieszkańców Markizów *tiki* uchodzi za ich boga stwórcę. To samo imię równocześnie nosi legendarny król, który sprowadził ich przez morze na te wyspy. Czy wyprowadzał swoje monarsze prawa bezpośrednio od bogów, jak miało to miejsce w przypadku królów słońc ze starożytnego Egiptu, Meksyku i Peru? Nieodparcie biegniemy myślami do legend z Andów, do Wirakoczy, darzonego boską czcią nauczyciela. Jako „syn Słońca” pojawił się niegdyś nad jeziorem Titicaca i założył na jego brzegu pełne tajemnic miasta Tiahuanaco. Później zaś miał zstąpić z nieba na brzeg Pacyfiku, by tam zniknąć gdzieś za morzami. Jeden z jego przydomków brzmiał „Kon-Tiki”. Czy to tylko czysty przypadek?

Thor Heyerdahl miał zapewne w pamięci tę legendę, kiedy ochrzcił imieniem „Kon-Tiki” tratwę, na której w 1947 roku, wyruszywszy z Peru, pokonał rozległy ocean. Dzięki temu budzącemu sensację eksperymentowi Heyerdahl udowodnił wprawdzie, że możliwy był w bardzo zamierzchłych czasach kontakt między Ameryką Południową a tymi maleńkimi wyspami

pośrodku Pacyfiku, lecz jego hipoteza o wędrówce ludów po Oceanie Spokojnym wciąż budzi spory. Konwencjonalna nauka – tak jak wcześniej – wciąż trwa przy koncepcji kolonizacji w kierunku z zachodu na wschód, która objęła cały obszar Pacyfiku.

Lamy i „potwory”

Kwestia, skąd przybyli pierwsi osadnicy, wciąż wzbudza rozbieżne opinie. W rzeczywistości jednak najbardziej przekonujących świadectw w postaci rzeźb nie znajdzie się w zachodniej części Oceanu Spokojnego czy w centralnej Polinezji, lecz na wyspach położonych bezpośrednio naprzeciw Ameryki Południowej: Markizach, Wyspach Południowych (Tubuai) i – kuszącej najwspanialszymi dziełami – Wyspie Wielkanocnej. Istnieją też zasługujące na uwagę ślady, które mogą rzucić nieco światła na niejasną kwestię zasiedlenia archipelagu Markizów.



Zagadkowe „potwory” z Hiva Oa. Bogowie? Demony? Istoty z innego świata?
(fot. Dunkel)

W dolinie Puamau wznoszą się największe posągi obszaru Polinezji Francuskiej, jak gdyby stały tutaj od początku czasów. Jedna z tych *tiki*, z rękoma skierowanymi do przodu i rozstawionymi nogami spoczywa na brzuchu na kamiennej podstawie. To wyróżnia tę rzeźbę wśród pozostałych. Przyjrzelśmy się bliżej cokołowi i nie daliśmy wiary naszym oczom; lecz nie było nawet cienia wątpliwości – w kamieniu wyryto kontury lamy. Zwierzęta te zamieszkują płaskowyże w Andach, gdzie ich udomowienie nastąpiło już przed 7000 lat, o czym wiemy z jaskiniowych rysunków.

Jakim jednak cudem wizerunek lamy znalazł się w tym miejscu? Z naszego punktu widzenia istnieje tylko jedno wytłumaczenie. Skalny ryt jest dziełem artysty, który widział lamy na własne oczy. To z kolei nasuwa jedyny racjonalny wniosek: jego ojczyzna musiała leżeć w Andach.

Kogo natomiast przedstawiają kamienne potwory? Czy są jedynie wytworem wyobraźni artysty kamieniarza z kultury, której dzisiaj już nie ma? Raczej mało prawdopodobne, poza tym można przyjąć, że kult związany z posągami *tiki* nie powstał na Markizach, lecz został sprowadzony wraz z pierwszymi osadnikami. Tożsamość figur stanowi po dziś dzień zagadkę, lecz ich zwracające uwagę oczy w okularach nadają im wygląd istot z innego świata. Ich usta są mocna zaciśnięte, jak gdyby ci świadkowie nieznannej przeszłości dawali nam wyraźnie do zrozumienia: nie zdradzimy wam naszej tajemnicy. Szukajcie i badajcie dalej, jeśli koniecznie chcecie poznać prawdę.

Anke i Horst Dunkelowie

Kosmiczne kulty u Torajów z Sulawesi

Nasz świat, na którym swoje piętno odcisnęły Internet, komputery oraz inżyniera genetyczna, wydaje się zapominać o korzeniach, z jakich się wywodzi. Mityczne czasy widziane z naszej perspektywy leżą w nieskończenie odległej przeszłości. Wciąż jeszcze jednak żyją ludy kultywujące pierwotne wyobrażenia religijne i rytuały. Każdy z nas może odbyć podróż do czasów i światów dla nas dawno minionych. Gdy dotrzemy do celu podróży, będzie na nas czekać fantastyczne przesłanie: ludzie gościli kiedyś przybyszy z gwiazd.

*Była to sztuka naszych przodków,
była to sztuka naszych praojców.
Pierwsi z naszych przodków zstąpili z kosmosu,
nasi praojcowie z czasów po tamtej stronie pamięci
zstąpili tu z gwiazd.*

Te prastare wiersze, przekazywane przez kapłanów animistycznych religii, zapisał około 1960 roku holenderski badacz doktor van der Veen podczas archaicznego święta plemienia Torajów na Sulawesi (Indonezja). Zapalnik czasowy prehistorycznej bomby zaczął tykać, ponieważ to, co stulecie za stuleciem było przekazywane w ustnej tradycji w obrębie nielicznego ludu zamieszkującego wyspę, znalazło wtedy drogę do świata współczesnej techniki, w którym ludzie właśnie szykowali się do podboju kosmosu.

Dzieci gwiazd

Kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Sulawesi, dawniej Celebes, o dziwnie uformowanej linii brzegowej, szlak, którym podążałem, prowadził przez tropikalny górski świat tej równikowej wyspy położonej na północ od Bali i na wschód od Borneo. Biegająca licznymi zakolami droga wzdłuż stromego zbocza wiła się niczym wąż ku położonemu w centrum wyspy płaskowyżowi. W stronę Tana-Toraja, urokliwej okolicy, gdzie nie brak gór,

rzek, terasowych, szmaragdowozielonych ryżowych pól, mieniących się złotawo bambusowych gajów oraz kwiatów o płomiennych barwach pod lazurowym niebem. W oddalonych kotlinach miejscowe plemiona prowadziły pierwotny tryb życia, ponieważ górzysty teren chronił je przed wojowniczymi królestwami z wybrzeża oraz kolonialnymi władcami z Portugalii i Holandii.

Przybyłem tu, by uczestniczyć w archaicznej ceremonii, rytuale pochówku, który obejmował podróż kosmiczną aż na Plejady. Gdy prowadzone są ofiarne zwierzęta, mężczyźni o brązowej skórze, ubrani w sarongi, tańczą w rytm tradycyjnej pieśni *Ma'badon*, która jest równie stara jak plemię Torajów. W tym powtarzanym zaśpiewie można dostrzec sedno ich religijnych wyobrażeń, Torajowie bowiem uważają samych siebie za dzieci gwiazd, gdyż ich bogowie oraz ich przodkowie przybyli z kosmosu.

Pieśni, do których wtóru Torajowie, tańcząc z zamkniętymi oczami, wprowadzają się w stan transu, pobrzmiewają hipnotycznie. Szerokimi ruchami ramion tancerze usiłują „wygładzić niewidzialną przestrzeń”, żeby zmarły mógł odbyć podróż do gwiazd. Ich wyobrażenie o przemierzaniu wszechświata nie odnosi się w żadnym razie do sfery ducha. Wręcz przeciwnie. Torajowie opowiadają o tym locie bardzo sugestywnie i obrazowo, niemal jak współcześni kosmiczni obieżyświaci.

Gwiazdy stoją teraz między nim a nami...

On unosi się na południu...

Teraz wstąpi na firmament.

Wyruszy w drogę ku niebiańskim gwiazdnym rewirom...

Podobnie jak rytuały grzebania zmarłych, także obrzędy weselne Torajów dla osoby przybyłej z zewnątrz są cudownym i nad wyraz egzotycznym ceremoniałem. Tradycyjnie nastawieni Torajowie dostrzegają w tym znacznie więcej. Każde małżeństwo przypomina członkom tego plemienia o pewnym pradawnym wydarzeniu. Tamborolangi, ich gwiazdny bóg, zstąpił ze swojej niebiańskiej niwy na Ziemię, czemu towarzyszyły ogłuszające hałasy, grzmoty i błyskawice. Nie od razu dotarł na naszą planetę. Najpierw musiała zostać otworzona niebiańska „brama”, przez którą mógł wyjechać jego latający „dom”. (Z dzisiejszego punktu widzenia patrząc, możemy tu mieć do czynienia z międzygwiazdowym statkiem kosmicznym oraz z małym lądowikiem). Po zstąpieniu Tamborolangi „pływał” między niebem a Ziemią. Jego „unoszący się w przestworzach dom” podróżował dalej, aż dotarł nad Kandorę, górę odległą o jakieś 5 kilometrów na południe od miasta Makale w kraju Torajów. Bębny imitują odgłosy schodzącego w dół gwiazdnego pojazdu.

Po wylądowaniu gość z kosmosu zakochał się w pewnej księżniczce i poślubił ją. Tamta ceremonia stała się wzorcem dla wszystkich obrzędów zawierania związku małżeńskiego, jakie od tamtej pory celebrują Torajowie.

*On wchodzi na firmament;
Jest to wejście tego, który obejmuje wszystko.
Tam stanie się jednym z bogów;
Został częścią gwiazdozbioru Plejad.
Tam w dalekich rewirach niebios.
Tam w zenicie uległ przemianie.*

Niebiański statek z Plejad

Nawet charakterystyczne budynki Torajów, noszące nazwę tongokonan, pełne są pradawnej symboliki. Interpretacja tongokonanu nawiązuje do kosmologii. Dach takiego domu kojarzy się ze skrzydłem. W bardzo zamierzonych czasach, jak śpiewają w swoich mitach Torajowie, opuścił się z nieba. Tym sposobem boski Tamborolangi zstąpił z gwiazd na Ziemię. Bóg podróżował wielokrotnie między Ziemią a niebem w swoim niebiańskim domu. Wylądował na Sulawesi, na górze Ullin. W rezultacie domy Torajów stanowią odzwierciedlenie kosmicznego statku, na którego pokładzie Tamborolangi przybył niegdyś z Plejad na niebieską planetę.

Ten „prototyp” opisywany jest w tradycyjnych pieśniach jako „budowla z żelaza”, którą skonstruowano w kosmosie. Ochrzczono go mianem „domu zstępującego z niebios”. Szczytową ścianę domu Torajowie nazywali „bramą bogów”, inną część fasady natomiast „drogą bogów”. W pieśni *merok* znajdziemy dokładny opis tego, jak boskie istoty po wylądowaniu zgromadziły się w miejscu usytuowanym pod latającym domem.



Tongkonan, dom Torajów, zbudowany na wzór gwieздnego statku.

Cóż to byli za bogowie, którzy wylądowali na kosmicznym statku zbudowanym z metalu, którzy opuścili „schodki pasażerskie” i niczym astronauta zeszli po nich po odbytym locie? Jeszcze dzisiaj Torajowie określają własną religię jako „tę, która zstąpiła z niebios”. Czy owi przybysze byli bogami, czy może prądziejowymi astronautami z kosmosu?

Niedaleko stolicy Sulawesi, dawnego Makassaru, znajduje się dziś ośrodek władzy królów Gowa. Tam też na ziemi leży niepozorny „kamień koronacyjny królów”. To, co widzimy, nie jest imponująco udekorowane, lecz mimo to stanowi największą świętość kraju. Ponieważ w tym miejscu zstąpili na Ziemię wprost z nieba pierwsi królowie państwa Gowa. Tutaj „Neil Armstrong z Gowy” postawił stopę na Ziemi. Dla niego mógł to być to jedynie „mały krok”, lecz – jak przekazał to sam Armstrong w trakcie pierwszego lądowania na Księżycu – „ogromny skok w rozwoju ludzkości!” Tym samym miejsce to stało się centralnym punktem potężnego państwa, a po dziś dzień cały plac, na którym plemię Bugi jeszcze do 1955 roku koronowało swoich władców, stanowi tabu. Dla nas kamień ten jest również ważny, ponieważ mamy tu do

czynienia z najstarszym przypadkiem bardzo dokładnego wskazania miejsca potencjalnego lądowania statku kosmicznego. Rodzima arystokracja do dziś zresztą nosi, ku upamiętnieniu tamtego zdarzenia, nazwę Manurun diLangi', „Ten, który zstąpił z kosmosu”.

Wielce intrygujący jest swoją drogą fakt, że taką samą strukturę mitów i taką samą ich treść spotykamy nawet w najodleglejszych zakątkach ziemskiego globu. Współczesnej nauce znane są paralelne procesy kulturowego rozwoju. Są to kulty cargo powstałe w XIX oraz XX wieku.

Australijski uczony Frank Hurley opisuje, jak w latach 20. ubiegłego stulecia zareagowała rdzenna ludność Papui na lądowanie jego hydroplanu. Plemiona żyjące wciąż jeszcze na poziomie epoki kamiennej oddawały jemu oraz jego pilotom boską cześć. Samolot postrzegano jako mistyczną, żywą istotę, której codziennie składano ofiarę w postaci świniaka. Tubylcy wykonywali w drewnie kopie niepojętej dla nich latającej maszyny, odwzorowując ją w najdrobniejszych detalach.

Analogie do tych zachowań w przypadku rytuałów i wyobrażeń Torajów są zdumiewające. Niczego innego nie mówią bowiem tubylcy z Sulawesi o swoich domach z drewna: są to imitacje „latających, zbudowanych z metalu mieszkań bogów, którzy zeszli z gwiazd”. Tak jak członkowie ekspedycji Hurleya zostali uznani przez rdzennych mieszkańców, żyjących wciąż w epoce kamiennej, za bogów, tak też Torajowie potraktowali swoich „latających gości”.

Plemię Kaimari na obszarze Papui w końcu codziennie składało w ofierze prosię niebiańskiej „istocie” i wierzyło, że samolot Hurleya konsumuje ofiarny dar. Bardzo podobne zwyczaje ofiarne zachowały się u Torajów. Już podczas budowy domu świnią składana jest w ofierze na ołtarzu w pobliżu wznoszonego budynku. Po dziś dzień postrzegają budowlę o wklęsłej linii dachu jako mieszkalny dom oraz jako wciąż samodzielnie – żywą – istotę.

Torajowie hołdują najwyraźniej tym wierzeniom od tysięcy lat.

Dla nich również wiele rzeczy pozostaje niezrozumiałych. Wysoko rozwinięta cywilizacja musiała nawiązać wówczas z nimi kontakt. W ich przekonaniu praojcowie wylądowali tu na niebiańskich pojazdach, a do dziś wyznają wiarę, że ich umarli powracają do gwiazd. Doktor Lawrence Blair, profesor Uniwersytetu Kalifornii Południowej, opisuje w tym kontekście w sposób nad wyraz sugestywny, jak Torajowie nieśli do grobu swojego ostatniego króla:

Królewskie zwłoki (...) umieszczone w sarkofagu, który przypominał bogato zdobiony mały statek kosmiczny, złożono na marach. Unosiły się niczym szalone w górę i opadały w dół, by ułatwić duszy powrót do gwiazd.

Jako najpewniejszy sposób odbycia podróży ku gwiazdnym konstelacjom uważa się grób umieszczony w wysokich wapiennych skałach. W tym miejscu zmarły może oczekiwać na przybycie statków kosmicznych z Plejad i, jak opisuje dalej profesor Blair, „z tego miejsca może rozpocząć swoje długie peregrynacje przez kosmos ku gwiazdom, z których kiedyś tu przybył”.

Ustne przekazy Torajów dostarczają nam świetnego potwierdzenia założeń przyjętych w hipotezie paleo-SETI, u których podstawy legło twierdzenie o pradawnych kontaktach ludzkości z pozaziemską inteligencją. Badania mitów i podań wykazały, że ustne przekazy zawsze mają służyć przechowaniu informacji o niezwykle ważnym wydarzeniu. Pozostało już jednak bardzo mało czasu na przebadanie tego miejsca, ponieważ nowoczesne środki masowego przekazu oraz tłumy turystów dotarły już do centralnych obszarów Sulawesi.

Kosmiczne wniebowstąpienie

Pewna kapłanka, nazywana *to tumbang*, przekazuje następującą treść, intonując pieśń *maro*, początkowo w spokojnym tempie, które potem stopniowo staje się coraz szybsze:

„Obróciłam się teraz na wietrze;
przeistaczam się teraz w poryw wiatru”.
Ona wybiera drogę tak, by wyjść z porywów wiatru,
Obranym przez siebie kursem wylatuje poza strumienie powietrza.
Ona leci dalej i dociera do niebios.
Ona steruje dalej.
Osiąga szczęśliwość w tym stanie, chociaż jest jej zakazane
stąpać po Ziemi –
wiruje dalej niczym władczyni ducha.

Od strony etnologicznej całkiem bezradnie usiłowano zinterpretować ten przekaz jako opis „ekstacyzmu doświadczenia”. W tym przypadku nie chodzi jednak o kobietę, która w mistycznym uniesieniu doznaje halucynacji. Mamy tu z dużo większym prawdopodobieństwem do czynienia z – wyrażonym w prostym ludowym języku – opisem statku kosmicznego startującego z Ziemi. W stosowanej na przemian narracji w pierwszej osobie („obróciłam się”) oraz z punktu widzenia osoby trzeciej („ona wybiera drogę”) otrzymujemy obrazowy opis startu i lotu przez atmosferę, a potem osiągnięcia okołoziemskiej przestrzeni kosmicznej, skąd nie da się już zstąpić na naszą planetę.

Kolejne zdania mogłyby pochodzić z dziennika pokładowego pierwszego kosmonauty:

*Potem stają się niczym rozbrzmiewający dzwon,
niczym mała, okrągła kula,
która wstrząsana jest do przodu i do tyłu.*

Natrafiamy teraz na opis, w którym kapłanka *to tumbang* ze swojej nowej pozycji postrzega wszystko pozornie na odwrót. Nic dziwnego w przypadku kogoś, kto znajduje się na orbicie wokół naszej planety:

*„Idę rzeczywiście wzdłuż skraju nieba...
Jestem już blisko znaku,
Który leży w połowie drogi”.
Przez cały czas leci tu i tam.
Wyląduje jedynie w kraju po tamtej stronie (nieba)..*

Dokładnie te same przeżycia są udziałem każdego astronauty. W kosmosie unosi się w stanie nieważkości. Ten fakt poznano dopiero w XX stuleciu. Kiedy krąży się w stacji kosmicznej po okołoziemskiej orbicie niezbyt oddalonej od naszej planety, to wszystko wygląda tak – jak w tym opisie – jak gdyby istniała krawędź wszechświata. Znakiem, o którym jest tu mowa, mógłby być np. satelita służący do nawigacji.

*Powiedzieli, że niebo jest bardzo daleko.
Powiedzieli,
Że niebo sięga stąd do wielkich oddali.
To jest daleko, lecz mimo to on jest w pobliżu.
To jest w wielkiej oddali stąd,
Lecz mimo to jest blisko nas...*

Można odnieść wrażenie, że odbywa się tu rozmowa kosmonautki z okresu pradziejów z tymi, którzy zabrali ją w podróż. Z przedstawicielami pozaziemskiej inteligencji, którzy znają przestrzeń kosmiczną. Dzisiaj wiemy, że astronauta na orbicie pozostaje na dobrą sprawę o wiele za blisko naszej planety, żeby mówić o rzeczywistym locie w kosmos. Z drugiej natomiast strony astronauta znajduje się już pod działaniem sił wszechświata. Czyli jest jednocześnie bardzo blisko i zarazem bardzo daleko od przestrzeni kosmicznej.

*A potem dotarła do niebios:
Niebiosy rozciągały się pod nią tam daleko po drugiej stronie,
nasze stopy potykają się między gwiazdami,
stąpamy po Słońcu pod nami.*

Co naturalne, nikt nie jest w stanie stąpać po Słońcu, ale być może jest to połyskująca stacja kosmiczna – lub, jak twierdzi pradziejowa astronautka z plemienia Toraja, „fałszywa Ziemia, która «jest jeszcze bardziej oddalona niż firmament»”:

*Wróciłam ze swej podróży,
podczas której widziałam firmament,
po skrupulatnym obserwowaniu nieba,*

*po dotarciu do obszarów nad Ziemią,
powróciłam z sala-padang, „fałszywej Ziemi”.*

Wreszcie pełna niebezpieczeństw powrotna podróż dobiega końca i natrafiamy na opis lądowania w wodzie, podczas którego bohaterka – na podobieństwo kosmicznej kapsuły Apollo – wchodzi głęboko w wodną kipieli. Znamy raporty naszych astronautów i na podstawie tej relacji możemy przekonać się, jak dobrze u Torajów funkcjonowało przekazywanie wiadomości.

Przedstawiciel nauk historycznych Koselleck bardzo przekonująco wykazał, że „nie dochodzi do skutku żadne historyczne działanie, jakie nie jest oparte na doświadczeniach lub oczekiwaniach tych, którzy te działania wprowadzają w życie”. Do podobnego wniosku doszedł także profesor Laufer, bardzo surowo traktujący wszystkich, którzy w pradawnych przekazach dostrzegają wyłącznie pierwiastki mitologiczne lub legendarne. Stawia on pytanie, jak mit powstał, o ile już istnieje. Doszedł do wniosku, że ludzki umysł nie jest w stanie wymyślić rzeczy, które w ogóle nie istnieją w świecie realnym.

Jeśli raz jeszcze uzmysłowimy sobie, jak fundamentalne znaczenie ma opowieść o istotach z kosmosu, które przybyły na Ziemię w obiektach podobnych do statków kosmicznych, także dla religijnej, społecznej i politycznej strony wielu innych kultur i jeśli ponadto weźmiemy pod rozwagę kulty cargo z ostatnich stuleci, to otrzymamy odpowiedź na pytanie, jaka historyczna wiedza została tu zmagazynowana i jakie procesy odcisnęły piętno na doświadczeniach tych ludzi.

Dowód

Czy istnieją dowody niegdysiejszej obecności istot pozaziemskich na Ziemi? Namacalne dowody? Odpowiedź: tak. Wiemy nawet o kilku, które obecnie posiadamy. W poszukiwaniach tego rodzaju przedmiotów możemy wykazywać spory optymizm. Albowiem dzięki badaniom porównawczym z kultami cargo wiemy, że obiekty pozostawione przez tajemniczych przybyszy przez bardzo długi czas były przedmiotem czci religijnej.

Etnolog doktor Röttger-Rössler twierdzi: „Ważny element religii na południu Sulawesi stanowi kult związany ze świątyniami preislamskimi. Według miejscowych wyobrażeń chodzi tu o pewien przedmiot, który pozostawiła miejscowej społeczności księżniczka przybyła z niebios, kiedy ponownie odlatywała ku niebu. Obiekt ten od tamtej pory symbolizuje

instytucję władzy w wiosce. Relikwia z Bontolowe jest przechowywana na miniaturowym łożu w pewnym określonym domostwie. Legitymuje ona nie tylko polityczną władzę wioskowego przywódcy, musi on przecież być zawsze bezpośrednim potomkiem boskiej księżniczki, ale jest także równocześnie skutecznym ogniwem pośredniczącym w kontaktach z najwyższym bóstwem”.

Czy wynik naukowego badania wypadnie negatywnie, czy pozytywnie dla reprezentantów teorii paleo-SETI? Jedno jest pewne: obiekt ten jest namacalny, istnieje rzeczywiście i bez wątpienia wart jest poważnych badań analitycznych. Tym samym nasze pokolenie zyskało być może po raz pierwszy realną szansę doprowadzenia do szczęśliwego końca poszukiwań dowodu potwierdzającego istnienie pozaziemskiej inteligencji.

Peter Fiebag

VII. Inne zagadki

Poszukiwania życia w kosmosie

Międzygwiazdne zdalne badania oraz związany z tym potencjał

Wielce obiecująca metoda, za pomocą której naukowcy przybliżają się do tematyki podejmowanej przez AAS, polega być może na pieczołowitym weryfikowaniu kontrargumentów *scientific community*, konwencjonalnej nauki. Jeśli przeprowadzi się obiektywną analizę, to być może niektóre z kontrargumentów i także pewne utrwalone teorie okażą się znacznie bardziej wątpliwe, niż mogło się to wydawać początkowo. Oczywiście nie wszystkie naukowe poglądy należy traktować jako fałsz lub krętactwo. Ponadto weryfikacja naukowych teorii z reguły jest możliwa jedynie dla wąskiego kręgu specjalistów. Tylko w wyjątkowych przypadkach laikowi udaje się, przypadkowo bądź dzięki niezwykłym talentom, zachwiać fundamentami naukowego światopoglądu.

Kontra wobec kontrargumentów

Istnieją przypadki, kiedy w kilku logicznych krokach myślowych daje się natrafić na błędy w argumentacji ekspertów cieszących się dużym autorytetem. Chciałbym podać tu przykład. Znany niemiecki astronom profesor Kaminski z Bochum niemal zawsze w przeszłości wysuwał ważki argument przeczący ewentualnej bytności przybyszy spoza Ziemi na naszej planecie. Odległości między gwiazdami są tak gigantyczne, argumentuje profesor, że nawet gdyby

jakiejś inteligentnej cywilizacji, która opanowała loty kosmiczne, udało się gdzieś w obrębie Drogi Mlecznej pokonać te odległości, to z pewnością takie wydarzenia byłyby nadzwyczaj rzadkie. Podróżowano by z pewnością tam, gdzie cel wydawałby się wart zachodu. Profesor wychodzi przy tym z założenia, że taki wart zachodu cel byłby planetą podobną do Ziemi. Jeśli na takiej planecie żyje technologicznie wysoko rozwinięta cywilizacja, to dałoby się ją odkryć za pomocą radioastronomii. Zastosowanie równania Drake'a umożliwia obliczenie prawdopodobnej liczby technicznych cywilizacji w galaktyce. Wynik: systemy słoneczne z techniczną cywilizacją musiałyby być oddzielone od siebie przeciętnie o 1000 lat świetlnych. My sami wysyłamy sygnały radiowe od mniej więcej 100 lat. W tym „krótkim” czasie pozaziemskie cywilizacje nie mogły odebrać jeszcze wysłanego przez nas sygnału. Idąc tym tokiem myślenia, cywilizacje te nie zwróciły dotąd uwagi na istnienie Ziemi i nie mają w związku z tym ważkiego powodu, by zainwestować ogromne środki w dotarcie do nas.

Rzeczywiście profesor Kaminski, swoją drogą autorytet w dziedzinie radioastronomii, ma rację, ale tylko wtedy, jeśli ograniczymy się do metod i możliwości astronomii z ósmego i dziewiątego dziesięciolecia XX stulecia. Poza tym ten tok myślenia nie wydaje się przekonującym kontrargumentem przeciwko hipotezie paleo-SETI. Dlaczego?

Przede wszystkim równanie Drake'a jest bardziej interesujące raczej w aspekcie filozoficznym niż z punktu widzenia realnej nauki, ponieważ zawiera tak wiele niewiadomych, że praktycznie może wyrazić wszystko lub nic. Jest w stanie przepowiedzieć to wszystko, czego nie wiemy, natomiast w mniejszym stopniu to, co już wiemy. Poza tym wartość, którą uzyskano na podstawie liczby wskazującej na przeciętną odległość między cywilizacjami, ma charakter czysto statystyczny. Wynika ona z założenia równomiernego rozprzestrzeniania potencjalnych cywilizacji w naszej galaktyce. Ale na jakiej podstawie planety, na których istnieje życie, miałyby być rozłożone statystycznie? Na dobrą sprawę we wszechświecie nic nie podlega statystycznemu równomiernemu rozłożeniu. Odwróćmy do góry nogami szklankę z gotowanym ryżem. W niektórych miejscach będą leżały całe grudki sklejonych ziaren ryżu, w innych natomiast pojedyncze ziarenka lub po prostu nic. Dokładnie takie samo jest rozprzestrzenienie we wszechświecie; istnieją gigantyczne „puste” przestrzenie rozdzielone skupieniami wysoko zagęszczonej materii.

Być może podobna prawidłowość obowiązuje także w odniesieniu do planet, na których istnieje życie. Czy nie może się zdarzyć, że w naszym zakątku Drogi Mlecznej powstanie życia z jakiegokolwiek powodu – choćby dzięki

metaliczności, tzn. wysokiej zawartości pierwiastków ciężkich w gwiazdach i otaczających je planetach – nie znalazło szczególnie korzystnych warunków?

Najnowsze wyniki misji „Stardust”, podjętej przez NASA, wykazały, że Układ Słoneczny znajduje się w obrębie ograniczonego strumienia materii, który wychodzi ze środka Drogi Mlecznej. Nie da się zatem wykluczyć, że ten dotychczas nie do końca wyjaśniony strumień wysoce złożonych organicznych molekuł jest bezpośrednio współodpowiedzialny za powstanie życia w naszym Układzie Słonecznym. Jeśli rzeczywiście tak jest, to czy nie da się założyć, że w otoczeniu Słońca istnieją inne systemy gwiazdne, przez które również przepływa ten kosmiczny strumień molekuł, i gdzie mogło dojść do powstania życia?

Założenie, że znajdujemy się w obrębie swego rodzaju kosmicznej oazy życia o średnicy rzędu kilkuset do kilku tysięcy lat świetlnych, nie wydaje się bardziej absurdalne niż teza o równomiernym rozprzestrzenieniu form życia. Zjawiska w przyrodzie rzadko mają rozkład linearny.

Jednak wyobrażenie, że planety, które byłyby wartym zachodu celem międzyplanetarnych podróży kosmicznych, można wykryć jedynie na podstawie promieniowania radiowego emitowanego przez tamtejsze nadajniki radiowe lub telewizyjne, ma jeszcze jedną fundamentalną słabość. To założenie, że własne możliwości stanowią ostateczne granice wiedzy. Z reguły nigdy się tak nie dzieje i najczęściej nie odnosi się to do omawianego przypadku.

Jesteśmy skazani na sygnały radiowe w poszukiwaniu podobnych do Ziemi, znajdujących się poza Układem Słonecznym planet jedynie dlatego, że takie małe kosmiczne ciała są w dużym stopniu przyćmiewane przez ich macierzyste gwiazdy i z tego powodu trudno nam jest przy zastosowaniu konwencjonalnych metod obserwacji dostrzec je poprzez międzygwiazdne odległości, nie wspominając już o ich bliższym przebadaniu. Ale czy generalnie jest to niemożliwe? Tym, co interesowałoby nas w kontekście ewentualnego międzygwiazdznego miejsca lądowania, niekoniecznie jest fakt, że ktoś już tam mieszka; równie dobrze celem mogłoby być uzyskanie odpowiedzi na pytanie, czy moglibyśmy tam na dłuży czas „rozbić namioty”. A taka kwestia dałaby się w zasadzie rozstrzygnąć za pomocą techniki, jaką już dysponujemy.

Target Selection Strategy

Pierwszą metodą odnalezienia opłacalnego celu podróży w bezmiarze wszechświata jest metoda wykluczenia. NASA już na początku lat 90. XX wieku podjęła taką systematyczną metodę wykluczania (tzw. *Target Selection Strategy*) w ramach planowanego wówczas projektu SETI o nazwie „MOP”, który dzisiaj w nieco innej formie prowadzony jest na drodze prywatnej przez instytut SETI.

Podstawowe założenie głosi, że z powodu ogromnej liczby gwiazd niemożliwe jest przebadanie wszystkich układów słonecznych za pomocą sygnałów radiowych, zatem trzeba wybrać najlepszych kandydatów. Tym samym wchodzimy na teren młodej jeszcze dziedziny nauki: międzygwiazdnej obserwacji zdalnej.

Na początek dzięki metodom klasycznej astronomii można wyciągnąć wiele wniosków o systemach gwiazdnych lub ich planetach i na tej podstawie sformułować konkluzję o ewentualności istnienia tam światów z formami życia. I tak gwiazdy o bardzo wielkiej masie można wykluczyć ze względu na ich krótki okres życia, podobnie jak gwiazdy, w których spektrum nie da się stwierdzić pierwiastków ciężkich. Takie systemy nie mają planet podobnych do Ziemi, która przecież składa się przede wszystkim z pierwiastków ciężkich.

To samo odnosi się do gwiazd o wysokiej prędkości rotacji, ponieważ przy powstawaniu gwiazd z obłoku pyłu i gazu wytwarza się impuls obrotowy obejmujący cały system, gdyż obłok zmniejsza się do rozmiarów gwiazdy. Podobnie jak w przypadku łyżwiarza figurowego, który przyciąga do siebie ramiona, gwiazda wiruje coraz szybciej. Jeśli jednak powstaje równocześnie system planet, odpowiada to zachowaniu łyżwiarza, który rozkłada szeroko ramiona. Cały system obraca się wówczas znacznie wolniej, impuls obrotowy bowiem rozkłada się równomiernie na planety i gwiazdę macierzystą.

Bardzo gorące, młode gwiazdy, jak choćby ciała niebieskie wchodzące w skład grupy gwiazd o nazwie Plejad, również nie są dobrymi kandydatami dla istnienia planet z formami życia. Rozwój stabilnego systemu planetarnego musi trwać – na podstawie tego, co wiemy dotychczas o ewolucji – nawet wiele miliardów lat. To samo odnosi się do odkrytych systemów planetarnych. Za pomocą metod dostępnych dzisiaj możemy wykluczyć gigantyczne planety krążące na niewielkich orbitach wokół gwiazdy macierzystej. Na podstawie dotychczasowego stanu wiedzy musimy takie systemy również skreślić z listy kandydatów na zamieszkałe światy, ponieważ nie tworzą one stabilnych planetarnych orbit w odpowiedniej odległości od macierzystego słońca. Postulat „odpowiedniej odległości” od słońca, jako warunek wyjściowy dla istnienia życia na planecie, jest wyprowadzony rzecz jasna z jedyne przykłady, czyli z naszego Układu Słonecznego.

Ostatecznie zostaje nam o wiele mniejsza liczba systemów słonecznych, które moglibyśmy przebadać z większą pieczołowitością. I rzeczywiście, takie projekty zostały już zaplanowane i znajdują się częściowo w fazie rozwojowej. Dzięki nim można nie tylko odnaleźć planety, lecz także, mimo gigantycznych odległości, rozpoznać ich dokładne właściwości.

Projekt „Darwin”

Jednym z tych przedsięwzięć jest projekt „Darwin” realizowany przez ESA. Sama nazwa wskazuje już na ambitny cel tej misji: poszukiwanie życia. W przypadku tego projektu sześć teleskopów mniej więcej wielkości teleskopu Hubble’a zostanie rozmieszczonych w kosmosie na długich ramionach, a następnie połączonych ze sobą, żeby zapewnić niezbędną wysoką rozdzielczość. Rozdzielczość teleskopu nie zależy od powierzchni detektora, lecz od jego średnicy. Warunek ten uwzględniono już w przypadku obu połączonych ze sobą teleskopów Keck na Hawajach oraz europejskiego Very Large Telescope zainstalowanego w Chile, a przede wszystkim w sieci VLBI (interferometria wielobazowa), anten radiowych połączonych ze sobą w skali ziemskiego globu; przy czym ten ostatni system przy zastosowaniu tej metody ma podstawową długość rzędu kilku tysięcy kilometrów (w odniesieniu do symulowanej średnicy teleskopu).

Detektor „Darwin” zostanie zainstalowany jako interferometr na podczerwień wysokiej czułości, ponieważ planety świecą o wiele jaśniej w zakresie podczerwieni niż w świetle białym. Światło o krótkich falach gwiazdy macierzystej jest absorbowane przez powierzchnię planety i przekształcane w długofalowe (podczerwone) promieniowanie ciał czarnych oraz ponownie emitowane. Takie promieniowanie „Darwin” potrafi odróżnić od światła gwiazd i poddawać je analizie.

Promieniowanie podczerwone emitowane w kosmos z powierzchni planet jest dobrze przeanalizowane pod kątem właściwości jego spektrum. Jednak po drodze takie promieniowanie wychodzące z powierzchni planet w kosmos musi pokonać atmosferę tych planet, przy czym w rezultacie atmosferycznej absorpcji ulega zmianom, które mogą nam dostarczyć informacji o składzie chemicznym planetarnej atmosfery. Dla przykładu woda generuje określone, dobrze znane linie absorpcyjne w konkretnym widmie; to samo odnosi się do wszystkich pierwiastków. Szczególną wagę przywiązuje się przy tym do szukania ozonu, ponieważ gaz ten jest do tego stopnia nietrwały, że warstwa

ozonowa powstaje wyłącznie w warunkach nieustannego dostarczania tlenu w dużych ilościach z głębszych warstw atmosfery danej planety. Jak dotąd jednak jedynym znanym źródłem dużych ilości wolnego tlenu jest świat roślinny bazujący na procesie fotosyntezy.

W odniesieniu do Ziemi oznacza to, że co najmniej od 400 000 000 lat nasza planeta wysyła w kosmos jedyny w swoim rodzaju spektroskopowy odcisk palca, rozpoznawalny dla każdego, kto potrafi go zinterpretować. Dla tego, kto potrafi te znaki zinterpretować, nasza planeta jest światelkiem życia! Dlatego też często stawiane pytanie, dlaczego to właśnie Ziemia miałaby być celem odwiedzin pozaziemskiej inteligencji, zyskało tym samym odpowiedź.

Lecz istnieją również bardziej ambitne długoterminowe plany niż projekt „Darwin”. Wyobraźmy sobie, że dysponowalibyśmy teleskopem, za pomocą którego moglibyśmy bezpośrednio obserwować powierzchnię planet w innych układach słonecznych. Wydaje się to niemożliwe, ponieważ taki teleskop musiałby mieć powierzchnię co najmniej wielu setek tysięcy kilometrów!

Przypadek jednak sprawił, że natura przychodzi nam tu w sukurs, ponieważ każde ciało niebieskie o dużej masie powoduje we wszechświecie wygięcie przestrzeni, któremu ulega również światło. Najbliższym nam ciałem o rzeczywiście wielkiej masie jest Słońce. Gwiazda ta ma średnicę około 1 200 000 kilometrów.

Światło odległych gwiazd jest skupione przez Słońce niczym w soczewce w wyniku efektu soczewki grawitacyjnej. Niezależnie od długości padającego światła, stosowna ogniskowa znajduje się w odległości od 550 do około 1000 jednostek astronomicznych od Słońca. Ta zimna, kosmiczna okolica jest położona 1000 razy dalej od Słońca niż Ziemia.

Chociaż w porównaniu z dotychczasowymi misjami kosmicznymi jest to kolosalna odległość, w żadnym razie nie jest niemożliwe wysłanie sondy kosmicznej z anteną odbiorczą lub optycznym teleskopem w ten region na skraju Układu Słonecznego, daleko po zewnętrznej stronie orbit Neptuna i Plutona. W przeciwieństwie do płaskiej soczewki kuliste Słońce posiada nieskończenie wiele ogniskowych, które znajdują się wokół Układu Słonecznego na powierzchni sferycznych brył ułożonych jak warstwy cebuli. Jedynym problemem są więc nakłady finansowe i techniczne, zależne od stopnia dokładności, z jakim chcielibyśmy przebadać planety innych układów słonecznych. Za pomocą teleskopów umieszczonych w rejonie ogniskowej Słońca byłoby nawet możliwe sporządzenie z dużą dokładnością map

powierzchni planet poza systemem słonecznym w sąsiadujących systemach gwiazdnych!

Jet Propulsion Laboratory w Kalifornii już w latach 80. ubiegłego stulecia przeprowadziło studium wykonalności tego rodzaju projektu oznaczonego kodem TAU (Thousand Astronomical Units – tysiąc jednostek astronomicznych). Wykonalność jest uzależniona od stopnia miniaturyzacji oraz postępów w technice materiałowej, które są w naszym zasięgu, lecz realizacja wciąż rozbija się, jak często to ma miejsce, o ograniczenia budżetowe związane z cywilnymi projektami badawczymi. Obrona rakietowa wciąż jest jeszcze ważniejsza niż pokojowe badanie wszechświata.

W każdym razie już te dwa podane przykłady wskazują, że cywilizacja, która jest technologicznie nieco bardziej rozwinięta niż teraz my, nie miałaby większych problemów z tym, by wybrać Ziemię spośród wszystkich martwych planet wszechświata. I kto wie, być może pozaziemski teleskop bazujący na soczewce grawitacyjnej już przed tysiącem lat wykrył Wielki Mur Chiński? Projekt „Darwin” w innym systemie słonecznym rozpoznałby Ziemię już przed milionami lat jako kolebkę życia i to z odległości wielu tysięcy lat świetlnych.

doktor Stefan Thiesen

W popularnej postaci równanie Drake’a ma następującą postać:

$$N = R^* \cdot f_p \cdot n_e \cdot f_l \cdot f_i \cdot f_c \cdot L$$

gdzie:

N to liczba cywilizacji pozaziemskich, z którymi ludzkość może się komunikować (czyli z założenia cywilizacji technologicznych);

R^* to szybkość powstawania gwiazd w naszej galaktyce;

f_p to odsetek tych gwiazd, które mają planety;

n_e to średnia liczba planet gwiazdy znajdujących się w ekosferze, tj. na których może powstać życie;

f_l to odsetek powyższych planet, na których życie powstanie;

f_i to odsetek powyższych planet, na których życie rozwinię się w życie inteligentne (czyli powstanie cywilizacja);

f_c to odsetek powyższych cywilizacji, które będą chciały nawiązać komunikację z ludzkością;

L to średni czas istnienia takich cywilizacji.

Prędkość światła

Czy rzeczywiście granica fizyki

Prędkość światła uważa się za granicę wszelkich prędkości. W rezultacie połączenia radiowe żadnego rodzaju nie mogą być szybsze niż światło. W związku z tym połączenie radiowe z Księżycem (średnia odległość około 384 000 kilometrów) trwa 2,5 sekundy (tam i z powrotem), z kolei na dotarcie do Marsa – od którego dzieli nas blisko 200 000 000 kilometrów – potrzebuje 22 minuty w jedną stronę. To wszystko jest jeszcze wykonalne. Lecz nawiązanie łączności z innymi galaktykami wymaga już wartości całkowicie iluzorycznych. Dla przykładu odległość do Alfa Centauri wynosi 4,3 roku świetlnego. Zanim wysłany z Ziemi sygnał radiowy powróci, upłynie prawie 8,6 lat. Przy czym Alfa Centauri jest „bardzo bliską” gwiazdą. Gwiazdozbiór Andromedy oddalony jest o mniej więcej 2 300 000 lat świetlnych. Tu w zasadzie zawodzi nas wyobraźnia.

Szybciej niż światło

Nie chodzi przy tym o banalne połączenia radiowe, lecz jak najbardziej o bezpośrednie kontakty z realnymi „ludźmi” oraz z rzeczywistymi statkami kosmicznymi. Obecnie nie dysponujemy stosownymi napędami, które zapewniłyby pojazdowi kosmicznemu choćby przybliżoną prędkość światła. Stosunek objętości i masy niezbędnego paliwa do możliwej objętości i nośności statku kosmicznego jest obecnie taki, że w zasadzie sytuacja jest całkowicie utopijna.

Również napęd fotonowy nie jest w stanie rozwiązać tego problemu. Wprawdzie pozwala pojazdowi kosmicznemu osiągnąć prędkość zbliżoną do prędkości rozchodzenia się światła (szybciej się nie da, ponieważ fotony są cząstkami światła), ale napęd ten funkcjonuje w przestrzeni pozbawionej powietrza (próżnia). Z tego względu przyspieszenie do tej prędkości zajęłoby

całe lata. Poza tym fotony również musiałyby być generowane, a to z kolei znowu wymaga użycia materiału pędnego.

Przy zastosowaniu dotychczas opanowanych technologii nie da się zatem poruszać szybciej niż światło!

Wyjdźmy od hipotetycznego założenia, że potencjalni „przybysze” spoza Układu Słonecznego dotarli tu (przed kilkoma tysiącami lat) i przypuszczalnie od czasu do czasu pojawiają się także obecnie, ponieważ istnieją ku temu całkiem liczne przesłanki. Prowadziłyby to w rezultacie do sytuacji paradoksalnej: jeśli prędkość światła postrzegamy jako granicę wszelkiego ruchu, to tego rodzaju odwiedziny byłyby iluzoryczne, natomiast nasi krytycy mieliby rację, Erich von Däniken zaś i wszyscy inni przedstawiciele hipotezy paleo-SETI byłiby czystej wody fantastami. (Alternatywą byłoby swoją drogą stosunkowo powolne przemieszczanie się przez wszechświat w tzw. wielopokoleniowych [wielogeneracyjnych] statkach kosmicznych. W tym przypadku jednak należałoby dokładnie rozważyć inne problemy i zagadnienia)¹.

Najnowsze osiągnięcia wiedzy pokazują jednak, że da się przemieszczać szybciej niż światło! Natrafiają one jednak na podobne trudności, z jakimi borykała się choćby taka gałąź wiedzy jak egiptologia. Kto usiłuje podkopać utwierdzone i przyjęte założenia, nawet jeśli są one obarczone błędami, ten naraża się na kłopoty. Z tego powodu badacze cywilizacji Majów przez długie dziesięciolecia nie mogli rozszyfrować ich pisma hieroglificznego wyłącznie dlatego, że metodę opracował laik².

Jako najważniejszy argument przytacza się teorię względności Einsteina. Jest ona słuszna, a znana prędkość światła ma moc wiążącą, ale – i to jest istota rzeczy – tylko wtedy, kiedy mówimy o rozchodzeniu się (propagacji) fal. Odnosi się to do światła lub fal elektromagnetycznych (światło jest także falą). Jeśli jednak zamiast fali elektromagnetycznej zastosowany zostanie inny efekt fizyczny (którym Einstein się nie zajmował, ponieważ w jego czasach nie był jeszcze znany), to da się poruszać „szybciej niż światło”, nie kwestionując też teorii Einsteina.

Dla sporej liczby fizyków okazuje się to znów problemem. Jaką teorią należałoby się kierować? Ruch „szybszy niż światło” dotąd nie został opisany w postaci ogólnie obowiązującej hipotezy. W tej sytuacji wielu naukowców nagle okazuje się zatwardziałymi pragmatykami. Tak długo, jak nie ma potwierdzonego teoretycznego opisu jakiegoś zjawiska, nie może ono funkcjonować. Już przed ponad 40 laty powstały obliczenia, które przewidywały prędkości większe od prędkości światła. Ponieważ jednak stały w sprzeczności z teorią Einsteina, wszystkie wylądowały w koszu na śmieci –

swoją drogą to najwygodniejszy sposób, by uniknąć konieczności zajmowania się nowymi ideami.

Nas jednak ta akademicka kontrowersja w żadnym razie nie dotyczy. Co innego jest o wiele ważniejsze. Istnieją praktyczne eksperymenty, w których kryje się informacja o prędkościach przekraczających prędkość rozchodzenia się światła. Jednak publikacji poświęconych temu tematowi jest jak na lekarstwo. Jakiż naukowy biuletyn zechciałby narazić się na blamaż? Z pewnością też wojsko wierzy potencjalne korzyści. To z kolei spowodowałoby szybkie spuszczenie zasłony milczenia nad tą problematyką.

Przy tej okazji jedna rzecz rzuciła mi się w oczy. Autorzy części artykułów zajmują się z dużym zapalem udowadnianiem tego, że szybkość większa niż światło jest niemożliwa. Odpowiedź jest prosta. W przypisach przywoływany jest tak czy owak Einstein.

Interesującym przyczynkiem do tej „wybuchowej” tematyki była telewizyjna audycja „Szybciej niż światło; granice fizyki”, autorstwa Klause Simmeringa³. W kręgach fachowców audycji tej w ogóle nie zauważono albo po prostu całkowicie ją przemilczano. O co chodzi?

Eksperymenty w tunelach

Dotychczas znane są eksperymenty przeprowadzone w trzech miejscach. Na uniwersytecie w Kolonii (II Instytut Fizyki) profesor Günther Nimtz jest zdania, że zdołał przekroczyć prędkość światła. W doświadczeniu tym jego instytut zastosował mikrofałe. Dzięki specjalnym właściwościom można je przepuszczać przez pusty w środku przewód. W zasadzie są to rurki średnicy zależnej od częstotliwości mikrofal. Tylko jeśli ten warunek jest spełniony, mikrofałe przechodzą bez przeszkód przez rurkę. W takiej rurce zastosowano przewężenie – tunel.

Chociaż tunel ten jest o wiele za wąski dla przesyłanych mikrofal, informacje docierają do drugiego końca. Sygnał jednak musi zostać w ogromnym stopniu wzmocniony, żeby dało się to udowodnić. Ponieważ średnica tunelu jest wielokrotnie zbyt mała dla przesyłanych fal, mikrofałe muszą ulec transformacji. Efekt ten nazywany jest „zjawiskiem tunelowym”. Zjawisko tunelowe prowadzi wszakże do wysokich strat mocy sygnału. By udowodnić, że zjawisko to nie powoduje utraty informacji, w doświadczeniu przesyłano fale akustyczne (muzykę). Największy problem stanowił jednak pomiar rzeczywiście osiągniętej prędkości informacji przesyłanej z

wykorzystaniem zjawiska tunelowego. W eksperymencie udało się przekroczyć 4,7 razy prędkość światła.

Powstały jednak trudności z interpretacją pomiarów. Jest to na tyle istotny problem, że podczas seminarium fizyków w Braunschweigu – zebrało się na nim 300 „pierwszoligowych” naukowców z całego świata – jednym z najważniejszych tematów była interpretacja pomiarów. Dyskutowano również o prędkości przewyższającej prędkość światła.

Niektórzy ze sceptyków okazali gotowość rozważenia zagadnienia prędkości większej niż prędkość światła (prędkość nadświatlna). I tak niemiecki fizyk teoretyczny doktor Dirk Kreimer z Uniwersytetu Johannesesa Gutenberga w Moguncji sformułował teoretyczne rozwiązanie problemu, jakim sposobem fale akustyczne (muzyka) przeszły przez tunel szybciej niż światło. Inny znany fizyk nie kwestionował wprawdzie pomiarów uzyskanych w Kolonii, lecz jedynie ich interpretację. Opis tego doświadczenia wraz próbą takiej właśnie interpretacji można przeczytać w artykule profesora Nimtza⁴.

Na Wydziale Elektroniki Kwantowej i Techniki Laserowej Politechniki Wiedeńskiej profesor Ferenc Krausz również przeprowadził eksperymenty z prędkością nadświatlną. W tym przypadku zastosowano ultrakrótkie impulsy laserowe, także przesyłane przez tunel. Stosownie do charakteru promieni lasera tunel był zwierciadłem. Normalnie lustro odbija promienie lasera, ale także pewna frakcja promieni ulega zjawisku tunelowemu, przenikając przez zwierciadło. Podobnie jak w innych doświadczeniach, również i tu schody zaczynały się wraz z pomiarem oraz ich oceną. Mimo to w jednoznaczny sposób wykazano osiągnięcie prędkości większej niż prędkość rozchodzenia się światła. Rezultat: bez względu na długość tunelu, czas przejścia promieni jest równy zeru. W tunelu zatem czas nie upływa (stoi miejscu)! Do celu jednak dociera tylko drobna cząstka informacji, a straty są bardzo wysokie. Schemat tego eksperymentu w pośredni sposób potwierdza także prace doświadczalne przeprowadzone w Kolonii.

Ale to nie wszystko. Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, na Wydziale Fizyki, profesor Raymond Y. Chiao wraz z zespołem przeprowadził próby z fotonami (są to najmniejsze cząstki światła). Za tunel posłużyło niezwykle cienkie zwierciadło. W tunelu tym fotony osiągnęły szybkość niemal dwukrotnie większą od propagacji światła. Według moich ostatnich informacji w Berkeley dąży się do osiągnięcia szybkości jeszcze wyższych niż prędkość światła.

Perspektywy

Teoretycznie impulsy mogą osiągać nieskończoną lub nawet ujemną prędkość. To ostatnie jest raczej trudne do pojęcia. Oznacza to, że impuls wychodzi wcześniej, niż dociera pierwotny czynnik. Jest to efekt niecodzienny, lecz da się go prawie wyjaśnić za pomocą standardowej teorii Maxwella i mechaniki kwantowej. W Berkeley opracowano doświadczenie, które miało zademonstrować ten efekt. Jakie wnioski można z tego wyciągnąć?

Teleportację lub tzw. *beamen* jak dotąd stosowano w powieściach science fiction lub w filmach tego gatunku (patrz *Star Trek*) jako niezbędny efekt specjalny. Przy czym aparatura, statki kosmiczne i ludzie ulegają rozłożeniu na najdrobniejsze cząstki, następnie są przenoszone z prędkością nadświatlną w jakieś inne miejsce wszechświata i tam ponownie przechodzą proces molekularnej reintegracji. Coś takiego jest nawet możliwe teoretycznie w świetle mechaniki kwantowej. W pierwszym rzędzie jednak wyłącznie w odniesieniu do mikroskopijnych cząstek, jak fotony czy elektrony, być może nawet dotyczy to także atomów. Jeśli chodzi o ludzi czy statki kosmiczne, nie da się tego zrobić, jeszcze nie! Zdaniem profesora Chiao prawdopodobieństwo jest bardzo małe, lecz nie równe zeru!

W odniesieniu do badań paleo-SETI wyniki te są nad wyraz optymistyczne. Być może tego rodzaju technika teleportacji będzie istnieć na Ziemi za 100 lub za 1000 lat. Nie są to wcale długie okresy w porównaniu z rozwojem wszechświata czy ludzkości. Nasi „goście” mogą pochodzić jedynie z bardzo wysoko rozwiniętych pozaziemskich światów. Z pewnością oni również potrzebują tysięcy lat, by osiągnąć stan wiedzy, jaki pozwala im podróżować w kosmosie. Szacunkowo między pierwszymi a dzisiejszymi wizytami upłynęło około 10 000 lat. W takim przedziale czasu wysoko rozwinięte cywilizacje mogą dokonać kolosalnego skoku w swoim rozwoju. Z pewnością takich możliwości nie jesteśmy w stanie pojąć przy naszym dzisiejszym poziomie rozumienia świata i naszej wyobraźni. Dlaczego jednak mamy okazywać niecierpliwość? Ważny jest naukowy aspekt: to jest możliwe – odpowiedź na pytanie kiedy, wciąż jeszcze tkwi w gwiazdach.

doktor Horst Jungnickel

Kiedy badania naukowe są uprawnione?

Każdy, kto choćby w najodleglejszym sensie zajmuje się na poważnie problematyką paleo-SETI, wcześniej czy później natknie się na problem lekceważącego traktowania ze strony naukowców. Przy czym zdarza się, że nieoczekiwane podawane są w wątpliwość również osiągnięcia innych dziedzin wiedzy. W Niemczech światek naukowy jest do tego stopnia konserwatywny, że nawet poszukiwania „nadających się do zamieszkania planet w innych systemach słonecznych”, które w tym czasie stały się główną misją NASA, są traktowane jako „naukowo słabo uzasadnione”.

Za sprawą jakich jednakże kryteriów naukowe dociekania stają się uprawnione? Odpowiadając na zarzut braku naukowego znaczenia danego tematu, wysunąłbym kontrargument, że bardzo ważne usprawiedliwienie działalności badawczej, o ile nawet nie najważniejsze, było z biegiem czasu w niemieckiej kulturze naukowej zamykane pod dywan. To usprawiedliwienie – powinienem powiedzieć raczej obowiązek – badań nosi nazwę interesu publicznego. My, naukowcy, nie powinniśmy zapominać, że to społeczeństwo umożliwiło nam uzyskanie kosztownego wykształcenia, finansując je ze swoich podatków. Tym samym zaciągnęliśmy zobowiązanie, że naszą wiedzę oraz zdolności będziemy wykorzystywać do szukania odpowiedzi na w pełni uprawnione pytania, jakie są stawiane przez tę właśnie społeczność!

Fascynacja „tym, co pozaziemskie”

Miliardy są wydawane na często skrajnie „ezoteryczne” projekty badawcze w sferze wojskowej i cywilnej, którymi płacące podatki społeczeństwo interesuje się mało lub wręcz wcale. W dużej części przyczyna tego stanu leży również w tym, że uczestniczący w tych projektach badacze i uczeni rzadko, niestety, potrafią wytłumaczyć laikom w choćby po części zrozumiały sposób, jakie właściwie znaczenie mają prowadzone przez nich badania. Z pewnością wysoce interesujące jest odkrycie jakiś czas temu up-kwarków, przewidzianych

wcześniej na drodze teoretycznej; oczywiście z punktu widzenia nauki niezwykle ważne jest odkrycie nowego stanu skupienia materii pod postacią kondensatu Bosego-Einsteina – lecz ogółowi mówi to niewiele.

W równym stopniu uzasadnione – i moim zdaniem kontekst filozoficzny i kulturowy jest tu tak samo ważny – jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o istnienie pozaziemskich form życia. Przy okazji wypada stwierdzić, że tematy z dziedziny bioastronomii itp. zostały w Niemczech w dużym stopniu zignorowane przez naukę, skutkiem czego zmarnowano wielką szansę. Opinia publiczna jest zafascynowana poszukiwaniami życia we wszechświecie, a w Stanach Zjednoczonych i innych krajach już dawno temu uznano, że zainteresowanie tym tematem nadaje się doskonale do przybliżania wiedzy uczniom, studentom oraz szerokim kręgom społeczeństwa. Z natury rzeczy tradycyjne kursy z fizyki, chemii i biologii są dalece mniej atrakcyjne niż seminarium zatytułowane „Poszukiwanie życia we wszechświecie”.

Stawianie pytań

Ten zakres badań rzeczywiście interesuje opinię publiczną. Świadczy o tym mnóstwo publikacji popularnonaukowych, ale także znaczna liczba finansowanych z prywatnej kieszeni projektów związanych z poszukiwaniem sygnałów radiowych wysłanych przez inne cywilizacje we wszechświecie (SETI), które są powoływane do życia na całym globie przez pełnych entuzjazmu naukowców i amatorów. U nas natomiast zainteresowani tematem badacze co najwyżej spoglądają z góry z lekceważącym uśmiechem. Naukowiec jednak, który odrzuca jako nonsens pytanie stawiane z ciekawości, chociaż w zasadzie nie da się na nie odpowiedzieć bez przeprowadzenia dogłębnych badań, minął się moim zdaniem z powołaniem. Wciąż mam żywo w pamięci dodające otuchy słowa jednego z moich profesorów fizyki skierowane do studentów w trakcie inauguracyjnego wykładu w Münster: „Najgłupszym pytaniem jest to, którego nie postawiono”. Jest to kardynalny warunek naukowego postępu. Pytajmy zatem ze spokojem dalej, nawet jeśli nasze pytania wydadzą się śmiałe i będą kwestionować utrwalone poglądy naukowe. Natura bowiem i historia podchodzą z równą, serdeczną i szczerą obojętnością do uczonych tez i teorii.

doktor Stefan Thiesen

Paleo-Seti: argumenty, logika i konsekwencje

Niewiele innych tematów, jakie wiążą się z pytaniami i zagadkami nauki, doprowadziło do tak gwałtownych debat i po części ekstremalnych i kontrowersyjnych „reakcji typu czarne albo białe”, jak kwestia, czy naszą planetę odwiedziła w przeszłości pozaziemska inteligencja (ETI). Oprócz indywidualnych powodów, prowadzących niekiedy do wybuchu emocji w trakcie dyskusji, być może ten temat sam w sobie stanowi taką przyczynę. Ponieważ gdyby podstawowa teza paleo-SETI, według której pozaziemskie inteligentne istoty odwiedziły już naszą planetę, została udowodniona, byłoby to najbardziej epokowe osiągnięcie w dziejach ludzkości, z konsekwencjami w najprzeróżniejszych obszarach cywilizacji i kultury.

Niezależnie od tego można i należy podchodzić do spornego tematu ETI, posługując się rzeczowymi i logicznymi argumentami, przy czym wcale nie jest pewne, że zatwardziali sceptycy pragną odwoływać się do logiki. Istnieją fakty, ale również przesłanki, rachunki prawdopodobieństwa, hipotezy i rzecz jasna spekulacje, które odgrywają swoją rolę przy rozpatrywaniu za i przeciw argumentów używanych w dyskusji na temat paleo-SETI. Pochodzą one z najprzeróżniejszych dziedzin nauki, z którego to powodu podstawowa idea fascynuje szeroką opinię publiczną. Wielu może – i powinno – zabierać głos oraz wносить intelektualny wkład. Jednak od czego w gruncie rzeczy wychodzą dyskusje, co kryje się za tymi debatami, jakie są „podstawy”? Przejdźmy przez kilka stopni tej parady modeli myślowych, krótko i treściwie.

Cywilizacje ETI

Wychodzimy od założenia, że istnieją cywilizacje pozaziemskie. Życie samo w sobie istnieje w najodleglejszych światach, a liczne planety wykazują coś więcej niż tylko jego ślady. Chociaż naukowcy reprezentujący SETI i

egzobiologię w odniesieniu do pozaziemskich cywilizacji nie zdołali jeszcze przytoczyć żadnego dowodu, optymistyczna ocena tego zagadnienia jest powszechnie akceptowana przez uczonych w tę problematykę zaangażowanych. Cywilizacje ET (Extra Terrestrial)? Ależ tak, żadnych poważnych wątpliwości!

To, co przed laty było odrzucane, jest dzisiaj w dużym stopniu akceptowane w naukowej teorii: rozprzestrzenianie w galaktyce inteligentnego gatunku, który opanował kosmiczne podróże. W biuletynie „Scientific American” (lipiec 2000) przedstawiono ponownie tę koncepcję. Jeszcze z ograniczeniem wykluczającym z konieczności ekspedycje do innych galaktyk..., lecz w porównaniu do postawy naukowej społeczności choćby kilka lat wcześniej zdołały się tu przebić zaczątki całkiem nowego myślenia. Czy takie rozprzestrzenianie następuje za pomocą wielopokoleniowych statków kosmicznych (czyli gigantycznych kosmicznych wehikułów, w których ludzie żyją przez wiele pokoleń, zanim dotrą na docelową planetę), czy też przy użyciu innych technik, pozostaje kwestią otwartą. Zasada rozprzestrzeniania się na innych planetach cywilizacji potomnych według reguły postępu geometrycznego (ciąg liczbowy 1, 2, 4, 8 itd.) umożliwia zasiedlenie dowolnej galaktyki przez ten konkretny inteligentny gatunek, który jako pierwszy zastosuje efekt śnieżnej kuli.

Podróże do innych systemów planetarnych mogą, obok motywacji, jakie znamy dziś w kontekście podbijania przez nas kosmosu, być również warunkowane innymi wymuszonymi przyczynami, choćby koniecznością migracji, jeśli jakaś cywilizacja zorientuje się, że życie ich własnego słońca potrwa jeszcze jedynie przez krótki czas.

Kiedy sięgamy myślami do „Innych”, jak nazwał ich doktor Johannes Fiebag, dysponujemy również faktami lub bardzo prawdopodobnymi przesłankami. Jak możemy wyobrazić sobie te istoty? Zjawisko ewolucyjnej konwergencji dyktuje nam zewnętrzny wygląd (fenotyp) tych kosmicznych stworów. Oznacza to, że np. podobne do palców chwytaki są w równym stopniu niezbędne co oczy, które potrafią widzieć przestrzennie. Niezbędna jest również atmosfera podobna do naszej, która umożliwia przebieg procesów spalania (np. w celu pozyskiwania metali). Co oczywiste, możliwie jest też istnienie innych inteligentnych, kognitywnych (zdolnych do poznawania, w przeciwieństwie do „inteligencji zwierzęcej”) istot (np. stworzenia wodne à la delfiny). Jeśli zatem chcielibyśmy zajmować się podróżami kosmicznymi, to gatunek, którego wygląd zewnętrzny określilibyśmy w najszerszym rozumieniu jako „humanoidalny”, byłby predestynowany. W każdym razie

zgodnie z naszym obecnym stanem wiedzy, ponieważ, jak wszędzie, także i tutaj musimy pozostawić miejsce pewnym ograniczeniom.

Formułowanie dalszych przepowiedni na temat wielkich nieznanych, w sferze szczegółów, jest trudne, lecz całkiem logiczne i konsekwentne w odniesieniu do tendencji cywilizacyjnych i ewolucyjnych. Pozaziemskie cywilizacje (ETI) będą tym, co nazywamy postępem naukowo-technicznym i co również jako takie znamy. W przeciwnym razie cywilizacje te nie mogłyby odbywać podróży kosmicznych. Ciekawości, woli przetrwania, parcia do rozprzestrzeniania się itd. również nie da się wykluczyć jako motoru postępu. To, co u nas dziś dopiero zaczyna się przejawiać, mogło być u nich czynnikiem o kardynalnym znaczeniu: samosterowanie, to znaczy sztuczna ingerencja w przebieg własnej ewolucji. Dokąd to zaprowadzi w poszczególnych przypadkach, jeśli uwzględnimy cywilizację, jaka liczy – dajmy na to – miliony lat, stanowi tajemnicę nawet dla sfery science fiction, która najczęściej skrepowana jest ziemskimi schematami myślenia. Tego pokroju wysoko rozwinięte cywilizacje można zgoła zaliczyć do kategorii, jaka nam wydaje się „magiczna”. Postęp ETI może wobec tego mieć wymiar nie tylko technologiczny, ale również biologiczny i filozoficzny. Ludzkość może oddzielać od pozaziemskich inteligencji ogromna różnica cywilizacyjna czy technologiczna.

Znaczenie tych prognoz czy wniosków końcowych w odniesieniu do zagadnienia „kontaktu z pozaziemską cywilizacją” jest z naszej perspektywy jednoznaczne. Tylko warunkowo jesteśmy w stanie wysunąć trafne prognozy w kwestii strategii „Innych”. Jednak da się sformułować następujący wniosek: jeśli inne inteligencje odwiedziły (lub odwiedzają) nasz Układ Słoneczny, z pewnością są w stanie opanować oprócz *low-tech*, również takie techniki, których nasze detektory nie potrafią wykryć. Ma to wiążącą moc także dla dowodów radioastronomicznych. Z tego powodu słynny astronom profesor Frank Drake podczas dwóch ostatnich posiedzeń panelu SETI dał nam radę, żeby przestawić się na niekonwencjonalne przemyślenia oraz odejść od utartych schematów myślenia. Wypadałoby podać w tym kontekście cudowny przykład rdzennych mieszkańców osamotnionej wyspy, którzy na pytanie, czy po drugiej stronie oceanu żyją inne plemiona, odpowiadają, że przychodzą im na myśl wielkie bębny albo gigantyczne ogniska i znaki dymne. Ich technologia „porusza się” w obrębie tych ograniczeń – natomiast telefony komórkowe są dla nich „magiczne”... Podobne niespodzianki byłyby naszym udziałem w razie kontaktu z ETI.

Od strony teoretycznej wiele w tej kwestii może wyjaśnić sformułowana przez doktora Johannesesa Fiebaga hipoteza mimikry. Bardzo wysokie jest

prawdopodobieństwo tego, że odwiedziny następowały przez bardzo długi czas i nie była to tylko jedna wizyta. „Odwieczne” wizyty są być może kontynuowane także obecnie. Ponieważ nie doszło do bezpośredniej „okupacji” naszej planety (porównywalnej z podbojami w epoce kolonialnej), wiele przemawia za tym, że Ziemia była interesująca lub nawet ważna jako odizolowany obiekt albo też z punktu widzenia ETI bardziej opłacalne i efektywne jest nawiązywanie kontaktu z cywilizacjami, jakie rozwijają się niezależnie. Wywieranie wpływu na taką formę rozwoju jest być może metodą pobudzania określonych dróg tego rozwoju.

Nasuwa się analogia do etnologów, którzy pojawiają się tylko sporadycznie, obserwują i nawet celowo prowokują. Hipotetycznie można wyjść z założenia, że na skutek „sztucznie nałożonego embarga” powstaje szansa wytworzenia określonej sytuacji. Logiczny jest pogląd, według którego kontakt – aż cisną się na usta słowa: „zrzucenie maskującego stroju” – ma sens dopiero wtedy, kiedy inna cywilizacja osiągnęła kulturowy poziom, przy którym ETI są pod tym pojęciem rozumiane. Zdolność odbywania kosmicznych podróży byłaby jednym z mierników określających horyzonty poznania, które umożliwiają dokonanie intelektualnej wymiany z pozaziemskimi cywilizacjami. Wizyty ETI w Układzie Słonecznym odbywają się prawdopodobnie w określonych interwałach albo mają charakter ciągły w bardzo długich okresach (na podobnej zasadzie etnolodzy badają żyjące w odosobnieniu pierwotne plemiona). Ludzkość była w stanie zinterpretować właściwie poszlaki wskazujące na to dopiero z chwilą, kiedy człowiek opanował technikę lotów w kosmos.

Z punktu widzenia ogromnych minionych okresów pogląd, według którego nasz system planetarny był już w przeszłości penetrowany przez pozaziemskie cywilizacje, staje się rzecz jasna bardziej prawdopodobny, jeśli przyjmiemy założenie, że ten punkt w czasie znajduje się w teraźniejszości. Obok dylematu, czy owi przybysze pojawiają się permanentnie, czy sporadycznie oraz w jakim celu, nie można oczywiście wykluczyć założenia, że podobne do robotów konstrukcje, które potrafią dokonywać samodzielnych napraw, replikować się i być może nawet ewoluować, zostały wysłane przez jakieś ETI. Podsumowując, przedstawione kalkulacje prowadzą do konkluzji, że poszukiwanie śladów obecności pozaziemskich cywilizacji, zarówno w obrębie Układu Słonecznego, jak i na samej Ziemi jest uzasadnione. Być może, jeśli ponadto uwzględni się znaczenie takiego odkrycia, wszelkie wysiłki w obszarze SETA (Search for Extraterrestrial Artifacts – poszukiwanie pozaziemskich obiektów) mają nie tylko rację bytu, ale też mają wysoką rangę. Poszukiwanie śladów ETI jest więc usprawiedliwione i naukowo, i teoretycznie.

Poszukiwania

Poszukiwanie śladów ma charakter wielostronny – można odnaleźć tropy pozostawione celowo lub przez nieuwagę albo też gromadzić pośrednie dowody bytności ETI. Pozostałości takie – bez względu na ich rodzaj – jakie zostałyby „zdeponowane” w Układzie Słonecznym, np. na Księżycu, Marsie lub asteroidach, miałyby rzecz jasna nieporównanie większą szansę przetrwania (gdyż nie ma tam erozji, która na Ziemi zawsze daje o sobie znać) oraz ponadto tę korzyść, że mogłyby zostać odkryte dopiero przez „odpowiednie” pokolenie: przez ludzi, którzy w rozwoju rodzaju ludzkiego osiągnęli poziom, jaki pozwala im odbywać podróże w kosmos. Dzięki temu generacja ta byłaby w stanie zweryfikować naukowo i usankcjonować teorię o istnieniu innych inteligentnych form życia oraz ich ewentualnych odwiedzinach w naszej galaktycznej ojczyźnie. Jestem pewien, że w trakcie kolejnych kosmicznych lotów już w najbliższych latach możemy liczyć na niespodzianki. SETA, jak w skrócie nazwano poszukiwanie takich potencjalnych obiektów, jest, ma się rozumieć, także tematem dyskusji podczas konferencji SETI. Bracia Johannes i Peter Fiebagowie oraz inni autorzy opublikowali w tym kontekście wyniki badań nad obiektami w Układzie Słonecznym, które jednoznacznie nie są ziemskiego pochodzenia (NASA, ESA itp.), a które jednak zachowują się w sposób nienaturalny dla ciał niebieskich. Satelity obcych ETI? Wracając do działań w obszarze SETA... sama NASA skierowała już kamery i bada rzekomą ludzką twarz na Marsie! Poszukiwanie śladów w Układzie Słonecznym rokuje duże nadzieje – wielkich odkryć możemy spodziewać się już w najbliższych latach.

W najprawdziwszym sensie tego słowa, by sięgnąć bliżej, można założyć, że ślady ETI znajdują się na samej Ziemi. Nie jest to jednak takie proste. Przeszkoda numer 1: najbardziej nawet jednoznaczne ślady nie zdadzą się na nic, jeśli zostaną odkryte lub przebadane przez ludzi, którzy nie są w stanie wziąć pod rozwagę teoretycznych powiązań z inteligencjami pozaziemskimi. Odnosi się to do ludzi z wszystkich epok przed naszą, a także istniejących jeszcze dziś grup etnicznych, które nie znają tego „czynnika ET”. Oto przykład: skamieniałości nie uznawano za paleontologiczne relikty, lecz interpretowano je jako „doczesne szczątki nieszczęśników pozostałe po potopie”.

Co się tyczy usprawiedliwienia lub znaczenia paleo-SETI, problem naszej epoki jest prosty. Żyjemy bowiem w swego rodzaju „czasach przejściowych”, w których dojrzewa coraz więcej naukowych zdobyczy, jak te przedstawione powyżej, dzięki czemu możliwa staje się pogłębiona interpretacja rzekomych

lub rzeczywistych zagadkowych świadectw kulturowych. Jednocześnie inni nam współcześni – w sposób uzasadniony z ich perspektywy – wskazują na to, że również bez odwołania się do „czynnika ET” udało się w zadowalający sposób wyjaśnić ten czy inny dylemat. W określonych przypadkach takie konwencjonalne wyjaśnienia są rzeczywiście trafne, w innych są tylko jedną z bardzo licznych interpretacji, w całej zaś reszcie przypadków nowe wytłumaczenia, dla wielu „pobrzmiwające science fiction”, zyskują coraz więcej zwolenników. Ostrość licznych wymian opinii na ten temat ma przyczyny zapewne w tym pełnym napięć obszarze.

Ślepotą w rozpoznawaniu śladów ETI jest uzależniona od naukowego czy technologicznego podłoża poszczególnych epok. Dopiero w naszym stuleciu utrwalił się nowy „parametr interpretacyjny”, który rzecz jasna stoi w konflikcie z dotychczasowymi usankcjonowanymi osiągnięciami nauki.

Lecz nawet jeśli my sami (gdyby odwiedziły pozaziemskiej cywilizacji były powszechnie akceptowane jako czynnik, który należy uwzględnić) bez uprzedzeń rozejrzemy się po naszej planecie, to odnalezienie poszlak czy wręcz dowodów byłoby czymś zaiste niezwykłym. Nasuwa się tu nawet wiele obiecujących dziedzin, lecz niestety na Ziemi mamy do czynienia ze środowiskiem, w którym ewentualne pozostałości są z reguły wystawione na działanie silnej erozji. Nie tylko przyroda, lecz przede wszystkim „kulturowa erozja”, powodowana działalnością człowieka, zmienia lub niszczy niemal wszystko. Jaką część z ogromnych ilości materiałów z okresu II wojny jesteśmy w stanie odnaleźć dzisiaj?

Przemianom ulega również tradycja przekazywana ustnie, jaka po upływie wielu pokoleń być może zawiera jedynie ziarno pierwotnego prawdziwego zdarzenia, i to warunkowo. Zmieniają się także lub zamierają rytuały. Tym samym wiedza zostaje albo utracona, albo też w najlepszym razie „zawoalowana”. Wiedza, która, o ile dotyczy kontaktów z pozaziemską cywilizacją, być może dotarła w bardzo zmienionej postaci do tego pokolenia, jakie jest w stanie ją zrozumieć. Jedynie cywilizacja, która zna podróże w kosmosie, umie prowadzić poszukiwania śladów ETI, a więc potrafi je rozpoznać! Oddzielenie poszlak czy dowodów w bardzo złożonym kulturowym dziedzictwie wymaga bardzo wielu badań.

Pozytywnym czynnikiem i jednocześnie szansą dla paleo-SETI jest różnorodność płaszczyzn, na których można odnaleźć poszlaki lub nawet coś więcej. Do tej pory udało się wyróżnić następujące obszary:

- Ślady bezpośrednie, można by rzec „twarde fakty”, tzn. realne przedmioty jednoznacznie niezemskiego pochodzenia. Odnalezienie takiego obiektu stanowi tu tylko jedną stronę medalu, natomiast przebadanie, wyciągnięcie jednoznacznych wniosków, ich opublikowanie oraz „zyskanie akceptacji” dla znaleziska, to druga strona.

- Pośrednie „twarde” ślady, to znaczy ewentualne ślady obróbki, budowle lub inne wskazówki zastosowania techniki (*high-tech*), jaka nie pozostaje w zgodności z poziomem technicznego rozwoju osiągniętym przez rdzenną ludność. Są to świadectwa, w których kontekście nie da się rozpoznać „ewolucji techniki”.
- Wskazówki – w najszerzej pojętym sensie – odnośnie do naukowo-technicznego know-how (na wysokim poziomie) osiągniętego przez indywidualne osoby lub grupy etniczne. W tym przypadku wiedza teoretyczna, której rozwoju nie da się udowodnić, wydaje się „przekazana”. Często też źródłem tej wiedzy mają być pochodzący spoza ziemi „krzewiciele cywilizacji”.
- Mity i inne przekazy, w których – także ze szczegółami – mowa jest o obserwacjach, jakie trudno przypisać wyobraźni. Oprócz symboliki, wyjaśnień natury religijno-historycznej lub nawet ze sfery psychologii, które nasuwają się w naturalny sposób w zgodności z tłem kulturowo-historycznym, możliwe są po części frapujące nowe interpretacje, o ile uwzględnia się „czynnik ET”. Opisy mają zazwyczaj formę porównania według reguły „wygląda jak...”, gdzie to, co nieznane, jest w każdej odnośnej epoce i kulturze przyrównywane do tego, co jest znane.
- Szerokie spektrum badań etnologicznych, w czasie których dokumentowane są przekazane przez tradycję, m.in. rzeczywiste obserwacje i wydarzenia. Jest to inny rodzaj „pamięci ludzkości”. Jeśli dochodziło do spektakularnych obserwacji (oraz zjawisk związanych z pozaziemskimi cywilizacjami, które bez względu na ich formę, zawsze wzbudzały „sensację”), były one potem utrwalane w rytuałach, tańcach, maskach, naskalnych rytach itp.

Oprócz przytoczonych potencjalnych obszarów istnieją też potencjalne daleko „bardziej powikłane” sfery, z jakich mogła skorzystać inteligencja rodem z kosmosu, chcąc pozostawić ślady swojej egzystencji lub, zastosujmy tu świadomie cudzysłów, „dokonać manipulacji”: chodzi tu o rozumiane w najszerszym zakresie ingerencje w biologię, genetykę lub ziemską ewolucję (w skali mikro i makro).

Megapuzzle

Logicznie rzecz ujmując, powiązania między kręgami kulturowymi muszą istnieć, jeśli przyjąć tezę o „bogach-astronautach”. W dużo większym stopniu występowały one między starożytnymi wysoko rozwiniętymi cywilizacjami niż ludami żyjącymi zgodnie z rytmem natury, np. Eskimosi. Lecz mówiąc nieco swobodniej, oddzielenie ziarna od plew, wyważenie poszlak małej i dużej rangi wcale nie jest prostym zadaniem, lecz niezmiernie długotrwałym procesem. By wyjaśnić, w jaki sposób paleo-SETI może doprowadzić do intelektualnego przełomu oraz jakie przeszkody należy po drodze pokonać, posłużę się analogią do gigantycznej układanki. Jeśli ktoś zajmuje się takimi puzzlami dostatecznie długo i zdoła umieścić we właściwej pozycji dużą liczbę elementów, zdoła rozpoznać, co przedstawia całościowy obraz, bez

konieczności dopasowania pozostałych elementów. Nasz pracujący z wysoką wydajnością mózg wstawia po prostu brakujące części w wolne jeszcze miejsca i tym samym generuje całościowy obraz, rozpoznaje poniekąd jego przesłanie. Wiadomo również, że mechanizm ten nie jest równie skuteczny, jeśli ten ktoś układa puzzle tylko w jednym z narożników albo ma zbyt mało doświadczenia z puzzlami. Jeśli odniesiemy te stwierdzenia do sfery paleo-SETI, to naturalną kolejną rzeczą komuś, kto nie zajmował się dostatecznie długo przesłankami (puzzle) albo wybrał sobie jedynie fragmentaryczny obszar, znacznie trudniej przychodzi rozpoznanie „obrazu”, czyli zdobycie nowej wiedzy. Wiedzy w sensie „rozpoznania obrazu”, zrozumienia „przesłania”, doznania „iluminacji”, że czynnikiem determinującym dzieje były również kontakty z pozaziemskimi cywilizacjami (ETI).

W przeciwieństwie do normalnych puzzli mamy tu do czynienia z „grą”, w której elementy muszą zostać dopasowane nie tylko geograficznie („szachownica”/„dwuwymiarowo”), lecz także na osi czasu. Zatem jest to coś na kształt czterowymiarowej układanki. Dalsza trudność polega na tym, że w stosie małych „skorupek”, jakie trzeba do siebie dopasować, znajduje się wiele takich, które pokazują wprawdzie obraz przeszłości, ale nie da się ich przyporządkować do paleo-SETI. Jeśli znów przeniesiemy się do normalnej zabawy w puzzle, byłoby to tak, jakby oprócz pasujących elementów celowo umieszczono także wiele takich, które nie pasują, lecz wymagają podjęcia próby dopasowania. Ponadto kto kupuje puzzle w sklepie z zabawkami, ten wychodzi z założenia, że w pudełku są wszystkie elementy układanki. W naszym przypadku nie otrzymujemy wszystkich części naraz, lecz musimy ich z mozołem poszukiwać „gdzie się da, w piwnicy i na strychu”, niekiedy też z konieczności trzeba uciekać się do „podstępu” i „wykradać” je innym osobom (rzecz może także dotyczyć, chociaż nie musi, muzeów i placówek naukowych). I, *last, but not least*, dochodzi jeszcze do tego, niestety, fakt, że nawet gdy uda się umieścić jakiś element we właściwym miejscu, wciąż jest dostatecznie dużo ludzi, którzy – takie odnoszą wrażenie – z ochotą by ten element wyciągnęli. Ludzi, którzy żądają od nas ochrony takich elementów, zamiast (w uzupełnieniu dyskusji!) pomagać w zrozumieniu układanki. Nie dziwi mnie wcale, że paleo-SETI potrzebuje głębokiego oddechu i dopiero sukcesywnie toruje sobie drogę. Zapewne konieczna jest do tego pełna zmiana pokoleniowa na generację wykazującą rosnącą tolerancję wobec tematu: megapuzzle paleo-SETI!

W przyszłości spodziewam się rzeczywiście nowych odkryć i osiągnięć wiedzy, które będą rezultatem przedstawionych tendencji i działań. Fundamenty już wylano, elementy megaukładanki są do siebie dobrane,

znalazły się w naszych rękach lub przynajmniej wiemy, gdzie należy ich szukać. Pojawia się popyt na kreatywność!

Poszukiwanie śladów ETI oznacza rozszyfrowanie „przesłania”. Paleo-SETI to praca, skomplikowana praca, która wszakże wykonywana jest z ogromnym entuzjazmem wypływającym z fascynacji tematyką. W gronie wszystkich zainteresowanych jesteśmy w stanie rozpoznać rosnącą gotowość spoglądania dalej niż na „własne poletko” oraz podjęcia ryzyka przyjęcia nowej, interdyscyplinarnej i nonkonformistycznej perspektywy. Czekają nas pełne emocji lata!

Ulrich Dopatka

Przypisy

Sekretne komory Sfinksa

1 K.U. Groth *Nochmals Zum Alter der Sphinx*, [w:] Mehner Th. (red.) *Das Große Experiment*, Suhl 1994, s. 242 n.

2 S. Yoshimura, T. Nakagawa, S. Tonouchi *Non-destructive Pyramid Investigation*, „Studies in Egyptian Culture”, t. 8, Tokio 1988.

3 Por. E.E. Cayce, G., Cayce-Schwartzter, D.G. Richards *Das Atlantische Geheimnis*, Monachium 1990; por. E.C. Carter *Prophezeiungen in Trance*, wyd. 3, Genewa 1992; Robbins *Edgar Cayces Bericht von Ursprung und Bestimmung des Menschen*, wyd. 7, Berlin 1990; por. E.E. Cayce *Edgar Cayce on Atlantis*. Nowy Jork 1968.

4 A. Al-Makrizi *Hitat*, Lipsk 1911 (tłum. Erich Graefe).

5 H.S. Lewis *La prophétie symbolique de la grande pyramide*, Villeneuve-St. Georges, wyd. 2, 1988.

6 Darwish zyskał sobie pewną naukową renomę jako współautor, por. Hassan, *Darwish Excavations at Giza*, t. V, Kair 1944.

7 Według Lewisa chodzi o angielskojęzyczny, wydawany w Kairze fachowy periodyk archeologiczny ze stycznia 1935 roku, który powinien być chyba do odnalezienia w katedrze egiptologii lub w Muzeum Egipskim w Londynie. Poszukiwania przeprowadzone przez autora w Heidelbergu i Wiedniu nie przyniosły rezultatu, dlatego wszelka pomoc w poszukiwaniach będzie mile widziana.

8 Dziwnym zbiegiem okoliczności ani w cytowanym raporcie z wykopalisk Hassana i Darwisha (por. przyp. 6), ani w *Hassan The Sphinx, its History in the Light of Recent Excavations*, Kair 1949, nie ma odpowiednich informacji ani żadnych wskazówek.

9 *The Mysterious Water Shaft of the Sphinx* (por. przyp. 3).

10 Zob. *Herodot, Al-Kaisi i płaskowyż piramid* w tej książce.

11 *The Mysterious Water Shaft of the Sphinx* (por. przyp. 3).

12 Z. Hawass *The True Age of the Sphinx*, [w:] *News from the Pyramids* (por. przyp. 3); Z. Hawass i M. Lehner *Remnants of a lost Civilization*, <http://guardians.net/hawass/remnants.htm>

13 W tym kontekście wysoce interesujący jest fakt, że uznani naukowcy po odejściu z oficjalnych stanowisk i przejściu na emeryturę nagle zaczynają reprezentować całkowicie inne poglądy niż dotąd. I tak np. emerytowany obecnie i uchodzący za ultrakonserwatywnego dyrektor Niemieckiego Instytutu Archeologicznego w Kairze profesor doktor Rainer Stadelmann, ku zmartwieniu swojego następcy profesora doktora Güntera Dreyera opuścił bastion obowiązujących interpretacji i wyraża pogląd, że Chefren w żadnym razie nie mógł być budowniczym Sfinksa. Bliższe informacje na temat tego późnego olśnienia w „GEO” nr 3, 2000, s. 167.

Giza i wielkie piramidy

1 H. Jelitto *Pyramiden und Planeten. Ein vermeintlicher Meßfehler und ein neues Gesamtbild der Pyramiden von Giza*, 1999.

2 *Grenzgebiete der Wissenschaft. Geometrie und Anordnung der großen Pyramiden von Giza*, cz. I i II, GW 44/1 (1995) 3 oraz GW 44/2 (1995) 99.

3 *Rom-Elektronik Ägypten-Forschung*, <http://www.rom-elektronik.de/aegypten.html>.

4 W. Wölfli *Archäologie mit einem Schwerionenbeschleuniger*, „Physik in unserer Zeit” nr 25, 1994.

5 E. von Däniken *Oczy Sfinksa – tajemnice piramid*, Warszawa 1992.

DC-X i zagadka egipskich obelisków

1 A. Erman i H. Ranke *Ägypten und ägyptisches Leben im Altertum*, Tübingen 1923.

2 P. Fiebag *Obelisk – symbol pojazdu kosmicznego?* [w:] E. von Däniken (red.) *Nowe kosmiczne ślady*, Warszawa 1999, s. 124–138.

3 P. Fiebag *Obelisk...*

...A jednak się świeci!

1 P. Krassa i R. Habeck *Światło faraonów – najwyższe technologie i prąd elektryczny w starożytnym Egipcie*, Gdynia 1997.

2 Ch. Berlitz *Trójkąt Bermudzki i inne tajemnice*, Łódź 1993.

3 Informacje uzyskane bezpośrednio od fachowców egiptologów, m.in. docenta doktora Helmutha Satzingera (Wiedeń), profesora doktora Francisa Abd el Maleka Ghattesa (Kair) oraz profesora doktora Ericha Wintera (Trewir).

4 M. Pössel *Phantastische Wissenschaft*, Reinbek bei Hamburg 2000.

5 Krytyka K. Richtera z różnych aktualnych stron internetowych, m.in. w GWUP – Gesellschaft zur Wissenschaftlichen Untersuchung von Parawissenschaften (Towarzystwo Naukowego Badania Paranauk).

6 W. Waitkus *Die Texte in den unteren Krypten von Dendera und ihre Aussagen zur Funktion und Bedeutung dieser Räume* (praca doktorska), Hamburg 1991.

7 A. Mariette *Pięciotomowa praca na temat Dendery*, Paryż 1869; T. Brunés *Energien der Urzeit*, Zug 1977.

8 T. Brunés *Energien der Urzeit*, Zug 1977.

9 P. Krassa i R. Habeck *Światło faraonów...*

10 W. König *Im verlorenen Paradies*, Baden–Wiedeń 1940

11 H. Kees *Schlangensteine und ihre Beziehung zu den Reichsheiligtümern*, Lipsk 1922.

12 Informacje uzyskane bezpośrednio m.in. od inż. Hermanna Ilga (Reutlingen). Działanie „żarówek” prezentowano zainteresowanym w najróżniejszych programach telewizyjnych, jak też przy okazji targów i spotkań, m.in. w 1992 roku w Muzeum Techniki w Wiedniu.

13 W. Garn *Die Realisierung einer altägyptischen Reliefdarstellung aus dem Hathor Tempel von Dendera*, dodatek do książki P. Krassa, R. Habeck *Licht für den Pharao*, Luksemburg 1982.

14 Opisowane m.in. [w:] R. Habeck *Das Unerklärliche*, Wiedeń 1997, a ostatnio w *Hochtechnologie der Frühzeit*, Wiedeń 2001.

15 Strona internetowa R. Lorenza oraz informacje z różnych forów internetowych, gdzie dyskutowano ten temat.

16 E. Schneider, informacja osobista, 17 października 1994, Bargteheide.

Elektryczność w starożytnym Egipcie?

1 E. Auf *Ägyptische Königskronen und die Uräus-Schlange*, „Sagenhafte Zeiten”, t. 2, Beatenberg 2001.

2 R. Habeck *Und sie leuchtet doch!*, „Sagenhafte Zeiten”, t. 2, Beatenberg 2001

3 P. Krassa i R. Habeck *Światło faraonów – najwyższe technologie i prąd elektryczny w starożytnym Egipcie*, Gdynia 1997.

4 F.R. Glunk *Pyramiden*, Loewe-Verlag 1992.

5 H.W. Müller, E. Thiem *Die Schätze der Pharaonen*, Weltbild-Verlag 1998.

6 W. Eberhardt *Studium Generale – Experimentalvorträge*, Fachhochschule Braunschweig/Wolfenbüttel; R. Öse *Elektrotechnik für Ingenieure*, t. 1: Grundlagen, Lipsk 2001.

Uwaga autora. Naszkicowane tu pokrótce podstawy elektrotechniki zostały dla łatwiejszego zrozumienia znacznie uproszczone. Celem tego artykułu nie jest udowodnienie istnienia „cudownej korony” czy też starożytnej „żarówki”.

Medycyna ratunkowa w starożytnym Egipcie

1 A. Ocklitz *Das Mundöffnungsritual der Alten Ägypter*, „Ancient Skies” 19/1,8.8–11, 1995; A. Ocklitz *Künstliche Beatmung mit technischen Hilfsmitteln schon vor 2000 Jahren?*, „Anaesthetist” 45, 1996, s. 19–21.

2 R.O. Faulkner *The Ancient Egyptian Book of the Dead*, Londyn 1993, 5.54.

3 I.W. Magill *An improved laryngoscope for anaesthetists*, „Lancet I”, 1926, s. 500.

4 C. Jackson *The technique of insertion of intratracheal insufflation tubes*, „Surgery, Gynecology and Obstetrics” 17, 1913, s. 507–509.

5 V. Vikentiev *Deux rites du jubile royal à l'époque protodynastique*, „Bulletin de l'Institut d'Égypte” 32, 1949, s. 171–200; P. Ghalioungui *The House of Life*, Amsterdam 1973, s. 90–92; M. Shehata *A History of Laryngeal Intubation*, „Middle East Journal of Anaesthesiology” 1981; 6,8.49–55, K. Biefel i W. Prising *Tracheotomie vor 1800*, „Gesnerus” 45, 1988, s. 521–538; A.L. Pahor *Ear, Nose and Throat in Ancient Egypt*, część II, „Journal of Laryngology and Otology” 106, 1992, s. 773–779; C. Stetter *Denn alles steht seit Ewigkeit geschrieben. Die geheime Medizin der Pharaonen*, Monachium 1990, s. 43; J.F. Junn *Ancient Egyptian Medicine*, Norman 1996, s. 25–30, 42, 131 i 169; A. Sercer *2000 Jahre Tracheotomie*, „Ciba-Symposium” 10, 1962, s. 78–86; R. Weill *Recherches sur la Ire Dynastie*, Kairo 1961, cz. 2, rozdz. 14; W.B. Emery i Z.Y. Saad *Excavations at Saqqara. The Tomb of Hemaka*, Kair 1938, s. 35; W.B. Emery *Archaic Egypt*, Londyn 1991, s. 59; H.J. Klippe, J. Löhr, i C. Kroeger *Historische Aspekte zur Entwicklung der endotrachealen Intubation*, [w:] „Praxis der Pneumologie” 35, 1981, s. 413–420.

6 W. Westendorf *Erwachen der Heilkunst. Die Medizin im Alten Ägypten*, Zurych 1992, s. 129–144; P. Feikai *Az üjraelesztesi kiserletek első nyoma az ökori Egyiptomban*, Orvosi Hetilap, 1986, 127, s. 1709–1712; P. Ghalioungui *The Physicians of Pharaonic Egypt*, Mainz 1983, s. 8, 16–23.

7 A. Eenboom i R. Belting *Antike Flugtechniken (mit Flugdemonstration)*, w ramach programu światowej konferencji Ancient Astronaut Society, Berno, 18 i 19 sierpnia 1995, s. 48–49.

8 W. Maleck, K. Köttier, G. Petroianu *Die Katze auf dem heiligen Blechtisch*, „Ancient Skies” 19/5, 1995, s. 10–12.

9 W. Maleck, K. Köttier, M. Bauer, M. Weber, J. Herchet, G.A. Petroianu *Geknickt oder aufrichtbar? Fünf Laryngoskopspatel im Test*, „Anästhesiologie & Intensivmedizin” 37, 1996, s. 621–624.

10 American Heart Association. Adult Advanced Cardiac Life Support. IAMA 268, s. 2201–2241, 1992; European Resuscitation Council *Guidelines for the advanced management of the airway and Ventilation during resuscitation*, „Resuscitation” 31, 1996, s. 201–230.

11 W. Maleck, K. Köttier, G. Petroianu *Kot na świętym blaszanym stole* [w:] E. von Däniken, (red.) *Scheda po bogach kosmicznym śladem po świecie*, Warszawa 2001.

Sekret Gilgamesza

1 H. Burgard *Uruk „... wo vom Himmel herabgestiegen wird”*, „Ancient Skies” nr 3, 1998.

Świątynia Ezechiela w Hattusas

1 J. Seeher *Hattuscha Führer*, Sztambuł 2002.

2 J.F. Blumrich *Da tat sich der Himmel auf. Die Begegnung des Propheten Ezechiel mit ausserirdischer Intelligenz*, Berlin 1994; H.H. Beier *Ezechiel, koronny świadek – jego relacja, jego świątynia, jego statki kosmiczne*, Warszawa 1996.

3 H. i A. Dunke *Untergegangene Kulturen Südostasiens*, „Sagenhafte Zeichen” nr 1, 2002, s. 20–23.

4 E. von Däniken *W imieniu Zeusa*, Warszawa 2000.

5 Por. R. Sonnenberg *Zagadka magazynów*, [w:] E. von Däniken (red.) *Kosmiczne ślady*, Warszawa 1998.

6 D.M. Brown, *Anatolien Schmelztiegel alter Kulturen*, Amsterdam 1996.

7 P. Fiebag *Kosmiczne rytuały ludów pierwotnych*, Warszawa 2006.

Słonecznoskrzydły

1 *Die Bibel*, Freiburg im Breisgau 1980.

2 E. Weidinger (red.) *Die Apokryphen*, Augsburg 1988.

Kryjówka

1 G. Sassoon i R. Dale *Maszyna do produkcji manny – fascynująca próba rozwiązania biblijnej zagadki*, Warszawa 1996.

2 J. Fiebag, R. Fiebag *Maszyna wieczności*, Warszawa 2000.

3 L. Goldschmidt *Der Babylonische Talmud*, t. II, Haag 1933.

4 A. von Aachen *Geschichte des ersten Kreuzzuges*, Jena 1923.

5 F. de Chartres *History of the First Crusade*, Londyn 1941.

6 K. Mikkonen *Dr. Valter Juvelius and the Ark von the Covenant*, „Ancient Skies” (wyd. amerykańskie) nr 18, 1991.

7 R. Reich, wywiad [w:] S. Aust Program w KultUr-Zeit, Sat I, 1997.

8 R. Andrews, wywiad [w:] Program w KultUr-Zeit, Sat I, 1997.

9 M. Ben-Dov *In the Shadow of the Temple*, Nowy Jork 1985.

Odkrycie Pramatriksa

1 E. von Däniken *Wspomnienia z przyszłości*, Warszawa 1974.

2 E. von Däniken *Oczy Sfinksa – tajemnice piramid*, Warszawa 1992.

3 D. Vogl *Die Gilde der kosmischen Former*, Greiz 2000.

4 N. Benzin *Zum 400. Todestag eines frühen SETI-Forschers Giordano Bruno* [w:] „Sagenhafte Zeiten”, Bealenberg/Schweiz, nr 4, 2000, s. 17.

Omfalos – pepek świata

1 S. Meletzis i H. Papadakis *Delphi*, Monachium–Zurych 1964.

2 M. Kappel *Die Kunst der Großsteinbearbeitung im alten Griechenland*, „Ancient Skies” nr 4, 1996.

3 Dupont *Reiseführer Griechenland*.

4 P. Fiebag *Der Obelisk Symbol für ein Raumfahrzeug?*, [w:] E. von Däniken (red.) *Neue Kosmische Spuren*, Monachium 1992.

5 Z. Sitchin *Schody do nieba. Księga druga kronik Ziemi*, Warszawa 1996.

Mityczna, kamienna Irlandia

1 P. Gosling *Archaeological Inventory of County Galway*, t. I: West Galway, Dublin 1993.

2 S.R. O’Ríordáin *Antiquities of the Irish Countryside*, Londyn 1979.

3 J. Feehan *The Geology of the Aran Islands*, Newtownlynch 1994.

4 C. Cotter *Western Stone Fort Project*, Dublin 1995.

5 C. Cotter *Cahercommaun Fort, Co. Cläre A reassessment of its cultural context*, Dublin 1999; M. Doody *The Ballyhoura Hills Project*, Dublin 1999.

6 J. Waddell *The Archaeology of the Aran Islands*, Newtownlynch 1994.

7 D.W. Koeller *Africa South of the Sahara Chronology*, Chicago 1999.

8 R. Effland i in. *Great Zimbabwe*, Mesa 2000.

9 E. von Däniken *Prorok przeszłości. Ryzykowne rozmyślenia o wszechobecności istot pozaziemskich*, Warszawa 1995.

10 J. Carey *A new introduction to Lebor Gabála Erenn*, Dublin 1993.

11 T. Robinson *Stones of Aran – Pilgrimage*, Londyn 1986.

12 A. Kondratiev *Danu and Bile The Primordial Parents?* Bealtaine 1998.

13 R.A.S. Macalister *Lebor Gabála Erenn, The Book of the Taking of Ireland*, Dublin 1941.

Święci i legendy

1 Por. A. Hahnl [w:] *Der Domschatz von Reims*, 1985, s. 41 i 72; por. P.E. Schramm *Der König von Frankreich*, Darmstadt 1960, t. 1, s. 146 i 153; M. Bloch *Les rois thaumaturges*, Strasburg 1924, s. 61; *Die Geschichtsschreiber der deutschen Vorzeit*, t. 9, II; *Zehn Bände fränkischer Geschichte des Bischofs Gregor von Tours*, Lipsk 1913, t. 3, s. 40.

2 J. Höfer, K. Rahner *Lexikon für Theologie und Kirche*, Freiburg i. Br. 1962–1986, t. 7, s. 311 i dalej.

3 MGH SS rer. Merov, t. 2, ks. 3, rozdz. 9, Hanower 1978, s. 95.

4 R. Hermes *Chlodwigsagen in und um Zülpich* [w:] *Chlodwig und die Schlacht bei Zülpich – Geschichte und Mythos 496–1996*, Zülpich 1996, s. 190–195. Zob. też J. Diederichs, U. Ludwig [w:] *Chlodwig und die Schlacht bei Zülpich*, s. 271, 272; W. Müller *Chlodwig*, [w:] *Lorelei – Rheinische Sagen*, Kolonia 1851, s. 220–222; *Die Geschichtsschreiber der deutschen Vorzeit*, t. 1, Lipsk 1911, s. 106.

5 R. Hermes, *op. cit.*, s. 190, 192, 193.

6 V. Schauber i H.M. Schindler *Heilige und Namenspatrone im Jahreslauf, Augsburg* 1993, s. 488 i 489; por. LthK, 1959, Sonderausgabe 1986, t. 3, s. 1201; D.H. Klein *Das große Hausbuch der Heiligen*, Monachium 2000, s. 462.

7 W. Jens (red.) *Kindlers Neues Literaturlexikon*, t. 8, Monachium 1988, s. 569, 570.

8 B. Ergert, K. Sälzle, S. Schwenk *Deutsches Jagdmuseum München*, Braunschweig 1992, s. 88.

9 J. de Voragine *Die Legenda aurea*, Heidelberg 1963, s. 886–894; B. Ergert, *op. cit.*, s. 88; V. Schauber i H. Schindler, *op. cit.*, s. 489; D. Klein, *op. cit.*, s. 462; C. Melchers *Das große Buch der Heiligen*, s. 376.

10 D. Klein, *op. cit.*, s. 551, 552; C. Melchers, *op. cit.*, s. 449; LthK, t. 5, 1960, s. 503.

11 V. Schauber, *op. cit.*, s. 518; D. Klein, *op. cit.*, s. 501, 502.

12 Tamże, s. 501–505; LthK, t. 7, s. 241, 242.

13 J. Fiebag *Kontakt*, Monachium 1994, s. 124–128.

14 Tamże, s. 124, 125.

15 Tamże, s. 350.

16 B. Hopkins *Von UFOs entführt*, Monachium 1982, s. 210–231.

17 J. Fiebag *Kontakt*, s. 125.

18 Tamże, s. 126.

19 Tamże, s. 126.

20 Tamże, s. 127, 347, 348.

21 W. Raab (red.), *Ufo-Report*, t. 10, nr 4, 2001, s. 9, 10; źródło [http://www.caus.org/pc030799 htm](http://www.caus.org/pc030799.htm).

22 J. de Voragine, *op. cit.*, s. 886–894; D. Klein, *op. cit.*, s. 552; C. Melchers, *op. cit.*, s. 449.

23 U. Dopatka *Die große Erich-von-Däniken-Enzyklopädie*, Monachium 1997, s. 70, 232–236; J. Fiebag *Kontakt*, s. 348; J. Fiebag *Die Anderen*, Monachium 1993, s. 297–318.

24 H. Biedermann *Knaurs Lexikon der Symbole*, Monachium 1989, s. 196, 197.

25 K.F. Kohlenberg *Enträtselte Vorzeit*, Monachium 1970, s. 282, 283, 378, 427.

26 E. von Däniken *Objawienia*, 1995; U. Dopatka, *op. cit.*, s. 310, 314, 384; P. Grimal (red.) *Mythen der Völker*, t. III, Frankfurt 1967, s. 155; G. Bellinger *Knaurs Lexikon der Mythologie*, Monachium 1989, s. 200.

27 G. Bellinger, *op. cit.*, s. 105.

28 D. König *Die Welt der Feen – Mythen, Märchen und Legenden*, Monachium 1998, s. 328.

29 Tamże, s. 66, 240.

30 Tamże, s. 240.

31 R. Habeck *UFO – Das Jahrhundertphänomen*, Wiedeń 1997, s. 28, 30.

32 J. Bord, *op. cit.*, s. 256

Lot ku duchowi Księżycyca

1 J. Fiebag *Przedmowa*, [w:] Ch. Brachthäuser *Im Schatten der UFOs – Auf der Suche nach dem Ursprung eines Phänomens*.

2 P. Grimal (red.). *Mythen der Völker*, t. 3, Frankfurt nad Menem 1967.

3 H. von Barüske (red.) *Eskimomärchen*, Düsseldorf 1969.

4 J. Fiebag *Inni – spotkania z pozaziemską inteligencją*, Warszawa 1995; J. Fiebag *Gwiezdne wrota – oni są wśród nas. Istoty pozaziemskie na Ziemi i w Układzie Słonecznym*, Gdynia 2000.

5 J. Fiebag *Kontakt-uprowadzenia do UFO w Niemczech, Austrii i Szwajcarii – naoczni świadkowie opowiadają*, Warszawa 1996; J. Fiebag *Von Aliens entführt*, Düsseldorf 1997; J.E. Mack *Abduction*, Nowy Jork 1994.

6 P. Fiebag *Die Masken der Astro-Götter* [w:] J. Fiebag (red.) *Das UFO-Syndrom*, Monachium 1994.

7 J. Vallée *Dimensionen*, Frankfurt nad Menem 1994.

8 K. Rasmussen *Die Gabe des Adlers – Eskimomythen aus Alaska*, Berlin 1996.

Nanotechnologia epoki lodowcowej

- 1 H. Hausdorf *Kiedy bogowie bawią się w Boga*, wyd. Prokop, 2004.
- 2 H. Hausdorf *Sensationeller Fund in Rußland*, „Ancient Skies” nr 2, 1997.
- 3 J.W. Matwiejewa *Schlußfolgerungen zu den Funden an fadenförmigen Wolframspiralen in den alluvialen Ablagerungen des Flusses Balbanju*, [w:] „ZNIGRI-Analyse” 18/485, 29 listopada 1996.
- 4 *Nanotechnologie*, „Faktor X”, nr 5, 1997.

Pismo z Le Glozel

- 1 P. Fiebag *Unbekannte Schriften weltweit*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 4, 1999, s. 18–20.

Ukryte skarby

- 1 E. von Däniken *Siejba kosmosu*, wyd. Prokop, 1996.
- 2 A. Eenboom i P. Belting *Ancient Aeronautic Technology*, wykład, światowy kongres AAS, 3–8 sierpnia 1997, Orlando, Floryda.
- 3 W. Siebenhaar *Geheimnis um Oak Island*, „Ancient Skies”, wrzesień/październik 1988.
- 4 J. Piekalkiewicz *Da liegt Gold!*, Monachium 1971.
- 5 W. Siebenhaar *Die Inkas waren es nich*, [w:] G. Lossi (red.) *Prä-Astronautik... eine These wird wahr!*, Göttingen 1982.
- 6 J. Piekalkiewicz, *op. cit.*
- 7 E. von Däniken *Znaki z przeszłości*, Warszawa 1998.

Galeria bogów-astronautów

- 1 R. Habeck (red.) *Unsolved Mysteries – Die Welt des Unerklärlichen*, katalog wystawy, Wiedeń 2001.
- 2 R. Willis (red.) *Mythen der Welt*, Monachium 1994.
- 3 Tekst informacyjny na temat zbiorów Muzeum Weilbauer, Ekwador oraz Toro, Kolumbia, Quito i Bogota, 2001.
- 4 U. Müller-Kaspar (red.) *Lexikon des Aberglaubens*, 3 tomy, Wiedeń 1996.
- 5 Zob. R. Habeck (red.) *Unsolved Mysteries...*
- 6 H. Biedermann *Wunderwesen – Wunderwelten*, Graz 1980.
- 7 Informacje kierownictwa Muzeum Weilbauer przekazane organizatorom wystaw *Unsolved Mysteries*, Quito 2000.
- 8 A. Cotterell *Die Słownik mitów i legend*, Książnica, 1996.
- 9 Ch. Ladurner, *Begegnung mit dem Fremden*, praca magisterska, Uniwersytet Wiedeński, listopad 1998.
- 10 R. Habeck, wywiad z doktorem Ausilio Priulim, Capodiponte 1998.

Embriologia w pradziejach

1 R. Habeck *Hochtechnologie der Frühzeit. Unerklärliche archäologische Entdeckungen*, Wiedeń 2001; R. Habeck (red.) *Unsolved Mysteries – Die Welt des Unerklärlichen*, katalog wystawy, Wiedeń 2001.

K0500 – Spotkanie z bogami Majów

1 C. Ratsch, i K. Ma'ax *Ein Kosmos im Regenwald*, Monachium 1994.

Tulúm – zagadkowa twierdza Majów

1 E. von Däniken *Die Spuren der Ausserirdischen*, Monachium 1990.

2 P. Fiebag *Boski plan: pozaziemskie świadectwa Majów i Hopi*, wyd. Prokop, 1997.

3 V.M. Fields *The Iconographic Heritage of the Maya Jester God* [w:] M.G. Robertson (red.) *Sixth Palenque Round Table 1986*, Norman 1999.

4 P. Fiebag, *op. cit.*

5 E. von Däniken *Dzień w którym przybyli bogowie*, wyd. Prokop 1991.

6 J. i P. Fiebag *Wissenschaftshygiene und Paläo-SETI* [w:] E. von Däniken (red.) *Fremde aus dem All*, Monachium 1995, s. 287–296.

7 Zob. <http://www.cavedive.com>.

Pacal i Czerwona Planeta

1 L. Schele i D. Freidel *Die unbekannte Welt der Maya*, Monachium 1991.

2 B. Riese *Die Maya*, Monachium 1995.

3 J.E.S. Thompson *Die Maya*, Monachium 1976.

Bep-Kororoti – przybysz z gwiazd?

1 E. von Däniken *Siejba kosmosu*, wyd. Prokop, 1996.

2 K. von den Steinen, *Durch Central-Brasilien*, Lipsk 1886; K. von den Steinen *Unter den Naturvölkern Zentralbrasiliens*, Berlin 1894.

3 T. Koch-Grünberg *Zwei Jahre unter den Indianern*, Berlin 1909–1910.

4 A. Lukesch *Bebgoróroti — eine mythologische Gestalt der Gorotire-Indianer*, „Wiener Völkerkundliche Mitteilungen, Neue Folge” 2/7, Wiedeń 1958; A. Lukesch *Leben und Mythos der Kayapó*, Wiedeń 1968; A. Lukesch *Schamanen am Rio Xingu*, Wiedeń–Kolonja 1990.

5 Zob. także R. Furduji *Die Gene und die Ausserirdischen*, „Sagenhafte Zeiten” nr 6, 1999.

6 H. Baldus *Die Jaguarzwillinge*, Kassel 1958.

Piramidy w Państwie Środka

1 H. Brunner i in. (red.) *Lexikon Alte Kulturen*, Manheim 1990.

- 2 A. Christie *Chinese Mythology*, Nowy Jork 1987.
- 3 K.C. Chang *The Archaeology of Ancient China*, New Haven 1983.
- 4 A. Christie, *op. cit.*
- 5 H. Hausdorf *Die weisse Pyramide*, Monachium 1994.
- 6 P. Krassa i H. Hausdorf *Satelliten der Götter*, Monachium 1995
- 7 D.M. Brown (red.) *Das glanzvolle Reich der Mitte*, Amsterdam 1994.
- 8 D. Schrader *Reise zu den „chinesischen Pyramiden“*, „China Today”1996, nr 10.
- 9 *On the Road to Ningxia*, „Air China” 2000, s. 17–30.

Dorje – broń bogów?

- 1 H.W. Sachmann *In Schutt und Asche. Die Arsenale der Unsterblichen*, Baden-Baden 1989.
- 2 A. Tomas *Shambhala. Oasis de Luz*, Barcelona 1980; J. i P. Fiebag *Die Ewigkeits-Maschine*, Monachium 1998; U. Dopatka *Die grosse Erich-von-Däniken-Enzyklopadie*, Düsseldorf 1998.
- 3 Zob. też L. Gentes *Die Wirklichkeit der Götter*, Essen 1996.
- 4 A. Tomas *Wir sind nicht die ersten*, Bonn 1972.
- 5 P. Fiebag *Geheimnisse der Naturvölker*, Monachium 1999.

Świątynie i boskie pojazdy w Indiach

- 1 A. Volwahren i H. Stierlin (red.) *Indien*, b.m. i d.w.
- 2 Przewodniki Marco Polo *Indien*, Ostfildern, b.d.w.
- 3 L. Gentes *Die Wirklichkeit der Götter*, Essen 1996.
- 4 H.G. Franzen *Das Alte Indien*, Monachium 1990.
- 5 W.-J. Langbein *Das Sphinx-Syndrom*, Monachium 1992.

Vimany – świątynna zagadka

- 1 E. von Däniken *Szok po przybyciu bogów*, wyd. Prokop, 1994.
- 2 V. Ions *Indian Mythology*, Nowy Jork 1967.
- 3 W.R. Drake *Gods and Spacemen in the Ancient East*, Londyn 1973.
- 4 M. Edwardes *Indian Temples and Palaces*, Nowy Jork 1969.
- 5 *Privatflug ins All*, „Der Spiegel”, nr 18, 1995, s. 226–229.
- 6 P. Fiebag *Geheimnisse der Naturvölker*, Monachium 1999.

Kosmiczne kultury u Torajów z Sulawesi

Artykuł oparty na książce: P. Fiebag *Geheimnisse der Naturvölker*, Monachium 1999. Tamże znajduje się pełny spis literatury.

Prędkość światła

1 G.K. O'Neill *Unsere Zukunft im Raum*, Berno 1978.

2 M.D. Coe *Das Geheimnis der Maya-Schrift*, Reinbek bei Hamburg 1995.

3 *Schneller als das Licht; die Grenzen der Physik*, scenariusz i reżyseria Klaus Simmering, pierwsza emisja 6 września 1995 roku (!) w MDR, powtórka 3 listopada 1997 roku w 3-SAT.

4 G. Nimtz *Schneller als das Licht?*, „Physik unserer Zeit” 1997, t. 28, nr 5.

Przypisy dolne

[1] Ludwig Borchardt (1863–1938) – egiptolog niemiecki, założyciel Niemieckiego Instytutu Archeologicznego (1906) (przyp. tłum.).

[2] Dziękujemy firmom RFQ-Medizintechnik z Tuttlingen oraz Schreinerei Herrmann z Mannheim za pomoc okazaną przy odtworzeniu narzędzia. Firmie Laerdal Deutschland, jak i Stowarzyszeniu Joannici Dzieło Pomocy z Mannheim dziękujemy za udostępnienie manekinów treningowych (przyp. autorów).

[3] Abraham Gottlob Werner (1749–1817) – słynny geolog, stworzył wczesną nazwę geologii – geognozję, i wykładał tę naukę na akademii we Fryburgu (przyp. tłum.).

[4] Odpowiednik dzisiejszego kierownika technicznego w kopalni (przyp. tłum.).

Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Przedmowa](#)

[I. Zagadki Archeologiczne Wprowadzenie](#)

[O znaczeniu badań archeologicznych, astronautycznych i Seti](#)

[Hipoteza paleo-Seti: co to takiego?](#)

[II. Zagadkowy Egipt](#)

[Pobożne życzenia egiptologów](#)

[Piramida Cheopsa Sekretne komory odkryte już dawno temu?](#)

[Herodot, Al-Kaisi i płaskowyż piramid](#)

[Sekretne komory Sfinksa Czeka nas odkrycie nowych tajemnic płaskowyżu w Gizie](#)

[Giza i wielkie piramidy Gigantyczne modele układu Ziemia, Wenus i Merkury](#)

[Rozwiązanie zagadki budowy piramid](#)

[DC-X i zagadka egipskich obelisków Starożytna technologia lotów kosmicznych](#)

[...A jednak się świeci!](#)

[Elektryczność w starożytnym Egipcie? Rozważania nad możliwością wyjaśnienia technicznego](#)

[Medycyna ratunkowa w starożytnym Egipcie Próby z narzędziem z Papyrusu Hunefera na manekinie](#)

[III. Zagadkowy Orient](#)

[Sekret Gilgamesza Pozaziemskie tło sumeryjsko-akadyjskiej poezji epickiej](#)

[Świątynia Ezechiela w Hattusas Czy biblijny ślad prowadzi do Hatti?](#)

[Słonecznoskrzydły Opis satelity w Apokalipsie Barucha](#)

[Kryjówka Templariusze, maszyna do produkcji miany i wzgórze świątynne](#)

[Odkrycie Pramatriksa Wspomnienia z przyszłości stają się prawdą](#)

[Tajemniczy hieroglif Dna i zagadka linii życia](#)

[IV Zagadkowa Europa](#)

[Omfalos – pępek świata](#)

[Piramidy w Grecji](#)

[Tiermes: kamienna zagadka Hiszpanii Tajemniczy bastion z piaskowca w starożytnej Kastylii](#)

[Mityczna, kamienna Irlandia Tajemnica pierścieniowych fortów](#)
[Święci i legendy Opowieści potwierdzające hipotezy paleo-Seti](#)
[Lot ku duchowi Księżyca Inuitów podróże do nieba](#)
[„Węglowa czaszka” z Fryburga Dziwaczny falsyfikat czy liczący 15 000 000 lat relikw?](#)
[Nanotechnologia epoki lodowcowej Badania laboratoryjne spirali wolframowej z Rosji](#)
[Pismo z Le Glouzel Wysoko rozwinięta cywilizacja europejska z epoki kamienia we Francji?](#)

V. Zagadkowa Ameryka

[Świat zagadek Ameryki Południowej Odkrycia w Nazca, Ica i Tiahuanaco](#)
[Tajemnice z Nazca Zagadki geometryczne i inne](#)
[Dowcip o Nazca](#)
[Gwiezdne wrota z Peru Monumentalna „brama do innych światów” czy „tylko” precyzyjnie obrobiona skała?](#)
[Ukryte skarby Czy można wśród nich odkryć obiekty pozaziemskie?](#)
[Galeria bogów-astronautów Mitologia w kamieniu i ceramice: kim były pierwowzory?](#)
[Embriologia w pradziejach Pradawna wiedza biologiczna](#)
[K0500 – spotkanie z bogami Majów](#)
[Tulúm – zagadkowa twierdza Majów Zstępujący bóg](#)
[Pacal i Czerwona Planeta Co stało się z Marsem 1 000 000 lat temu?](#)
[Bep-Kororoti – przybysz z gwiazd? Podania i wyplatane z łyka stroje pierwotnych ludów Brazylii potwierdzają treść mitów Indian Kayapó](#)

VI. Zagadkowa Azja

[Tajemniczy system rur – zbudowany przez ET?](#)
[Piramidy w Państwie Środka Podróż do chińskich zagadek](#)
[Dorje – broń bogów?](#)
[Świątynie i boskie pojazdy w Indiach Świątynne wieże, kamienne reliefy oraz zagadkowa architektura](#)
[Vimany – świątynna zagadka](#)
[Wyspa kamiennych potworów Kultura megalityczna Polinezji: niezrozumiała zagadka](#)
[Kosmiczne kultury u Torajów z Sulawesi](#)

VII. Inne zagadki

[Poszukiwania życia w kosmosie Międzygwiazdne zdalne badania oraz związany z tym potencjał](#)
[Prędkość światła Czy rzeczywiście granica fizyki](#)

Kiedy badania naukowe są uprawnione?

Paleo-Seti: argumenty, logika i konsekwencje

Przypisy.

Przypisy dolne